

Wyprawa po Miłość

SUSANNE
LORD




AMBER

Romans historyczny

SUSANNE
LORD

Wyprawa po Miłość

Przekład
Katarzyna Przybyś-Preiskorn



Korekta
Agnieszka Pyśk
Anna Raczyńska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© olenakucher/Fotolia

Tytuł oryginału
In Search of Scandal

Copyright © 2015 by Susanne Lord

Originally published in the United States by Sourcebooks Casablanca, an imprint of Sourcebooks, Inc.

www.sourcebooks.com

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition

Copyright © 2017 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6297-0

Warszawa 2017. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysienki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

I

Londyn, marzec 1850

Na litość boską, człowieku, zejdz mi z drogi.

Ktoś z tyłu wyraźnie się niecierpliwił i był zaskakująco blisko. Will Repton powstrzymał się od ostrej odpowiedzi i odsunął się na prawo. Jego utykający chód był zdaje się zbyt wolny lub zbyt niezgrabny dla mijających go wyniosłych londyńczyków. Nie dbając o chmurne miny przechodniów i zimny wiatr hulający po Oxford Street, zadarł podbródek i ruszył dalej. Dochodząc do skrzyżowania, zwolnił jeszcze bardziej. Zza rogu zawsze wybiegali śpieszący się ludzie, wyjeżdżały powozy albo wychodziły damy, odwracające wzrok od kulejącego mężczyzny.

Tyłu ludzi, taki ruch. Londyn inaczej zapisał się w jego pamięci.

Czy miasto może się tak zmienić w ciągu sześciu lat?

Choć noga bolała jak diabli, wchodząc na Hanover Square, starał się jak najmniej utykać. Tu przynajmniej nic się nie zmieniło. Ten sam pomnik kanclerza Pitta, te same eleganckie budynki, ta sama dzielnica bogatych i dobrze urodzonych.

Zwykły widok w dzielnicy Mayfair w niedzielne popołudnie. A on składał zupełnie zwyczajną wizytę Benowi Paxtonowi.

Nie przypominał sobie, by kiedyś skrawki londyńskiego nieba pomiędzy budynkami wydawały mu się płaskie, jakby je ktoś namalował. No tak, ale wtedy nie widział rozjarzonego nieboskłonu nad górami Yangshuo. Nie miał go z czym porównać.

Nic dziwnego też, że źle znosił tutejsze zimno. Sporo stracił na wadze i lżej się teraz ubierał.

To nie miasto się zmieniło, tylko on.

Wyjechał sześć lat temu jako pełen entuzjazmu wysłannik Kompanii Wschodnioindyjskiej, a wrócił – pomimo dwukrotnych pogłosek o jego śmierci – jako słynny odkrywca, znany botanik i kaleka, nad którym powszechnie się użalano.

Wiatr o mało nie zerwał mu kapelusza z głowy, a od rączki szklanej kasety marzły mu palce przez rękawiczki. Zaniepokojony, czy jego cenne rośliny nie ucierpią od zimna, pośpiesznie skierował się do drzwi rezydencji Paxtona.

Uśmiechnął się cierpko na widok dostatniej rezydencji. Nie widział się z gospodarzem od dawna. Will wyjechał, zanim Paxton, przyjaciel jego ojca, ożenił się ku powszechnemu zdumieniu z bogatą hrabiną. Był równie sympatyczny jak bogaty, więc doskonale nadawał się na inwestora.

Ledwie pociągnął za dzwonek, drzwi otworzyły się szeroko. Will znieruchomiał, nie zdążywszy wyciągnąć karty wizytowej. Lokaj o uśmiechniętej twarzy i skośnych oczach tak przypominał pewnego robotnika portowego, którego spotkał w Xiamen, że o mało co nie przywitał go sakramentalnym *ni hao*.

Nie, Londyn się nie zmienił. Ale na wszystkie jego kształty i zarysy nakładały się teraz barwy Dalekiego Wschodu.

– Dzień dobry. Jestem umówiony – powiedział więc tylko i podał lokajowi wizytówkę, a potem poszedł za nim do pokoju dla gości. W cichym przedpokoju wyraźnie było słychać, jak szura chorą nogą, ale i tak zwolnił, by rozejrzeć się wokół.

Marmurowe posadzki. Obrazy z popękanyim ze starości werniksem. Jedwabne tapety.

Paxton doskonale się ożenił.

W alkwie stała chińska waza. Nie był ekspertem, ale na pewno miała setki lat. Dynastia Yuan lub Ming.

Z tyłu rozległy się czyjeś pośpieszne kroki. Odwrócił się jak fryga, w pełnej gotowości do odparcia napaści.

Przez hol przebiegł chłopiec, może cztero-, a może sześćioletni – Will nigdy nie umiał określić wieku dzieci – i zniknął za drzwiami.

Obraz napłynął tak błyskawicznie, że Will musiał kurczowo zacisnąć powieki i zmusić się do powrotu do rzeczywistości. Powietrze drżące od ruchu... czyjś głos dobiegający zza drzwi...

Chłopiec był rzeczywisty.

Will wziął głęboki oddech i próbował siłą woli opanować gwałtowne uderzenia serca.

Do diabła. Ojciec przecież ostrzegał go, że Paxton ma dzieci.

– Proszę nie przejmować się naszym paniczem. – Lokaj uśmiechnął się do niego spod ściany. – Wszyscy jesteśmy na jego łasce i niełasce. Żadna londyńska niania nie może z nim długo wytrzymać.

Will sztywno skinął głową. Nie potrafił dzielić rozbawienia lokaja. Wciąż walcząc, by opanować nerwy, podał mu płaszcz i kapelusz. Służący zniknął.

Zdziwiony Will popatrzył w ślad za nim. Zwykle zapowiadano jego wizytę. Przynajmniej tak było w pozostałych pięciu rezydencjach, w których spotykał się z inwestorami. Wszedł do pokoju i zatrzymał w pół kroku.

Czegoś takiego jeszcze w życiu nie widział – ani w Londynie, ani w Chinach, ani gdzie indziej.

Salon był wprawdzie uderzająco kobiecy, wszędzie stały satynowe sofy zarzucone poduchami z chwościkami na rogach, a na każdym stoliku tłoczyło się mnóstwo kruchych przedmiotów, ale nie o to chodziło. Zdumiało go zgromadzenie eleganckich mężczyzn, którzy odwrócili się, by na niego spojrzeć.

Ewidentnie nie był mile widzianym dodatkiem do tego zgromadzenia. Zignorowali go natychmiast i zajęli się swoimi sprawami. Jeden z nich oparł się łokciem o zastawioną figurkami półkę nad kominkiem, drugi wsparł się o pianino, a trzeci udawał, że przeglądał książkę. Jakiś młody romantyk wyglądał przez okno, delikatnie gładząc palcem płatki róży.

Ośmiu... nie, dziewięciu mężczyzn. Każdy w pozie zblazowanego kawalera. Przeważający widok wśród tych wszystkich koronek.

Co oni tu robią?

I gdzie, do diabła, jest Ben Paxton?

Postawił kasetkę na stole, sprawdzając przez zamglone szkło, czy rośliny nie ucierpiały po drodze i rozejrzał się za krzesłem.

Na jedynym wolnym leżała paskudna haftowana poduszka przedstawiająca kozę. Albo może konia, choć nieszczęsne stworzenie miało tylko trzy nogi. Tak czy owak, nazywało się „Beatrice”, jeśli wierzyć podpisowi pracowicie wyszytemu pod spodem. Praca jakiegoś dzieciaka. Will odsunął ją na bok i powoli zapadł się w zbyt miękkie siedzisko.

– Można wiedzieć co to takiego? – Mężczyzna w czerwonym surducie wskazał na kasetkę. – Jakaś szklarenka?

– Kasetka do przewozu roślin.

– Naprawdę?

Mężczyzna porzucił pozę przy kominku i podszedł, by obejrzeć kwiaty.

– Skąd je pan przywiózł?

– Z Pitigali.

– Z Piti... Skąd mianowicie?

– Z Cejlonu.

Zajrzał do środka.

– To kwiatki? Wyjmiemy je stamtąd?

– Nie, to nie kwiatki. I lepiej nie otwierać kasetki, z powodu ich zapachu.

Brwi mężczyzny zadrgały z rozbawienia.

– Co za pech. Trochę za mocny ten zapach?

Will popatrzył na niego, szukając odpowiedzi.

– Raczej obrzydliwy. Przypomina gnijące zwłoki.

A wcześniej wydawało mu się, że w salonie panuje cisza...

Rozejrzał się po zdumionych twarzach. Nawet chłopak z różą porzucił zadumę i spojrzał na niego spod oka. Czyżby jakimś cudem dotarł do nich odór jego roślin?

Westchnął cicho i przecesał dłonią włosy. Były za długie. Zaledwie kilka godzin temu mama powiedziała mu, żeby coś z tym zrobić. Teraz, gdy wrócił już do cywilizowanej społeczności, jak to ujęła, nie może włóczyć się po ulicach zarośnięty jak te jego ukochane jaki.

Szczerze mówiąc, wolałby znaleźć się wśród juczych zwierząt niż w tym towarzystwie. Wyglądził pomięty mankiet. Może przydałoby się też zajrzeć do krawca.

Na stole, tuż obok jego łokcia, stała tacka z cywilizowanymi kartami wizytowymi. Ta na wierzchu należała do jakiegoś wicehrabiego. Koło niej pysznił się bukiet róż w wazonie. Zresztą, wszędzie stały jakieś kwiaty. Ich zapach nie mógł wygrać z ciężkim aromatem wody kolońskiej... toników do włosów i mydła do golenia...

Aha, przyszli tu dla kobiety.

Will skoczył na równe nogi, krzywiąc się z bólu.

– Pomyliłem pokoje.

Mężczyzna w czerwonym surducie wybuchnął śmiechem.

– Niech pan tak nie mówi. Proszę zostać i dać je w prezencie pannie Baker. Jej mina będzie bezcenna.

– Pannie Baker? A kto to...

Jasne. Szwagierka Paxtona, Charlotte Baker. Siostra hrabiny.

Zacisnął zęby z zakłopotania.

Lokaj przez pomyłkę wziął go za konkurenta do ręki jakiejś damulki z towarzystwa.

To śmieszne.

Tacy jak on się nie żenią.

– Przepraszam – mruknął. Dziewczyna ma bez wątpienia olbrzymi posag, skoro przyciągnęła tylu zalotników.

Odwrócił się i omal nie potrącił kobiety stojącej tuż za nim. Serce zabiło mu z zaskoczenia, ale ostatecznie wiele rzeczy przyprawiało go o nerwowe bicie serca.

Cofnął się o krok. I zweryfikował swoją opinię.

Charlotte Baker nie potrzebowała posagu.

Gdyby nie rozjarzone jak cekiny oczy, można by powiedzieć, że to porcelanowa lalka, w którą ktoś tchnął życie. Bezbłędny owal twarzy okalały ciemne, lśniące loki. Zdobiał ją kształtny nosek i usteczka tak różowe i miękkie, że uśmiechały się, nawet gdy była spokojna. Kiedy tak stał i patrzył, na jej policzki wypłynął cudowny rumieniec idealnie pasujący barwą do tych wszystkich róż i dopełnił efektu.

Kolejna figurynka, równie dekoracyjna, jak kruche filizanki porozstawiane na stolikach.

Ale jej kształty, choć niewątpliwie dekoracyjne, były też, hm... użyteczne. Nie było mężczyzny, w którym nie obudziłyby prymitywnych potrzeb. A w nim, po tym co przeżył w Tybecie, prymitywne potrzeby bardzo łatwo dochodziły do głosu.

Najchętniej zaciągnąłby ją w jakiś zaciszny kąt i... i wziął ją sobie na własność.

Skrzywił się, zniesmaczony własnym prostactwem. Co za szalona myśl.

Kolejna szalona myśl.

– Przepraszam bardzo – mruknął, zabierając kasetkę i starając się wyminąć damę. – Skierowano mnie do niewłaściwego pokoju.

– Niewłaściwego? Ależ... proszę pana? – Jej dłonie pofrunęły do góry, ale zatrzymały się w pół gestu. Może chciała go zatrzymać, a może pomóc, ale zignorował ją.

Laleczka i – na litość boską – jej przyzwoitka, ruszyły jego śladem do holu.

– To pewnie pan Penny, lokaj Bena – powiedziała, doganiając go szybkim krokiem. – Jest dzisiaj odźwiernym bo nasz lokaj, pan Goodley, niestety pochorował się po nieświeżej baraninie, więc Penny pewnie pomyślał... no bo dzisiaj jest niedziela.

Will zatrzymał się na środku holu. Wszystkie drzwi były pozamykane.

A panna Baker mówiła dalej.

– Więc ponieważ jest niedziela, a pan przyszedł... – Przerwała na moment i wzruszyła ramionami,

przechylając głowę. – Ponieważ pan przyszedł nie do mnie, o ile dobrze zrozumiałam, to bardzo pana przepraszam.

Will spał się cały na te słowa. Pewnie zrobiło jej się go żal. Był kiepsko ubrany, nieostrzyżony i wyglądał o wiele gorzej niż ci wszyscy zalotnicy.

A może mu się tylko wydawało? Pewnie w duchu się z niego śmiała.

Spojrzał w jej oczy i oniemiał – jaśniały tak czystym błękitem jak najpiękniejsze fiołki. Nie, nie fiołki. Ostróżki.

Odwrócił wzrok i sapnął z irytacją. Do diabła, skąd te myśli o kwiatach?

Jest szanowanym botanikiem, płacą mu za katalogowanie i klasyfikowanie roślin, a nie za takie porównania.

Miała niebieskie oczy, i tyle. Po prostu.

Owszem, była całkiem ładna.

Zresztą to i tak nie miało znaczenia.

Rozejrzał się za tym odźwiernym czy też lokajem, ale oprócz nich w holu była tylko rudowłosa przyzwoitka, która gapiła się na niego z wyraźnym rozbawieniem. Mocniej ujął uchwyt kasetki.

– Panna Baker?

– Tak, nazywam się Charlotte Baker.

Trzy lekkie kroczyki w obszywanych klejnotami pantofelkach sprawiły, że znalazła się niewygodnie blisko.

– Chyba się nie znamy. Jestem tego pewna.

Podejrzliwie patrzył na jej uśmiechniętą twarz. Jego matce chyba by pękło serce, gdyby zobaczyła, jak stoi tuż obok pięknej, niezamężnej dziewczyny i myśli tylko o ucieczce.

– Will Repton, panienko.

Szeroko otworzyła oczy, co powiedziało mu, że zna jego nazwisko. Cholerne artykuły w gazetach.

– Przyszedłem zobaczyć się z Benem – dodał, żeby uprzedzić pytania. Ale to nie było potrzebne. Na dźwięk jego nazwiska wyraźnie oniemiała.

Odchrząknął.

– Dokąd powinienem...

– Pan jest Williamem Reptonem?

Spochmurniał jeszcze bardziej, zaniepokojony zdumieniem malującym się na jej twarzyczce.

– Ja... nooo... owszem.

– Nie może być. William Repton, ten odkrywca? Ten od Chin? Sławny William Repton?

Odsunął się i wskazał na najbliższe drzwi, przezornie nie spuszczać jej z oczu.

– Czy to jest jego pokój?

Ruszyła ku niemu, aż zaskoczony cofnął się, o mało co nie wywracając wazy z dynastii Yuan albo Ming. Dalej nie wiedział, z której, nie był ekspertem, i czego ona właściwie chciała od niego na litość boską?

Panna Baker złapała go pod rękę. Przeniósł zdziwiony wzrok z jej malutkiej dłoni w rękawiczkę, na

uśmiechnięte wargi i ogromne oczy o barwie ostróżek.

– Panno Baker...

– Bardzo proszę, niech pan odstawi tę kasetkę.

– Ale Ben...

– Ben nie będzie miał nic przeciwko temu. Doskonale wie, jak bardzo chciałam pana poznać.

Doprowadził mnie do szalu tym, że nie zaprosił pana wcześniej. Nie odbierze mi tej szansy – i pan też nie, prawda? Bardzo chcę pana bliżej poznać. Dobrze?

Zamrugła rzęsami. Do niego. Było to zarazem podniecające i niepokojące.

Ponieważ nie był w stanie wykrztusić ani słowa, uznała, że się zgadza, zapiszczała jak kotek i wprowadziła go z powrotem do tego koszmarnego salonu.

Chryste Panie, gdzie do diabła podział się ten cały Ben Paxton?

– Panowie! – ogłosiła. – Ależ mamy szczęście! Przedstawiam panom Williama Reptona. Na pewno słyszeliście o nim i o jego osiągnięciach. Przyszedł spotkać się z Benem, ale nie puściłam go tam.

Mężczyźni przyglądali się z ciekawością i powątpiewaniem, jak panna Baker prowadzi go ku niewielkiej sofie. Poleciała mu eleganckim gestem, by usiadł obok niej. Z trudem zgiął zeszywniałą nogę, zacisnął zęby i powoli opadł na siedzenie. Był o wiele za blisko niej. Gdyby odwrócił głowę, zetknęliby się nosami.

– Mam nadzieję, że smak naszej herbaty nie wyda się zbyt prostacki dla pana wyrafinowanego podniebienia, panie Repton.

Nalała mu filiżankę.

– Nasza gospodyni jest dumna z tej mieszanki. Namówiono ją, żeby wybrała jedną z odmian Asamu, która według mnie jest w prawdzie dość gorzka, ale za to świetnie smakuje z mlekiem. Jaką pan pija herbatę? Z cukrem? Z cytryną? A może ze szczyptą tytoniu?

Mówiąc to zachichotała, spoglądając na mężczyznę przy pianinie, ale zaraz znowu zwróciła się z uśmiechem do Willa.

– Oczywiście, stroję sobie żarty. Takie tam igraszki słowne z wicehrabią. Cukru?

Czekała, trzymając szczypczyki z cukrem nad jego filiżanką.

Zamrugał.

– Nie.

W jej policzkach pojawiły się dołeczki.

– Nie, dziękuję – poprawił się.

– Proszę mi wybaczyć, panno Bakier – wtrącił mężczyzna w czerwonym surducie – ale nie mam pojęcia, kim jest pan Repton.

Wicehrabia prychnął z irytacją.

– Daj spokój, Matteson! Chyba nie mówisz serio. Wszystkie gazety piszą o tym panu, aż się niedobrze robi.

– Fakt – wtrącił ktoś inny. – Naprawdę nie słyszałeś o Willu Chińczyku?

Mężczyzna wreszcie skojarzył, o kogo chodzi.

– A niech to! Pan jest Willem Chińczykiem?

Will odwrócił się do panny Baker, żeby wypuściła go na wolność, ale ona rozpromieniła się jeszcze bardziej.

– W rzeczywistości jest dwóch słynnych panów Reptonów – sprostowała. – John Repton nadzoruje ogród botaniczny w Chiswick. Natomiast jego syn – mój, a raczej nasz pan Repton – to najbardziej znany angielski botanik. Jego sprawozdania są niezwykle interesujące i trafiają do archiwów Towarzystwa Geograficznego. Panie Helmsley, pan jest członkiem tego towarzystwa. Czytał pan te raporty?

Pan Helmsley hałaśliwie przełknął herbatę, nie spodziewając się, że wywołają go do odpowiedzi.

– Eeee... niestety nie, panno Baker. – Pochylił się w nadziei, że pochwyci jej wzrok. – Ale zrobię to natychmiast i będziemy mogli poważnie porozmawiać na ten temat.

Pozostali zalotnicy również zadeklarowali się, że zapoznają się z raportami, ale ich śliczna gospodyni zupełnie nie zwracała na to uwagi. Will spoglądał na nią, upajając się jej zainteresowaniem. Żadna rozsądna kobieta nie patrzyła na niego w ten sposób. Może coś z nią było nie tak.

– Niechże nas pan zatem zaszczyli opowieściami o pańskich przygodach, panie Repton – odezwał się władczo wicehrabia. – Mój ojciec będzie śmiertelnie zazdrosny, gdy dowie się, że spotkałem Willa Chińczyka we własnej osobie.

Will skrzywił się, zasłaniając twarz filiżanką. Odstawił spodek na stół, aż brzęknęła, i w jak największym skrócie przedstawił ostatnich sześć lat swojego życia.

Charlotte była zbyt oszołomiona, by go uważnie słuchać. Jakim cudem to się udało?

Ale dzięki Bogu. Dzięki Bogu, był tutaj! Ten człowiek, dzięki któremu jej rodzina może odzyskać dobre imię. Mężczyzna, o którym marzyła. Mężczyzna, który był jej przeznaczony – chociaż być może nie zdawał sobie jeszcze z tego sprawy.

Wreszcie był tutaj, w tym domu... widziała go już chyba ze sto razy. Albo więcej. Nie w Londynie, nie w rzeczywistości... Był jej tak drogi, tak dobrze znany. Wcale nie z artykułów ani opowieści o niesamowitym panie Reptonie. Był jej dobrze znany, bo dokładnie tak wyobrażała sobie swego wymarzonego odkrywcę. Blond włosy o wielu odcieniach i ani śladu łysienia. W żadnym razie. Miał najgęstsze włosy ze wszystkich zebranych w salonie mężczyzn, choć może nieco zbyt długie. Jej serce zabiło czule, gdy dostrzegła kosmyk tych włosów na kołnierzyku koszuli.

Ramiona też miał idealne – trochę za szerokie i za bardzo muskularne, ale takie właśnie kochała. A ta twarz...

Nigdy wcześniej nie wyobrażała sobie jej rysów. Ale gdyby jej na tym zależało, wymyśliłaby właśnie taki kwadratowy podbródek, surowe brwi i przenikliwie niebieskie oczy – właśnie taką twarz przystojnego bohatera. Pełną odwagi, z odrobiną irytacji.

Spuściła wzrok. Na litość boską, nie może się tak na niego gapić. Dlaczego wcześniej pyłowała o tych wszystkich głupotach? Dlaczego w ogóle wspomniała o baraninie?

– Ciekaw jestem, czy pani udało się je przeczytać, panno Baker?

Głos lorda Spencera przywołał ją do rzeczywistości.

– Proszę wybaczyć. Co mówiłeś, milordzie?

Lord Spencer – a raczej Hugh, jak kazał się nazywać – rzucił niespokojne spojrzenie panu Reptonowi i posłał jej wymuszony uśmiech.

– Pytałem o sprawozdania, panno Baker. Towarzystwo Geograficzne skupia wyłącznie mężczyzn. Jakim sposobem taka osóbką jak pani uzyskała do nich dostęp?

– Przyniósł mi je Ben, który też do niego należy.

Charlotte posłała promienny uśmiech panu Reptonowi, pragnąc, by na nią spojrzął, ale on ponuro gapił się na swoje buty.

– W każdym razie większość z nich. Nie czytałam ostatniego odcinka.

– I nie powinna pani – odezwał się pan Repton.

– Ale ja muszę.

– Tam nie ma nic, co nadawałoby się dla dam.

– Nic?

Miała wrażenie, że powiedział to szczerze. Chyba nie zdawał sobie sprawy, co jego sprawozdania znaczą dla innych... dla niej...

– Jest pan zbyt skromny. Te sprawozdania są pełne dźwięków, kolorów i uczuć! Kiedy je czytam, zgadzam się z Arystotelesem, że dusza zawsze myśli obrazami.

– Panno Baker...

– To nie mój umysł przeżywa te wszystkie przygody...

– Panno Baker!

– ...ale moja dusza!

Podniósł głowę, a w jego oczach błysnęła pasja.

– To znaczy, że widzi pani to, co chce pani zobaczyć.

Wrażenie zaparło jej dech w piersi. To intensywne spojrzenie, rumieniec na policzkach, gorący oddech, który poczuła na swojej skórze. Co za wspaniałe mężczyzna!

To, co powiedział, było wprawdzie bez sensu, ale wyraził to z wielkim przekonaniem.

Może inna dama poczułaby się skarcona i onieśmielona takim gniewem. Ale ona zawsze była... no cóż, bardziej żywiołowa od innych kobiet. A jego pierś falowała tak pociągająco pod tym okropnym surdudem.

Nie była w stanie powstrzymać uśmiechu, więc jego gniew zaraz przygasł.

– Jestem ogromnie ciekawa, czemu nasze postrzeganie tak bardzo się różni – odpowiedziała cicho.

Otworzył szerzej oczy, więc oprzytomniała trochę.

– Czy ktoś ma ochotę na herbatę? – Sięgnęła po imbryk. – Choć herbata chyba nas nie odświeży.

Bardzo tu gorąco.

Wszyscy natychmiast zatroszczyli się o jej wygodę.

Z wyjątkiem pana Reptona, który chwycił się za głowę.

Ogarnęły ją wątpliwości. Czy powiedziała coś, co go zasmuciło? Czy wspomnienia z jego podróży były aż tak bolesne?

Może rzeczywiście. Zdaje się, że został ranny, choć utykał tylko odrobinę. Patrzyła przedtem, jak szedł – plecy miał zupełnie proste, a pośladki szczupłe, jak wyrzeźbione. Na tę myśl jej zaróżowione policzki rozgrzały się jeszcze bardziej. Nigdy wcześniej nie zwracała uwagi na kształt i umięśnienie męskich pośladków, ale widocznie nadszedł na to czas.

Całkiem nieźle to zapamiętała.

Zacisnęła chusteczkę w wilgotnych dłoniach. Salonik był niewielki, bo nie spodziewała się, że przyjdzie aż tak wielu panów. W dodatku większość nie należała do towarzystwa, w którym się zwykle obracała. Tylko lord Spencer należał do wyższej arystokracji. Reszta to były średniaki.

Tylko lord Spencer. Po trzech sezonach życia towarzyskiego w mieście...

Jakie to dziwne... jakie to dziwne, niezwykle i cudowne, że nagle wszyscy oni przestali ją obchodzić. Właśnie dokonała własnego odkrycia. Był nim William... a raczej Will. Świetne imię dla osoby, która sama urządza własny świat. Do diabła z socjetą, pochodzeniem i zasadami.

Oto mąż, o jakim zawsze marzyła. Nie jakiś tam zwyczajny arystokrata, ale człowiek, o którym mówi się w całym Londynie. Mężczyzna jej marzeń, i to w dosłownym sensie.

Spojrzała z ukosa na jego profil. Tak... dokładnie tak miał wyglądać.

Niechże oni wszyscy sobie stąd idą. Niechże on na nią popatrzy...

Pochyliła się w jego stronę.

– Panie Repton, ja...

– Jego Wysokość, książę Iddlesleigh – zaanonsował pan Penny od drzwi.

Mężczyźni odwrócili się w stronę księcia, a Charlotte zeszywniała z zaskoczenia. I wstydu.

Dzięki Bogu, że nie zastał jej samej. Na litość boską! Nieżonaty książę powinien mieć coś lepszego do roboty niż nieustanne szukanie kochanek. Na pewno zapytałby, czy nie zechciałaby zachwycić go swymi wdziękami, a ona odmówiłaby z niezmierną wdzięcznością, której taki człowiek jak on niewątpliwie by się spodziewał. Może i jest nisko urodzona, ale nie będzie niczyją kokotą.

Ani jego, ani lorda Welstona, ani pana Ware'a, Adkinsa ani Playfaira. Można by podejrzewać, że zakładają się między sobą, który ją w końcu zdobędzie.

– Najdroższa Charlotte. – Iddlesleigh musnął wargami jej palce. – Sądząc z tłumu panów, którzy przybyli, by oddać hołd twojej urodzie, bezwstydnie się spóźniłem. Czy mi wybaczysz?

Zabrała dłoń, pamiętając, by jej zbyt szybko nie wyrwać.

– Waszej Wysokości wszystko się wybacz.

Książę władczo uniósł brew, spoglądając na Willa, który spoglądał w okno z taką miną, jakby siedział na nudnej sztuce w teatrze. Książę miał ochotę zająć jego miejsce i liczył na to, że Will ustąpi je lepszemu od siebie. Willa to w ogóle nie interesowało.

Książę zatrzymał się na środku salonu ze znaczącą miną, aż wreszcie lord Spencer wstał ze swego miejsca. Jego Wysokość zwrócił się w stronę Willa.

– Nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

Charlotte dotknęła rękawa swego towarzysza. Twardy mięsień gwałtownie zadrgał pod jej dotykiem.

– To jest pan Repton. Jak Wasza Wysokość sobie zapewne przypomina, rozmawialiśmy o nim na

musicalu w zeszłym tygodniu.

Księżę spojrział na niego bystro.

– Rzeczywiście. Ten poszukiwacz roślin.

– Wasza Wysokość – mruknął uprzejmie Will w jego stronę i wstał. – Panno Baker. Dzięki za herbatę.

Przepraszam, muszę już iść.

Nie! Nie, nie, nie! Przecież nie może tak po prostu odejść!

– Ależ oczywiście.

Wstała, by podać mu rękę na pożegnanie, ale już był przy drzwiach.

Stanęło przed nią spore wyzwanie – pójść za mężczyzną wbrew wszelkim zasadom dobrego tonu.

Zaczęła od obdarzenia zebranych promiennym uśmiechem i zawołała za nim:

– Pokażę panu drogę do jego gabinetu!

Will zatrzymał się na dźwięk jej głosu, westchnął i przepuścił ją przed sobą. Zamrugła. A może on naprawdę jej nie lubi?

Wziął do ręki kasetkę z roślinami i wszedł do przedpokoju. Obracał głowę, przyglądając się po kolei wszystkim zamkniętym drzwiom. Potem odwrócił się do niej powoli ze znajomą już, chmurną miną. Przecież to niemożliwe, żeby to był zwyczajny wyraz jego twarzy. W ogóle nie pasował do pana Reptona, którego znała tak dobrze.

– Wskaże mi pani drogę, panno Baker?

– Przepraszam, że pana zatrzymałam...

– Panno Baker...

– Ale musi pan zrozumieć, że ja tak bardzo...

– Dziękuję. – Will powstrzymał ją stanowczym gestem ręki, a potem, wyraźnie zakłopotany tym niekulturalnym gestem, pośpiesznie opuścił ramię. – Bardzo pani dziękuję, ale...

Pochwycił wzrokiem ruch za jej plecami. W drzwiach salonu stała Patty. Nie była nadmiernie surową przyzwoitką; nawet nie podniosła wzroku znad książki. Will potrząsnął głową i mruknął coś tak cicho, że w ogóle tego nie dosłyszała. Zresztą, i tak nie mogłaby się skoncentrować. Miał taki wspaniały zarys szczęki. Ciekawe, czy dalej byłby taki gdyby przestał ją zaciskać?

– Panno Baker, z pewnością rozumie pani, że zależy mi na pilnym spotkaniu z pani szwagrem. Mamy naprawdę ważne sprawy do omówienia.

Naprawdę ważne sprawy. No proszę. Powinna się za to obrazić. Może zresztą to zrobi, ale później.

– Naturalnie – mruknęła.

Do diabła! Wielki Boże! Zachowaj mnie przed dziewczycami!

Zraniłem jej uczucia. Na pewno. Jestem głupszy od zadku jaka. Od parującej końskiej kupy. Od robala w...

– Jamie? – Panna Baker zwróciła się do lokaja. – Pan Repton został błędnie skierowany do salonu. Czy możesz go zaprowadzić do gabinetu Bena?

Wargi lokaja zadrgały od powstrzymanego śmiechu. Will spoglądał w przestrzeń ponad jego głową.

No i co z tego, że chłopak śmiał się w duchu z tego, że ktoś mógłby go wziąć za zalotnika? Na litość boską, do tej kobiety zalecali się książęta. Ależ ja się zmieniłem, pomyślał. Kiedyś byłem cierpliwszy. Nie wybuchalem gniewem. I byłem miłszy dla kobiet.

– Tak, panienko. – Rozbawiony lokaj ruszył w głąb holu. – Tędy, proszę pana.

Will skłonił się pannie Baker, po raz ostatni spoglądając na jej piękną twarz. Na tę piękną i – do diabła – smutną twarz, o wydętych z urazy usteczkach.

Skłonił się sztywno.

– Dziękuję... za herbatę, panno Baker.

Spojrzała na niego i znów oślepił go ten uroczy uśmiech.

– Bardzo proszę, panie Repton. Proszę do mnie wpaść w wolnej chwili. Kiedy tylko pan zechce.

Zdumiał się. Naprawdę go zaprosiła? Do siebie?

Zdumiony, zrobił kilka kroków, ale coś kazało mu się zatrzymać i znowu na nią spojrzeć.

Nie ruszyła się z miejsca. Wciąż się uśmiechała.

Wyraźnie coś z nią było nie tak.

A jednak...

– Dlaczego? – Usłyszał własny głos i skrzywił się, że to tak głupio zabrzmiało.

Przechyliła pytająco głową. Aha, więc taki ma nawyk. Uroczy, psiakrew.

– Dlaczego czytała pani moje sprawozdania? – dodał szorstko.

– Jest pan bohaterem.

– Jasne – mruknął. – Do widzenia, panienko.

– A poza tym dlatego, że...

Popatrzyła w stronę salonu pełnego jej adoratorów i po raz pierwszy na jej twarzy pojawiła się niepewność.

– Bo miałam wrażenie, że pisze pan do mnie. I tylko do mnie, więc jeżeli nie przeczytam każdego z tych sprawozdań od razu, jak tylko się pojawiały, to będzie pan zupełnie sam. Nawet nie tyle sam, ile... naprawdę samotny.

– Nie byłem samotny – warknął.

Oczywiście, że byłeś, szepnął głos w jego głowie. Na samym końcu byłeś zupełnie sam.

– Wiem, że to głupie. – Zacerwieniła się po same uszy, ale dalej się uśmiechała. – Wszyscy mi powtarzają, że za dużo sobie wyobrażam. Wiem, że ci, którzy naprawdę coś przeżywają, nie muszą fantazjować. Chciałabym też stać się taką osobą.

Patrzyła na niego z nadzieją, ale on kompletnie nie miał pojęcia, jak zareagować. Skłonił się pośpiesznie i zostawił ją samą w holu.

Dzięki Bogu, w gabinecie nikogo nie było. Postawił rośliny na stole i rozmasował sobie szyję, żeby zmniejszyć napięcie. Miał dwadzieścia osiem lat i jeszcze niedawno bez lęku spoglądał w głąb dwustupięćdziesięciometrowej przepaści... za to minuta w towarzystwie tej radosnej, rozgadanej, kłopotliwej paniarki niemal doprowadziła go do obłędu.

Do tyłu rzeczy musiał się przyzwyczajać na nowo. Do tłumów. Do wygod. Do kobiet. Przez wiele lat

on i jego pomocnicy żywili się byle czym, spali w ubogich chatkach, stali się twardzi jak skórzane kaftany, które chroniły ich przed wiatrem i śniegiem. I tylko on jeden przeżył.

Wziął głęboki oddech. W gabinecie panował chłód i półmrok. Na stole piętrzyły się książki o ogrodnictwie, a obok stały terraria z egzotycznymi storczykami. Pewnie Ben Paxton sam je zmontował.

To świetnie. Pozostał wierny swej pasji pomimo małżeństwa z hrabiną.

Na korytarzu rozległy się kroki i po chwili w drzwiach pojawiła się potężna postać Bena Paxtona.

– Will! Cholernie się cieszę, że cię widzę. Witaj w kraju.

– Długo mnie tu nie było. – Will potrząsnął jego dłonią i uderzył go uśmiechem na twarzy przyjaciela. Już sam fakt, że botanik ożenił się z hrabiną, był wystarczająco dziwny, ale ta zmiana była naprawdę zdumiewająca. Ben Paxton, który pracował razem z ojcem Willa, odzywał się rzadko, a uśmiechał jeszcze rzadziej. Małżeństwo wyraźnie dało mu szczęście.

Czy to znaczy, że nie będzie chciał nic zainwestować? Ambitny mężczyzna pewnie pomógłby w tym ryzykownym powrocie. Mężczyzna oddany rodzinie raczej nie.

Ben zaprosił go gestem, by usiadł.

– Przepraszam, że kazałem czekać słynnemu „Willowi Chińczykowi”. – Zaśmiał się na widok kwaśnego grymasu Willa. – Przykro mi, ale czytam opowieści z „Wiadomości Ilustrowanych” mojemu synkowi. Jesteś jego idolem.

– W takim razie lepiej, żeby mnie nie spotkał. Gratuluję założenia rodziny.

W oczach Bena zabłysła duma.

– Spóźniłem się do ciebie właśnie z powodu synka.

Will z trudem powstrzymał odruch, który kazał mu się rozejrzeć po pokoju.

– A co, nie znalazł drogi do dzieciennego pokoju?

– Do pokoju dzieciennego? Skądże znowu, był potrzebny w salonie cioci Charlotte. Przecież dziś niedziela.

– Niedziela?

– Charlotte przyjmuje znajomych codziennie, ale w niedzielę przychodzą sami kawalerowie. – Ściszył głos z udawanym, żartobliwym niesmakiem. – Wszyscy starają się o jej rękę. Poprosiła mojego synka, żeby pomógł jej w wyborze męża. To jedna z prób. Powiedz mi lepiej...

– Próby? Nie rozumiem.

– No wiesz, próby, które przechodzą kandydaci na męża. Czy lubi dzieci? Czy szanuje jego matkę? Czy ma za długie spodnie? A może za krótkie?

Will natychmiast spojrzął na swoje spodnie, a potem skrzywił się z powodu własnej głupoty.

– Czego to ma niby dowodzić?

– Ewidentnie niewłaściwa długość spodni to oznaka niedostatków charakteru. Zabawne, ale od czasu, gdy mi o tym powiedziała, nie raz się to sprawdziło. Charlotte co tydzień obmyśla nowe próby.

Ben zastanawiał się przez chwilę, a potem dodał:

– Co tydzień są nowe próby i nowi zalotnicy. Ciekawe, czy oni też ją testują.

Will nachmurzył się, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Ponieważ nie jest arystokratką z urodzenia – wyjaśnił Ben. – A do tego jest wyjątkowo piękna, jak moja żona, Lucy. Czy ojciec nie wspominał ci o rodzinie Bakerów?

– Myślałem, że należą do szlachty.

– Ich ojciec był dyrektorem szkoły. Moja żona wyszła za hrabiego w młodym wieku, ale zmarł zanim... zanim zdążył nauczyć ją manier. Natomiast Charlotte była w odpowiednim wieku. Wychowano ją, by była godna księcia, ale nie jestem pewny, czy arystokracja pogodzi się z jej niskim urodzeniem.

– To jakieś bzdury.

– To prawda... ale arystokracja rządzi się takimi zasadami. – Ben uśmiechnął się niewesoło.

Will poprawił się na krześle. Trzeba zmienić temat rozmowy, bo inaczej przez całą wizytę będą bredzić o arystokracji. A on zacznie się zastanawiać, ile prób panny Baker udałoby mu się zaliczyć.

– Słyszałeś, że chcę wracać? – zapytał Will.

Uśmiech zniknął z twarzy Bena.

– Jak to: wracać?

– Organizuję następną ekspedycję do Chin.

Ben zareagował identycznie jak wszyscy. Popatrzył z niedowierzaniem, a potem zaczął zadawać ostrożne pytania.

– Twoi rodzice woleliby, żebyś tam nie wracał, prawda?

Will skrzywił się niechętnie. Oddałby wszystko, żeby nie narazić ich na takie przeżycia, ale nie miał wyboru. Rzucił więc tylko:

– Znasz mojego ojca. W życiu nie oddalił się od domu na odległość przekraczającą dwadzieścia mil. Nie ma pojęcia, jaki świat jest ogromny. W Azji są odmiany roślin, których nigdy nie widzieliśmy, o których nawet nie czytaliśmy. Dziesiątki, setki odmian.

Will podszedł do kasetki.

– Znalazłem te egzemplarze w pobliżu plantacji w Birmie. Są naprawdę niezwykle. Botanicy w ogrodach Kew w dalszym ciągu nie wiedzą, jak je sklasyfikować.

Ben powstrzymał go ruchem ręki.

– To jest niesamowite, Will. Ale spędziłeś już ponad dziesięć lat na wyprawie. Dlaczego nie zadowolisz się rolą doradcy dla innych odkrywców?

– Znam język, ludzi, wiem, w jakie rejony nie należy się zapuszczać.

– Prawie całe Chiny i Tybet to jeden wielki rejon, w który nie należy się zapuszczać. O mało co nie umarłeś. Wszyscy twoi towarzysze zginęli.

– Ten atak był nietypowy. Masakra...

Will przerwał, widząc, że Ben sztywnieje. Zapomniał. Niektórzy nie mogli słuchać o takich rzeczach. Jego rodzina, jego przyjaciele nie byli w stanie znieść jego opowieści, Musieli się na nie przygotować, tak jak Ben teraz.

Dziwne, że reszta Anglii chłonęła wszystkie krwawe szczegóły.

Will poprawił się na krześle.

– Przeszliśmy razem setki mil, rok za rokiem, notując wszystkie odkrycia, aż pod sam koniec...

Wszyscy zginęli. To jest niedokończona sprawa.

Ben pokiwał głową z namysłem.

– I myślisz, że uda ci się wrócić? Że szczęście będzie ci sprzyjało?

Szczęście... raczej nie. Ale jeśli nie namówi Bena do udziału w tym przedsięwzięciu, jakie będzie miał szanse na zdobycie funduszy? Już z dziesięć osób odrzuciło jego projekt.

– Szczęście nie ma tu nic do rzeczy.

Will przybrał maskę obojętności, zanim wygłosił kolejne kłamstwo.

– Nie planuję powrotu do Tybetu.

– A twoje rany?

Nawet nie mrugnął.

– Wszystko się zabił. Dochodzę do siebie.

Wzrok Bena powędrował z powrotem ku kasetce z tajemniczymi roślinami. Will pochylił się ku niemu.

– Czy mogę liczyć, że wyłożysz setkę?

– To nie wystarczy.

– Nie jesteś jedyną osobą, którą o to proszę.

Powinien poprosić go o tysiącokrotnie większą kwotę, ale Ben był przecież przyjacielem ojca. Poza tym ryzyko było zbyt duże, by liczyć na zwrot z inwestycji.

Chryste Panie, naprawdę potrzebował uśmiechu szczęścia. Niedługo zmienią się wiatry. Powinien wyruszyć w rejs pod koniec sierpnia. Z sakiewką pełną pieniędzy.

– Czuję się rozdarty wewnątrz. Chcę być lojalny wobec twego ojca. Przecież nie mogę sfinansować wyjazdu jego syna z Anglii, prawda?

Możesz, bo oni tam czekają.

Will wziął głęboki, spokojny oddech, starając się opanować natłok mrocznych wspomnień.

Jak zwykle, bez powodzenia.

– Muszę tam wrócić, Ben. Ta ziemia kradnie człowiekowi kawałek duszy.

Tamta ziemia była spragniona.

– Nic nie może się równać odkrywaniu nowego świata.

Gdzie są teraz dzieci?

– Świata, który jest ukryty i czeka, byś go odnalazł. Jesteś sam na łonie natury... tam jest tyle przestrzeni, taki ogrom...

Pomarli. Wszyscy pomarli.

Will zaplótł dłonie, by ukryć ich drżenie.

– Ten świat jest tak ogromny, że nawet Bóg cię w nim nie odnajdzie.

Ben milczał. Will spuścił wzrok, by przyjaciel nie dostrzegł ciemności w jego oczach.

– Daj mi kilka dni, Will. Przepraszam, ale nie mogę podjąć decyzji od razu.

Zawsze się tak kończyło. Ktoś mniej taktowny powiedziałby mu to wprost. Nie mogę podjąć decyzji, bo o mało co nie zmarłem z gorączki. Nie mogę podjąć decyzji, bo jesteś prawie kaleką.

Nie mogę podjąć decyzji, bo z niewyjaśnionych powodów, cudem, w podejrzany sposób, ocalałeś – ty

jeden jedyny.

Dzień, gdy zrozumiał, że nie może już liczyć na patronat Kompanii Wschodnioindyjskiej, pomimo wszystkiego, co przeżył, był naprawdę pełen gorzkości. Nie chcieli w niego więcej inwestować z powodu traumy, jaką przeżył, i powiedzieli mu to wprost.

Trudno, sam zbierze dwa tysiące na sfinansowanie ekspedycji.

Wtedy nikt nie będzie miał wpływu na prawdziwy cel tej wyprawy.

Zmusił się do beztróskiego uśmiechu.

– Oczywiście. Chętnie opowiem o szczegółach tobie i twojej żonie, kiedy tylko będziecie chcieli. Bardzo chętnie się z nią spotkam. – Przerwał i dodał z wystudiowaną obojętnością: – Dziś poznałem w przelocie twoją szwagierkę.

– W przelocie? – Wzrok Bena powędrował ku botanicznym notatkom. – Chcesz powiedzieć, że Charlotte nie przykuła cię kajdankami do siebie i nie zasypała cię setką pytań?

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale zabrakło mu słów – widział tylko sylwetkę panny Baker w kajdanach. Na litość boską...

– Cieszę się, że się spotkaliście. – Ben kartkował swoje szkice, nieświadomy stanu jego ducha. – Charlotte codziennie mnie błaga, żebym ją z tobą poznał. Zmusiła mnie, żebym jej przyniósł ostatnią część twojego sprawozdania dla Towarzystwa Geograficznego.

Ben popatrzył na niego.

– Nie ma pojęcia o tych okrutnych wydarzeniach. Sam rozumiesz, że wolałbym, żeby się o tym nie dowiedziała. Na szczęście gazety pominęły te opowieści.

– Tylko dlatego, że ich nie dostały. Ale prasa bulwarowa dorwała się do sprawozdania. Wydrukowali okropne ilustracje.

Ben spochmurniał, ale pokręcił głową.

– Charlotte nie czyta takiej prasy, nie pozwalam jej na to. Jej brat też nie. Prowadzi bardzo spokojne życie. Nie może się dowiedzieć o takich wydarzeniach. To by nią wstrząsnęło.

Wydarzenia... Na szczęście, zamiast zwykłych obrazów, pojawiło się wspomnienie oczu o barwie ostróżek.

– Wspominam o tym tylko dlatego, że uparła się, by przeczytać ostatni tom. Jak na razie, udało mi się ją powstrzymać, ale ostrzegam cię, używa swego uroku bezpardonowo i zawsze dostaje to, czego chce. Chyba zdobędzie twoją sympatię.

Sympatia raczej nie wchodziła w grę. Pożądanie też nie, choć może było gdzieś w tle.

W tej kobiecie było coś innego. Takie... ciepło. Jakby podniosła ciężką zasłonę i wpuściła promyk słońca do zimnego, mrocznego pokoju.

Otrząsnął się z tych myśli. Przecież nic go nie będzie łączyło z powszechnie lubianą panną Baker.

Ale do diabła, ciekawe, co ona robi teraz w tym swoim salonie. Ciekawe, czy o nim choć raz pomyślała.

Nieważne. Obiecał przyjaciółom, że tam powróci. Może ktoś jednak czeka tam na ratunek.

Na całym świecie nie ma kobiety, która zawróci go z tej drogi.

2

Nie wyszłabyś chyba za kogoś, kto lubi polować na lisy, prawda, Patty?

Patty przyglądała się broszce na środku dekoltu bluzki Charlotte, wydymając usta z namysłem; nie wiadomo tylko, czy na temat broszki, czy polowań.

– Chybabym umarła, gdybym zobaczyła mojego Emmeta na koniu.

Patty spojrzała na zegar stojący na kominku.

– Boże, twoi konkurenci zaraz zaczną się schodzić.

Poprawiła bluzkę Charlotte.

– Te plecionki to dzieło szatana. Prasowałam je z dziesięć minut, i nic.

Salon zawsze był gotowy na przyjęcie gości, ale w niedzielę pokojówki szczególnie dbały o jego wygląd.

– Ale czy teoretycznie zaakceptowałabyś kogoś takiego? – nie ustępowała Charlotte.

Patty zmarszczyła piegowaty nos i odsunęła się o krok, oceniając swoje dzieło.

– Obawiam się, że raczej nie.

– Jestem dokładnie tego samego zdania. Jak mężczyźni mogą ścigać biedne zwierzę, aż padnie z wyczerpania, i uważać to za sport? To przechodzi wszelkie pojęcie.

– Który z nich poluje, najdroższa?

– Och, kilku. Jednak najbardziej pasjonuje się tym pan Hatfield.

– Ten z zębami?

Charlotte doskonale wiedziała, o kogo chodzi.

– Nie, to jest pan Matteson.

Pokojówka zamilkła na moment.

– Chyba już odpadł ze stawki, prawda? Jego zęby nie stykają się ze sobą. Wyglądają jak nagrobki.

Charlotte zmarszczyła brwi. Wiedziała, że już nie pozbędzie się tego skojarzenia.

– On jest naprawdę bardzo miły, ale nie. Nigdy nie okazywałam mu specjalnych względów.

– Więc jak wygląda sytuacja? Zawęziłaś trochę pole wyboru?

Charlotte zagryzła wargi, ukrywając frywolny uśmiezek. Po raz setny w tym tygodniu ujrzała w myślach Willa i po raz setny westchnęła.

– Chyba na dobre.

Patty pochyliła się, otwierając szeroko oczy.

– Co się stało? Podjęłaś decyzję?

Charlotte zaplotła palce. Ostatnio ciągle coś skubały, nie mogły się uspokoić.

– No... to nie jest takie stuprocentowo pewne. Jeszcze nie powiedział wyraźnie, że chce konkurować o moją rękę.

– To nie brzmi dobrze – mruknęła Patty z urazą.

Charlotte, nie mogąc usiedzieć spokojnie, chwyciła w ramiona poduszkę z wizerunkiem swego kucyka z dzieciństwa. Sama ją wyhaftowała... nie wiedzieć czemu, pokojówki zawsze układały ją obrazkiem do dołu.

– Może odwiedzi mnie w tym tygodniu, Patty.

– Na pewno. Nie ma co się przejmować.

Zajrzała w twarz Patty, żeby się upewnić.

– Wie przecież, że w niedzielę przyjmuję gości.

– No właśnie!

Charlotte rozpromieniła się.

– Może przyjdzie dzisiaj... ale jeśli nie, Ben mógłby... – Przerwała, patrząc ze zdziwieniem na ścianę.

– Zobacz, zniknęła moja robótka.

Patty powiodła spojrzeniem za jej wzrokiem.

– Naprawdę?

– Jeszcze wczoraj tu była.

Pokojówka nawet nie drgnęła.

– Och, przypominam już sobie. Jedna z dziewcząt powiedziała, że oprawka pękła.

– Jeszcze jedna? A te paski na grzbiecie kociaka tak mi się świetnie udały...

Uśmiech Patty nieco przygasł.

– Więc to miał być kociak? – spytała z pozorną obojętnością.

– To już trzeci obrazek, który tu powiesiłam, i coś się z nim...

– Opowiedz mi coś więcej o tym panu! – Patty ujęła jej dłonie i ścisnęła je w swoich. – Powiedziałaś, że Ben mógłby...

Charlotte podjęła temat.

– Tak, Ben mógłby go zaprosić, ale jest kompletnie niewrażliwy na moje cierpienie.

Wrzuciła sobie poduszkę za plecy, ale delikatnie, bo Beatrice była jej ulubionym domowym zwierzęciem.

– Dama nie powinna dopytywać się o kawalera, ale szczerze mówiąc, nie mogę już wytrzymać. Chyba poproszę Bena, żeby zaprosił go na kolację.

Patty uniosła brew.

– Nigdy przedtem się tak nie przejmowałam.

– Wiem! Widzisz, do czego doprowadził mnie ten cały Wally? Co za nieczuły brat.

– Dobrze, już dobrze. – Patty usiadła obok niej. – Kim jest ten młody człowiek, kochanie?

Charlotte zawahała się. Nikomu o tym jeszcze nie mówiła. A małżeństwo z miłości – choć brzmiało wspaniale – sprzeciwiało się wszystkim zasadom dobrego wychowania, jakich ją nauczono. Poza tym te

nieliczne z jej znajomych, które się zakochały i wyszły za mąż, musiały porzucić wygody i fortunę i pogodzić się z dużo niższym poziomem życia.

Tylko że Will był bohaterem. A ona miała własny majątek. A Patty była jej bliska jak rodzona siostra.

– Obiecujesz, że nikomu nie powiesz?

– Postaram się, żeby to się nie przedostało do gazet.

Charlotte rzuciła podejrzliwe spojrzenie w głąb przedpokoju i ujęła dłoń Patty.

– Och, Patty, kiedy go poznasz, wybaczysz mi te wszystkie machinacje. Jest ideałem.

– Chyba pierwszym od czasów Jezusa.

– Ale to nie arystokrata – ostrzegła. – Nie ma żadnego tytułu.

– Nie ma tytułu? Ale to nie żołnierz, prawda? Ani nie duchowny?

Patty nagle zasłoniła twarz dłońmi.

– Jezu słodki, tylko mi nie mów, że to aktor.

– Skądże znowu! Daj spokój, Patty! – Charlotte wzięła ją za ręce i pociągnęła je w dół.

– Aktor? Jeszcze nie zwariowałam. Nie. To bardzo odważny, niezwykły człowiek. Wszyscy go podziwiają.

Na twarzy Patty wciąż malował się niepokój.

– Przestań być taka skryta. Kto to w końcu jest?

Charlotte zrobiła przerwę dla efektu, a duma z własnego geniuszu rozpierała jej pierś.

– To William Repton.

– Ten odkrywca? Ten dziwak, który był tu w zeszłym tygodniu?

Charlotte zamrugła oczyma, słysząc ten opis.

– No cóż... ja nie sądzę, że zawsze się tak zachowuje. Pewnie był pod wrażeniem towarzystwa, w jakim się znalazł.

Patty chyba to nie przekonało, więc radość Charlotte trochę przygasła.

– Czy on ci się nie podoba, Patty?

– Och, kochanie, przyznaję, że robi wrażenie i jest przystojny, ale w niczym nie przypomina panów, którzy ci zwykle towarzyszą.

– Dokładnie! Są szanse, że nigdy w życiu nie miał w ręku widelca do ostryg. Rozumiesz, o co mi chodzi? Nie muszę szukać sobie arystokraty, który całe życie będzie mi wypominał moje pochodzenie, jak tylko się pokłócimy. Oni tacy właśnie są, jestem pewna.

Uniosła podbródek w odpowiedzi na współczujące spojrzenie Patty.

– Nie wstydzę się swojej rodziny. Zniosłabym taki związek ze względu na moich bliskich, ale teraz już nie muszę tego robić. Koniec.

– Dlaczego?

– Bo on się pojawił.

Zamrugła oczyma, do których napłynęły łzy szczęścia.

– Naprawdę się pojawił i jest idealny. Bohater, ale to nie wszystko. Pociąga mnie. Mogę się teraz ożenić z miłości i jednocześnie przynieść chlubę rodzinie.

– Charlotte...

– Naturalnie, są też inni bohaterowie. Miałam nadzieję, że spodoba mi się ten młody lekarz, który zajmował się anestezją... ale on prawie wcale nie mrugał oczyma, Patty. To było nie do wytrzymania.

Zniżyła głos i dodała stosownie współczującym i dyskretnym tonem:

– Czasem się zastanawiałam, czy sam nie korzysta zbyt często z tego chloroformu.

– Ale *mariage d'amour* z ulubieńcem Londynu i śmiałym odkrywcą zapewni nam życzliwość socjety. Wszyscy chcieliby go poznać, więc wszędzie będzie mile widziany, a razem z nim Lucy i Ben. Nikt nie odważy się wypominać im tego małżeństwa. A dzieci... – Przerwała, by się trochę uspokoić. Machinalnie ujęła rudy lok Patty, który wysunął się spod czepka i wsunęła go na miejsce. – Najbardziej wybredne domy zaczną nas przyjmować. Nawet Wally'ego.

Widząc pełną powątpiewania minę Patty, zreflektowała się nieco.

– No dobrze. Może z czasem.

Patty westchnęła.

– Dziewczyno, po co ty sobie tym wszystkim zawracasz głowę?

– Zawsze wiedziałam, że wyjdę za mąż, żeby mieć wpływy w towarzystwie. Ale miałam też nadzieję na związek z miłości.

– Nikt nie oczekuje, że weźmiesz ślub bez miłości.

– Wiem – odparła pokornie.

– A co będzie z lady Wynston? Zobacz, ile zrobiła dla ciebie ta stara smoczyca przez minione trzy sezony.

– Jestem jej nieskończenie wdzięczna za patronat. Ale nawet ona nie potrafiła przekonać socjety, by zaakceptowała Lucy, Bena i Wally'ego. A ja nie będę się udzielać w towarzystwie, jeśli moja rodzina nie będzie miała tam wstępu.

– Ach, Charlotte. – Patty ujęła twarz Charlotte w dłonie i spojrzała w jej oczy z niewesołą miną.

– Jesteś pewna, że pan Repton zapewni wam tam wstęp?

Zagryzła wargi, starając się ukryć szeroki uśmiech.

– Lepiej, niż ktokolwiek inny. Jestem tego pewna, choć nie wiem dlaczego... Wiesz, z początku wydawało mi się, że go sobie wymarzyłam, Patty, ale to nieprawda. Ja go po prostu rozpoznałam. Zupełnie, jakbyśmy znali się już wcześniej i pokochali się od pierwszego wejrzenia.

Roześmiała się i objęła służącą.

– Na pewno wszystko pójdzie świetnie.

Uśmiechnęła się do niej.

– Tylko że najpierw musi znowu pojawić się w tym domu, żeby on również mógł mnie rozpoznać.

Patty w końcu się uśmiechnęła.

– W takim razie rzeczywiście musi.

– Myślisz, że to się uda? Wiem, że z pozoru bardzo różnimy się od siebie, ale kocham go najbardziej ze wszystkich.

– Niech Bóg ma w opiece mężczyznę, który odważy się nie spełnić twoich życzeń.

Charlotte poderwała się z miejsca.

– Pójdę poszukać Bena.

– Później, Charlotte.

– Ale...

– Charlotte. – Patty surowo, zdecydowanie wskazała jej fotel.

Charlotte z powrotem opadła na siedzenie.

– Nie mam ochoty przyjmować dzisiaj gości, naprawdę.

– Wiem, kochanie.

Usiadła i wygładziła krynolinę.

– Nie chcę, żeby ktoś mnie oskarżył, że igram z jego uczuciami. Chociaż przez cały tydzień odrzucałam względy różnych panów. Na dobroczynnym koncercie w szkole Ruislipów sama wzięłam z tacy lemoniadę.

– Więc to dlatego wszyscy londyńscy dżentelmeni mają chandrę?

Żartobliwie trzepnęła Patty po ręku.

– Mój chłód nikogo nie zasmuci. Księżę nie miał poważnych zamiarów, a pozostali interesują się mną od niedawna.

– A hrabia Spencer?

Hugh...? Nie wątpiła, że ma wyłącznie szlachetne zamiary, ale kto wie?

Pokręciła głową.

– Żaden spadkobierca hrabiowskiego tytułu nie będzie długo w żałobie po stracie damy.

W drzwiach stanął Goodley.

– Lord Spencer – zaintonował. – I pan Matteson.

Patty powędrowała na krzesło w rogu pokoju, a Charlotte uśmiechnęła się do gości, pamiętając, by nie był to zbyt serdeczny uśmiech.

Lord Spencer skłonił się głęboko i podał jej ogromny bukiet. Zawsze dawał jej takie cudowne prezenty, zawsze były takie eleganckie i właściwe. Byłby idealnym mężem, może nawet lepszym niż większość. Z powodzeniem przeszedł większość z jej prób.

Ale teraz już koniec z próbami. Will Repton i tak przejdzie je wszystkie, czego by nie wymyśliła. Był odpowiedzią na wszystkie kłopoty i pytania.

Koniecznien trzeba znaleźć Bena i namówić go, by natychmiast zaprosił Willa na kolację. Naturalnie, jak tylko goście sobie pójdą. Jeszcze tylko kwadrans.

Na pewno nie zostaną długo.

– Pan Paxton prosi, żeby pan zaczekał w gabinecie – powiedział lokaj.

Will z aprobatą skinął głową. Wreszcie porządny odźwierny. Bardzo dobrze. Will doskonale pamiętał, że dziś przecież Charlotte Baker przyjmuje swoich zalotników. Nie miał ochoty na powtórkę tej absurdalnej sytuacji z minionego tygodnia.

Drzwi do uroczego saloniku były otwarte, ale z jego miejsca nie dało się zajrzeć do wnętrza.

Z nieobecną miną poprawił guziki nowego surduta.

I dobrze. Bardzo dobrze. Lepiej, żeby go nie spostrzegła.

Odźwierny odchrząknął.

– Proszę pana?

Will zmusił się, by na niego spojrzeć.

– Czy pan czegoś potrzebuje? – zapytał uprzejmie sługa.

– Nie, dziękuję.

Udo zaprotestowało bólem, gdy ukrywając utykanie, ruszył w stronę gabinetu. Ostatni rzut oka na salonik – na wszelki wypadek – i znalazł się w gabinecie.

Bardzo dobrze.

Świetnie.

Lepiej, żeby nie wiedziała, że tu jest. Mogłaby znowu przyprzeć go do muru, napić herbatą, zauroczyć tym ślicznym uśmiechem. A on przecież przyszedł tylko po to, żeby Ben zgodził się z nim współpracować w Anglii i wyłożył sto funtów na wyprawę.

Miał więc dwa ważne powody, i tyle.

– Dosyć tego – mruknął pod nosem. Ponieważ nikt nie patrzył, pokuśtykał do stołu, żeby odłożyć dokumenty, które przyniósł ze sobą.

– Mnie też boli noga.

Will podskoczył na dźwięk dziecięcego głosiku. W ogromnym fotelu uszaku, o wiele za dużym na osobkę, która go zajmowała, siedział chłopiec, który w zeszłym tygodniu biegał po korytarzu. Komicznie to wyglądało. Puls zadrgał na szyi Willa, ale tym razem nie poczuł tej przerażającej pustki w żołądku.

Może dlatego, że dziecko wyglądało tak uroczo. Poza tym miało szare oczy, takie same jak ojciec.

– Pewnie jesteś jednym z Paxtonów – powiedział.

– Mam na imię Jacob.

Will zamilkł. Jak się rozmawia z chłopcem ubranym w miniaturowy, ale kompletny mundur admirałski?

Ruszył w stronę najwygodniejszego fotela, ustawionego możliwie jak najdalej od dzieciaka. Mijały minuty, ale mały nie ruszał się z miejsca. Will odchrząknął.

– Jestem Will.

Jego słowa wywarły niepożądany skutek. Chłopiec zsunął się z fotela i wspiął się na krzesło tuż obok Willa.

– Jesteś Willem Chińczykiem? – zapytał.

– Bardzo możliwe. Tak. To ja.

– Tata mówił, że popłynąłeś statkiem do Chin. Widziałeś rekina? Albo ośmiornicę? – Oczy chłopca były okrągłe jak spodki. – Albo pirata? Walczyłeś z nim i zranił cię w nogę?

Will spojrział na niego. Mały powiedział to z całą powagą.

– Pirat?

Chłopczyk skinął głową.

– Nie. – Will skrzywił się, bo wiedział, że go rozczaruje. – Nie walczyłem z piratami.

– A widziałeś jakiegoś?

– Też nie.

– Ani jednego?

– Nie.

Chłopiec opadł na krzesło, a na jego twarzyczce odmalował się wyraz bezbrzeżnego smutku.

Myśli Willa pomknęły do Tybetu. Do dzieci. Niemowlę miało kilka tygodni, a chłopiec... Emile miał sześć lat.

– Ile może mieć taki chłopiec jak ty? – spytał Will.

Chłopiec wyraźnie nie rozumiał, o co chodzi.

– Ile masz lat?

– Prawie pięć.

– Czyli cztery.

Mały skinął głową.

– Prawie pięć. – Podciągnął nogawkę spodenek, żeby pokazać bandaż na kolanie.

– Też skaleczyłem się w nogę.

Gdzie, do diabła, podziewał się Ben Paxton?

– Aha. Widzę. – Will spojrzał w oczy dziecka, które nawet na chwilę nie odwracały się od jego twarzy.

– My, mężczyźni, musimy dzielnie znosić ból.

Chłopiec przekręcił się na krześle, potem zsunął w dół, aż dotknął nóżkami podłogi i pobiegł ku drzwiom.

– Powiem cioci Charlotte, żeby pocałowała cię w nogę, to ci się poprawi. Mi to pomogło.

– Co takiego? Wracaj! Wracaj tu zaraz... – Jak ten mały miał na imię? – ...Jacob!

Za późno.

Will w parę sekund znalazł się przy drzwiach, ale mały już zniknął.

Goście na pewno nie zabawią... długo.

Ta myśl powróciła po kwadransie, po pół godzinie, a potem co minutę – a każda z nich trwała przeraźliwie długo – obracając się w umyśle Charlotte jak dokuczliwa mantra.

Żeby chociaż wszyscy przyszli razem. Ale kiedy jeden wstawał i wychodził, zaraz pojawiał się następny, więc ten pierwszy zostawał jeszcze chwilę, zamiast pożegnać się na dobre i wyjść, jak zrobiłaby to każda dobrze wychowana dama.

A Will nie przyszedł...

– Fantastyczne! Jak się to pani podoba, panno Baker?

Głos Hugh wyrwał ją z zamyślenia. Uśmiechnęła się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Na szczęście Lucy wybrała właśnie ten moment, żeby wejść.

Na nieszczęście, niosła w rękach tacę z herbatą i przysmakami.

Och nie. Nie, nie, nie. To oznaczało początek zupełnie zbędnego sprawdzianu dla kandydatów na męża. I to takiego, który miał być tylko żartem.

– Dobry wieczór, panowie.

Lucy była w siódmym miesiącu ciąży i jej stan dawało się łatwo zauważyć u tak szczupłej osoby. Normalnie, żadna hrabina nie przysłaby z tacą, by podać gościom herbatę.

Ale u Bakerów rzadko kiedy bywało normalnie.

Lucy z uroczym uśmiechem trzymała tacę nad zaokrąglonym brzuchem.

– Pomyślałam, że przyniosę wam jeszcze herbaty.

Wszyscy panowie wstali, ale żaden nie podszedł, by jej pomóc, więc sama postawiła tacę na stole. Wszyscy wrócili do rozmowy, a Lucy usiadła, rzucając jej ukradkowe, wiele mówiące spojrzenie jako jedyny komentarz na temat ich szarmanckiego zachowania. Charlotte aż za dobrze zrozumiała to, co umknęło Lucy. Tu nie chodziło o zwykły brak manier. Nie pomogli jej, ponieważ wyszła za Bena, człowieka znacznie niższego urodzeniem od niej.

– Dobry wieczór – odezwał się męski głos od drzwi.

Charlotte popadła w jeszcze większe przygnębienie na widok brata, który wszedł do pokoju. Wally też był sprawdzianem dla kandydatów na męża. Najważniejszym.

– Mogę się przyłączyć?

Wally stanął za sofą. Jak zwykle był nienagannie ubrany, w surdut z cieniutkiej wełny i haftowaną kamizelkę z jedwabnym fularem.

Do diaska! Sama sobie była winna. Dlaczego nie kazała im się trzymać z daleka?

– Naturalnie – odparła z wymuszonym uśmiechem.

Jak zwykle w towarzystwie zapadło ostrożne milczenie, więc Wally odezwał się pierwszy.

– Właśnie rozmawiałem z lokajem o tym, jaką dziwną pogodę mamy w tym roku. Założę się, że jutro spadnie grad, a pojutrze powieje wiosną. Ostatnio wszystko tak szybko się zmienia.

Hugh poprawił się na szeszlunku, pan Hatfield spojrział na zegarek, a pan Matteson zaczął zbierać okruszki z talerza.

To chłodne zachowanie było typowe. Wally dawno uodpornił się na niechęć i obraźliwe słowa.

Ale ona nie. W ciszy, jaka zapadła, słyszała, jak jej serce bije w znajomym rytmie. Żaden z nich nie zaliczył tego sprawdzianu. Wally – z przewrotną miną, jak jej się wydało – wyszedł zza kanapy i szeroko rozłożył ręce, prezentując surdut.

– Powiedzcie, panowie, czy podoba wam się ten nowy krój kołnierza? Mój krawiec powiada, że na kontynencie jest to w modzie, ale nie jestem do końca przekonany.

Nikt nie odezwał się ani słowem. Co gorsza, popatrzyli na ten kołnierz, jakby obsiadły go nietoperze i lada chwila mogły wyroić się na pokój.

Nie mogła już tego dłużej znosić. Wszyscy wiedzieli, że Charlotte Baker rzadko się obraża, i to była prawda. Chyba że obrażono jej rodzinę.

Skoczyła na równe nogi, wściekła na tych gości, którzy bez oporów obrazili jej siostrę i brata.

Wszyscy podnieśli głowy, zaskoczeni jej nagłym poruszeniem, a potem wstali. Lucy gapiła się na nią z

kozetki, nieświadoma, że ktoś ją obraził. Niewinny, pytający wyraz jej oczu sprawił, że Charlotte ścisnęło się serce.

– Panno Baker? – Hugh ruszył w jej stronę. – Źle się panna poczuła?

Jak mógł udawać niewinność? Powinna sprawić, żeby dostrzegł w jej oczach urazę i gniew. Ale zamiast tego opuściła powieki. Nigdy w życiu nie wywołała sceny. Zamiast tego wyprostowała się i przywołała na twarz kolejny wymuszony uśmiech.

– Chyba jest mi za gorąco. Czy mi państwo wybaczą?

Wymknęła się pośpiesznie do pustego przedpokoju, rozluźniając zaciśnięte pięści i oddychając głęboko. Skąd jej przyszło do głowy, żeby wyjść za męża za któregokolwiek z nich? To przecież niemożliwe. Nigdy nie będą darzyć szacunkiem jej rodziny. Ani jej samej.

Żeby się uspokoić, przywołała obraz Willa, takiego, jakim go ostatnio widziała, w tym samym miejscu. Stał tu i patrzył na nią, a potem wszedł do gabinetu Bena. Patrzył tak, jakby nigdy nie widział takiej kobiety jak ona.

I jakby nie całkiem mu się to podobało.

Może okazała zbyt wiele entuzjazmu.

Proszę cię, wróć. Proszę, daj mi jeszcze jedną szansę.

Usłyszała kroki Jacoba, który nadbiegał zza zakrętu. Po chwili już był przy niej i objął ją za nogi.

– Ciociu Charlotte, pamiętasz, jak pocałowałaś mnie w kolanko i mi się poprawiło?

– Pewnie. – Pochyliła się, by z nim porozmawiać. Zły humor prysnął na widok jego zaróżowionych policzków, rozczochranych włosów i wojskowego munduru ze złotymi epoletami.

– Will Chińczyk też ma chorą nogę.

Zamrugła, zdziwiona, skąd mały wie, o czym myślała.

– Tak, owszem. Kto ci powiedział?

– Pocałujesz go, żeby wyzdrowiał?

Jej serce zabiło z entuzjazmem na tę myśl, ale zachowała spokój.

– Czasem nie da się wyleczyć bólu jednym pocałunkiem, jeżeli stało się coś bardzo poważnego.

Rozumiesz?

– Chodź ze mną do taty.

– Mam gości, kochanie.

Jacob rzucił niechętnie spojrzenie w stronę salonu.

– Proszę cię. To ważna sprawa.

Chłopiec bardzo rzadko o coś prosił, a tym razem na jego buzi malował się niepokój.

– Dobrze. – Wstała i pozwoliła, by pociągnął ją w stronę gabinetu Bena.

Gdy weszli, pochyliła się ku niemu.

– Czy coś się stało, kochanie? Mam zawołać nianię?

Uśmiechnął się tylko i pobiegł przed siebie.

Zaskoczona, wyprostowała się, żeby ruszyć za nim. Nagle ktoś cicho odchrząknął, więc zatrzymała się w pół kroku. Za nią, pod oknem, stał jakiś mężczyzna, skąpany w złotym blasku słońca. Odwrócił się i

zrobił krok, utykając.

Will!

Serce jej zabiło w tak obłądnym rytmie, że aż oparła się o stół. Doskonale widziała błękit jego oczu. Była zupełnie oszołomiona.

– Przyszedł pan – wykrztusiła tylko.

Skłonił się. Pośpiesznie i niezgrabnie, ale i zachwycająco. Może to jej widok zrobił na nim takie wrażenie?

Serce uspokoiło się, poczuła przyływ sił i natychmiast się uspokoiła.

A więc przyszedł. Ogarnęła ją taka sama radość, jak przedtem. To samo uczucie pewności. Był jej tak dobrze znany... jak rodzina. Choć nigdy przedtem nie marzyła, że zobaczy go w blasku słońca. Że jego włosy będą lśniły jak złoto, a na policzkach zakwitnie rumieniec.

Oblizła wargi, a jego wzrok natychmiast na nich spoczął.

Dodało jej to nieco pewności siebie, więc posłała mu uśmiech.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Spojrzał na książkę, którą czytał, jakby się zastanawiał, skąd się wzięła w jego dłoniach. Odłożył ją na półkę.

– Czekałem na Bena.

– Och.

Ojej. Taki rumieniec nie powinien pojawić się na twarzy kobiety dobrze wychowanej, dojrzałej i spokojnej. Ale teraz już nic się nie da z tym zrobić. Wszystko przez te jego szerokie ramiona.

Zrobiła kilka kroków w jego stronę. Dziwne, ale miał taką minę, jakby go osaczyła.

Ciekawe, czy się uśmiechnie, odezwie albo przynajmniej na nią popatrzy?

A może właśnie w ten sposób usidlił jej serce? Bo nie dał jej satysfakcji z zawarcia bliższej znajomości, przez co musiała cały czas wracać w myślach do chwili, gdy się poznali? Zasypiać z jego obrazem pod powiekami, fantazjować o nim po obudzeniu i wyobrażać sobie jego twarz przez całe dni?

Ale przecież znając jego odwagę, siłę ducha i współczujące serce, już wcześniej wiedziała, że jest najbardziej romantycznym mężczyzną na świecie.

Czy naprawdę go w końcu odnalazła? Czy właśnie na niego czekała?

Czy słowa, które teraz wypowie, przypieczętują ich przeznaczenie?

– Przypuszczam, że przyszła pani mnie pocałować, ale muszę panią przestrzec, że to było kilka złamań i wszystkie w bardzo nieodpowiednich miejscach.

Jej uśmiech przygasł.

– Słucham?

– Czy pani siostrzeniec nie przyprowadził pani właśnie po to?

Jego wzrok pomknął ku jej wargom.

– Żeby uzdrowiła pani moją nogę pocałunkiem?

Wreszcie zrozumiała, co on ma na myśli, i uśmiechnęła się z ulgą.

– Ach, o to panu chodzi. No cóż. On ma cztery latka.

– I pani talent do zmyślenia różnych rzeczy.

– Owszem, na przykład uważa, że konie znają francuski.

Will zamrugał.

– Chodziło mi raczej o ten pocałunek.

– No cóż, jego zadrapania się wygoiły, więc nie powinien pan tak od razu wątpić w jego moc.

Słyszając to, Will naprawdę się skrzywił.

Uśmiech nie zniknął z jej twarzy, choć taka mina zazwyczaj ją od razu zniechęcała. Widywała ją przedtem, i to u niejednego mężczyzny.

Był nieśmiały wobec kobiet.

Można się było tego spodziewać. Przecież nie obracał się w towarzystwie.

Nieważne. Miała tyle doświadczenia w prowadzeniu salonowej konwersacji, że wystarczy to za nich oboje, a poza tym lubiła nieśmiałych mężczyzn.

Jeżeli Will był nieśmiały, to znaczy, że lubiła ich najbardziej ze wszystkich.

Beztrąsko zignorowała jego pogłębiający się grymas i przysunęła się bliżej, udając, że interesują ją książki i mapy rozłożone na stole. Podniosła wzrok, zdziwiona, że wciąż jest w tej samej odległości od niego. Do chwili, kiedy nie zrobiła kolejnego kroku w przód... a on w tył.

Nie. To niemożliwe.

Na próbę zrobiła kolejny krok, a on powtórzył jej ruch, jakby był lustrzanym odbiciem, tyle że odsunął się do tyłu.

W przód. Wstecz. W przód. Wstecz. Do licha ciężkiego.

Zatrzymała się.

Pochylił głowę. Domyśliła się, że chciał w ten sposób przytaknąć.

– Nie potrafię sobie nawet wyobrazić tych wszystkich przygód, jakie pan przeżył. Chyba miał pan cały czas uczucie, że śni.

W końcu na nią spojrział. Powoli, uważnie – tak, że o mało co się nie cofnęła.

– Dla mnie pobyt w Londynie to sen. – Spuścił wzrok. – Może się obudzę po powrocie.

Jej serce na moment przestało bić.

– Po powrocie?

– Tak jest.

Nie! Błagam, nie...

– Chce pan tam wrócić?

Rzucił jej ostre spojrzenie. Spotkali się oczyma, ale zaraz popatrzył gdzieś w dal, ponad jej głową. Czyżby to miało być retoryczne pytanie?

– Rozumiem – szepnęła.

Zacisnęła dłonie na oparciu krzesła, przestraszona, że do oczu napływają jej łzy. Zupełnie nowe, okropne uczucie. Przecież ja nie płaczę... nigdy.

Will odchrząknął, więc odezwała się pośpiesznie:

– Dokąd?

Zawahał się, ale po chwili podszedł do stołu i otworzył jedną z książek. Na mapie Azji.

– To jest prowincja, do której chcę wrócić.

Pochylił się nad stołem tuż obok niej, wskazując jakieś miasto. Poczowała musnięcie twardego, umięśnionego ramienia.

Nie odsunął się.

Stała zupełnie nieruchomo, żeby tylko dłużej czuć ten dotyk, i patrzyła w mapę. Kącikiem załzawionych oczu obserwowała zarys jego szczęki i włosy nad szyją. Były krótsze niż w zeszłym tygodniu. I miał na sobie nową koszulę i surdut. Uszyty przez drugorzędnego krawca. Poczowała dziwny ból. Nigdy by mu nie pozwoliła nosić takiej marnej odzieży. I kto go ostrzygł? Golibroda? A może spotykał się z jakąś kobietą?

Ciepły oddech musnął jej ucho, odpędzając to głupie, żalosne uczucie zazdrości.

Zamrugła, i spojrzała wprost na niego. Spoglądał na mapę, ale jego wargi były tak blisko... Nie potrafiła od nich odwrócić spojrzenia, kiedy zaczął mówić.

– Tutaj. – Jego głos był niski i gardłowy. Nakazywał skupić uwagę na mapie. – W pobliżu Chengdu.

Niechętnie popatrzyła tam, gdzie wskazywał.

– To jest... tak daleko na zachód. Nie wróci pan do Tybetu, prawda?

Zesztywniał i zrobił krok w tył. Ciepły dotyk jego ramienia zniknął.

– Nie.

Zatrzasnął książkę tak mocno, że podskoczyła.

– Tamte rejony są niestabilne.

Odwrócił się i znowu dzieliło ich pół pokoju.

Co się stało? Odsunął się aż pod biblioteczkę i sięgnął po tę samą książkę, którą przeglądał, zanim przyszła.

Oczy ją zapiekły i nagle zapragnęła rzucić tę głupią mapę w jego głupią, przystojną głowę. Ale oczywiście nigdy by tego nie zrobiła. Może i była nisko urodzona, ale otrzymała wychowanie godne damy z najlepszego towarzystwa. Okazywanie rozczarowania jest śmieszne. To było tylko rozczarowanie. Nic ponadto. Pierwszy raz jej się to zdarzyło i dlatego tak to przeżyła.

Ogromnie to przeżyła.

Przyjaciele powiedzieliby, że dobrze się stało. Choć to bardzo znany człowiek, na pewno nie poprawiłby jej pozycji towarzyskiej. Miłość to piękna rzecz, ale też i frywolna, jeśli ktoś ma taki posąg i wychowanie. Wszystko, poza nazwiskiem.

Naprawdę dobrze się stało. Może i ma coraz mniejszy wybór, ale w sytuacji, w jakiej się znalazła, mężczyźni dzielą się na dwie grupy. Na tych, którzy by się z nią ożenili, i na tych, którzy by jej nie poślubili.

Więc pan Repton jednak nie jest takim ideałem.

Wzięła głęboki oddech.

– Na jak długo pan wyjeżdża, panie Repton?

Nawet nie podniósł wzroku znad książki.

– Na pięć lat.

Znowu westchnęła. Pięć lat. Tak długo nie będzie mogła czekać. A jednak... nikt nie budził w niej takich uczuć jak on. Może chociaż uda się zdobyć jego przyjaźń?

– Rozumiem... Bardzo bym...

Podniosła głos, żeby ją dobrze słyszał z odległości.

– Bardzo bym chciała usłyszeć więcej o pana wyprawie. Spotykam się z grupą znajomych u lady Abernathy, żeby omawiać aktualne wydarzenia. Pana wyprawa była tematem miesiąca.

Ściągnął brwi, więc dodała pośpiesznie:

– Czytałam wszystkie pana sprawozdania, poza ostatnim, choć mam nadzieję, że Ben je wkrótce dla mnie zdobędzie.

Och, do licha. Jak to dziecinnie zabrzmiało.

– Ale już panu o tym mówiłam.

– A ja pani już mówiłem, że nie powinna go pani czytać.

Powiedział to tak cicho, że z trudem go dosłyszała.

I z trudem znalazła odpowiedź na te niechętnie słowa.

– Nie rozumiem czemu – wykrztusiła w końcu. – To okropne, że Towarzystwo Geograficzne nie przyjmuje kobiet do swego grona. Przecież nie każdy może podróżować, panie Repton. I nie dotyczy to tylko kobiet. Więc gdybym ja na przykład przeżyła jakieś przygody warte uwagi...

Przerwała na moment, bo uświadomiła sobie, że mówi coraz głośniej.

– Wiele osób będzie patrzeć na pana jak na nauczyciela albo kogoś, kto przynosi wieści z dalekiego świata. Jak na źródło mądrości, inspiracji i wiedzy o rodzaju ludzkim.

Uniósł głowę. W jego błękitnych oczach błysnęły emocje, których nie potrafiła odgadnąć.

– Ostrzegam panią nie bez powodu. Niektórych rzeczy nie warto czytać, bo nie są ani mądre, ani inspirujące. – Zacisnął zęby. – Czasem są nawet nieludzkie. Poza tym nie sądzę, żebym miał do powiedzenia coś, co zainteresuje damy zbierające się u pani Abernathy. Nie zajmowałem się tam zbieraniem kwiatów.

Popatrzyła na niego, wstrząśnięta.

Do tej pory nikt nie rozmawiał z nią tak bezceremonialnie, nie dbając o jej dobrą opinię. Ani o uczucia.

– Rozumiem – odparła oszołomiona. Wcale nie był nieśmiały.

– Rozumiem – powtórzyła bardziej stanowczo. – Do widzenia, panie Repton.

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego jego twarzy przybrała wyraz rezygnacji.

Odwróciła się na pięcie i umknęła.

Ale nie na tyle szybko, by nie dosłyszeć trzaśnięcia okładek zamykanej książki, którą potem gwałtownie odstawiono na półkę.

3

Will starał się zignorować chłopca, ale mały nie odchodził od drzwi.

Byli wraz z Benem pochłonięci poważną rozmową w gabinecie, kiedy mały zaczął przyglądać się im z korytarza. Przez tych kilka tygodni Will przekonał się, że jego niania była równie niezdyscyplinowana jak reszta służby.

Minęło co najmniej pięć minut, a chłopiec nie ruszył się z miejsca. Jego spojrzenie jak magnes przyciągało wzrok Willa.

– Gdzie jest terminarz dostaw? – zapytał Ben.

Will drgnął, wracając myślami do rzeczywistości, i zaczął przeglądać papiery.

– Terminarz... zaraz. O. Już mam.

Wyciągnął dokument, niezadowolony, że dziecko tak go rozproszyło. Zapewnił sobie najlepszego hodowcę roślin w Anglii, czyli Bena Paxtona, ale współpraca z tym człowiekiem wyraźnie wiązała się z obecnością jego czteroletniego potomka.

Trzeba się nauczyć go ignorować. Nie patrzeć na niego. Nie patrzeć. Nie... do diabła ciężkiego! Pokonany, przechylił głowę i posłał Jacobowi znaczące spojrzenie.

Na ten widok Ben się odwrócił.

– Co tu robisz, synku? Czy to ważna sprawa?

Chłopiec otworzył szeroko oczy i skinął głową.

– Przepraszam – powiedział Ben do Willa i odwrócił się do dziecka. – W takim razie chodź tutaj, tylko szybko.

Jacob, tym razem w marynarskim ubranku, natychmiast podbiegł do ojca.

Will zacisnął wargi, by się nie roześmiać. Ostatnio miał mało powodów do śmiechu. Tylko Jacob potrafił obudzić jego wesołość. Ale zawsze było w niej trochę bólu.

Mimo wszystko był wdzięczny losowi za znajomość z tym chłopcem. Po tych wszystkich wydarzeniach nie mógł znieść widoku dzieci. Ich płacz dręczył go niewypowiedzianie, krzyki były nie do zniesienia. Ale Jacob był pełen życia i taki radosny.

I miał najbardziej ekscentryczne kreacje, jakie Will widział w życiu.

– Znasz pana Reptona? – podpowiedział Ben.

– Dzień dobry, panie Repton. – Chłopiec przyłożył dłonie do ucha ojca i wyszeptał mu jakiś sekret.

– Myślę, że pan Repton wyzdrowieje – odpowiedział Ben szeptem.

– Chyba nie, tato...

– Zapytamy go?

Jacob skinął głową i skrzyżował ręczki.

Ben powtórzył ten gest i spojrzał z powagą na Willa.

– Willu, mój syn obawia się, że jeżeli szybko nie przyniesiesz bombonierki Charlotte – wargi Bena drżały z rozbawienia – to stracisz szansę na małżeństwo z nią.

Will rzucił kwaśne spojrzenie Benowi, który do tej pory wydawał mu się całkiem sensownym człowiekiem.

Ben uśmiechnął się.

– Najbardziej lubi rachatłukum.

Jacob pociągnął go za rękaw i pokręcił głową.

– Karmelki – poprawił szeptem.

– Przepraszam, Willu. Karmelki będą lepsze. Widzisz, Charlotte dzieli się słodyczami z rodziną – wyjaśnił, wskazując wzrokiem Jacoba.

Ignorując jego rozbawienie, Will popatrzył na chłopca.

Jacob przy każdej okazji wspominał o pannie Baker i o tym, że byłaby dla niego dobrą żoną. Jakby Will mógł zapomnieć o kobiecie, która bez przerwy królowała w jego myślach. I budziła fizyczne pożądanie.

Jacob podbiegł do niego, więc się odsunął. Dzieciak miał dość wyczucia, żeby nie wpakować mu się na kolana, ale nie sposób było przewidzieć, co zrobi za chwilę.

– Jakbyś ożenił się z ciocią Charlotte, mógłbyś tu mieszkać. Wtedy byśmy się codziennie bawili.

Will zrobił nieszczęśliwą minę i powoli pokiwał głową.

– Całkiem niezły pomysł – powiedział.

– Ciocia Charlotte dużo wie o Chinach, a jak twoja noga wyzdrowieje, będziesz mógł z nią nawet tańczyć. Jest prawie taka ładna jak mama. I jest miła, i umie opowiadać bajki. I chociaż maluje okropnie, mama zawsze mówi, że przynajmniej próbuje i że to się liczy.

Will spojrzał na Bena, niemo prosząc o pomoc.

– To prawda, Willu – stwierdził Ben z powagą. – Czasem warto spróbować.

Znikąd pomocy.

Ben uśmiechnął się szeroko, złapał Jacoba pod pachę i wystawił za próg.

– Starczy na razie, synku. Ciocia Charlotte musi wybrać sobie męża bez naszej pomocy. Nie będziemy już więcej zwracać tym głowy panu Reptonowi, dobrze? – Postawił chłopca na podłodze w przedpokoju.

– Przepraszam, Willu – odezwał się po chwili. – Jacob się uparł, że masz się ożenić z Charlotte. To niesamowite, jaki ten dzieciak jest bystry.

Will podniósł głowę.

– Przysięgam, że nie dałem po temu żadnych powodów.

Ben roześmiał się.

– Oczywiście, że nie!

Zaraz, zaraz. Taka możliwość to żaden powód do śmiechu.

– Widzisz, Jacob zauważył, że Charlotte... przetrzebiła swoich wielbicieli.

Serce Willa zatrzymało się na moment.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Wydaje nam się, że wybrała wicehrabiego.

Will spojrział na swoje dłonie i przekonał się, że mimowolnie nimi porusza. Opanował ten odruch.

– Wicehrabiego? Który to?

– Wicehrabia Spencer, Hugh Swift.

Spencer. Błady. Ciemnowłosy. Wąsik nad regularnymi zębami. Jego ojciec, hrabia Harlowe był w zarządzie ogrodu botanicznego Kew. Rzeczywiście, doskonały kandydat.

Drzwi otworzyły się nieoczekiwanie. Do gabinetu zajrzała żona Bena.

– Kochanie? Możemy wejść na słówko?

„Możemy”? Will pochylił się i zajrzał w głąb korytarza.

Ben skoczył na równe nogi, jak zawsze, gdy Lucy zwracała się do niego. Ujął ją za rękę, sprawiając, że rumieńce na jej policzkach pogłębiły się jeszcze bardziej. Dziwny ucisk na żebrach Willa stał się ciałniejszy. Owdowiała hrabina zlekceważyła nakazy towarzyskie i wyszła za Bena, ale wyraźnie tego nie żałowała. Wręcz promieniała szczęściem. Nic dziwnego, że Ben był zawsze w dobrym humorze.

Hrabina wybrała miłość.

Charlotte wybrała wicehrabiego.

Była na korytarzu. Chowiała się za drzwiami.

Nie wiedzieć czemu, często wyczuwał jej obecność, kiedy przechodziła korytarzem, wchodziła na schody albo po prostu mijała drzwi gabinetu. Kiedy indziej dom wydawał mu się zimny i pusty – a potem dowiadywał się, że pojechała na miasto.

Szkoda czasu na rozważanie takich bzdur.

Przejmował się nią tylko dlatego, żeby uciec myślami od pracy, wspomnień, strachu, że powróci za późno. Bóg jeden wie, że ostatnio niezbyt mógł polegać na własnym mózgu.

A w nocy... przecież to nieważne, że o niej marzył. Akurat jej twarz świetnie pomagała mu pokonać bezsenność. Interesująca kobieca zagadka. Piękne, erotyczne ciało, które idealnie nadawało się do pobudzenia pożądania i zapewniało rozładowanie napięcia.

Poza tym nie liczyła się. Po prostu nie. Inni mogą mieć żony, ale nie on.

Ben otworzył szeroko drzwi, za którymi stała Charlotte w towarzystwie jeszcze jednej elegancko ubranej kobiety.

– Willu, to nasza przyjaciółka markiza Wynston. Chciałaby cię poznać.

Will podszedł do drzwi, chłonąc wzrokiem ciemne, jedwabiste włosy Charlotte i jej zieloną suknię w paski.

Jedna z jego ulubionych. Zawsze nosiła do niej bransoletkę z nefrytu – podobną jak dwie krople wody do tej, którą przywiózł z Chin dla matki.

– Cały Londyn się panem interesuje – przywitała go lady Wynston.

Odpowiedział ukłonem.

– Przepraszam na chwilę – mruknęła Charlotte i odeszła.

Will popatrzył w ślad za nią. Nawet nie raczyła się z nim przywitać. Przedtem zawsze to robiła. A więc ich znajomość zmierza w tym kierunku? Charlotte tak przyzwyczaiła się do jego obecności, że nie chce jej się nawet rzucić jednego słowa na powitanie?

Odchrząknął i ponownie skupił się na rozmowie z lady Wynston. Tyle że tymczasem nie zwrócił uwagi na to co do niego powiedziała.

Lady Wynston nie patrzyła na Charlotte, tylko na niego. Bystre, choć wyblakłe, błękitne oczy lustrowały go spod czepeczka ozdobionego fioletowymi piórami. Co takiego mówił ojciec o tej damie? Że była bogata, ekscentryczna i lubiła młodszych mężczyzn – to znaczy tych poniżej osiemdziesiątki, pomyślał z rozbawieniem.

– Miło mi poznać milady – powiedział.

– Domyślam się. – W jej głosie brzmiało rozbawienie. – Ben, pozwól nam porozmawiać chwilę z panem Reptonem.

Ben zostawił go samego z tymi kobietami. Will poczekał, aż usiądą wygodnie. Chwilę to potrwało, bo w salonie pojawił się lokaj, niosący małego pieska. Posadził go z szacunkiem na okrytych jedwabiem kolanach lady Wynston. Pies natychmiast wbił wzrok w Willa. Hierarchia tego spotkania była zupełnie jasna: damy, miniaturowe szpice a na końcu jacyś tam mężczyźni.

Lady Wynston siedziała idealnie prosta, jak jej laska, którą dzierżyła w ozdobionej pierścieniami dłoni.

– Cały Londyn pasjonuje się pana podróżami. A szczególnie nasza Charlotte.

– Owszem, ale.... – Will spochmurniał, widząc, że nie może się wysłowić.

– Chyba coraz mniej. Właśnie sobie poszła.

– Rzeczywiście. – Ostre spojrzenie Lady Wynston ogarnęło go od stóp do głów. – I to zaskakująco szybko.

Pani Paxton szybko znalazła się przy drzwiach.

– Ach, otóż i jest. Dziękujemy bardzo, pani Allen. Sama się tym zajmę.

Ruszyła w stronę stolika, niosąc ciężką tacę z herbatą i ciastkami. A przecież była w ciąży.

Nie starając się ukryć utykania, pośpieszył ku niej, by wyjąć jej z rąk ten ciężar.

– Proszę mi to oddać, pani Paxton.

Do licha, czy w tym domu nie było żadnych porządnych służących?

– Och! – Zaśmiała się, otwierając szeroko oczy. – Zdał pan, panie Repton. Brawo!

Postawił tacę na stole, zdziwiony tymi słowami.

– Nie mam pojęcia, co ta Charlotte ostatnio wyprawia – stwierdziła lady Wynston. Na dźwięk tego imienia poczuł ucisk w brzuchu, jakby muł go tam kopnął.

– Ciągłe w biegu, nie usiądzie ani na chwilę, jakby zupełnie straciła tę swoją śliczną główkę. Za moich czasów damy uważały, żeby tak się nie wysilać, bo mogłyby zemdleć.

– Charlotte nigdy by nie zemdląca. – Pani Paxton uśmiechnęła się pokrzepiająco, nalewając herbatę. –

Uważa, że to ekstrawagancja.

Lady Wynston z aprobatą skinęła głową.

– To wspaniała dziewczyna. Bardzo nowoczesna.

Nagle zastukała laską w podłogę, więc wyprostował się czujnie.

– Wy, młodzi, możecie uważać, że dziewczyna omdlewająca w waszych ramionach to przyjemna rozrywka, ale niech pan na to nie liczy, panie Repton. W rzeczywistości omdlenia i odzyskiwanie przytomności to bardzo kłopotliwa sprawa.

Poklepała własny czepek i dodała:

– Choć podejrzewam, że Charlotte umiałaby ładnie zemdleć. Jest bardzo zdolna. Na pewno wyglądałaby uroczo. – Lady Wynston pogroziła Willowi palcem. – Ale niech pan sobie na to nie robi nadziei.

– Skądże... ale właściwe na co?

– Bardzo kłopotliwe – mruknęła lady Wynston, biorąc z rąk pani Paxton talerzyk. – Dziękuję, kochanie. Choć raczej nie pochwalam, że Charlotte aż tak interesuje się pana przygodami, panie Repton. Z drugiej strony jednak – mówiąc to, przechyliła głowę i przyjrzała mu się uważnie – nie jestem jeszcze aż tak wiekowa, by odmówić uroku dzielnemu łowcy przygód, który bohatercko wędruje po nieznanym lądach. A jego męskie ciało jest wspaniale umięśnione i szczupłe, jakby wyrzeźbiły je siły natury, które pragnie okiełznać. A jego jędrna, opalona skóra lśni...

Pani Paxton zakasłała się nieco.

– ...kropelkami potu, które perlą się na strudzonym ciele pod palącymi promieniami słońca. A nasza Charlotte, piękna i nieznająca świata, obdarzona nienasyconą ciekawością, jak delikatny pąk kwiatu, który rozkwita pod doświadczonego dotykem dzielnego odkrywcy...

– Może ciasteczko, panie Repton? – Zarumieniona pani Paxton podsunęła mu talerz słodczy.

– Dziękuję, nie – odparł Will i uniósł dłoń obronnym gestem.

Lady Wynston sapnęła z irytacją.

– Zresztą, uważam, że to niewinna rozrywka... Jeśli kogoś intryguje Orient. Sama mam prześliczną chińską tapetę w porannym salonie, choć nie pasuje mi do niczego.

Szpic ziewnął serdecznie i dalej bacznie się w niego wpatrywał.

– Tak... właśnie... – Pani Paxton wstała, Will również podniósł się z krzesła.

– Przepraszam państwa. Muszę się zająć kilkoma domowymi sprawami.

Filizanka Lady Wynston szcęknęła o spodeczek – dźwięk natychmiast przywołał jego uwagę. Will usiadł pośpiesznie. Domyślił się, że nikt przy zdrowych zmysłach nie ociążał się ze spełnianiem życzeń markizy.

– Poprosiłam naszą młodą przyjaciółkę, żeby zostawiła nas na moment samych – wyjaśniła lady Wynston. – Rozumiem, że planuje pan wrócić w tamte strony.

– Owszem, w sierpniu.

Dama odstawiła filizankę dłonią drżącą ze starości.

– Moja nieżyjąca już siostra była spowinowacana z misjonarzem, którego pan poznał w Tybecie, z

Marcelem Bourianne'em. Znała więc jego żonę. I dzieci – dodała, przymykając pobrużdżone zmarszczkami powieki.

Will zacisnął szczęki.

– Ja też ich znałem. Tak bardzo mi przykro.

W jej oczach zalśnił smutek.

– Wiem, młody człowieku. Wiem, jak bardzo ci przykro. Powtarzam sobie, że mieli chociaż chrześcijański pogrzeb...

Czekała na odpowiedź, ale Will milczał. Nie miał nic do powiedzenia. Tybetańczycy nie grzebali zmarłych w ściśniętej mrozem ziemi. W czasie podróży nie raz mijali jhatory, podniebne miejsca pochówku. Często odwiedzane przez sępy. Takiego widoku nikt nie miałby ochoty oglądać. A jednak tę rodzinę spotkał właśnie taki los.

Will siłą woli zmusił się, by nie widzieć jej współczującego spojrzenia, by nic sobie nie przypominać. I nic nie widzieć. Ziemia była...

– Byli dla nas bardzo mili. Zatrzymaliśmy się nieco dłużej w ich misji po drodze do Bhutanu. My kiepsko mówiliśmy po francusku, podobnie jak oni po angielsku, więc nie za wiele rozmawialiśmy. Nawet Emile, ich najmłodszy chłopiec.

– Boskie plany są wielką tajemnicą, prawda? Zsyła na ziemię rodzinę, by dla niego pracowała, i nie pozwala im wrócić do domu.

– Tak, to wielka tajemnica. – Will spojrział w jej oczy i zrozumiał, że tej kobiecie może zaufać. – Ale może choć jednemu z nich uda się wrócić.

W jej spojrzeniu błysnęło zaskoczenie.

– Ja... nie widziałem nigdzie niemowlęcia. Nie mogłem z całą pewnością stwierdzić, że nie żyje. Zanim zmuszono mnie do wyjazdu z Tybetu, napisałem list do wikariatu apostolskiego w Hongkongu z prośbą, by podjęto poszukiwania dziecka. Błagałem, by je dostarczono na miejsce. Oni mają misje w całej Azji, kontakty z zagranicznymi naukowcami, fizykami, innymi odkrywcami. Nie wiem, czy list dotarł do adresata, byłem nieprzytomny z gorączki. Z Anglii wysłałem liczne zapytania, prosząc o pomoc, o to, by jej szukano, by podejmowano wszelkie próby. Nie dostałem żadnej odpowiedzi.

– Bo to bardzo trudne przedsięwzięcie.

– Ale nie niemożliwe.

Dama przyjrzała mu się bacznie.

– Więc to dlatego chce pan tam wrócić.

Potwierdził krótkim skinieniem głowy.

– Ale poszukując funduszy, ogłasza pan, że to wyprawa botaniczna.

– Bo to prawda. Potrzebuję bardzo dużych kwot. Nie na podróż ani na hinduskich pomocników, ale na łapówki. Tam wszystko kosztuje – paszporty, dokumenty, informacje. – Umilkł na moment. – Milady z pewnością rozumie, że nie chciałbym rozpowszechniać tej informacji zbyt szeroko. A raczej w ogóle.

– Dobrze wiem, co to dyskrecja, panie Repton.

Zapadła cisza. W końcu zdobył się na pytanie.

– Znała ich pani?

– Tylko Marcela. To było bardzo dawno temu. Był małym chłopcem i bardzo się mnie bał – dodała, a brwi drgały jej z rozbawienia. – Bardzo mądry dzieciak, prawda?

Pogłaskała szpica.

– Więcej go już nie widziałam.

– Jego syn, Emile, na pewno by się pani nie bał.

– Taki był odważny?

– Tak.

– Miejmy więc nadzieję, że ta maleńka jest równie odważna.

Powoli podniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

– Naprawdę ma pani nadzieję? – spytał pustym głosem. – Myśli pani, że niemowlę mogło ocaleć?

Dostrzegł cień uśmiechu w jej oczach.

– Tak, panie Repton. Mam taką nadzieję. Jeśli pan pożyje tyle co ja, będzie pan świadkiem niejednego cudu.

Zmusił się, by powstrzymać napływające do oczu łzy. Najchętniej by ją uściskał. To było cudowne.

Teraz mógł dzielić nadzieję z drugim człowiekiem. Przeczesał dłonią włosy. Nie chciał na nią patrzeć, by nie wyczytała tych emocji z jego twarzy. Może jednak nie był aż takim wariatem.

Lady Wynston podniosła filiżankę do ust.

– Jak ma na imię?

– Aimee.

Uniosła podbródek.

– Proszę mnie jutro odwiedzić, porozmawiamy o potrzebach pańskiej ekspedycji.

– Tak jest, milady. Dziękuję.

Przez chwilę milczała. Zorientował się, że mu się przygląda.

– Na jak długo pan wyjeżdża?

– Na pięć lat. Muszę zaobserwować kilka cykli rozwojowych roślin.

Zacisnęła wargi z niezadowoloną miną.

– To szkoda. Pańskie podróże bez wątplenia zostawiają niewiele czasu na inne zajęcia. Na przykład na zawieranie znajomości z młodymi damami. Nawet tymi nowoczesnymi, które nie mdleją.

Rzucił spojrzenie na nią, a potem na drzwi, przestraszony, że ktoś mógłby to usłyszeć. Potem znowu popatrzył na damę. Pewnie miał przy tym wyjątkowo głupią minę.

– Proszę się tak nie przejmować, panie Repton. Jak już wspominałam, jestem uosobieniem dyskrecji.

– To i tak nie ma znaczenia. Przysiągłem, że tam wrócę na długo przed spotkaniem z panną Baker. –

Wzruszył ramionami. – A ona pewnie wyjdzie za mąż przed upływem roku.

– Bardzo możliwe. Jest w odpowiednim wieku. Podobnie jak pan. Nikt by pana nie winił, gdyby zmienił pan plany. Pewnie nie raz i nie dwa miał pan na to ochotę.

O mało nie wybuchnął śmiechem. Gdy patrzył na Charlotte, bez przerwy chciał zmienić plany.

– Nie raz i nie dwa, Wasza Wysokość.

– Wydaje nam się, że wybrała wicehrabiego...

Opuścił wzrok.

– Ale już nigdy więcej sobie na to nie pozwolę.

4

Do diabła, trzeba było przyjechać kiedy indziej.

Powozik Willa zatrzymał się tuż obok błyszczącego faetonu czekającego przed rezydencją Paxtonów. Nietrudno było się domyślić, do kogo należy. Nie raz już widział ten cholerny herb. Wicehrabia Spencer przyjechał zabrać Charlotte na spacer.

Znowu.

Właśnie zamierzał zastukać do drzwi.

Słyszając kroki Willa, odwrócił się, ukazując bukiet barwnych tulipanów.

– Witam, panie Repton. Jak tam plany związane z ekspedycją?

– Dobrze – mruknął Will.

Wicehrabia zmrużył oczy.

– Często tu pan przychodzi – wycedził.

– Ben pomaga mi w organizacji wyjazdu. Mieszkam w Richmond, a stamtąd jest wszędzie daleko.

– Doskonale, doskonale. To wyjaśnia pańskie częste wizyty w tym domu.

Will znieruchomiał, nie wiedząc, o co chodzi wicehrabiemu.

Z niewyjaśnionych powodów ten człowiek niezmiernie go irytował.

Spencer zniżył głos.

– Może powinienem pana wykorzystać do szpiegowania moich rywali. Niech mi pan powie, czy do panny Baker przychodzi ktoś jeszcze?

– Myśli pan, że przyjmuje innych kawalerów?

Spencer z wyzywającą miną zajrzał mu w twarz.

– Charlotte ma całe mnóstwo adoratorów. Nie chciałbym, żeby ktoś inny zajmował jej czas po tym, jak poświęciłem tyle wysiłku, żeby ją sobie zjednać.

A niech cię szlag trafi. Jaka szkoda, że ojciec Spencer'a był jednym z najbardziej obiecujących sponsorów jego projektu.

Will był przekonany, że bez trudu by go pokonał, gdyby chodziło o siłę i sprawność. Wicehrabia był dość szczupły, ale bardzo blady, jakby niedokrwiony. Nawet jak na arystokratę.

Will spojrzał na kwiaty.

– Wydawało mi się, że panna Baker najbardziej lubi białe.

Lord Spencer zadzwonił do drzwi, nie spuszczać z niego wzroku.

– Poleciłem służącemu, żeby dostarczył mi to, co najlepsze na rynku. Nie wszyscy jesteśmy

botanikami, panie Repton.

Goodley otworzył drzwi, zanim Will zdążył na to odpowiedzieć.

Ponieważ Will był tak częstym gościem, sam ruszył w stronę gabinetu. Ale zanim zniknął w drzwiach, jak zwykle położył na stoliku pudełko karmelków dla Charlotte.

A raczej dla Jacoba.

Ben siedział przy stole, zatopiony w lekturze.

– Witaj, Willu. Czytałeś sprawozdanie Richarda Burtona z podróży na Goa?

Will mruknął coś pod nosem, położył paczkę na stole i usiadł tak, żeby widzieć przez okno faeton Spencera.

– Jesteś rozkojarzony – stwierdził Ben.

– Hm? Skądże.

Ben powiódł za jego wzrokiem.

– Niezły powozik, co?

Will zrzucił surdut, wyszarpując rękę z rękawów.

– Chyba zabiera ją za miasto.

– Tak. – Ben wrócił do lektury.

Will popatrzył na niego niechętnie. I na tę cholerną książkę. A potem na ten cholerny powóz.

– Ciekawe, gdzie się zmieści jej przyzwoitka.

Ben podniósł wzrok znad książki i popatrzył za okno.

– No cóż, albo znajdzie się miejsce dla Patty, albo nigdzie nie pojedą.

Świetnie. Will, nieco ułagodzony, rozsiadł się na krześle.

– Myślisz, że będzie dla niej odpowiedni?

– Ma odziedziczyć tytuł, a to chyba będzie dla niej odpowiednie. Mimo to...

– Mimo to?

– Nie jestem przekonany, czy ona rzeczywiście coś do niego czuje.

Nie powinno go to aż tak ucieszyć. Przecież nie zależy mu na tej kobiecie. Dlaczego zazdrościć bogatemu fircykowi, który ciągle przynosi jej kwiaty?

Może to przez te kwiaty. Will zawsze zwracał uwagę na szczegóły, więc i ten człowiek też powinien się nauczyć, że ona lubi białe kwiaty.

– Czemu tak uważasz? – Will miał nadzieję, że jego nonszalancja jest przekonująca. – Że ona nic do niego nieczuje?

– Lucy tak mówi – odparł Ben, jak mężczyzna z radością pozostający pod pantoflem.

– Aha. Jasne. Myślisz, że wkrótce jej się oświadczy?

– Nie zdziwiłbym się. Lucy planuje pod koniec tego miesiąca zaprosić kilkoro gości do Windmere, żeby go lepiej poznać. W ciągu tego tygodnia powinien albo się oświadczyć, albo zwinąć żagle, prawda?

– Ben uśmiechnął się i dodał: – Musisz się koniecznie wybrać tam z nami.

Will popatrzył na niego bez słowa.

– Razem z rodzicami. Do tej pory nie udało mi się ich nigdy namówić, żeby nas tam odwiedzili – dodał

Ben z rosnącym entuzjazmem.

Will w żadnym razie nie miał ochoty tkwić na wsi jak w pułapce i słuchać, jak Charlotte ogłasza zaręczyny ze Spencerem.

– Nie, w żadnym razie nie będziemy im przeszkadzać.

Ben machnięciem ręki zbył jego zastrzeżenia.

– To drobiazg, a ja lubię towarzystwo. Rodzice Spencera już przyjęli zaproszenie. To będzie doskonała okazja, by przekonać lorda Harlowe do udziału w finansowaniu twojej ekspedycji.

Will zapadł się w głąb fotela. Od dawna chciał zwrócić się w tej sprawie do ojca Spencera. Głupio byłoby nie skorzystać z okazji.

– Rodzice zawsze chcieli zobaczyć Windmere – przyznał. – Ale Reptonowie mogą się okazać kiepskimi kompanami. Nie przywykliśmy do obracania się w tym samym towarzystwie co panna Baker.

Ben westchnął.

– My też nie. Obawiam się, że wyjdzie z tego jedna wielka katastrofa. Zastanów się. Miło by było mieć do towarzystwa kogoś, kto nie chce się żenić z moją siostrą.

Charlotte usiadła przy toalecie i pokręciła głową. Raz, drugi i trzeci. Przyjrzała się bacznie odbiciu swojej fryzury, sprawdzając, czy żadna szpilka się nie wysunęła, ale wszystko było w porządku. Szafirowe kolczyki też były na miejscu, buty zostały porządnie zasznurowane. Wszystko, co miało być zapięte, zostało pozapinane, to, co należało zawiązać, zostało zawiązane, ale... gdzie są wszyscy?

Patty nie wróciła, by zlustrować jej wygląd. Lucy powiedziała, że kucharka piecze cytrynowe ciasto, i popędziła do kuchni. Nawet Jacob nie kręcił się w pobliżu. Pewnie też siedzi w kuchni.

– Patty?! – zawołała. – Lucy?!

Cisza.

Czy nikomu już na niej nie zależy? Zostawili ją samą, a Hugh tam czeka na dole. A ona... no cóż... ona...

Znowu spojrzała w lustro. Miała zaczerwienione uszy. Może to jakaś wysypka? Na policzkach też jakby wykwyty z gorączki. To pewnie wapory. Nie powinna narażać biednego wicehrabiego na tę tajemniczą kobiecą chorobę.

– Wally?!

Znowu cisza.

Och, do licha! Przecież nie może się poddać. Ma dwadzieścia dwa lata i wiele osób uważa, że to już za późno na małżeństwo. Istnieje całkiem realne zagrożenie, że zostanie zaszeregowana do grupy starych panien.

A w dodatku aż sześciu mężczyzn zasugerowało, że chętnie... spędzaliby miłe chwile w jej towarzystwie.

Odsunęła od siebie te okropne myśli. Jej rodzina nigdy się nie dowie, jak ją potraktowano. Byli tacy dumni z tego, że obracała się w najlepszym towarzystwie. Nie może ich zmartwić. Najwyższy czas, by rozwiązać problem małżeństwa.

Szkoda tylko, że pan Repton nie przychodził do nich każdego dnia.

Nie. Nie tak. Szkoda, że w jego obecności ogarniała ją gorączka. Jego urok oszołomił ją od pierwszego dnia. A te częste wizyty wcale nie pomagały jej dojść do siebie.

To chyba najgorsza choroba na świecie – pożądać mężczyzny, który nic do ciebie nie czuje.

Wzdychając smutno, wstała i zeszła na spotkanie z wicehrabią.

– Witaj, Hugh.

Śliczne były te tulipany, chociaż nie lubiła kolorowych kwiatów. Ucieszyła się na widok karmelków.

To był z jego strony bardzo miły gest. Jacob uwielbiał słodycze.

Z gabinetu dochodził dźwięk głębokich, męskich głosów. Zmusiła się, by im się nie przysłuchiwać. Uśmiechnęła się do gościa.

– Hugh, nie powinieneś mi ciągle przynosić prezentów. Choć są urocze.

– Nie możesz odmówić mi przyjemności wybierania szczęśliwych roślin, które będą mogły rozkoszować się ciepłem twojego uśmiechu.

Zaśmiała się, gdy złożył ekstrawagancki ukłon.

Ale kiedy się prostował, kątem oka pochwyciła jakiś ruch z tyłu za sobą. Odwróciła głowę.

Przez otwarte drzwi gabinetu widać było pana Reptona, który stał oparty o biurko i obserwował bacznie ich oboje. Zmierzył ją ostrym wzrokiem, a potem odwrócił się do Bena.

Dlaczego on zawsze z taką niechęcią patrzy na jej rozrywki? A co gorsza, na jej suknię? Gdyby chciała, też mogłaby znaleźć uchybienia w jego wyglądzie.

No... może akurat nie dzisiaj, bo doskonale wyglądał w bryczesach. Ale dżentelmen powinien mieć zawsze na sobie surdut, zamiast pokazywać wszystkim ramiona... chociaż się bardzo dobrze prezentowały w tej granatowej kamizelce. Wally zaprowadził go do swoich krawców. To dziwne, że tak łatwo się zaprzyjaźnili, choć mieli tak niewiele wspólnego ze sobą.

Hugh uniósł brew.

– Powiniennem przywitać się z twoim bratem.

– Nie trzeba.

Ale jej towarzysz już ruszył w stronę gabinetu.

– Jak się pan miewa, panie Paxton? Przyjechałem zabrać tę uroczą dziewczynę na przejażdżkę do Heath. Pogoda jest tak piękna, że nie oparłem się pokusie wycieczki w tak miłym towarzystwie.

– Owszem, trudno o ładniejszą pogodę – przytaknął Ben z uśmiechem.

Pan Repton mruknął coś niechętnie, jakby zaskoczony.

Natomiast ona wcale nie była tym zaskoczona.

– O co chodzi, Will? – zapytał Ben.

– Nic takiego – odpowiedział i wzruszył tymi umięśnionymi ramionami. – Widziałem chmury na północy. Na pani miejscu zabrałbym jakieś okrycie, panno Baker.

Charlotte wyrzała przez okno. Blask słońca dosłownie oślepił.

Pan Repton chmurnym wzrokiem popatrzył na jej spory dekolt.

– Szczerze mówiąc, powinna pani zabrać płaszcz.

Popatrzyła na swoją suknię.

Płaszcz kompletnie zrujnuje cały efekt.

– Will ma rację, Charlotte – przytaknął Ben. – Powiedz Patty, żeby wzięła też okrycie dla siebie.

Patty?

– Ale...

Uniósł tylko brew.

– Dobrze, oczywiście – mruknęła, czując się jak dziecko.

Czy naprawdę nie można raz na jakiś czas obyć się bez przyzwoitki? Miała przecież już dwadzieścia dwa lata. Wiele dam jeździło na wycieczki z narzeczonymi. Poza tym wybierali się przecież na spacer po Hampstead Heath, nie do żadnej podejrzanej spelunki.

Speszona, rzuciła spod oka spojrzenie na pana Reptona, który nie dbając już o jej obecność, spokojnie czytał gazetę.

Zwróciła się do lokaja:

– Poproś Patty, żeby przygotowała się do wyjazdu.

– I niech zabierze płaszcze – dodał Ben.

Will zakasłał, ale kiedy rzuciła nań podejrzliwe spojrzenie, przekonała się, że dalej siedział z nosem w gazecie.

Nie powinna zwracać na niego uwagi. Chciał tylko ich przestrzec przed deszczem, choć dzień był przepiękny.

„Ja bym założył kaptur, panno Baker. Czy pani nie ma płaszcza, panno Baker? Czy to rozsądne, wybierać się z domu w takiej sukni, panno Baker?”

– Mam przecież narzutkę w powozie – wtrącił Hugh.

Pan Repton zmarszczył brwi, opuścił gazetę i przetarł oczy.

Dziś były bardzo podkrążone i zaczerwienione z braku snu. Widać to było wyraźnie przez kontrast z błękitnymi tęczęwkami. Ile to razy zaglądała do gabinetu, patrząc, jak pochyla się nisko nad lekturą, jakby głowa ciążyła mu na ramionach? Na pewno nie sypia zbyt dobrze.

Popatrzył na nią spod oka i podniósł wyżej gazetę. Nie poddając się fali współczucia, ruszyła ku drzwiom, ale nagle jej uwagę przykuł przedmiot stojący na samym środku biurka Bena. Figurka mężczyzny i kobiety, stojących bardzo blisko siebie. Chyba była orientalna. Och! Następny przedmiot stamtąd!

Pan Repton przywiózł ich ze sobą bardzo wiele. Od czasu do czasu pokazywał je całej rodzinie i dzielił się opowieściami. Uwielbiała te chwile, bo dzielił je także z nią. A przynajmniej nie sprzeciwiał się, gdy się przysłuchiwała. Ale o tej figurce pewnie już opowiedział wszystko Benowi. Nie lubił się powtarzać.

Mimo rozczarowania podeszła do stołu, żeby przyjrzeć się jej bliżej.

Nigdy nie widziała czegoś podobnego. Postać męska miała trzy twarze i wiele rąk, które otaczały ciało kobiety. Ta jedną nogą obejmowała partnera. Mieli spokojne, uśmiechnięte twarze, jakby byli zakochani.

W każdej ręce postaci był inny przedmiot, ale Charlotte nie rozumiała dlaczego. Ich stopy spoczywały

na jakimś zwierzęciu. A głowy otaczały im płomienie. Splotła dłonie, zanim dotknęły figurki. Nie zapytała o nią. Za nic.

Odwróciła się od stołu i pochwyciła wzrok pana Reptona znad gazety. Szybko spojrzała gdzie indziej.

– Czy to jakiś chiński idol, panie Repton? – spytał Hugh, który w ślad za nią podszedł do stołu.

Podniosła głowę. Och! Świetnie! Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

– Tybetański. – Pan Repton odłożył gazetę i ku jej zdumieniu stanął tuż obok niej.

Zawsze, kiedy pokazywał im swoje skarby, lubiła udawać, że mówi tylko do niej. A dziś stanął akurat tak, że mogła fantazjować do woli.

Odwrócił się tyłem do Hugh i przestawił figurkę bliżej, żeby mogła jej się przyjrzeć.

– Przyjechała dopiero wczoraj – mruknął. – Prawie już zapomniałem, co w niej było.

Ponieważ nikt się przez chwilę nie odzywał, błyskawicznie zadała pytanie:

– Kto to jest, panie Repton?

– Buddyjskie bóstwa, zwane Hewadzra i Nairatmja. – Zniżył głos, a jego ton przyprawił ją o dreszcz.

– To bóstwa tantryczne. W buddyzmie tybetańskim połączenie męskości i kobiecości symbolizuje związek mądrości i współczucia, więc postaci często przedstawia się w objęciach seksualnych.

Czy mówił serio? Spojrzała na niego, by to sprawdzić, ale spoglądał gdzieś w bok. Potem popatrzyła na figurkę by sama się przekonać, i rzeczywiście – nieomal oniemiała. Pochyliła się by przyjrzeć się bliżej. Objęcia seksualne?

Hugh prychnął.

– Chce pan powiedzieć, że oni uprawiają...

– Ale ja nic nie widzę! – Aż zrobiła zęza, próbując zajrzeć między dwa ciała z brązu. – Które z nich jest mądrością, a które współczuciem, panie Repton?

Pochwyciła cień uśmiechu na jego wargach. Była tak zdziwiona, że tylko mruknęła:

– Jacy są piękni.

– Są nieprzyzwoici. – Hugh zaśmiał się głośno.

Oniemiała na tę niegrzeczną uwagę. Popatrzyła na pana Reptona, żeby chociaż spojrzeniem przeprosić go za zachowanie Hugh'a. Chyba to wyczuł, bo spojrzał jej prosto w oczy.

To, co w nich płonęło, sprawiło, że nagle wszyscy inni i wszystko inne przestało się liczyć.

– Jest już twoja służąca. – Hugh ruszył ku drzwiom.

Patty z radosnym uśmiechem na twarzy wyszła z drzwi prowadzących do pokoju dla służby, więc Charlotte przywołała na twarz spokojną minę, łagodną jak Hewadzra.

– Tak... dziękuję, Patty. Pojedziemy do Heath.

Wciągnęła rękawiczki.

– Świetnie. – Hugh podszedł bliżej. – Mało brakowało, a bym zapomniał o liście od ojca.

Wyjął z kieszeni kopertę i podał ją panu Reptonowi.

– Hrabia zaprasza pana w przyszły piątek na kolację i tańce, panie Repton. Będzie pan wśród znajomych, bo Paxtonowie też przyjęli zaproszenie.

Pan Repton przyjął kopertę z miną, jakby była usmarowana końskimi odchodami, ale zwlekał z

odpowiedzią.

– Koniecznie musi pan przyjść. – W głosie Hugh zadźwięczała niecierpliwość. – Ojciec chce pana poznać. Ale na pana miejscu nie zabierałbym ze sobą tej pogańskiej figurki. – Zaśmiał się. – Oprócz tańców będą też inne rozrywki. Karty i tak dalej. Ale jeżeli to pana nie pociąga, to przynajmniej popatrz pan, jak pięknie tańczy panna Baker.

Charlotte zarumieniła się, zirytowana kolejnymi impertynencjami swego towarzysza.

– Obawiam się, że to kiepska atrakcja. Dalej, panie Repton. Niech pan szybko odmówi i będzie nas pan miał z głowy.

– Z przyjemnością przyjdę.

Pan Repton odpowiedział na jej zaskoczoną minę spojrzeniem, w którym błysnęło wyzwanie.

Skonsternowana Charlotte, nie patrząc, ujęła Hugh pod rękę.

– Idziemy, Hugh?

Nie ruszył się, bo wpatrywał się intensywnie w pana Reptona.

– Hugh?

– Hm? Och tak, świetnie.

Skłonił się na pożegnanie.

– Do widzenia panom.

Charlotte ruszyła ku drzwiom.

– Panno Baker.

Obróciła się jak fryga. Nigdy przecież nie zwracał się do niej tak bezpośrednio. Wyglądał na równie zaskoczonego swoimi słowami, jak ona.

– Jeszcze jedna przestroga? – zapytał Hugh. – Proszę się nie martwić, nie zmarznie przy mnie.

Pan Repton przez moment zajrzał w jej oczy, zanim jego twarz znowu skamieniała.

Nie rozumiała, o co mu chodziło, ale... zawsze tak było. Najpierw spotykali się wzrokiem, potem on się odwracał. A ona miała wrażenie, że odebrano jej coś ważnego.

– Nieważne. – Pan Repton odwrócił się od nich.

Posmutniała. Co chciał przez to powiedzieć?

– Chodź, Charlotte – przynaglił ją Hugh.

Nie dbając o to, pośpieszyła za panem Reptonem. Dotknęła jego łokcia. Odwrócił się, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia.

– Niech mi pan powie coś jeszcze – szepnęła – o tych postaciach. Która jest mądrością, a która współczuciem?

Jego oczy spojrzały ciepło. Pochylił głowę i szepnął jej do ucha:

– Kobieta jest mądrością. Myślałem, że pani sama się domyśli – dodał z uśmiechem.

Spotkali się wzrokiem na dłuższą chwilę. Było tak cudownie, że zachciało jej się płakać. Skinęła głową z uśmiechem.

Potem odwróciła się i wyszła z pokoju bez słowa, nie zapominając o tym, by zabrać leżący w przedpokoju płaszcz.

5

Will złożył nowy surdut i powiesił go na oparciu krzesła w gabinecie Bena. Czarna tkanina z wełny merynosów i jedwabiu była lekka i miękka. Nigdy w życiu nie miał czegoś tak pięknego. I pewnie nigdy więcej nie będzie miał. Ten krawiec był naprawdę drogi.

Ale Wallace tak mu doradził, więc Will go kupił. Nie zamierzał paradować przed Charlotte na balu u Spencerów w swoim codziennym ubraniu.

Podszedł do okna, żeby nabrać dystansu do nowego surduta i w ogóle do całego balu. Takie wieczory były nienaturalne. Balowe suknie, kolacja ciągnąca się w nieskończoność i konwersacje z mężczyznami, którzy mogliby go dziesięć razy kupić i sprzedać.

Ale to będzie dopiero za jakiś czas. Teraz trzeba się zająć ważniejszymi sprawami.

Na chodniku przed domem nikogo nie było. Spojrzał na zegarek. Seth Mayhew się spóźniał. Niewiele, ale zauważalnie, tym bardziej że Will był sam, więc czas mu się dłużył. Wszyscy przygotowywali się na bal w pokojach na górze. Nawet Jacob go opuścił, chociaż właśnie dzisiaj Will miał dla niego zadanie, które chciał mu przekazać, zanim damy zejdą na dół.

Charlotte w sukni balowej... Nigdy jej nie widział w takim stroju. Obrócił się na pięcie i sięgnął po whiskey, którą Wallace nalał mu wcześniej. Pociągnął solidny łyk.

Sześć minut po czasie.

Czy Mayhew będzie chciał mu pomóc? Nigdy się nie spotkali, ale przecież też jest odkrywcą i botanikiem, więc może się zgodzi.

W drzwiach stanął lokaj.

– Pan Mayhew właśnie przyjechał, proszę pana.

– Dziękuję.

Will rozprostował zaciśnięte pięści i poszedł w ślad za lokajem, żeby nie stwarzać wrażenia, że to jego sługa. Ben zgodził się użyczyć swego domu na takie spotkania, ale Will czuł się tym skrupowany. Mayhew wiedział, u kogo jest spotkanie, ale mimo to Will wolał szczególnie uważać na pozory.

Stojący w holu mężczyzna był tak potężnie zbudowany, że pomieszczenie wydało się zatłoczone. Seth Mayhew – badacz Ameryki Południowej. Albo zdobywca.

Można by tak przypuszczać, patrząc na jego sylwetkę. Był wielki, szeroki i solidny jak trzymasztowa fregata.

W odróżnieniu od większości odkrywców, którzy tracili siły na wyprawach.

– Witam, panie Mayhew. Jestem Will.

Mężczyzna pochwycił jego rękę i ścisnął ją solidnie.

– Proszę mnie nazywać Seth – zaproponował głosem równie silnym, jak powiew wichury z zachodu.

W kącikach zielonych oczu widać był zmarszczki od spoglądania pod słońce. Nawet włosy związał w kucyk z tyłu głowy.

Jacob nareszcie spotka swojego pirata.

Will zebrał myśli i gestem zaprosił Seta do gabinetu.

– Dzięki, że zechciałeś przyjść. Ben Paxton jest na gorze, przebiera się do kolacji.

– Życie angielskich dżentelmenów, co? – Seth uśmiechnął się, przesuwając wzrokiem po postaci

Willa. – Sam wyglądasz jak dandys.

– Zaprosili mnie tylko dlatego, że jestem przyjacielem rodziny. Jak przebiegła podróż?

– Fantastycznie. Nie nadzialiśmy się na żadną rafę ani nie zatnęliśmy.

Will skinął głową. To była jedyna właściwa odpowiedź na takie pytanie.

– Poszukiwałeś leczniczych roślin, prawda?

– Między innymi. – Seth wskazał gestem jego kamizelkę. – Kto ci to zrobił?

Will popatrzył na swoją pierś.

– Słucham?

Seth rozglądał się po pokoju, aż natrafił wzrokiem na surdut. Skoczył na równe nogi, pochwycił go i odsunął na długość ramienia, żeby się dobrze przyjrzeć.

– Do diabła, patrzcie no tylko. – Jego potężny głos przycichł nieco z podziwu. – Nawet nie widać szwów. Możesz go włożyć? – Podał Willowi jego drogocenne okrycie.

Will zamrugał, ale wstał.

– Oczywiście.

– Wiem, że to nieelegancko pytać o takie rzeczy, ale jesteś rozbudowany w ramionach tak samo jak ja i... Patrzcie no tylko! To świetnie wygląda, naprawdę. Mój krawiec powiada, że z moją budową nie powinienem nosić surduta o takim kroju.

Seth z niesmakiem poklepał się po kłapach.

– Powiedział, że lepiej się nie da.

– Moim zdaniem to kiepska wymówka. Moim zdaniem jesteś całkiem proporcjonalnie zbudowany.

Will pokręcił głową. Czemu, u licha rozmawiają o krawcach?

– Ja... mmm... chętnie dam ci adres tego krawca.

Odciął kawałek papieru i zapisał go od razu.

– Dzięki.

Seth usiadł i znowu się uśmiechnął.

– O coś przed chwilą pytałeś, prawda? – przypomniał sobie po chwili.

O to, czy mi pomożesz.

– O Brazylię – powiedział gładko. – Poszukiwałeś tam leczniczych roślin, między innymi.

– Tak jest. Również drzew. Ale znalazłem też rośliny ozdobne.

– Ten czarny storczyk z czerwoną obwódką, którego ostatnio odkryłeś, jest niesamowity.

Seth uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Nazwali go *Catasetum phantasma*, czyli „storczyk widmo”. – Pochylił się do Willa. – Stoję po pas w Rio Gurupi, woda mętna jak płynna miedź, więc nawet nie wiesz, co ci pływa między nogami – i nagle go widzę. Wyglądał jak elf schowany w mchu. Na statku dosłownie spałem z kasetką w ramionach.

Prawdziwy botanik odkrywca. W ogóle nie wspomniał o tym, że storczyk osiągnął na aukcji cenę tysiąca funtów. Pieniądze zawsze są mniej ważne niż samo odkrycie.

Will kiedyś taki był. Cressey też. Ale to już nigdy nie wróci.

Zaczął ostrożnie:

– Bardzo mnie interesują twoje odkrycia, ale zaprosiłem cię na spotkanie w trochę innym celu. – Przerwał na moment. – Wiesz, co się stało w Tybecie?

– Owszem. Cholerny koszmar.

– Ktoś z rodziny oferuje dwadzieścia tysięcy funtów za odnalezienie niemowlęcia.

Seth szeroko otworzył oczy.

– Myślałem, że...

– Możliwe, że dziecko ocalało. – Will posłał mu spokojne spojrzenie. – Chciałbym, żebyś przekazał tę wiadomość George.

– Przekazać wiadomość George? – Oczy Seta pociemniały, zmieniając się jak powierzchnia oceanu. Ale na wargach zaigrał ten sam spokojny uśmiech.

– George nie pojedzie do Tybetu.

– Boże, w żadnym wypadku. Nie proszę...

Will uspokoił go gestem dłoni. Właśnie sobie uświadomił, jak bardzo mu zależało na pomocy Seta. Ale ten człowiek wcale nie był takim entuzjastą, jak się wydawał. Przynajmniej nie wtedy, gdy chodziło o jego rodzinę.

– Chciałbym, żeby przekazała tę wiadomość wszystkim wokół – wyjaśnił. – I odpisała mi, jak jej poszło. Rozesłałem listy po całej Azji. Nikt nie odpowiedział.

Wzrok Seta złagodniał.

– Nikt?

Will pokręcił głową.

Seth skrzyżował ramiona na piersi.

– Nie wiem, czy uda mi się do niej dotrzeć. Mój ostatni list wysłałem na poste restante do Kantonu i nikt go nie odebrał. Miał czekać na nią przez dwa miesiące....

– Odchrząknął. – A trzymali go przez cztery. George powiedziała, że mam go wysłać do Kantonu, ale sam wiesz, jak to jest. Ekspedycje naukowe nie trzymają się terminów. Ale następnym parowcem wysłałem kolejny list. Do Kantonu i do Hongkongu. – Zawahał się, a potem dodał: – Mogę dołączyć twoją wiadomość.

– Dziękuję. Wierz mi, nigdy bym nie zachęcał jej do podróżowania po...

– Nie ważne, czy byś zachęcał, czy nie, ona i tak robi tylko to, co sama chce.

W oczach Seta błysnął żal. Pod uśmiechniętą maską był taki sam jak Will. Obaj porzucili dom, nie

ożenili się i wmawiali sobie, że warto całymi miesiącami albo nawet latami szukać czegoś, co nie istnieje.

Nie bali się tego, co większość ludzi. Nawet, jeśli ten strach był uzasadniony. Może po prostu bali się czegoś innego.

Zaskrzybiały uchylane drzwi. Do środka zajrzał Jacob w marynarskim ubranku.

– Chodź do nas – zaprosił go Will.

Na widok Setha chłopiec stanął jak wryty. Seth skrzyżował ramiona na potężnej piersi i puścił od niego oczko.

– Ahoj, marynarzu.

– Jacob, to jest pan Mayhew. – Will podszedł do swoich paczek. – Możesz mi pomóc?

Chłopiec podbiegł do niego.

– Pewnie, że tak, panie Repton.

Kiedy wyjaśnił mu wszystko i wysłał go na górę, odwrócił się do uśmiechniętego Setha.

– Więc zalecasz się do szwagierki Paxtona? – zapytał jego nowy znajomy.

– Skądże znowu! – Will spochmurniał, zdziwiony, że pytanie wyzwoliło w nim taką burzę emocji. –

Dlaczego?

– Bo kazałeś chłopcu, żeby je zaniósł na górę.

– Jestem tylko przyjacielem rodziny.

– Uważaj, bo możesz zostać czymś więcej. – Seth zaśmiał się. Ale w jego oku zabłysła ciekawość. –

Ładna jest?

– Nooo... – Will przyjrzał mu się uważnie. Charlotte by go polubiła. Seth Mayhew nie był brzydki.

Też dużo podróżował, ale w odróżnieniu od Willa, jedyne duchy, z jakimi miał styczność, kwitły w amazońskiej dżungli.

– Owszem, dosyć ładna – mruknął.

Seth westchnął i splótł palce dłoni z tyłu głowy.

– Jest już z kimś po słowie?

– No...

– Ciemna czy blondynka? A może ruda? Jest inteligentna? Nie podobam się spokojnym kobietom. Zbyt surowym też nie. Kiedy zejdzie na dół? Chciałbym ją sam obejrzeć.

Do diabła ciężkiego!

– To dama – warknął, zanim przypomniał sobie, że potrzebuje pomocy tego człowieka.

Seth ryknął śmiechem.

– Więc nie będzie chciała mieć ze mną nic wspólnego! Kobiety w Brazylii też nie chciały. Mówiły, że jestem dla nich za duży, i pewnie miały rację. Ale i tak próbowałem.

Will gapił się na niego. Chyba jednak nie byli tacy sami.

Seth zatarł ręce i trochę spoważniał.

– Napisz list do George, ale nie licz na odpowiedź. – Uśmiechnął się znowu. – Do diabła, jesteśmy botanikami. Przyzwyczailiśmy się do rozczarowań, co nie?

Will zmusił się, by nie patrzeć na sufit, który dzielił go od Charlotte.

– Zdecydowanie masz rację.

Debata nad fryzurą Charlotte trwała już długą godzinę, ale emocje wciąż narastały, choć za chwilę pod rezydencją miał stanąć powóz, którym cała rodzina pojedzie na kolację do hrabiego Harlowe.

Dawno już przestała udawać, że wieczorne wyjście sprawia jej przyjemność. Ale nie miała ochoty dłużej walczyć z własną pokojówką.

– Patty, chyba nie mówisz serio. Perły przytłoczą całe uczesanie.

Siedziała przy toaletce i kłóciła się z lustrzanym odbiciem Patty.

– A pióra to nie?

– Jakoś trzeba zasłonić te loki, bo zakręciłaś je tak, że wyglądają jak parówki.

Pokojówka skrzyżowała ręce na piersi.

– Z całym szacunkiem, Charlotte...

W tym momencie Charlotte przestała jej słuchać. Kiedy Patty powiedziała „z całym szacunkiem”, oznaczało to, że za nic nie zmieni zdania. Nie warto było się dalej spierać.

Będzie miała we włosach perły i już.

I będzie wyglądać koszmarnie.

Wieczór miał być jednym z największych wydarzeń sezonu. W rezydencji rodziny Hugh była przepiękna sala balowa. Zjawią się wszyscy znajomi, a przede wszystkim będą tam Ben i Lucy, których nikt nie zapraszał na takie spotkania. Choć ciąża Lucy była trochę zbyt zaawansowana i graniczyła z nieprzyzwoitością. Hugh jednak się uparł.

Szkoda tylko, że będzie też pan Repton...

Zza drzwi wyrżał nachmurzony Wally.

– Charlotte, dlaczego nie jesteś jeszcze gotowa? Will już czeka na dole.

– Wiem! – Charlotte złapała ze stołu rękawiczki i włożyła je pośpiesznie.

– Dlaczego Ben zaproponował mi, żeby pojechał z nami?

Wally oparł się o framugę i uniósł brew. Zupełnie, jakby mieli po dziesięć lat.

– Chyba wiesz, że Will nie trzyma koni.

– Nie będzie mu odpowiadało nasze towarzystwo. Jesteśmy dla niego za głupi – rzuciła, mając nadzieję, że brat zaprzeczy.

Ale on tylko przekrzywił głowę.

– Perły?

Zgarbiła się na fotelu.

– Czy on... czy pan Repton ubrał się porządnie?

Oczy jej brata pojaśniały.

– Nie miał nawet fraka. Ale teraz już ma i naprawdę świetnie wygląda, sam muszę przyznać.

– A dlaczego sam chcesz to przyznać?

Wally pogładził własny, nieskazitelnie skrojony frak.

– Posłałem go do własnego krawca. Do Zegnorellego. Włosi doskonale wiedzą, jak ubrać mężczyznę.
Nagle pod nos podsunęto jej bukiet miniaturowych, przypominających dzwoneczki kwiatów.
Podskoczyła do góry.

– Och... jakie śliczne!

Jacob podskakiwał do góry z emocji, trzymając w rękach kwiaty.

– Pan Repton ci je przyniósł.

Te słowa przeszły jej serce jak strzała. To nieprawda. Pewnie przyniósł je dla całej rodziny.

– A nie mówił przypadkiem, że są dla twojej mamy? – Mówiąc to, uniosła pytająco brwi.

Jacob pokręcił głową, rozbawiony jej powątpiewaniem.

– Kazał mi zanieść je do ciebie. Przyniósł też słodczyce, ale powiedział, że są dla mnie.

– Dobrze, już dobrze. Dziękuję, kochanie.

Nie pytała więcej, tylko pocałowała go w policzek.

Patty przyjrzała się kwiatom.

– Boże, jakie śliczne! – Potem spojrzała na nią z uśmiechem.

– Mam pewien pomysł.

Pośpiesznie zdjęła perły i ozdobiła jej włosy kilkoma gałązkami białego kwiecia. Razem z bratem uznali, że kwiaty od pana Reptona idealnie pasują do balowej sukni o barwie kości słoniowej.

Naprawdę miała wielkie szczęście. Rodzina nie skąpiła wydatków na jej stroje, więc zawsze była modnie ubrana. Jedwab był lekki jak powietrze, a delikatnie perełki, którymi obszyto stanik, rzucały blask na dekolci. Nawet jeśli był nieco zbyt niski, a talia nieco zbyt wąska, nie sposób było nic zarzucić przyzwoitości tego stroju.

Wyglądała całkiem nieźle tego wieczoru. Skrzywiła się, gdy pomyślała o ironii losu. Pan Repton nigdy nie zwracał uwagi na jej suknie. Nigdy, ale to nigdy. Chyba że oceniał je jako kompletnie niepraktyczne, ze względu na londyńskie monsuny, porę deszczową i liczne zawieruchy.

Poprawiła perełkę przy dekolcie. Suknia była przepiękna.

Może dziś wreszcie zwróci na nią uwagę...

Zirytowana własną głupotą, włożyła wreszcie rękawiczki i zeszła po schodach w towarzystwie Wally'ego i Jacoba.

Pan Repton pewnie nie odezwie się ani słowem. Nie może budzić w sobie żadnych nadziei, bo potem będzie przygnębiona. Z układowym wyrazem twarzy weszła do salonu.

Pan Repton stał zwrócony twarzą do drzwi, więc wchodząc, nie mogła uniknąć jego wzroku. Szybko spuściła oczy. A raczej, najszybciej jak mogła.

Ależ mu było do twarzy w tej czerni. Więc tak wyglądał mężczyzna jej marzeń w świetle kandelabrow. Jego włosy lśniły jak stare złoto, a frak opinał jego potężne ramiona i szczupłe biodra. Nigdy w życiu nie widziała kogoś równie przystojnego. I tak... niepokojącego. Wyglądał jak prawdziwy oczajdusza, który łamie kobietom serca. Choć wcale taki nie był – zawsze zachowywał śmiertelną powagę.

Zawsze, ale nie dziś.

Zachowywał się zupełnie inaczej. Nigdy tak nie patrzył na nią przez tak długi czas.

A konkretnie na jej biust.

Usiadła na sofie, pamiętając, by trzymać podbródek w górze i nie patrzeć na własny dekolt, jakby sama sprawdzała, co go tam mogło zainteresować.

Mężczyźni to takie ciekawskie stworzenia, pomyślała. Suknie noszone na co dzień skromnie zasłaniały damę od stóp do głów, ale suknie balowe to inna sprawa. I tak był dyskretny, bo w miarę szybko odwrócił oczy. W końcu był mężczyzną, nic dziwnego, że się patrzył.

Nie spodziewała się z jego strony męskiego zainteresowania.

Ojej. Znowu się im przyglądał.

– Jeszcze jedną? – spytał Wally, wskazując na szklanę Willa.

– Chętnie. Dziękuję.

– Widzę, że pan Mayhew już poszedł – stwierdził Wally.

Will odpowiedział, że owszem, tajemniczy pan Mayhew przyszedł i poszedł, i na tym koniec. Taka krótka odpowiedź nie była chyba zbyt elegancka? Tym bardziej że Charlotte płonęła z ciekawości.

Przypomniała sobie, że nawet się z nim nie przywitała. Poczekwała cierpliwie, aż Wally mu naleje. Zawsze, zawsze musiała sama zaczynać z nim rozmowę.

– Dobry wieczór, panie Repton – powiedziała.

Skłonił się, spoglądając na pąki jaśminu w jej włosach.

– Dziękuję za bukiet.

Poprawiła gałązkę delikatnych kwiatów we włosach. Uświadomiła sobie, że to może wyglądać na kokieterię, więc opuściła rękę.

– Nigdy nie widziałam takich kwiatów i tak mnie zachwyciły, że wplotłam je we włosy.

Zapatrzył się w swoją whiskey.

– Ja zaś nigdy nie widziałem jaśminu w tak pięknym zestawieniu.

Zaśmiała się zaskoczona – głośniejsz, niż zamierzała.

– Pięknie powiedziane, panie Repton.

Spojrzał jej prosto w oczy.

– Charlotte. – Wally ściągnął brwi jak cenzor. – Zwykle o wiele bardziej entuzjastycznie witasz komplementy. Pan Repton może się zniechęcić.

Akurat, zniechęcić. Ale i tak zaczęło ją ogarniać przygnębienie. Pan Repton wykorzystał każdy pretekst, by jej unikać tego wieczoru. I właśnie mu go podsunęła.

Brakowało jej powagi, jaka z pewnością by mu bardziej odpowiadała. Ale nie da z siebie zrobić naiwnej, głupiej albo – do diabła – bardziej przygnębionej, niż jest teraz.

Posłała mu uśmiech – miała nadzieję, że beztroski.

– Przepraszam, panie Repton, ale musi być pan ostrożniejszy, robiąc takie porównania. Może pan pamięta swój własny opis jaśminów kwitnących nocą w dolinie rzeki Li. Napisał pan, że to był najwspanialszy widok w pana życiu. I że nie ma takiego miejsca na ziemi, które by się z nim równało.

Pan Repton wpatrywał się w nią w milczeniu, więc odpowiedziała spojrzeniem pełnym wystudiowanej naiwności.

– Naturalnie, ten fragment był w jednym z tomów, których nie wolno było mi czytać. Ale wybaczy mi pan to uchybienie, prawda?

Zaciśnięte na szklance palce Reptona poruszyły się konwulsyjnie, ale nie odezwał się ani słowem.

Jak zwykle.

Był niemal codziennym gościem w gabinecie Bena, więc odzywała się do niego dosyć często – czasem z grzeczności, czasem ze szczerzej ciekawości, a czasem tylko po to, by przebywać w jego pobliżu.

A on za każdym razem ją przeproszał i odsyłał z niczym.

Nic o sobie nie mówił.

Kiedy pokazywał Paxtonom ciekawostki z Azji, też nie zapraszał jej, by się przyłączyła.

– Czyż nie mam racji, panie Repton? – naciskała, czując, jak budzi się w niej dziwna desperacja. – Parę kwiatków we włosach kobiety nie może się równać z takim widokiem. Wprawdzie kobiece czasopisma zapewniają nas, że zakochany mężczyzna będzie przedkładał widok ukochanej nad wszystkie inne boskie twory, nas to przecież nie dotyczy. Zresztą, wcale nie jestem przekonana, że ten rodzaj emocji jest w ogóle dostępny dla Anglików. Może dla Włochów, ale...

– Nie umiem prowadzić modnych rozmów w tym stylu, panno Baker. – Pan Repton odwrócił wzrok; widziała, jak drga mu mięsień szczęki.

– Proszę mi wybaczyć.

Poczuła, jak krew rozgrzewa jej policzki. Co się z nią działo? Zawsze świetnie potrafiła prowadzić konwersacje i była mistrzynią dobrego tonu, a nie potrafiła dojść do ładu z tym człowiekiem nawet na chwilę. Nawet Jacob karcąco wyduł wargi.

– W każdym razie kwiaty są piękne – powiedziała cicho. – Hugh nawet w połowie nie potrafiłby się zdobyć na coś takiego.

– Dlaczego? – Pan Repton postawił szklankę na kominku.

– Przepraszam?

– Ten Spencer. Dlaczego nie nauczy się, jakie kwiaty lubi pani najbardziej?

– No, cóż...

– Przynosi pani tulipany, róże i goździki. Nawet nie pomyśli o śnieżynkach, narcyzach albo konwaliach. Zresztą, pani za nimi nie przepada. Za jaśminem też, ale pomyślałem, że spodoba się pani, jak ten kwiat zmienia nocą zapach. Ani razu nie widziałem, żeby przyniósł pani peonie.

Mogła tylko wpatrywać się w niego w milczeniu.

– Białe peonie, prawda? – Popatrzył na nią, a jego głos złagodniał. – Nie. Raczej kremowe. Lekko różowione w głębi, z malinowymi paseczkami i złotymi pręcikami, które widać dopiero, gdy w pełni rozkwitną. – Zamrugał i odwrócił wzrok. – Myślę, że te pani lubi najbardziej.

– Tak jest. Skąd pan...

– Panie Repton, jak pan zabójczo wygląda! – wykrzyknęła Lucy, wchodząc do salonu razem z Benem.

Ku uldze Charlotte podszedł do nich, by się przywitać.

Urażona tą rozmową, poczuła ukłucie zazdrości, kiedy skłonił się przed Lucy i popatrzył na nią z uśmiechem, a potem ujął jej rękę.

– Przepięknie pani dziś wygląda, pani Paxton.

– Da pan mamie kwiatki? – upomniał się Jacob ze swego krzesła.

– Już dostaliśmy kwiaty, Jacobie – odpowiedział Wally. – Jaśmin, pamiętasz?

Ale pan Repton podszedł do siedziska przy oknie i wziął stamtąd bukiet róż o długich łodygach.

– Przepraszam. Powinienem je wcześniej posłać na górę. Są z ogrodu mojego ojca.

Zachwycona Lucy klasnęła w dłonie. Pewnie Ben mu powiedział, że najbardziej lubi żółte róże.

Więc jaśmin miał być tylko dla niej...

Po raz pierwszy pan Repton dał jej prezent, a ona zlekceważyła jego wysiłki. Gorzej, wdeptała je w ziemię jak dziecko. Żadna dobrze wychowana, wrażliwa dama by się tak nie zachowała.

Ten wieczór będzie się ciągnął w nieskończoność.

Lucy uśmiechnęła się do niej.

– Charlotte, jakie piękne kwiaty masz we włosach.

Czuła się okropnie, ale przywołała uśmiech na twarz.

– Tak, pan Repton mi je przyniósł.

Ben podszedł o krok bliżej.

– Jaśmin z Madagaskaru? Jak ci się udało go zdobyć, Willu? To niezwykle rzadkie kwiaty.

Pan Repton założył ręce na piersi i musnął ją wzrokiem, zanim jak zwykle zaczął się rozglądać po całym pokoju. Jego spojrzenie powędrowało ku zasłonom, sufitowi i półce nad kominkiem, gdzie czekała jego whiskey. Ruszył w tamtą stronę.

– Noo... Chiswick hoduje kilka odmian, więc Cavendish mi pozwolił...

– Księżę Devonshire? – upewnił się Ben.

– Właśnie. – Will ujął szklanekę w dłoń.

Zapadła cisza, pełna podziwu dla jego znajomości. Księżę należał do najpotężniejszych ludzi w Anglii. Po chwili jednak uwaga towarzystwa skupiła się na głowie Charlotte. Niewątpliwie zastanawiali się nad cennymi krzewami księcia, które pozbawiono kwiecica, by ozdabiało jej włosy.

Na szczęście pan Goodley oznajmił przez drzwi, że powóz już zajechał.

Ben pomógł Lucy włożyć płaszcz. Wally wziął Jacoba na ramiona, by odprowadzić ich do drzwi.

Charlotte poszła za nimi, a potem stanęła na palcach i pocałowała brata na dobranoc.

– Szkoda, że nie idziesz z nami – szepnęła.

A Wally odpowiedział jak zawsze:

– Następnym razem, najdroższa.

– Panno Baker? – Pan Repton przepuścił ją w drzwiach. Naturalnie nawet nie podał jej ramienia.

Ben i Lucy usadowili się w powozie. Jak zwykle, Ben usiadł na krawędzi siedzenia, żeby móc po cichu rozmawiać z żoną.

– Ben, proszę cię, usiądź obok Lucy – powiedziała Charlotte. – W ten sposób będzie ci niewygodnie przez całą drogę, a ja nie mam ochoty patrzeć, jak się męczysz.

Uśmiechnął się z wdzięcznością i spełnił jej polecenie. Charlotte odsunęła się najdalej, jak mogła, a pan Repton usiadł obok.

– Musi pan koniecznie obejrzeć ich ogród zimowy, panie Repton – stwierdziła Lucy, gdy powóz ruszył.
– Ben go zaprojektował i naprawdę wspaniale wygląda.
– Za nic bym tego nie przegapił – odparł pan Repton.
– Chodźmy tam wszyscy – zaproponowała. – Charlotte, zrezygnuj z drugiego walca i przyłącz się do nas.

Will poczuł, jak Charlotte zeszywniała. Pewnie nie chce rezygnować z tańców ze swoim narzeczoną tylko po to, by przebywać w jego towarzystwie.

Ale przecież o to mu chodziło, prawda? Udało mu się w stu procentach. Charlotte Baker kompletnie się zniechęciła do Willa Chińczyka.

I wyśmiała jego komplementy.

Po przeciwnej stronie pani Paxton przyłożyła sobie dłoń do pleców. Była coraz bardziej okrągła i każda jazda powozem była dla niej udręką, choćby był luksusowy i doskonale resorowany. Ben natychmiast się przejął, zaczął jej coś szeptać do ucha i masować jej plecy. Zająli się sobą, a tymczasem między nim a Charlotte zapadła cisza, coraz cięższa w miarę upływu czasu.

Will skrzyżował ramiona i posłał jej ukradkowe spojrzenie. Nie musiał się z tym kryć. Wyglądała przez okno.

Owszem, był widok, który mógł się równać z doliną rzeki Li – była nim Charlotte w tej anielskiej sukni, z kwiatami jaśminu we włosach. Będzie pamiętał go do późnej starości, jeżeli jej jakimś cudem dożyje.

Boże, co za piękność.

Dlaczego jej widok obudził w nim pokusę? Nie był przecież impulsywny, ale w tej chwili najchętniej wyrwałby te kwiaty z jej włosów, zacisnął na nich wargi, uwolnił te cudowne loki ze wszystkich szpilek i patrzył, jak spływają na ramiona, a potem zacząłby ją dotykać...

Wszystko w niej go kusiło. Znowu ukradkowo spojrzął na jej piersi. Zawsze wiedział, że były duże – każdy mężczyzna by to odgadł, widząc jej sylwetkę w dziennej sukni... ale nie przypuszczał, że widok jej ciała odbierze mu mowę. Były wspaniałe i tak dumnie się prężyły.

Jak mógł tego wcześniej nie zauważyć? Przecież widział nie raz, jak wychodzi na bal. Właściwie, niezliczoną ilość razy.

Ale wtedy słyszał tylko tupot pantofelków w przedpokoju. Zanim zdążył podnieść głowę, już mijała drzwi i widział tylko skraj jej sukni. Nie miał więc pojęcia, jak wygląda.

Może to i lepiej.

Była tak cholernie piękna. Ale nie zakochana w sobie. A może po prostu przestał ją oneśmielać. Od czasu tamtej rozmowy w gabinecie. Skrzywił się na to wspomnienie. Wszystko wtedy popsuł, prawda? A mogli być przyjaciółmi. Dobrymi przyjaciółmi.

Teraz zostały mu tylko te chwile, kiedy kusił ją błyskotkami, które przywiózł z podróży. Byłe podeszła bliżej. Amulety z nefrytu, młynek modlitewny, mała z bursztynu... Pewnie pokazał im co najmniej ze dwadzieścia przedmiotów. Ale takie spotkania były przynajmniej bezpieczne. Nie pozwalały się głębiej zaangażować.

Poza tym były żałosne.

Wziął głęboki oddech. Trzeba w końcu zawrzeć pokój z Charlotte Baker. Potrzebuje w życiu więcej spokoju. Wystarczy, że codziennie budzi się z koszmarnym poczuciem, że musi zdobyć setki funtów i że nie udało mu się listownie namówić ani jednej osoby, by rozpoczęła poszukiwania Aimee Bourianne.

Znowu ogarnęły go czarne myśli. Wyrzał za okno, za którym kryła się pustka.

Ben rozmawiał półgłosem z żoną, a Charlotte wyglądała przez okno po swojej stronie.

Mógłby się do niej odezwać, żeby... No właśnie dlatego.

Dlatego że miał na to ochotę. I już.

– Proszę mi wybaczyć, że nie poproszę pani dziś wieczór do tańca – powiedział, by zwrócić jej uwagę.

Zamrugła, wyraźnie zaskoczona.

– Naturalnie, panie Repton. Nie ma takiego obowiązku.

– Nie o to chodzi. Z nikim nie będę tańczyć.

Na jej wargach pojawił się ten sam uśmiezek, który zawsze ostatnio gościł tam w jego obecności.

– Rozumiem.

Odwróciła się od niego.

Serce ścisnął mu żal. Zagryzł zęby i zapatrzył się w tył jej głowy. I rząd perłowych guzików na plecach. A potem odwrócił się do tego cholernego okna.

Rzeczywiście, świetnie mu się udało.

– Czy przedtem... pan tańczył? – zapytała nieoczekiwanie.

Dzięki ci, Jezu. Natychmiast odwrócił głowę.

– Przedtem?

– Zanim pan złamał nogę?

– Tak. Ale nigdy nie byłem na balu. Tylko na zwyczajnych potańcówkach.

– I lubił pan tańczyć?

Wzruszył ramionami.

– Raczej tak, ale nie wychodziło mi to najlepiej. Nawet moja mama, która uwielbia mnie ponad wszystko, zawsze prosiła, żebym dał sobie z tym spokój, bo przynoszę wstyd rodzinie. I to wszystko z ust kobiety, której mąż co najwyżej przeklina mszyce pasożytujące na różach.

Przez chwilę lustrowała go spojrzeniem, a potem, ku jego zdumieniu, na jej wargach zakwitł prawdziwy uśmiech. Nawet wspinaczka na Mount Everest nie byłaby bardziej satysfakcjonująca.

– W takim razie muszę panu wybaczyć, chyba że zobaczę, jak wywija pan portlandzką polkę z innymi damami.

Oderwał wzrok od jej uśmiechniętych warg i bez słowa skinął głową. Ciekawe, jak szybko uda mu się zniszczyć tę komitwę?

– Choć być może zmieni pan zdanie na widok lady Sybil. – W policzku zrobił się jej dołeczek. – Zakocha się pan w niej bez pamięci. Jak wszyscy.

Boże, jak on tęsknił za tym dołeczkiem.

– Ciekawe, czy też będzie miała jaśmin we włosach – mruknął.

Jej uśmiech znikł, jak spłoszony.

Ach, do diabła. Znowu powiedział coś głupiego.

Poprawiła jaśmin we włosach, i gdyby nie była niezrównaną Charlotte Baker, pomyślałby, że jest nieśmiała.

– Ja... to rzadkie kwiaty, prawda? – spytała.

– Niezwykle – szepnął gardłowo.

Spuściła wzrok w taki sposób, jakby się domyśliła, że nie chodziło mu o kwiaty. Złożyła dłonie na podołku.

– Próbował pan tańczyć? Widzę, że chodzi pan już całkiem sprawnie, kiedy nie ma pan męczącego dnia. Wydaje mi się, że noga bardziej panu dolega wieczorami.

Więc aż tak mu się przyglądała? Tylko że w jej towarzystwie starał się jak najmniej utykać.

– Nie, nie próbowałem. Ale pani ma pewnie zarezerwowane wszystkie tańce. Lord Spencer na pewno się o to postarał.

– Skądże znowu. W towarzystwie nie należy być stronnikiem wobec dam.

– Jasne... w towarzystwie.

Rozprostował palce w nowych rękawiczkach z koziej skórki. Do diabła, marży mu w nich dłonie w tę chłodną majową noc.

– Nie znam lorda Spencera. Czy on na panią zasługuje?

– Czy na mnie zasługuje? – Charlotte przyciszyła głos i pochyliła się ku niemu, dzięki czemu mógł podziwiać te wspaniałe piersi.

– Jest ode mnie o wiele wyżej w hierarchii towarzyskiej. Nie może pan dziś mówić takich rzeczy na głos, panie Repton, i liczyć na łaskawą obojętność tych, którzy są od nas lepsi.

Boże, jej uśmiech był taki cudowny. Gdyby należała do niego, nie uszedłby jej płazem. To wymagało pocałunku.

Najlepiej w pozycji horyzontalnej.

– Myślę jednak, że panu wiele wybaczą – dodała. – Jest pan w końcu nieulekłym odkrywcą, na którego widok kobiety wzdychają z podziwu, a arystokracja bije brawo.

Uniósł brew.

– Dawno nie słyszałem nic tak absurdalnego.

Jej oczy, wreszcie szczere i zaciekawione, przesunęły się po jego twarzy. Nie spoglądała tak na niego od tygodni... przez całą wieczność.

– Zobaczmy, panie Repton. Chce się pan założyć o to, że pana obecność wzbudzi wielkie emocje?

– To trochę ponizające. Czy to znaczy, że damy będą mdlały na mój widok, a panowie poniosą mnie na ramionach wokół sali balowej?

Zaśmiała się. W odpowiedzi na to poczuł przyjemny ucisk w dole brzucha. I nieco niżej.

– Obawiam się, że będzie pan dziś wieczór ośrodkiem zainteresowania. Proszę zaufać bywalczyni salonów, która przez trzy sezony była na ponad trzystu przyjęciach, balach i pokazach kwiatów.

Znowu spojrzała na niego tymi wielkimi błękitnymi oczyma. Choć w powozie panował półmrok, przysięgłby, że malował się w nich smutek.

– Nikt nie może się z panem równać. Bo pan jest bohaterem.

Zanim odgadł znaczenie tych cichych słów, nieco weselej dodała:

– Nie ma pan szans, wszyscy się będą panem interesować. Ale jeśli nie chce się pan zakładać...

Wzruszyła ramionami z uśmieszkiem.

Pochylił się ku temu uśmiechowi.

– Przyjmuję zakład panno Baker, bo jestem pewny, że mnie zignorują.

– Chyba nie myśli pan tak na serio?

– Owszem, myślę – mruknął. – Mam tylko nadzieję, że nie będę siorbać zupy przy kolacji. I bez końca opowiadać o tym, jak trudno jest o czystą pościel w obozowisku. Modłę się też, by nie oszołomiła mnie nieodparta uroda mamy lorda Spencera i żebym nie próbował jej skraść całusa w ciemnym kącie.

Otworzyła szeroko oczy z udawanym przerażeniem.

– Ale to byłoby nieuczciwe. Nie może pan udawać nudziarza... albo jakiegoś tam dziwaka.

– Teraz już zupełnie nie rozumiem, o co pani chodzi. Dobrze pani wie, że nie muszę udawać takich rzeczy. I że zawsze pociągały mnie kobiety w typie matrony.

Wybuchnęła uroczym śmiechem i pośpiesznie stłumiła go dłonią osłoniętą rękawiczką.

Nigdy dotąd jej tak nie rozbawił. Spodobało mu się to o wiele bardziej, niż powinno.

– A co mi pani da, jeśli wygram, panno Baker?

– Nie chcę się już z panem zakładać – powiedziała, spoglądając przekornie.

Więc to była prawdziwa Charlotte Baker – bezpośrednia, radosna, nieodparta. Dostrzegł to na samym początku ich znajomości. I niemal od razu zaczął przed nią uciekać.

Wyprostował się na siedzeniu.

– Nie będzie zakładu... to znaczy, że jednak uważa mnie pani za nudziarza?

– W żadnym wypadku, ale będzie się pan tak bronił, że nie da mi żadnej szansy. Więc nie będzie zakładu. Nic nie powstrzyma pana od oczarowywania *beau monde* opowieściami o pańskich przygodach.

Pochyliła się ku niemu i szepnęła, jakby zdradzała wielką tajemnicę. Rozbawiło go to, bo przecież na tym siedzeniu było tylko ich dwoje.

– I założę się, panie Repton, że dokona pan dziś wieczór paru podbojów.

– Podbojów?

– Zdobędzie pan inwestorów, którzy sfinansują pana kolejną wyprawę.

– Ach, jasne. Inwestorów. Jak pani myśli, kiedy powinienem zacząć chodzić z tacą?

– Może sobie pan ze mnie żartować do woli, ale wiem, że wielu panów chciałoby o tym porozmawiać.

Markiz Palmerton i lord Russell pytali mnie już, co sędzę na pana temat i...

– I co pani sądzi na mój temat?

Spojrzenie jej pięknych oczu umknęło na bok, ale przechylił głowę tak, by spojrzeć jej w twarz. Bo koniecznie musiał to wiedzieć.

– Piękny dom, Charlotte.

Will drgnął, słysząc głos Lucy. Zupełnie zapomniał o obecności Paxtonów. Zupełnie jak jego ojciec – nieraz bywał tak zapatrzony w matkę, że zapominał o bożym świecie. Zupełnie jak jego zakochany ojciec... ta myśl odebrała mu mowę.

Powóz zwolnił. Za oknami pojawiła się ogromna rezydencja. Światło pochodni dramatycznie oświetlało kamienną fasadę. Za oknami o grubych szybach wirowały damy w białych sukniach. Skojarzyło mu się to z musującym szampanem.

Roziskrzony dom.

Świetnie pasował do Charlotte.

Lokaj otworzył drzwiczki powozu i Will wysiadł pierwszy, a potem odwrócił się, by podać ramię Charlotte. Ale nagle pojawił się Spencer i ubiegł go, roszcząc sobie prawo, żeby pomóc damie.

Magiczna jazda powozem dobiegła końca.

Hol wejściowy jarzył się blaskiem świec. Kryształowe ozdabiające kandelabry rzucały tęcze blaski na suknię Charlotte, a jej skóra lśniła perłowo.

Weszli do zatłoczonej sali balowej.

Była niezmiernie wysoka. Ściany zdobiły płótna z wymalowanymi scenami pasterskimi. Pod ścianami poustawiano świeczniki oraz bukiety lilii i hortensji, które pachniały oszłamiająco.

Wszystko było takie... błyskotliwe. Jak Charlotte.

Rzeczywiście, świetnie do niej pasowało.

Tak łatwo było z nią rozmawiać i śmiać się w powozie.

Mogliby nawet flirtować, ale nie był taki głupi.

Nawet gdyby mógł się do niej zalecać, na nic by to się zdało, bo nie należała do jego świata.

Ona należała do tego świata.

I bardzo dobrze.

Próbował sam siebie przekonać, że ma rację. Mężatki były nietykalne, więc im prędzej Charlotte wyjdzie za mąż, tym lepiej.

Gdzie jest ten cały hrabia Harlowe i jego wypchany portfel?

6

Jadalnia hrabiego Harlowe wyglądała trochę jak przedpokój albo jak arena. Była ogromna. Pod ścianami czekała armia lokajów. Zamiast jednego długiego stołu w sali rozstawiono ich ze dwa tuziny. Wszystkie robiły ogromne wrażenie. Były niepomiarne eleganckie. Ale wszystkie te splendory były niczym w porównaniu z przejażdżką powozem.

Pan Repton się do niej odezwał! I to z własnej woli. I wcale się za bardzo nie dąsał.

Trzeba zrobić wszystko, by podtrzymać tę kruchą przyjaźń. Zajęła miejsce, ale nie mogła usiedzieć spokojnie. Całą jej rodzinę wraz z panem Reptonem posadzono przy stole razem z Hugh, jego rodzicami i siostrami bliźniaczkami, Helen i Hester.

Ojej. Stół zastawiono do kolacji w stylu *à la russe*, z dziewięcioma sztućcami i pięcioma kieliszkami przy każdym nakryciu. Pan Repton na pewno żartował, ale co będzie, jeśli rzeczywiście zacznie siorbać? Czy będzie wiedział, który kieliszek jest do szampana, który do sherry, a który do ponczu? Przy niej pił tylko herbatę i chrupał ciasteczka. Poza tym skąd botanik ma się znać na zachowaniu przy stole?

Więcej wiary, Charlotte. Pan Repton nie robi z siebie pośmiewiska. Poza tym, przy tak ustawionych stołach, będzie musiał zapoznać się jedynie z rodzicami Hugh i ze złotowłosymi blondynkami, między którymi go posadzono.

Zdaje się, że szybko zawarł z nimi znajomość.

– Jak pan wytrzymał te długie morskie podróże, panie Repton? – spytała Hester.

– Jest pan bardzo dzielny, że pojechał pan do takiego niecywilizowanego kraju – zaćwierkała Helen.

Siedziały po obu jego stronach i przyciskały dłonie do piersi, prezentując je w dość wulgarny sposób.

Charlotte z dezaprobatą zacisnęła wargi na ten widok.

Pan Repton był, zdaje się, zachwycony towarzystwem dwóch identycznych kobiet.

Miała ochotę rzucić miseczką do płukania palców prosto w te dwie pokryte loczkami główki, ale przecież była damą. Poza tym w ogóle nie powinien jej interesować fakt, że pan Repton bardziej interesuje się ich dekolantami niż rosółkiem z kury.

Który był zresztą zimny i o wiele za słony.

– Tak, niech nam pan opowie coś o Azjatach, panie Repton.

Ojciec Hugh, lord Harlowe, o twarzy nabiegłej czerwienią, przypominał morsa i rozmawiał wyłącznie z mężczyznami. Za to spojrzenie jego zapuchniętych oczu w beczelny sposób obmacywało kobiece ciała – im młodsze, tym lepsze. Ewidentnie kobiety nie były wystarczającą podniętą dla jego intelektu.

– Trudno było dyscyplinować kulisów? – zapytał.

– Skądże znowu. Tubylcy kupowali zapasy i organizowali noclegi. Nikt z nas by sobie z tym nie poradził poza dużymi portowymi miastami. Poza tym byli uodpornieni na wiele chorób, które nas trapiły. To silni, wytrzymali ludzie, choć wzrostem niżsi nawet od panny Baker.

Lord Harlowe zaśmiał się astmatycznie.

– Niżsi nawet od kobiety? Musieli być bezużyteczni jako tragarze.

Repton, który akurat nabrał zupy na łyżkę, zatrzymał się w pół gestu. Napotkał jej spojrzenie i znacząco spojrzął na zupę, a potem uniósł brew i skosztował jedzenia. Bez siorbania.

Ale bezczelny. Ukryła uśmiech za serwetką.

W tej jednej sekundzie, gdy spotkali się wzrokiem, połączyło ich wspólne rozbawienie. Było to tak cudowne, że aż się przestraszyła.

– Wręcz przeciwnie, milordzie – odpowiedział spokojnie pan Repton. – Kiedy w dżungli gorączka ścięła mnie z nóg, zrobili coś w rodzaju palankinu z bambusa i płótna, a potem godzinami nieśli mnie do obozu.

Bliźniaczki zapiszczały ze strachu i współczucia, a ich piersi zafalowały do wtóru.

– Nie raz uratowali mi życie – dodał pan Repton. – Chociaż gdy taszczyli mnie w tym palankinie jak dziecko w nosidełku, zemścili się trochę, bo mnie nie odwrócili, idąc pod górę, więc nogi miałem stale powyżej głowy.

Towarzystwo wybuchnęło śmiechem. Kiedy znowu poszukał jej wzrokiem, była tak szczęśliwa, że aż zakręciło jej się w głowie.

Podawano kolejne dania, a pan Repton okazał się duszą towarzystwa. Lord i lady Harlowe byli zachwyceni jego fascynującymi opowieściami, a jego maniery przy stole nie pozostawiały nic do życzenia. Bliźniaczki zakochały się w nim po uszy, podobnie jak wiele innych kobiet, które z dala posyłały mu aż nazbyt znaczące spojrzenia.

A ona była coraz bardziej przygnębiona.

Przez całe tygodnie się do niej nie odzywał. Wiedziała, że jego twarz i sława będą fascynować ludzi. Wiedziała, że gdyby ją pokochał, mieliby całą socjetę u swoich stóp, a jej rodzina nawiązałaby przyjacielskie kontakty na przyszłość. Nie wiedziała tylko, jaki on jest mądry, uroczy i skromny. Dopiero dziś się o tym przekonała.

Ta prawda uderzyła ją brutalnie i wgniotła w pozłacane krzesło, ciałem i duszą, nie wspominając o cennych gałązkach jaśminu we włosach. Nie dzielił się z nią niczym, bo wcale nie chciał jej poznać. Dziś nie miał wyboru, musiał być miły dla wszystkich jej bogatych znajomych. Jutro będzie taki sam jak przedtem.

Z jakiego innego powodu wpatrywałby się tak w srebrne kubelki lodu, w których chłodziły się kieliszki do szampana? Albo przesuwał wzrokiem po diamentowych bransoletkach na przegubach dłoni Hester? Albo przyglądał się jej z dziwnym dystansem? Miała wrażenie, że obserwuje wszystko jak widz. Albo jak spekulant, który chciałby wykorzystać pieniądze zgromadzonych gości.

– Hugh, dlaczego nic nam nie opowiadałeś o podróżach pana Reptona? – skarciła brata Hester.

– Nabrałam ochoty na podróż do Azji – powiedziała Helen. – To by było bardzo romantyczne, prawda,

Charlotte?

Drgnęła, zaskoczona że jedna z bliźniaczek zadała jej pytanie. Zwykle kompletnie ignorowały inne kobiety, jeśli w promieniu dziesięciu kroków znalazł się choć jeden kawaler.

– Tak, podróż do Azji byłaby przygodą życia, prawda? – przyznała.

Lord Harlowe wybuchnął niegrzecznym śmiechem. Boże, jak taki człowiek może być ojcem Hugh...

– Tu w Anglii też można przeżyć niejedną przygodę. W Snowdonii. Albo w Cumbrii. – Uśmiechnęła się do Hugh. – Mam nadzieję, że kiedyś wybiorę się w taką podróż.

Zaśmiał się.

– Moja droga. Wyobrażam sobie, jaki zastęp tragarzy trzeba by nająć, żeby ponieśli twoje pudła na kapelusze.

– Czy wyobrażasz sobie też jej towarzysza podróży? – zadrwił lord Harlowe. – Wszyscy wiedzą, że żaden z ciebie poszukiwacz przygód, chłopcze.

Charlotte zeszywniała, gdy przy stole zapadła cisza. Palce Hugh zacisnęły się na nożu. Ojej...

Dotknęła jego ramienia z uśmiechem.

– Myślę, że udałoby mi się ograniczyć moją garderobę, milordzie. Towarzystwo Geograficzne publikuje tyle wspaniałych sprawozdań...

– Ale wciąż zakazuje kobietom wstępu do klubu – zapewnił pośpiesznie lord Harlowe.

Spojrzała na niego, a on zapuścił wzrok w jej dekolt.

– Północna Anglia to żadna egzotyka, Charlotte – włączyła się Hester.

– Cicho bądź, dziewczyno – zgasił ją lord Harlowe. – Północ to niezły sprawdzian dla mężczyzny. W waszym wieku wspiałem się na Cross Fell w Penninach. Ale ja mam podobny charakter jak nasz Repton. Jestem pełen życia, lubię wyzwania. Niektórzy mężczyźni kochają się w swoich słabościach – posłał znaczące spojrzenie Hugh – podczas gdy inni radzą sobie z wszelkimi trudnościami.

Nóż w dłoni Hugh zadygotał.

– Obawiam się, że zgadzam się z lady Hester – odezwała się w ciszy Charlotte. – Cumbria nie jest zbyt egzotyczna w porównaniu z podróżami pana Reptona.

Zdawała sobie sprawę, że zbyt często tego wieczoru spogląda na pana Reptona, więc drgnęła, pełna poczucia winy, gdy Hugh dotknął jej ręki pod stołem.

Był zawsze taki troskliwy, taki układny. I tak bardzo nią zainteresowany. Ale tego wieczoru targał nim gniew, którego powodem był najpewniej jego nieokrzesany ojciec.

– Nie mam ochoty tańczyć dziś z nikim poza tobą – szepnęła Hugh. – Nie zapomnij zarezerwować dla mnie dwóch pierwszych walców.

– Przykro mi, ale drugi już mam zajęty – odpowiedziała. – Idziemy wszyscy pokazać panu Reptonowi zimowy ogród twojej matki.

– Naprawdę?

– Wolałabym tańczyć.

– No cóż. Trzeba okazywać miłosierdzie moja miła. Ten człowiek jest kulawy. Przechadzka po ogrodzie może być dlań jedyną atrakcją tego wieczoru.

Charlotte zeszywniała, ale nie mogła mu spojrzeć w oczy by sprawdzić, czy naprawdę jest tak okrutny – bo jego usta były przy jej uchu. Pan Repton przyglądał jej się ukradkiem z przeciwka.

Jakby słyszał, o czym rozmawiają.

Helen dotknęła Reptona, by zwrócić na nią uwagę. Uśmiechnął się do niej.

Do diabła. Nie powinna być zazdrosna. Nie może się tak zachowywać.

Przez cały czas pan Repton udawał przed nią największego odludka w całym Londynie. Przecież z powodu jednego wieczoru – jednego nietypowego wieczoru – nie zburzy muru, którym otoczyła swoje serce. Nie da z siebie zrobić idiotki po raz drugi. Nikomu.

Właściwie nie po raz drugi. Ale to się już więcej nie zdarzy.

Pan Repton dziś wyciągnął rękę do zgody. Nie można przepuścić takiej okazji.

Zachowywała się po prostu śmiesznie. Ale koniecznie chciała go trochę lepiej poznać.

Zobaczymy, czy uda mu się wymigać od jej przyjaźni.

Charlotte Baker nie usiadła ani na chwilę.

To było z góry wiadomo i Will był na to przygotowany. Dziwił się tylko, że wcale nie podoba mu się, jak tańczy.

Spencer zachowywał się całkiem przyzwoicie. Ale już nigdy więcej nie zatańczy z tym łajdakiem, którego musiała siłą utrzymywać na przyzwoitą odległość od siebie. Ani z tym łysiejącym kurduplem, który ciągle zaglądał jej w dekolt.

Poza parkietem wcale nie było lepiej. Mężczyźni ciągle jej dotykali – muskali ramię, rękę, plecy. Pochylali się za blisko. Wręcz się gięli. A ten cholerny hrabia Harlowe – Will najchętniej strzeliłby go w pysk za te obleśne spojrzenia. Jeszcze trochę, a...

Zgrzytnął zębami. To nie jego sprawa.

Ta kobieta nie należy do niego. A Harlowe właściwie już mu obiecał trzysta funtów, kwotę dwa razy większą niż ta, o którą chciał go poprosić.

Czy te łobuzy nic nie rozumieją? Ona jest prawdziwą damą, to przecież widać na pierwszy rzut oka. Jest najlepsza ze wszystkich w tym domu. Do diabła z nimi. Rzeczywiście, traktowali ją inaczej, tak jak Ben mu tłumaczył. Była lubiana, ale nie należała do towarzystwa. Jeszcze nie. Ale kiedy wyjdzie za Spencera... Prychnął gniewnie. Spencer. Ten, który nigdy nie przynosił jej białych kwiatów. I miał małpę człekokształtną zamiast ojca.

Odsunął od siebie tę myśl.

Gdzie się w ogóle podziewał Ben? Przecież była jego szwagierką. Will powinien siedzieć w pokoju karcianym i opowiadać o swojej ekspedycji każdemu, kto chciał tego słuchać. Zamiast tego bawił się w przyzwoitkę, pilnując, żeby jakiś dandys nie zaciągnął Charlotte w ciemny kąt.

Taniec dobiegł końca i Charlotte gestem poprosiła partnera, żeby odprowadził ją w jego stronę. O co chodziło? Rozejrzył się, czy nie zmierza przypadkiem do kogoś innego. Dygnęła przed swoim partnerem. – Dziękuję, milordzie. Wspaniale pan tańczy.

Rozgorączkowany, rozpromieniony mężczyzna skłonił się głęboko. Will nawet nie próbował

pozdrowić go skinieniem głowy, chociaż akurat ten zachowywał się w miarę przyzwoicie. Kompletnie oszołomiony, zatoczył się w bok i – jak można się było spodziewać – wpadł na przechodzącą nieopodal parę.

Will odwrócił się do roześmianej Charlotte. Jej uśmiech przygasł, i dopiero wtedy zorientował się, że patrzył na nią z miną, jaką zamierzał potraktować jej tancerza.

– Niech się pan tak nie sroży, panie Repton – zażartowała z wyraźnym wysiłkiem. – Nie zamierzam wdawać się z panem w zapaśniczy pojedynek na parkiecie. To drugi walc, czyli pora na zachwywanie się zimowym ogrodem lady Harlowe.

To już drugi walc? Jak to się stało, że tego nie zauważył? Czy to się jakoś wylicza?

Charlotte rozejrzała się.

– Gdzie są Ben z Lucy?

– Nie widziałem ich od kolacji.

Will spostrzegł, że opuściła ramiona i wydeła usta. Skrzyżował ręce na piersi i odwrócił wzrok, by nie widzieć jej rozczarowanej miny. Mogła przecież przesiedzieć jeden cholerny taniec, szczególnie że polegały głównie na obmacywaniu jej przez kolejnych obleśnych partnerów.

– Pewnie byłoby niewłaściwe, gdybyśmy poszli tam sami – powiedziała.

Do diabła z tym wszystkim. To już drugi walc. Gdzie się podział ten cholerny Ben Paxton?

– Ależ tu gorąco – mruknął, mając przed oczyma obraz tych wszystkich mężczyzn, którzy dotykali ją tego wieczoru. Jego słowa zawisły w ciszy i nie miał pojęcia, jak ją przerwać. Tańczyła dziś ze wszystkimi, tylko nie z nim, i bolało go to bardziej, niż chciałby przyznać.

Drgnęła, jakby sobie coś przypomniała.

– Och, w takim razie możemy iść na taras, trochę się ochłodzić.

Na taras?

Dłoń Charlotte ujęła jego łokieć, a na uniesionej ku niemu twarzy odmalowało się oczekiwanie.

Dobrze. Charlotte Baker nie powinna przecież podpierać ściany. I to w jego towarzystwie, co było pewnie dla niej wystarczającym poniżeniem. Pośpiesznie poprowadził jej ku drzwiom tarasowym, żeby nie poczuła się jeszcze bardziej skrępowana.

Na tarasie było chłodno i ciemno w porównaniu z salą balową, jarzącą się od kandelabrow. Za czarnym żywopłotem lśniły szklane ściany zimowego ogrodu. Do ogrodu wiodły szerokie, kamienne schody. Na drzewach migotały świetliki i błyskały chińskie latarnie zawieszane na gałęziach. Powietrze było ciężkie od zapachu rozkwitłych peonii. Willowi wydało się to jawną ironią.

Gdyby był zazdrosny, mógłby skomentować, że Spencer bez trudu mógłby przesłać jej bukiet ulubionych kwiatów. Ale Charlotte była mądra i natychmiast by się połapała. Poza tym nie powinien poruszać tego tematu, bo ona by od razu zapytała...

– Skąd pan wiedział, że najbardziej lubię peonie?

Do diabła.

– Nikomu o tym nie mówiłam.

Strzepnął niewidzialny liść z kamiennej balustrady.

– Nie wiedziałem. Pasują do pani.

– Pasują do mnie?

Zmarszczyła czoło, zastanawiając się nad tym.

– Te kwiaty tak głupio wszystkich prowokują. Zrzucają płatki, gdy się na nie choćby popatrzy, a w ogóle kwiaty mają nieproporcjonalnie duże w stosunku do łodyg.

– Ale są powszechnie podziwiane. Wyzywające i nieporządne, ale takie urocze, że nikomu to nie przeszkadza.

Jego spojrzenie wędrowało po jej uroczej twarzy.

– Są oszałamiająco piękne. Zmysłowe i nieprawdopodobnie urocze. Wszystkie inne bledną w porównaniu z nimi.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Zadygotał, gdy dotarł do niego sens jego słów. Do diabła, to były niemal oświadczyzny.

Popatrzył w ciemność. Zimowy ogród był dość daleko od domu.

– Pewnie nie powinniśmy tam iść sami, bez przyzwoitki.

– Pewnie nie – szepnęła.

Oparł się o barierkę i przygotował na dłuższy okres milczenia. Pewnie zaraz sobie pójdzie. Uda, że jest zmęczona albo że chce jej się pić, albo że musi poprawić jakąś tam wstążkę albo falbankę.

– Może Ben i Lucy tam już są.

Kopnął balustradę, nie dbając o to, że może zadrapać nowiutkie buty.

– Być może.

Spojrzała w kierunku sali balowej, potem na trawnik, a potem na niego.

– No to świetnie. Ruszamy?

Zamrugął.

– Dokąd?

– Do nich, to chyba jasne. – Wzięła go pod rękę i odciągnęła od balustrady. Spojrzała ukradkiem za siebie i ruszyła po schodach, ciągnąc go za sobą, bo niemal znieruchomiał ze zdumienia.

– Czekają tam na nas, panie Repton. Jeśli się dobrze zastanowić, to chyba oczywiste, prawda?

On sam nie był tego wcale taki pewien, ale jego serce nie miało wątpliwości, bo zabiło jak szalone z emocji.

– Jest pani pewna, że to uchodzi w towarzystwie, panno Baker? Tak po prostu ciągnie mnie pani na spacer po ogrodzie, w blasku księżyca?

– Cicho. Oczywiście, że nie. – Uśmiechnęła się ukradkowo. – Proszę się pośpieszyć.

Zeszli żwawo ze schodów. Mimo bólu zmusił się, by porządnie zginać kolano, żeby nie poczuła, jak bardzo utyka. Zresztą, gdy zeszli na trawnik, ból zelżał. Z każdym dniem było lepiej. Do sierpnia na pewno...

Charlotte ciągnęła go za sobą. W wiekowym żywopłocie z cisów zrobiono łukowatą bramę. Za nią błyszczał zimowy ogród.

Powinni tam wejść godnie i nieśpiesznie, ale Charlotte w końcu puściła jego ramię i pobiegła,

rozglądając się, czy nikt ich nie widzi z tarasu.

Nie, to wcale nie było zgodne z nakazami przyzwoitości.

Zaśmiał się i pobiegł za nią, podziwiając jej szczupłe plecy i migotliwą tkaninę sukni.

Zupełnie bez sensu. Co za okropny pomysł.

A do tego świetna zabawa.

Boże, jaki dziwny był ten wieczór. Od lat tak się nie czuł. Ani teraz, ani przy stole, ani w powozie. Rzeczywiście odsłoniła zasłony i napełniła jego zimny świat blaskiem słońca. Dała mu szczęście, obudziła pragnienia.

Na Boga, sprawiła nawet, że zapomniał o przeszłości.

Przed samym wejściem Charlotte zatrzymała się, lekko zdyszana po biegu.

– Pięknie tu, prawda?

Wolałby wprowadzić patrzeć, jak światło księżyca rozjaśnia jej loki i nadaje błękitowi jej oczu elektryczny poblask, ale posłusznie popatrzył na szklaną bryłę budynku.

Projekt Paxtona był magicznym połączeniem giętego szkła i delikatnych, filigranowych, żelaznych ram. Naprawdę baśniowy widok, jeśli dodać do tego kuszący zapach ogrodowych kwiatów i towarzystwo Charlotte u boku.

– Piękny, ale przede wszystkim funkcjonalny, ze względu na sprawne ogrzewanie. Widzi pani te rozkwitłe kwiaty?

Jęknęła, ale tonem prawdziwej damy.

– Co za obrzydliwie przyziemny komentarz.

Zagryzł wargi, żeby się nie uśmiechnąć.

– Właśnie dlatego wybrałem Bena. Botanik odkrywca jest uzależniony od współpracownika, który dba o jego rośliny w kraju.

Zmarszczyła brwi i przyjrzała mu się uważnie. Może zastanawiała się, skąd ta nagła odwilż w ich relacjach. Podobnie jak on.

Ku jego zdumieniu ujęła kłamkę.

Nawykowym gestem przegrodził wejście ramieniem, żeby ją zatrzymać. Przez to znalazł się tuż obok niej. Zapach jaśminu w chłodnym nocnym powietrzu zawrócił mu w głowie.

Może myślała, że jest dla niej za duży?

Co za głupia, zdroźna myśl. Z drugiej strony, miał całkiem niezłe mięśnie, a czubek jej głowy sięgał mu zaledwie do podbródka. Wprowadzić była wyższa niż większość dam, ale i tak przypominała delikatny kwiat. A różnica wzrostu między nimi budziła w nim niebezpieczne uczucia.

Przechyliła głowę i spojrzała pytająco.

Dopiero po chwili mógł się odezwać.

– Nie może pani tu wejść w tej białej sukni. Pobrudzi ją pani o zabłocone doniczki.

Uśmiechnęła się i puściła kłamkę.

– Ta suknia nie nadaje się na wyprawę badawczą.

Uznał to za coś w rodzaju przyzwolenia i zaczął badać wzrokiem jej ciało. Do diabła z suknią. Z tej

odległości niemal czuł dotyk jedwabistej skóry, ucisk gorsetu na pełne, okrągłe piersi... z tym wspaniałym rowkiem pomiędzy nimi. Idealne ramiona. Delikatna linia obojczyka. Nieprawdopodobnie cienka talia i cudownie zaokrąglone biodra. Wielki Boże, Charlotte.

Przełknął ślinę, bo w jego gardle było sucho jak na tybetańskim płaskowyżu.

– Ale bardzo pięknie w niej pani wygląda.

Zarumieniła się. Mimo ciemności widział białka jej oczu.

– Czy Wallace również i panią posłał do swojego krawca?

Jej wzrok spochmurniał. Zajrzała mu w twarz z miną pełną dziwnej urazy.

Zawsze kiepsko prawił komplementy, ale tym razem zdziwił się, gdy odeszła i ruszyła przed siebie po trawniku. Pośpieszył za nią.

– Chciałem tylko powiedzieć, że suknia jest piękna.

Zwolniła kroku.

– Często pan rozmawia z moim bratem.

Kiwnął głową, nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

– O czym rozmawiacie?

– O różnych rzeczach. O książkach, o przemyśle. I o krawcach. Na przykład ten surdut uszył krawiec, którego mi polecił.

– Bardzo dobrze pan w nim wygląda – powiedziała cicho.

Z trudem ukrył głupkowaty uśmiech. Od kiedy ją poznał, bardzo się starał, żeby się dobrze ubierać, a dziś wieczór szczególnie mu na tym zależało. Z czystej próżności, oczywiście. Chciał, żeby zobaczyła, że potrafi się równie elegancko ubrać jak jej wicehrabia.

Idiota. Po co te nowe ubrania? Ten bukiet jaśminu, który był praktycznie nie do zdobycia w Anglii? Róże dla Lucy, żeby jakoś uzasadnić ten gest? Mógłby spożytkować te pieniądze w Tybecie, kupić za nie informację albo dojście do kogoś.

– Cieszę się, że się zaprzyjaźniliście. Wally nie może... to znaczy, rzadko bywa w towarzystwie. – Przerwała na moment. – Słyszał pan o jego procesie?

Wszyscy o nim słyszeli. Wallace'a i hrabiego oskarżono o to, że byli kochankami. Co gorsza, to była prawda. Ojciec dowiedział się o tym od Bena. Wallace'owi zawsze podobali się mężczyźni. Wprawdzie zachowywał czystość, żeby nie ściągać na rodzinę dalszych skandali, ale plotki i tak żyły własnym życiem. Głównie z powodu procesu o sodomie.

– Tak – potwierdził.

– Ale nie wygląda pan na zgorszonego z tego powodu. W odróżnieniu od innych.

Powiedziała to tak smutnym głosem, że ogarnęła go fala niesłychanej czułości – choć przecież rozmawiał z niezrównaną Charlotte Baker. Musiało ją to zranić. Oczywiście, że tak. Kochała swoją rodzinę, była pełna miłości...

Dosyć tego.

Znowu ten znajomy wewnętrzny głos. Zawsze przerywał mu myśli o Charlotte. Dosyć tego, karciał, gdy jego oczy zbyt długo wędrowały po jej sylwetce. Skup się, nakazywał, gdy jej kroki dźwięczały w

przedpokoju. Szybciej, mocniej, gdy jego ręka zaczynała się poruszać pieścizotliwie na myśl o kochaniu się z nią, zamiast dać mu szybkie spełnienie.

– Czepiają się, bo nie potrafią się ubrać tak elegancko jak on – zażartował, żeby otrząsnąć się z tej czułości.

Patrzyła prosto przed siebie.

– Powinniśmy już wracać.

Do licha.

– Nie... nie przeszkadza mi to.

Boże, była taka smutna.

– Kiedy byłem małym chłopcem, ojciec nauczył mnie, że w naturze jest niemal nieskończona różnorodność. Wśród roślin i zwierząt. Mój kuzyn hoduje owce i praktycznie co roku trafia się jakiś baran, którego nie interesują samice i chce się parzyć tylko z samcami. W Azji widziałem, jak śnieżne mały robią to same.

Stała zupełnie nieruchomo. Pewnie chciała usłyszeć, jaką głupotę zaraz palnie i wszystko popsuje.

– Nie chodzi mi o owce... tylko o to, że wszystko w naturze ma jakiś sens. Więc jeżeli jakieś zjawisko w niej istnieje, to powinniśmy przynajmniej spróbować zrozumieć, dlaczego tak jest, i nie traktować tego jako nienaturalne – zarówno u zwierząt, jak i u ludzi. Mój ojciec jest o tym przekonany – i ja tak samo.

Popatrzyła na niego spokojnie, więc przygotował się, że zaraz usłyszy kazanie i krytykę tej filozofii albo coś gorszego.

Ale wtedy jej twarz zmieniła się jak za dotknięciem różdżki czarodziejkiej i odmalowało się na niej szczęście i... coś jeszcze. COŚ...

Przestań. PRZESTAŃ!

...coś tak bezbronnego, że w ogóle nie słuchał tego durnego wewnętrznego głosu. Ponieważ nade wszystko w świecie zapragnął ją objąć i powiedzieć jej, że wszystko będzie dobrze.

– Myślę, że bardzo polubię pańskiego ojca – dodała cicho.

Westchnął z ulgą i mało brakowało, a roześmiałyby się na myśl o ich spotkaniu. Musi ostrzec mamę, żeby przypilnowała by tata włożył kamizelkę i surdut od kompletu, a nie pierwsze lepsze rzeczy, które się mu nadarzą.

Weszli w głąb ogrodu.

– Ben mówi, że pana ojciec jest genialnym botanikiem – powiedziała.

– Co do tego nie ma dwóch zdań. Poza tym jest roztargniony i kompletnie zależny od matki. A ona od niego.

– Przyjaźnią się ze sobą?

– Nie ma lepszych przyjaciół niż oni.

– To cudowne. Lucy i Ben też tacy są. Myślę, że mamy oboje szczęście, panie Repton, bo wiemy, czego szukać w małżeństwie.

– Pani szuka czegoś takiego?

– Oczywiście.

Z jakim przekonaniem to powiedziała. Gdyby nie ten Spencer... Cholerny Spencer z jego krzywym uśmiechem i tulipanami...

– Więc dobrze pan wie, że to nie tylko przyjaźń, ale namiętność, związek, pragnienie, by ta druga osoba była szczęśliwa. Moi rodzice tacy są. I jeszcze...

To nie była jego sprawa.

W ogóle.

Wzruszył ramionami.

– Ponieważ pani wybiera się za mąż, cieszę się, że znalezienie takiej osoby nie było dla pani równie trudne jak dla mnie.

Teraz pan Repton uzna, że jest nie tylko głupia, ale i naiwna. No cóż. Trzeba było nie zaczynać rozmowy na ten temat. Przecież on nie wygląda na romantyka. Czy kiedykolwiek zasugerowała, że ją i Hugh łączy takie uczucie? Wybierając męża, trzeba też zwracać uwagę na inne rzeczy, a miłość może rozwinąć się z czasem.

I kto tu był naiwny?

Tak czy owak, pan Repton chyba w końcu postanowił się z nią zaprzyjaźnić, więc zachowała swoje przemyślenia dla siebie.

Z pałacyku napłynęły ciche tony walca i pan Repton przymknął oczy, by posłuchać muzyki.

Charlotte bez ruchu patrzyła na jego postać. Błękitne światło księżycy sprawiło, że jego złote włosy zbladły i wyglądał jak jeden z alabastrowych bogów, których rzeźby ozdabiały alejki Windmere.

Może miał ochotę zatańczyć? Tylko się wstydził, że względu na utykanie. Tak często marzyła o tańcu z nim... Wymarzeni partnerzy byli jednak o wiele bardziej skomplikowani niż rzeczywiści.

Ale nigdy nie będzie po temu lepszej okazji.

– Umie pan tańczyć walca, panie Repton?

Nie poruszył się, ale otworzył oczy.

– Owszem, uczyłem się.

Zmarszczyła brwi, zauważając, że pan Repton znowu zaczyna być irytująco lakoniczny.

– Rozumiem.

Czy powinna go poprosić do tańca? A jeśli mu się to nie spodoba?

Przeczesał włosy palcami.

I wtedy to dostrzegła – nieznaczne skrzywienie warg, które mogło tylko oznaczać niezadowolenie. Ogarnęło ją podniecenie. A więc miał ochotę zatańczyć! Potrzebował tylko partnerki. Przyjaciółki.

Ależ dziwny i niezwykły jest ten wieczór!

– Możemy zatańczyć tutaj, jeśli ma pan ochotę – powiedziała najbardziej beztróskim tonem, na jaki ją było stać.

Trudno było odgadnąć, czy uznał ten pomysł za intrygujący, czy za absurdalny. Rozejrzał się po kwadratowym trawniku otoczonym gęstym, cisowym żywopłotem. Lampiony rzucały migotliwe światło na ich trawiastą salę balową. W nocnej ciszy wyraźnie niosły się tony muzyki. Powietrze pachniało

jaśminem, a peonie...

Cóż za romantyzm... Dodała więc pośpiesznie:

– A może jest pan zmęczony? Nie chciałabym pana znużyć, chociaż walc wcale nie musi być wyczerpujący. Tańczyłam go nawet z Jacobem.

Uniósł brew.

– Zdaje się, że pani uważa mnie za kompletnego inwalidę.

– Och, nigdy w życiu... – Dostrzegła przekorny błysk w jego oku i zaczerwieniła się po same uszy.

Prawie się do mnie uśmiechnął!

Podszedł trochę bliżej, aż poczuła jego oddech na włosach. Ciepła dłoń dotknęła jej pleców. Z wrażenia przestała oddychać.

– Czy stanąłem za blisko? – Jego cichy głos sprawił, że przeszył ją dreszcz.

Wręcz nieprzyzwoicie blisko.

– Skądże.

Zamknęła oczy. Oto Will Repton, słynny, utalentowany bohater, który objechał cały świat. W ogóle nie robisz na nim wrażenia, jest nawet trochę zde gustowany, że pozwoliłaś mu stanąć tak blisko.

Naprawdę powinnam sobie pójść. I zaraz to zrobię. Na pewno.

Już za chwilę.

Wbijając wzrok w fontaź na jego szyi, położyła dłoń na szerokim ramieniu, które tak bardzo kochała, a drugą pozostawiła w jego uścisku. Zaczęli tańczyć. I to całkiem nie najgorzej. Pan Repton tylko trochę utykał; wystarczył najlżejszy nacisk ręki, żeby wyczuwała jego intencję.

Wcale nie był alabastrową rzeźbą. Był silny i ciepły.

Ręka na jej plecach nie zmuszała jej do niczego, ale Charlotte nie pozwoliła sobie na żadne awanse. Choć cudownie byłoby oprzeć głowę na jego ramieniu. Tak często o tym marzyła.

Wprawdzie to było niełojalne wobec Hugh i w ogóle bez szans, ale pan Repton byłby wspaniały, gdyby tylko trochę się zmienił. Gdyby zgodził się zostać, gdyby chciał się ożenić, gdyby nie uważał jej za głupią, frywolną i niewartą uwagi, którą tak hojnie darzył wszystkich innych.

Uspokoiła rozbiegane myśli.

To był ich pierwszy taniec. Pierwszy i ostatni. W ciemności nie potrafiła odczytać wyrazu jego oczu, więc wyobraziła sobie tylko, że są ciepłe, łagodne i pełne uczucia.

Taka słodka fantazja...

Na szczęście zawsze będzie mogła wyobrazić sobie takie rzeczy.

Muzyka dobiegła końca. Aż nazbyt szybko.

Pan Repton zatrzymał się nagle, więc wpadła na jego twarde ciało. Na moment rozproszył ją nacisk jego dłoni, ale nagle poczuła, że niektóre części jej ciała opierają się o niego mocniej niż inne. Zarumieniona, chciała się odsunąć, ale przycisnął ją do siebie. Natychmiast uległa, rozkoszując się mocnym uściskiem jego ramion. I spojrzeniem jego oczu. Wprawdzie wciąż było trudno dostrzec, co wyrażają, ale wyobraźnia podpowiadała jej, że dalej są pełne ciepła, łagodne i pełne uczucia.

Ogarnięta emocjami, ze wzruszeniem wyszeptwała:

– To był najpiękniejszy taniec w moim życiu.

Jedyną odpowiedzią było mocne bicie jego serca.

Nagle w wierzchołkach drzew zaszumiał wiatr, jeden z lampionów się zakołysał i oświetlił jego twarz.

Wyraz jego oczu był zupełnie inny, niż sobie wyobrażała.

– A ja myślę, że jedynie najprzyjemniejszy taniec w ciągu ostatniej półgodziny – powiedział.

Cała jej radość wyparowała. Chłodne słowa przypomniały, z jakim dystansem traktował ją na początku wieczoru, a raczej przez całą ich znajomość. Czar tej jednej jedynej nocy szybko dobiegł końca.

A jej nadzieje znowu legły w gruzach. Co więcej, twarz zapłonęła jej ze wstydu.

Zauważył więc, jak traktują ją panowie z towarzystwa: ściskają zbyt mocno, uśmiechają się znacząco, jakby chcieli powiedzieć, że ona zrobi wszystko, by znaleźć się wśród arystokracji. Absolutnie wszystko.

Wciąż trzymał jej prawą dłoń i obejmował ją w talii. Ale nic nie mówił.

Jak zwykle.

Ogarnął ją gniew.

I co z tego, że pan Repton wygląda jak jej wymarzony, idealny mężczyzna? Wygląd bywa mylący. Co z tego, że dziś wieczór był dla niej miły? Pewnie chciał uzyskać jakieś korzyści z tej znajomości.

A to wszystko, co mówił o Wallym...

– Nie rozumiem, dlaczego mnie pan tak nie lubi.

– Pani myśli, że ja pani nie lubię?

Prychnęła z urazą na ten zdumiony ton.

– Oczywiście, że tak. Nigdy się pan do mnie nie odzywa pierwszy, i nawet wtedy mówi pan tylko tyle, ile nakazuje grzeczność. Niczym się pan nie dzieli, co po dzisiejszym wieczorze naprawdę doprowadziło mnie do szału, bo okazało się, że ma pan tyle ciekawych rzeczy do opowiedzenia. Nie lubi pan też moich znajomych. Patrzy pan z niechęcią na Hugh. Może nie jest tak obyty w świecie jak pan, ale przeważnie bywa dość miły...

– Przeważnie?

– I zachowuje się jak dżentelmen. A mimo to cały czas straszy pan złą pogodą, kiedy wybieram się z nim na spacer.

– Co to znaczy „przeważnie”?

– Mam dwadzieścia dwa lata i sama wiem, kiedy należy zabrać parasolkę i szal, więc pana uwagi psują mi humor. Cieszyły mnie te spacer, dopóki nie przyjął pan roli domowej Kassandry. Poza tym wiem, dlaczego pan tu jest i dlaczego pan myśli, że wszyscy prowadzimy rozrzutne życie bez żadnego sensu. Ale nie wie pan wszystkiego.

Wzięła głęboki oddech i puściła jego rękę, na której do tej pory kurczowo zaciskała palce.

– Niech pan nie udaje, że mnie pan lubi. Jestem tylko ciekawa – i to od dłuższego czasu – czym ja pana tak obraziłam.

Napiął ramiona i szepnął jej prosto w ucho.

– Chwileczkę...

I zapadła cisza. Naprawdę!

Dość tego. Nie będzie tu stała i pozwalała, żeby ją jeszcze bardziej dręczył.

Wyrwała się z jego uścisku.

– Nie ma problemu. Naprawdę nie każdy musi mnie lubić, panie Repton. Proszę przyjąć do wiadomości, że zdaję sobie sprawę z pana uczuć i nie będzie pan już musiał znosić mojego towarzystwa.

Obróciła się jak fryga, żeby odejść, ale stalowa ręka chwyciła ją za ramię.

– Do diabła! I do cholery! Co ja znowu zrobiłem? – warknął, a jego błękitne oczy zalśniły jak lód w blasku księżyca. – Myślałem, że zaczynamy się dogadywać. Chętnie zgodzę się zostać pani przyjacielem, pod warunkiem że zrozumie pani, że na tym koniec.

– Zgodzi się pan? Mam więcej przyjaciół, niż mogę zliczyć. Wcale nie potrzebuję...

Jednym szarpnięciem przyciągnął ją do siebie.

– Więc czego pani chce?

– Ja... ja nie zamierzam się sprzeczać...

Chwycił ją mocno w talii.

– Czego ty chcesz, Charlotte? – warknął. – Czego ty ode mnie chcesz?

Zamilkła w obliczu takiej frustracji.

Czego tak naprawdę chciała? Czy czegoś w życiu chciała oprócz niego? W dalszym ciągu chciała tylko jego. Od pierwszego spojrzenia, od pierwszej chwili. Każdego dnia, każdej godziny pragnęła go gdzieś w głębi serca, gdzie panowała czułość i serdeczne uczucie, z dala od władzy rozsądku.

A on tylko z niej drwił i odpychał ją od siebie.

– Dlaczego mnie nie zignorowałaś jak zwykle? – zapytała tylko. – Dlaczego dziś wieczór w ogóle ze mną rozmawiałaś?

Nie odezwał się ani słowem. Nawet nie drgnął.

W jej sercu obudził się dziki gniew.

– Jesteś tu obcy!

Zacisnęła pięść, gotowa zedrzeć tę obojętność z jego twarzy.

– Powiedz coś wreszcie! – Napała na niego, obejmując jego twardą szyję.

– Powiedz cokolwiek!

Ale jego uparte usta milczały jak zaklęte. Niewiele myśląc, przytknęła do nich swe wargi. I od razu tego pożałowała. Zderzyli się podbródkami i zębami, a Will wydał pomruk pełny zaskoczenia.

Boże, co ona wyprawia? Przecież nie ma pojęcia, jak się całować, a on jej nie chce. Opuścił ręce, więc załkała prosto w jego usta.

Załamana, przytuliła się do jego szyi.

Boże, Boże, jak ja potem spojrzę mu w oczy?

Silna ręka objęła jej szyję i uniosła twarz do góry. Błękitne oczy spojrzały prosto na nią.

– Do diabła z tym wszystkim!

Ciepłe usta przywarły do jej warg. Wstrząśnięta, opadła na pięty, ale mocne ramiona przygarnęły ją do szerokiej piersi. Jęknął gardłowo. Zdumiona, zrozumiała, że to oznaka uległości.

Jego wargi złagodniały jak w oku cyklonu. Całował ją leniwie, powoli, jakby uczył się na pamięć jej warg. Przywarła do niego uszczęśliwiona, czując, że ledwie stoi na ziemi, wierząc, że Will jej nie puści.

Mój pierwszy pocałunek... To ważne... muszę go zapamiętać.

Czuła pod palcami jego umięśnione ramiona. Rozchylił językiem jej wargi i wsunął go głębiej, wtulił się w nią cały. Miała wrażenie, że zaraz poczuje pod plecami chłodną trawę, ale uścisk jego ramion był silniejszy niż grawitacja.

Przesunął językiem po jej podniebieniu, aż zadygotała z podniecenia.

Wielki Boże... to on. Mój wybranek.

Wszystkie nerwy w jej ciele śpiewały. Objęła go ramionami za szyję i oddała pocałunek, w którym zawarła całą swoją tęsknotę i nadzieję. Chciała być jak najbliżej niego, czuć go całą sobą.

To była prawdziwa namiętność. Prawdziwa miłość.

Jedyny sprawdzian, który miał w ogóle sens.

– Will – westchnęła.

Mruknął coś w odpowiedzi. Przesunął zębami po szyi, musnął ją gorącym językiem tam, gdzie pulsowała tętnica.

Proszę cię, zostań ze mną. Ty jesteś tym jedynym.

Nie mógł usłyszeć jej myśli... ale w tej samej chwili odsunął się i unióśł ją, a potem szorstko postawił na ziemi.

– Nie – szepnęła. Uniosła twarz do kolejnego pocałunku, ale jej wargi przesunęły się po szorstkich bokobrodach na policzku. Odsunął ją stanowczo. Zachwiała się, bo ziemia zakołysała się jej pod stopami.

– Do diabła. – Wyjął z kieszeni chusteczkę i przesunął sobie po wargach, jak śnieżnobiałą flarę w ciemności.

Nadzieja, strach i pożądanie otoczyły ją lodowatym obłokiem.

Unióśł głowę, a jego oczy były ciemniejsze niż sama noc.

– Nie dam rady zdać twoich cholernych... testów.

Serce ścisnęło jej się w piersi, a myśli splątały się w głowie.

– Chcesz, żebym bawił towarzystwo rozmową i przynosił wieści z dalekiego świata? – Chustka drżała w jego dłoni. Pochylił się nad nią, wyższy i potężniejszy, niż jej się do tej pory wydawało.

– Nie mam ochoty na rozmowy. Nie chcę twoich uśmiechów ani pytań. Ani twoich... twoich pocałunków. Chryste Panie, nic mnie nie obchodzisz. Czekają na nas, więc daj mi wreszcie spokój!

Warknął jej to prosto w twarz. Była jak sparaliżowana jego gniewem, nie była w stanie się ruszyć.

Jeszcze nikt... z wyjątkiem tych chwil po procesie Wally'ego, kiedy krzyczeli na nią i przeklinali. Ale to dlatego... dlatego, że ją nienawidzili. Zamrugnęła powiekami. Poczowała, gorące łzy na policzkach.

Dlaczego? Nigdy przecież nie płakała, była szczęśliwa...

Jego chusteczka dotknęła jej policzka tak szybko, że podskoczyła.

– Przepraszam – powiedział pełnym napięcia głosem. – Nie możesz... Chryste, tak mi przykro.

Z kamienną twarzą próbował otrzeć jej oczy, bardziej dłonią niż chusteczką.

– To moja wina. To była pomyłka.

– Pomyłka – szepnęła, zaglądając mu w twarz. Odwrócił się gwałtownie i schował chusteczkę do kieszeni.

Przeczesał dłonią włosy.

– Powinniśmy już wracać.

Skinęła głową, ale nie patrzył na nią. Odszedł. Patrzyła na jego plecy i myślała, że pęknie jej serce.

Ten widok był taki znajomy.

I znowu wszystko było dokładnie tak samo jak przedtem. Żadnej nadziei. Żadnych słów. Żadnej przyjaźni.

Nie. Wcale nie tak samo jak przedtem. Gorzej.

Od początku trzymał ją na dystans. I każdą chwilą milczenia, każdym afrontem pokazywał jej, że nie chce grać żadnej roli w jej życiu.

Najwyższy czas, by przyznać mu rację.

7

W trzecią środę miesiąca lady Henrietta Abernathy zapraszała do swego salonu wybraną grupkę dwudziestu kilku dam o podobnych poglądach, by dyskutować o aktualnych, ważnych sprawach. Wszystkie pochodziły z arystokracji, a ważne sprawy obejmowały także modę, zarządzanie domem oraz miliony problemów ze źle wyszkoloną służbą.

Wally żartem nazywał comiesięczne wizyty Charlotte u lady Abernathy „spotkaniami emancypantek”, a ich uczestniczki bardzo krzywiły się na to określenie. Dobrze urodzone damy gardziły takimi etykietami. Poza tym, ponieważ większość z nich była jeszcze niezamężna, pogłoski o ich intelektualnych zainteresowaniach mogłyby okazać się katastrofalne.

Mimo to Charlotte nie opuściła ani jednego spotkania, choć tematy nie zawsze jej odpowiadały. Tego wieczoru planowano dyskusję na temat medycznego zastosowania ziół w tynkturach i okładach Stowarzyszenia Aptekarzy. Podejrzewała, że wykład będzie raczej nudny, ale zajęła miejsce wśród słuchaczek.

Nauka doskonale podnosiła ją na duchu. A tu na pewno się czegoś nauczy. Do tej pory nie miała pojęcia o tynkturach i okładach, a to przecież fascynujący temat. To jest jej życie, prawdziwe życie – takie, jakie prowadziła, zanim poznała Willa Reptona.

Była wtedy szczęśliwa, więc i teraz będzie szczęśliwa.

Kiedy tylko przestanie odczuwać ten dziwny ból w piersi na wspomnienie chwili, gdy odepchnął ją od siebie po pocałunku. Gdy jej powiedział, że nie chce jej pytań i żeby dała mu spokój.

Tak jest. Zresztą dzisiaj bolało ją nieco mniej niż wczoraj.

I życie wcale nie było takie ponure. Przez ostatnie dni jej znajomość z Hugh bardzo się pogłębiła i już nie odczuwała takiego sprzeciwu, by spędzić z nim tydzień na wyjeździe na wieś. Teraz, gdy w pełni zrozumiała swoją sytuację życiową, łatwiej było jej się pogodzić z jego obecnością. Szczególnie gdy przekonała się, że pan Repton nigdy nie pokocha takiej kobiety jak ona.

Właśnie układała fałdy sukni, sadowiąc na jednym z niewielu wolnych krzeseł w przestronnym salonie Henrietty, kiedy gospodyni przysiadła się do niej na chwilę.

– Charlotte, uwielbiam cię.

Rudowłosa dama promieniała i wskazywała damom miejsca, wyciągając ozdobione pierścieniami dłonie.

Charlotte wstała, a gospodyni ucałowała ją w policzek.

– Ja też cię uwielbiam, Henrietto. Co takiego zrobiłam że zasłużyłam sobie na tak gorące powitanie?

– Nie bądź taka skromna, moja miła. Doskonale wiesz, co zrobiłaś. – Henrietta pochyliła się ku niej konspiracyjnie. – Zachowajmy to w tajemnicy. Niech to będzie niespodzianka dla wszystkich. Ale kiedy damy zobaczą, jaki twój przyjaciel jest przystojny, pospadają z krzesel z wrażenia.

Henrietta zasłoniła dłońmi uszy, a potem zaczęła się przesuwając między krzesłami, żeby dotrzeć do przedniej części salonu, gdzie przygotowano miejsce dla prelegenta.

Mój przystojny przyjaciel? Charlotte powoli usiadła na krześle.

Henrietta zaklaskała w dłonie, by zwrócić na siebie uwagę słuchaczek.

– Miłe panie! Nastąpiła zmiana programu. Z przyjemnością informuję, że dziś będzie przemawiał nasz specjalny gość.

W salonie zapanował radosny rozgardiasz.

– Przemierzył on tysiące mil lądem, morzem i na grzbiecie bawołów, wędrował po najbardziej odludnych zakątkach Azji. Jeśli byliście na naszym marcowym spotkaniu, pewnie pamiętacie, że wspominałyśmy o jego przygodach opisanych w „Westminster Review”.

Tylko nie to.

W salonie wybuchły chóralne okrzyki entuzjazmu.

Błagam, tylko nie to...

Spojrzała w otwarte drzwi wiodące do holu i serce jej się ścisnęło. W foyer stał pan Repton i obserwował ją z uwagą. Gwałtownie odwróciła głowę.

– Przyszedł do nas, by opowiedzieć o swojej ekspedycji po egzotycznych rubieżach – zapowiedziała Henrietta. – Przed paniami sam William Repton.

Damy powitały go oklaskami, gdy wszedł, niosąc mapy i ilustracje. Kiedy rozejrzał się po swoim audytorium, wszystkie się wyprostowały.

Co on tu robił? Nie rozmawiali od tego wieczoru, gdy się pocałowali, prawie dwa tygodnie temu. Nawet się z nim nie widywała, bo Ben, Lucy i Jacob wyjechali do Windmere, by spędzić tam ostatnie tygodnie do rozwiązania Lucy.

Przygotowała się psychicznie, że w Windmere będzie go widywać najrzadziej, jak się da, a potem nie spotka go już nigdy więcej. Ben nie planował powrotu do Londynu po narodzinach dziecka, a potem Will odpłynie już w podróż.

A ona zapomni o nim.

– Dziękuję, lady Abernathy.

Pan Repton skłonił się elegancko.

– Szanowne panie – zaczął.

Charlotte zapadła się w krzesło najgłębiej, jak jej na to pozwalał gorset. Mimo że siedziała tak daleko, jego błękitne oczy potrafiły zranić jej serce.

– Dziękuję, że zechciałyście mnie dziś wysłuchać. Dowiedziałem się o waszych spotkaniach od zaprzyjaźnionej z wami Charlotte Baker.

Dobry Boże.

Kilka pań spojrzało z zainteresowaniem w jej stronę. Opuściła szybko powieki, gdy chciał spotkać się

z nią wzrokiem.

Nie doczekawszy się jej reakcji, odchrząknął tylko i mówił dalej.

– Jest ona świetnym przykładem na to, że nie tylko mężczyźni bywają ciekawi świata. Mam nadzieję, że moje spotkania z Chinami będą dla pań interesujące i zabawne.

Postawił karton z zapiskami na sztaludze, uśmiechnął się nerwowo i splótł dłonie.

– Zaczynamy więc... – powiedział.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi przechyliła głowę, by przyjrzeć się mapie. Przez następną godzinę pan Repton na zmianę zabawiał i oszałamiał jej znajome opowieściami o podróżach po Azji. Barwnie opisywał ludzi, trudności podczas żeglugi oraz wędrówki w poszukiwaniu roślin.

Nie mówił tylko o urazach, jakie tam odniósł. Ani o tym, co pchało go do powrotu. Nie wyjaśnił też, czemu zawsze jest taki zmęczony. No i oczywiście nie powiedział, dlaczego się dziś pojawił na spotkaniu. Chyba że...

Czyżby to miały być przeprosiny? Nawet jeżeli tak, to czy nie rozumiał, że w ten sposób nic nie naprawi?

Pod koniec, gdy odpowiedział już na wszystkie pytania, damy otoczyły go wianuszkami. Charlotte pozostała na miejscu i rozmawiała ze znajomymi.

Wiedziała, że nie wolno jej okazywać żadnych emocji. Wszyscy zauważyli, że od wielu tygodni zachęca wicehrabiego Spencera do bliższej znajomości. Czy podejrzewali, że przeniosła uczucia na pana Reptona?

Nie... to niemożliwe. Musiała zdobyć serce tego arystokraty, żeby jej się oświadczył. Była ogólnie lubiana. Chyba nikt nie oskarży jej o kaprysy? Na pewno nie, jeżeli nie da po temu powodów.

W żadnym wypadku nie zamierzała tego zrobić.

Wymieniwszy pożegnalne pocałunki z przyjaciółkami, ruszyła do wyjścia i poprosiła o wezwanie powozu. Nie zamierzała zwracać uwagi na pana Reptona, poza uprzejmym aplauzem. Żadnych podejrzeń, żadnych nieprzyzwoitości.

Pośpiesznie otuliła ramiona szalem. Czy nie będzie to dziwnie wyglądało, jeżeli poczeka na powóz na zewnątrz?

– Panno Baker? – rozległ się tuż za nią głos pana Reptona.

Och, do licha! Odwróciła się, nie patrząc na niego.

– Dobry wieczór, panie Repton.

– Odjeżdża już pani?

– Tak, wezwałam już powóz. Dobranoc.

Lokaj otworzył przed nią drzwi, więc wyszła, krzywiąc się, że właśnie przydarzyła jej się podwójna katastrofa: powozu nigdzie nie było widać, a pan Repton ruszył w ślad za nią na dwór.

– Czy mogę pani dotrzymać towarzystwa?

Podszedł bliżej, więc odsunęła się, by nie czuć znajomego zapachu rumu i goździków. Chyba go to zakłopotало.

– Myślałem... nie widziałem pani tak dawno. Miałem nadzieję, że porozmawiamy. Mógłbym panią

odwiedzić w domu.

Odwiedzić mnie w domu?

– To miło z pana strony, ale nie ma takiej potrzeby.

Spochmurniał, ale nie upierał się.

Nie powinna być niegrzeczna, choć serce jej się ścisnęło. Do diabła, przecież tak za nim tęskniła.

– Podobał mi się pana wykład.

Natychmiast zajrzał jej w oczy.

– Chciałaby pani dowiedzieć się czegoś więcej? Myślałem, że będzie pani miała pytania.

Powiedz mi, dlaczego chcesz tam wrócić. Dlaczego nie sypiasz. Co cię tak zraniło.

Powiedz mi, dlaczego nie możesz mnie pokochać.

Pokręciła głową i uparcie wpatrywała się w zakręt alei, w nadziei, że powóz się wreszcie zmaterializuje.

Odchrząknął i również tam spojrział.

– No dobrze. W takim razie niech pani mi powie, jak się pani podoba mój ubiór?

Pospiesznie obciągnął tuzurek i oparł dłonie na biodrach, czekając na jej opinię.

Przyjrzała mu się pobieżnie, żeby nie dostrzegł tęsknoty w jej wzroku.

– Bardzo dobrze pan wygląda.

– Zapytałem Wallace’a, jak powinienem się ubrać dla tak wybrednego, damskiego audytorium. – Poglądził z roztargnieniem kamizelkę. – Jacob doradzał wdzianko marynarskie, ale nie miałem odpowiednich butów.

Nie próbowała nawet zmuszać się do uśmiechu.

– Naprawdę nie musi pan ze mną czekać.

– Ja tylko... kiedy się całowaliśmy...

– Kiedy ja pana pocałowałam, panie Repton. Zresztą to tylko spowodowało większy rozdźwięk pomiędzy nami.

– Nie, to ja...

– Proszę, nie rozmawiajmy na ten temat. – Wzięła głęboki oddech. – Tamten wieczór był tylko moim kolejnym głupim wyobrażeniem.

Patrzył na nią zakłopotany.

– Czy pozwoli mi pani jakoś to naprawić? Pomyślałem, że jeśli tu przyjdę... – Pochylił się i ściszył głos. – Niech mi pani powie, co mam zrobić.

Przestraszona jego bliskością odsunęła się w tył. Posmutniał.

– Gniewa się pani.

– Nie.

– Unika mnie pani.

– Nie, ja... Chyba pan nie rozumie, panie Repton, co pana obecność może sugerować moim znajomym.

Spojrzał na nią bez wyrazu.

– Nie mogę sobie pozwolić, by inni pomyśleli, że pana zachęcam.

Widać było, że zaczyna rozumieć, ale na jego twarzy pojawił się wyraz oślego uporu.

– Rozumiem. Nie sądziłem...

Zmarszczył brwi, a potem szybkim ruchem wyciągnął coś z kieszeni.

– To dla pani – powiedział i podał jej niewielką, zawiniętą w papier paczuszkę.

Spojrzała na niego oszołomiona.

– Och, ja...

Wzruszenie odebrało jej głos. Przycisnęła dłoń do piersi. Papier nie był elegancki, ale z góry wiedziała, że prezent ją zachwyci.

– W sobotę są pani urodziny.

Skinęła głową, zbyt wzruszona, by mówić.

Och, nie... W Willu Reptonie nie można się odkochać.

– To nic kosztownego. Ale ma pani taką zieloną suknię... – Zamilkł na widok jej miny. Spochmurniał i potarł dłonią szczękę. – Taką w paski. Zakłada pani do niej bransoletkę z nefrytu.

Znowu podsunął jej paczuszkę.

– Pomyślałem sobie....

– Nie mogę tego przyjąć – rzuciła. – Przepraszam. To nie byłoby właściwe.

Zacisnął zęby, patrząc ponad jej głową, i wsunął paczkę z powrotem do kieszeni.

– Ja nie... Przepraszam.

Wyglądał na zakłopotanego, a ona... do diabła... bardzo chciała dostać ten prezent.

– To dlatego, że nie jesteśmy rodziną – oznajmiła. – Ale właściwie... nikt nie mógłby mieć zastrzeżeń, gdyby mi go pan chociaż pokazał.

Spojrzał jej w oczy.

– Naprawdę?

– To znaczy, gdyby miał pan ochotę mi go pokazać. Skoro się spotkaliśmy... i był pan tak miły, że go tu dziś przyniósł...

– Dobrze. Pokażę go pani.

Serce zabiło jej mocno i nie udało jej się powstrzymać zachwyconego uśmiechu, kiedy podszedł bliżej i zaczął rozpakowywać paczuszkę, którą oboje zasłaniali swoimi ciałami. Tak, jakby dzielili swój pierwszy sekret. Tak, jakby to miał być najpiękniejszy prezent, jaki dostaną w życiu.

Tak, jakby to była przyjaźń.

Zwinął papier i wetknął go do kieszeni, a potem podał jej skórzane, jubilerskie pudełeczko.

W środku był nefrytowy naszyjnik, o wiele piękniejszy od jej bransoletki, z wielobarwnymi koralami. Jedne były rdzawobiałe, inne przezroczyste, jeszcze inne ciemnozielone. Podniosła go wyżej, żeby załśnił w świetle latarni.

Każdy z koralu był wyrzeźbiony ze zdumiewającą precyzją; kolejne warstwy rzeźb odsłaniały ukryte wewnątrz światy. Pokręcone gałęzie sosen otaczały wodospad. Żurawie przelatywały nad strzelistymi górami. Smok walczył z feniksem, zamknięty na wieczność w rzeźbionym koralu.

– Ojej – szepnęła. – Jest taki piękny.

– Kupiłem go na bazarze w Kantonie.

– Pamiętam... To znaczy pamiętam, jak pan to opisywał.

– Wiem, że się niewłaściwie zachowałem – powiedział. – Mam nadzieję, że będziemy przyjaciółmi.

Przyjaciółmi. Za późno. Na to zawsze było za późno.

– Jeśli pan sobie tego życzy.

Te uprzejme słowa wyraźnie go zaniepokoiły. Przesunął dłonią po włosach, pociągnął za fular, niszcząc perfekcyjny węzeł.

– Pomyślałem sobie, że skoro jestem przyjacielem pani rodziny... i nie chcę żadnych niesnasek ze Spencerem podczas wyjazdu na wieś.

– Nikt nie wie, że pana pocałowałam. Jestem tego pewna – odezwała się nieco zaniepokojona.

– Ja nikomu nie powiedziałem. I nigdy nie powiem. – Jego wzrok spoczął na jej wargach. – Poza tym oddałem pani pocałunek, o ile pani sobie przypomina.

Z żalem oddała mu piękny naszyjnik. Przyjął go bez słowa.

Zza zakrętu wyłonił się powóz. Z rezydencji wyszły trzy damy, rzucając im ciekawskie spojrzenia.

Wyciągnęła dłoń.

– Poda mi pan rękę, panie Repton?

Usłuchał natychmiast, choć prośba go wyraźnie zaskoczyła.

– Na benefis naszej publiczności – wyjaśniła. – Dobranoc.

Odwróciła się, dając mu sygnał do odejścia, i zaczęła udawać, że zapina rękawiczkę.

– Szczęściarz z tego Spencera, jeśli rzeczywiście go pani wybrała. Życzę pani powodzenia – usłyszała zza swoich pleców.

Szczęściarz...

– Tak, dziękuję.

Chyba zbyt mocno zasznurowano jej gorset. Dokuczał jej cały wieczór.

– Jeżeli jest coś, co mógłbym...

– Dziękuję.

Nie mogła oddychać. Dlaczego?

– Mój powóz już nadjechał.

Stangret zsiadł, żeby pomóc jej wsiąść, ale uprzedzając go, dosłownie wskoczyła do środka, żeby jak najprędzej zostać sama. W bezpiecznym wnętrzu powozu oparła się o wezłowie.

Jeszcze będzie szczęśliwa. Na pewno. Znajdzie cel w życiu. Będzie wiedziała, gdzie przynależy. Gdy tylko weźmie ślub.

Gdy tylko zostanie hrabiną Spencer.

8

Zastanawiam się, czy powinienem zabrać ze sobą wędkę.

Matka Willa nawet nie podniosła wzroku znad powieści.

– A mnie zastanawia, że się zastanawiasz, bo przecież nie lubisz łowić ryb, John – odpowiedziała.

– Nie lubię? – zapytał ojciec.

– Kiedy ostatnim razem wybrałeś się nad wodę, zasnąłeś na słońcu i wróciłeś do domu poparzony – odpowiedziała.

– Och, tak, tak. Rzeczywiście tak było.

Will przysiągł sobie, że nigdy, ale to nigdy więcej nie pojedzie razem z rodzicami w jednym powozie. Ich rozmowy były kompletnie bez sensu. Wolałby chyba jechać na dachu, przypięty razem z kuframi.

Matka dawno przestała się przejmować rozkojarzeniem ojca, ale wcale nie przestała go kochać. Pocieszającym gestem dotknęła jego ramienia.

– Nie przejmuj się. Tam będzie mnóstwo rozrywek. Przecież chciałeś dowiedzieć się, jak róże Despreza radzą sobie w środkowej Anglii. Mamy prawie czerwiec, więc pewnie już zakwitły. A odmiana Saint-Priest...

– Saint-Priest de Breuze?

– Ta właśnie.

Oczy ojca zalśniły z emocji, poklepał matkę po podołku i nie zabrał ręki z tego miejsca.

Pochylił się ku niej.

– Zapakowałaś ten nowy czepek, Lizzie?

Will podejrzewał, że to jakieś ich wspólne hasło, bo matka żartobliwie trzepnęła go książką. Dawno już porzucił próby rozszyfrowania ich sekretnej języka.

Ojciec wciąż był zakochany w matce i nie było w tym nic dziwnego, bo Elizabeth Repton wciąż była piękną kobietą.

Szkoda, że botaniczne i matrymonialne gusta ojca nie rozciągały się na sposób jego ubierania. Kompletnie nie zwracał uwagi na to, czy spodnie pasują do surduta. Dobrze, że jego żona pilnowała, by w miarę przyzwoicie wyglądał. Zresztą, pod koniec dnia włosy ojca i tak będą kompletnie rozczochrane, tworząc nieład zbyt artystyczny jak na naukowca, który zajmował się przecież tylko roślinami.

– William. – Matka ostro spojrzała znad książki. – Nie wolno ci pozwolić, by ojciec całymi dniami włóczył się po okolicy. Powiedziałam mu, że ma być towarzyski.

– Będziesz musiał zapoznać się z Charlotte Baker, ojciec – przypomniał mu Will.

Naukowiec westchnął.

– Ciekawe, czy w ogóle będzie po temu okazja. Jeśli jest choć w połowie tak ładna jak Lucy, wszyscy młodzi ludzie będą się ubiegać o jej uwagę.

– Ma już swojego wybranka.

Will pochwycił smętne spojrzenie matki. Nieszczęsna pani Elizabeth Repton, która nie może liczyć na wnuka... i długo pozostanie w tej sytuacji.

– Co o niej myślisz, William? – spytała. – Wytrzyma jakoś nasze wiejskie maniery?

– Nie martw się, mamó. To elegancka dama, ale nie zadziera nosa.

– Jest ładna?

Will przesunął dłonią po twarzy.

– Bardzo.

Wyrzał z okna, podziwiając wiejski krajobraz Derbyshire, który tylko dodatkowo go przygnębiał.

– O wiele piękniejsza od siostry.

Rodzice unieśli brwi i oboje spojrzeli na niego znacząco.

– Podczas tego wyjazdu prawdopodobnie przyjmie oświadczyzny wicehrabiego Spencera. Chyba zwariowaliście, jeśli myślicie, że taka kobieta zechciałaby kogoś takiego jak ja.

Widząc ich urażone miny, natychmiast pożałował, że się odezwał.

Mama westchnęła.

– Jasne, to wariactwo, jeśli ktoś chce doczekać się wnuków, zanim będzie za stary, żeby je brać na ręce.

Pochylił się ku niej ze swego siedzenia i pocałował ją w policzek.

– Jeszcze tylko kilka lat mamó. Obiecuję, że ożenię się z pierwszą, która mi się napatoczy po zejściu z pokładu na angielski ląd. Pod warunkiem że będzie przy kości, ładna i płodna.

Popchnęła go z powrotem, nieco pocieszona.

– Popatrz na tę grupę wiązów, Williamie.

Ojciec znowu wyglądał przez okno.

To, co wyglądało na zagajnik, okazało się początkiem alei, w którą wjechał powóz.

– Pewnie zaraz będziemy w Windmere. Ben wspominał mi o alei wiązów prowadzącej do dworu.

Powóz wjechał na pagórek, a potem zaczął zjeżdżać w dół. Mogli już podziwiać wspaniałą, położoną wśród wzgórz rezydencję ze złocistego kamienia i trzy rzędy wysokich, lśniących w słońcu okien.

W kwietnikach wzdłuż podjazdu weseliły się żółte dalie. Po chwili koła powozu zachrzęściły po żwirze, a z frontowych schodów zeszła grupka służby. Między nimi podskakiwał pełen emocji Jacob.

– Ojej. Ojej, ojej – szepnął ojciec. – Nie miałem pojęcia, że Windmere to pałac. Lizzie, pomyśleć tylko, że będziemy spali pod takim eleganckim dachem.

Will nie słyszał ciągu dalszego rozmowy między rodzicami ani nie podziwiał piękna wyniosłego budynku.

Charlotte była blisko. W domu.

Do diabła... ja naprawdę wyczuwam jej obecność.

Charlotte oparła się o parapet okna w błękitnym salonie. Reptonowie właśnie wysiadali z wynajętego powozu, ale nie była gotowa wyjść im na powitanie w ślad za Benem, Lucy i Jacobem.

To on.

Ta myśl pojawiła się w jej głowie zupełnie nieproszona, jak zwykle na widok Willa Reptona. Pojawił się w jej najbardziej ukochanym zakątku świata. Tak dobrze znany... podziwiany... i niedostępny.

Goście i gospodarze weszli do domu. Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić i przeniosła się do biblioteki, gdzie przed chwilą rozbrzmiewały ich głosy. Zdaje się, że wszyscy wyszli stamtąd na taras, a potem do ogrodu. Starszy pan Repton pewnie nie mógł się doczekać widoku rosarium Lucy, bo przecież sam zdobył większość rzadkich krzewów.

Ben i jego mentor, John Repton, właśnie pochylali się nad jakimś różanym krzewem, a Lucy i Wally pilnowali Abby, która radośnie dreptała wśród kwiatów. Will Repton z matką stali plecami do niej.

Jacob spostrzegł ją pierwszy.

– Ciociu Charlotte! Pan Repton tu jest!

Pan Repton rzucił jej szybkie spojrzenie, a potem się uklonił.

– Witam w Windmere, panie Repton. – Przez sekundę podziwiała jego lśniące w słońcu włosy, a potem zwróciła się do jego matki.

– Mamo, to Charlotte Baker. Panno Baker, to moja matka Elizabeth – przedstawił je sobie pan Repton.

Charlotte uśmiechnęła się do kobiety, która miała takie same cudowne, błękitne oczy jak jej syn. Kiedy odpowiedziała, wokół nich pojawiły się zmarszczki.

– Słowo honoru, zdaje się, że wszystkie kobiety z waszej rodziny to piękności. Wprawdzie William mnie uprzedzał, ale i tak jestem zdumiona.

Charlotte zarumieniła się na ten komplement.

– Och, jak to miło...

– Chodź, moja miła – przerwała jej pani Repton. – John miał wielką ochotę cię poznać. Zobaczmy, czy dla ciebie oderwie się od swojej życiowej pasji.

Z przyjemnością spojrzała na siwowłosego starszego pana wśród różanych krzewów Lucy. Właśnie gratulował Benowi, że są w doskonałym stanie.

– Ojczy? – Zaskoczył ją głęboki głos pana Reptona, który rozległ się tuż za jej plecami. Na jego twarzy malował się smutek. – Jest tu panna Baker.

Charlotte uśmiechnęła się serdecznie do przemiłego starszego pana, który wyprostował się, by ją powitać.

Ojciec i syn różnili się od siebie jak niebo i ziemia. Will Repton emanował powagą, zamiłowaniem do szczegółu, wyrażał się oszczędnie i mało gestykulował. A John Repton miał krzywo zapiętą kamizelkę.

– Ojej, panna Baker! – John Repton spojrzał na nią z uśmiechem. – No proszę, patrzcie państwo. Rzeczywiście jest pani urocza. Zbyt długo zwlekaliśmy z poznaniem małej siostrzyczki Lucy. Przywiozłem pani różę Blanche de Belgique i właśnie mówiłem Benowi, żeby posadził ją koło odmian flamandzkich. – Mówiąc to, nieco spoważniał.

– O mało co nie przywiozłem pani odmiany Madame Carolina, z oczywistych względów, ale Will

powiedział mi, że lubi pani biały kolor.

– To prawda – zapewniła go pośpiesznie Charlotte. – Dziękuję. To prawdziwy skarb. Zakwitnie jeszcze w tym roku?

– Myślę, że tak. – John poklepał ją po ręce i przyjrzał jej się uważniej. – Tak. Zdaje mi się, że Blanche to był dobry wybór.

Spojrzał w oczy swojej żonie z tak ciepłym uśmiechem, że Charlotte ścisnęło się serce. Elizabeth Repton, podobnie jak siostra Charlotte, wiedziała co to małżeństwo z miłości.

– Liz, z kim ty rozmawiasz? – John Repton ruszył ku żonie. – Ten elegancki młody dżentelmen nie może być przecież Jacobem Paxtonem. Przecież panicz Jacob nieledwie wczoraj był maleńkim niemowlakiem, którego znaleźliśmy w zagonku kapusty. – John Repton mrugnął do niej okiem i pochylił się, by porozmawiać z Jacobem, zostawiając Charlotte w towarzystwie swojego syna.

– Proszę się nie zastanawiać, dlaczego ojciec nie przywiózł pani odmiany Carolina. – Pan Repton skrzyżował ramiona na szerokiej piersi. – Mało kto rozumie jego sposób myślenia. Nawet ja nie potrafię pani powiedzieć, o co mu chodziło.

– Ależ ja to dobrze rozumiem. Carolina mogłaby się wydawać właściwym wyborem, bo Charlotte to francuska wersja tego imienia.

Na jego twarzy pojawił się wyraz rozbawienia, a potem zadumy. Posmutniała.

Ciekawe, jak często zdarzały mu się takie nieporozumienia z ojcem. Zupełnie, jakby obaj mówili różnymi językami.

Próbowała na niego nie patrzeć, ale nie udało jej się. W słońcu jego popołudniowy zarost był złocisty, a na gardle, pod stanowczo zarysowaną szczęką, niemal bursztynowy.

Pan Repton spostrzegł, że mu się przygląda i spoważniał. Wyszedł na skraj rosarium i popatrzył w dal.

Wspaniała, grawitacyjna fontanna tryskała wodą, którą wiatr rozwiewał jak koński ogon – zaledwie jeden z licznych cudów Windmere. Ogrody były olbrzymie, pełne atrakcji zaprojektowanych przez Bena, ale niemal wszyscy zwiedzający najpierw chcieli zobaczyć jego największe dzieło...

– A gdzie jest palmiarnia? – zapytał pan Repton.

– Od południa, za ogrodami kuchennymi.

Pan Repton spojrzał na Bena i ojca, pograżonych w ożywionej rozmowie.

– Pokazać ją panu? – Spostrzegła, że zacisnął zęby i pożałowała propozycji. – No tak, wszyscy wolą, żeby Ben ich oprowadzał.

– Nie. – Patrzył na ogromny trawnik, nie na nią. Nigdy na nią nie patrzył. – Będę wdzięczny, jeśli mi ją pani pokaże. Dziękuję.

Poprowadziła go przez trawnik na tyły domu. Wyraźnie ciekawość przeważyla nad skrępowaniem, jakie odczuwał w jej towarzystwie. Chyba że przez ostatnie dwa tygodnie zapomniał o wszystkim, co było między nimi.

Ten spacer nie uchybiał przyzwoitości. Był gościem w jej domu, a wszędzie było pełno służby.

Choć wolałaby nie spotkać Hugh. Zachowanie wicehrabiego nie pozostawiało wątpliwości co do jego zamiarów. Co dzień sobie powtarzała, że to dobrze. A teraz po prostu nie miała ochoty przebywać naraz

z Hugh i z mężczyzną, którego pocałowała w ogrodzie jak jakaś ulicznica.

– Windmere to piękne miejsce – powiedział. – Kiedy tu pani zamieszkała? Ile miała pani lat, kiedy pani siostra wyszła za hrabiego?

– Osiem.

– Musiała pani bardzo kochać to miejsce.

– Oczywiście. Miałam tu kucyka.

Jego oczy złagodniały.

– Łatwo odgadnąć. Wplatała mu pani kwiaty w grzywę?

Uśmiechnęła się i lekko zarumieniła.

– Beatrice to wcale nie przeszkadzało.

– Beatrice...? – Otworzył szeroko oczy, jakby właśnie coś zrozumiał. – Więc to był kucyk!

– Jak to?

– Na poduszce, w pani londyńskim salonie. Myślałem, że to koza. W jakim wieku wyszła pani tę poduszkę? Siedmiu, ośmiu lat?

Spojrzała na niego.

– Dwudziestu.

– Aha – powiedział z uśmiechem.

Koza?

– Rozumiem. No cóż. – Zerwał źdźbło trawy i zaczął się nim bawić. – Czy wicehrabia Spencer już przyjechał?

– Tak. Wybrał się do Highthorpe razem z siostrami i kilkoma innymi gośćmi. Obie mają wielką ochotę odnowić z panem znajomość. Podobnie jak inne damy.

– Nie przyjechałem tu spotykać się z innymi damami.

– Naprawdę? Czy już ulokował pan gdzieś swoje uczucia? – Miała nadzieję, że ton jej głosu był przekonująco bez troski.

Wyraźnie nie zrozumiał, o co jej chodzi.

– Wspomniał pan o innych damach – wyjaśniła.

– Nie. Żadnych dam, panno Baker – odparł, znowu na nią nie patrząc. – Widzę już dach palmiarni. Stąd sam już trafię. Dziękuję, że mi pani pokazała drogę.

Nie spojrzawszy ani razu wstecz, poszedł sobie i zostawił ją na trawniku jak głupią krowę. Do diabła z nim! Otarła oczy. Raz uśmiechał się tak, że zapierało jej dech w piersi, a za chwilę kompletnie wytrącał ją z równowagi.

Ta melancholia była zupełnie nienaturalna. Dotknęła podstawy szyi i rozmasowała napięcie, które się tam zebrało. – Charlotte?

Otworzyła oczy, słysząc głos Hugh. Zbliżał się od strony głównego podjazdu.

– Wróciłeś – stwierdziła oczywisty fakt.

– Highthorpe to urocza wioska. Kupiłem sobie ogrodnicze rękawice, zainspirowany ogrodami Windmere.

Zaśmiała się. Przesadzanie roślin w ogrodzie to ostatnie zajęcie, o jakie można było podejrzewać wicehrabiego Spencera.

– Wspaniały pomysł, Hugh. A potem możesz podarować te rękawice swojemu ogrodnikowi.

– Ranisz mnie, Charlotte. Chcę tylko, żebyśmy mieli jakieś wspólne zainteresowania. – Uśmiechnął się i pociągnął ją za wstążkę przy rękawie. – Mój majątek w Hertford jest w żalosnym stanie, ale z czasem można by z niego zrobić równie pięknie miejsce jak Windmere. Wydaje mi się, że potrzebuje kobiecej ręki – powiedział to, znacząco patrząc jej w oczy.

Czy możemy być razem szczęśliwi, Hugh?

Zajrzała mu w oczy, szukając w nich odpowiedzi.

Uniósł jej podbródek i pocałował.

Przyrzekła sobie, że nie będzie już żadnych testów więcej. Ale może ten jeden, ostatni raz...

Przywarła mocniej do jego warg.

Zachęcony jej reakcją, położył jej ręce na ramionach i rozchylił jej wargi swoimi. Ogarnęła ją panika.

Nic, ale to nic nie czuła. Otworzyła oczy i poczekała sekundę, aż Hugh przerwie pocałunek.

Jego zadowolony uśmiech złamał jej serce. Nic nie poczuła. Oprócz sympatii.

Ale czy to wystarczy?

9

Myśliwska wieża wznosiła się majestatycznie z dala od domu i ogrodu, na wzniesieniu, z którego roztaczał się przepiękny widok. Will wypatrzył ją na spacerze poprzedniego dnia. Może dlatego stado jeleni pasące się na zboczu nie zwróciło jego uwagi, gdy wspinał się ku niej kolejny raz.

Mięśnie łydek piekły go ze zmęczenia, ale – jako że nie mógł jeszcze biegać – wspinał się najszybciej, jak potrafił, po najbardziej stromych podejściach. Wysiółek sprawiał mu przyjemność. Musiał wrócić do sił. Cztery miesiące na pokładzie statku potrafią fatalnie wpłynąć na ludzki organizm, jeśli od początku nie będzie wystarczająco silny. Wspinaczka to doskonałe zajęcie podczas pobytu na lądzie. Dzięki niej zapominał o koszmarach, które budziły go w nocy.

Ból mu nie przeszkadzał. Na pewno da radę przejść jeszcze milę lub dwie, zanim noga kompletnie odmówi mu posłuszeństwa.

Wiatr spychał go w dół podczas wspinaczki, huczał w uszach i zapierał dech. Gdy był niemal na szczycie, dostrzegł coś niebieskiego za wieżą. Dwa kolejne kroki i wiedział już, że to suknia. Cztery – i widział już całą Charlotte, opartą o ścianę wieży.

Pulsujące zmęczeniem nogi zatrzymały się, zanim dotarł na szczyt, ale było już za późno, by zawrócić.

Była wyraźnie zaskoczona, wyprostowała się i odwróciła ku niemu.

– Przepraszam, nie będę pani przeszkadzać – powiedział zdyszany. Pochylił się, opierając dłonie na kolanach. – Nie miałem zamiaru pani przeszkadzać w spacerze.

– Przyjechałam konno. Ja...

– Umówiła się tu pani ze Spencerem?

– Skądże znowu.

Wyglądała na urażoną. Machnął ręką, zbyt zmęczony, by wytłumaczyć ten kiepski żart.

– Ojej, panie Repton, czy pan przeszedł pieszko ten kawał drogi?

Spojrzał na nią spod oka.

– Muszę co rano mieć trochę wysiłku.

– Nie lepiej byłoby iść nieco spokojniejszym tempem?

Jego przyspieszony oddech wyraźnie ją niepokoił, więc Will wyprostował się, żeby wydawało się, że jest w lepszej formie.

– Nic mi nie będzie. Od miesiący nie oddychałem tak świeżym powietrzem.

W dalszym ciągu marszczyła nosek z niepokoju.

– Do zobaczenia zatem.

– Chwileczkę, panie Repton.

Spojrzał na nią pytająco. Zmarszczyła brwi, wyraźnie zdziwiona, że jej posłuchał.

– Niech pan przynajmniej chwilę odpocznie. Proszę... Niech pan to dla mnie zrobi.

Prawdziwa dama. Nawet gdy go łąjała. Minuta odpoczynku raczej mu nie zaszkodzi. W końcu nie mogą siebie unikać przez cały tydzień.

– Nawet konia zostawiłam na dole, by odpoczął – powiedziała. – Uwielbiam ten widok. Kiedy tu jestem, mam wrażenie, że zaraz ruszę w podróż. Chociaż, gdybym dojechała tam, gdzie sięga stąd mój wzrok, dalej byłabym w granicach majątku. Pewnie po to zbudowano tę wieżę, chociaż nikt z tej rodziny na szczęście nie lubi polowań. Czy pan poluje, panie Repton?

– Nie.

– Aha. – Skinęła głową. – To dobrze. Dla mnie to żaden sport, a dla pana?

Mało brakowało, a by się uśmiechnął. Czy cisza przeszkadzała jej tylko w jego towarzystwie, czy zawsze?

Powiódł wzrokiem po pagórkowatym krajobrazie, lasach i błękitnej, krętej wstążce rzeki, która przecinała aksamitną zieleń. Potem przeniósł wzrok na Charlotte – ten widok by go zawsze zachwycał.

Trzymała w ręku kapelusz, a wiatr rozwiewał jej włosy, muskając nimi policzek. Nie miał pojęcia, że są aż tak długie. Nigdy nie widział jej w tak prostej sukni, w dodatku ubłoconej na dole.

Z tymi rozwianymi włosami i zaróżowionymi policzkami mogłaby być córką jakiegoś rolnika. Taką, która przed chwilą kochała się z kimś w stodole albo na stojąco pod drzewem, albo w stogu...

Do diabła. Krew odpłynęła mu z głowy w dolne partie ciała, więc znowu się pochylił i oparł dłonie na kolanach.

– Przychodzę tu, kiedy chcę być sama. – Skubała wstążki kapelusza, spoglądając na niego wyczekująco.

Wyraźnie nie miała już ochoty na samotność.

Dżentelmen powiedziałby coś zachęcającego.

Westchnęła głęboko, więc zaczął się zastanawiać, co by tu odpowiedzieć.

– Na wypadek gdyby się pan zastanawiał, panie Repton, powiem panu, że myślałam o małżeństwie.

Zabrzmiało to niemal nieśmiało, więc powstrzymał złośliwy uśmiešek. Ale nie przyszło mu to łatwo.

– Nietrudno się domyślić, że ten temat ostatnio panią zajmuje.

– Raczej mnie niepokoi. – Skrzywiła się. – Nie, „niepokoi” to okropne słowo. – Powiedzmy, zbija mnie z tropu.

Wpatrywała się w jego usta, ale kiedy na nią spojrzał, umknęła wzrokiem.

– Co konkretnie panią zbija z tropu? – zapytał bez entuzjizmu, ale przynajmniej z pewną dozą cierpliwości.

– Mówiono mi różne rzeczy o... miłości i tak dalej, które nijak się mają do moich doświadczeń. Wolałabym pana nie stawiać w tak krępującej sytuacji tak jak poprzednio, ale gdyby się pan sam domyślił...

– Panno Baker?

– Więc... – Policzki jej pociemniały. – Pewnie pan pomyśli, że zwariowałam, ale czas ucieka. –

Odwróciła się, jakby gotowała się do skoku. – Czy zrobiłby mi pan przysługę i pocałował mnie jeszcze raz, nie pytając dlaczego?

Dobrze, że był pochylony do przodu, bo mógłby z wrażenia klapnąć tyłkiem na ziemię.

– Tak... To znaczy nie.

W żadnym wypadku.

Spojrzała na niego niepewnie.

– Nie pocałuje mnie pan, czy nie będzie pytał dlaczego?

– Nie będę – to znaczy ani jedno, ani drugie. Jestem dorosłym człowiekiem. Nie zamierzam uczestniczyć w pani salonowych zabawach.

Otworzyła usta ze zdziwienia.

– Zwracam się przecież do pana z prośbą o pomoc.

Jakże ta kobieta go dręczy!

Zamknął oczy, modląc się o cierpliwość, której jeszcze do niedawna miał tak wiele.

Bez skutku.

– Czy damy proszą o pocałunek każdego, kto im się nadarzy?

Policzki jej pałały. Po raz pierwszy miał wrażenie, że Charlotte odejdzie bez słowa. Mruknęła coś pod nosem, wsadziła kapelusz na głowę i ruszyła przed siebie.

– Proszę zaczekać! – krzyknął. Nie obejrzała się, tylko coraz szybciej schodziła ze wzgórza. Pośpieszył w ślad za nią, jak pies.

– Niech mi pani powie dlaczego, to się zastanowię.

– Nie – rzuciła przez ramię. – Nie chcę, żeby pan się nad tym zastanawiał.

Jego cierpliwość się wyczerpała. Złapał ją za ramię i zatrzymał siłą. Jej spojrzenie znowu pomknęło ku jego wargom i uciekło. Z racji zawodu doskonale potrafił analizować szczegóły, więc... do cholery...

– Chce pani nas porównać – warknął.

– Nie. Chcę tylko przekonać sama siebie, że pana pocałunki nie są przyjemniejsze od pocałunków Hugh.

– Dlaczego pani musi się o tym przekonywać? Całował panią przecież, prawda?

Skinęła głową z nieszczęśliwą miną.

– I jest aż tak okropny?

Podniosła oczy do nieba.

– To jest nie do zniesienia.

Oniemiały, patrzył, jak odwraca się i odchodzi.

– Co takiego?

Ruszył za nią i o mało jej nie przewrócił, gdy nagle sama się zatrzymała.

– Hugh twierdzi, że mnie kocha, ale nic nie czuję w jego obecności. A pan mnie nawet nie lubi...

– Lubię, i to bardzo.

– ...ale pana pocałunek był... nie całkiem niemile widziany.

Zaczynał rozumieć tę kobietę. Zbyt późno, by uniknąć jej gniewu, ale jednak. Charlotte przeżywała rozterkę, bo nie rozumiała, dlaczego woli pocałunek jego od Spencera.

No cóż. Miło było to słyszeć. Ale lepiej tego zbyt długo nie rozważać. Ona naprawdę to przeżywa i cierpi.

Zmarszczył brwi, bo to była zupełnie nowa myśl.

– Ja bym się tym nie przejmował. To był jeden, jedyny pocałunek pod księżycem. Pani romantyczne serce współczuło biednemu kalece, który tańczył z panią w ciemnościach. To była litość, a nie poryw serca.

– Niby dlaczego miałabym współczuć... podłemu tępakowi, który ma mniej uczuć niż pies albo... albo głupi... – Szukała w myślach odpowiednio nieczułego i tępego zwierzęcia. – Pan jest jak koza... ale nie taki mądry ani...

Uśmiechnął się mimo woli.

– Czy próbuje mnie pani obrazić?

Raczej go nie słyszała, bo znowu ruszyła w dół wzgórza.

– Przypomnę panu jeszcze, panie Repton – rzuciła przez ramię – że potem pan na mnie krzyczał. I to okropnie. A ja mam dwadzieścia trzy lata i takie bzdury jak światło księżycy nie robią na mnie wrażenia. Hugh całował mnie w wierzbowym zagajniku, w Świątyni Muz i na ścieżce przyrodniczej, która jest nieporównanie bardziej romantyczna. W wielu romantycznych miejscach.

To przegnało uśmiech z jego twarzy.

Jej suknia furkotała na wietrze. Dłonie zacisnęła w pięści.

Daj tej wariatce odejść. Nie dręcz tak siebie, nie bądź idiotą.

Wiatr zwał jej z głowy kapelusz, więc pośpieszyła go podnieść.

– Do cholery z tym wszystkim! – usłyszał przez świst wiatru.

Bardzo płaczliwie to zabrzmiało.

Do diabła.

– Niech pani zawróci!

– Nie!

– A jeśli panią poproszę?

Zatrzymała się, przechylając pytająco głowę.

Prześlicznie wyglądała, nawet z tym wojowniczo uniesionym podbródkiem.

– Mówię poważnie – mruknął.

– Pocałuje mnie pan?

– Jasne.

Ścieżka przyrodnicza... a niech to szlag.

Wcale nie była przekonana, więc zrobił łagodniejszą minę. Zrobiła krok w jego stronę, zatrzymała się, by przygłodzić włosy, i wreszcie znalazła się na tyle blisko, żeby mógł ją objąć. Od razu się napięła.

Zaniepokoił się.

– Czy Spencer jest wobec pani delikatny?

Obojętnie skinęła głową. Odetchnął z ulgą. Przyciągnął ją do siebie. Koszulę miał mokrą od potu, więc przez chwilę zastanawiał się, czy to wypada. Ale bliskość jej ciała była zbyt wielką pokusą.

Dlaczego wciąż była napięta?

– Czy pani narzeczony w ogóle panią obejmuje? – warknął. Potem znowu odetchnął i dodał: – Czy tylko muska panią wargami?

– Trzyma mnie za rękę. – Spojrzała mu w oczy. – Myśli pan, że na tym polega problem?

Wzruszył ramionami. Całą jego uwagę pochłaniało magnetyczne spojrzenie jej błękitnych oczu.

– Uścisk daje poczucie bliskości.

Położyła mu dłonie na ramionach. O mało nie zemdlął z wrażenia.

Boże, co on wyprawiał? Ale Charlotte oczekiwała odpowiedzi. Uniosła podbródek, przymknęła oczy i wydeła wargi. On z kolei zacisnął usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem na ten widok, ale bardziej z powodu napięcia, niż prawdziwego rozbawienia.

– To znaczy, że mam się wziąć do rzeczy?

Przytaknęła, więc opuścił głowę, ale odsunęła się nieśmiało. Wargami dotknął kącika jej ust. Wystarczyło, że lekko ich dotknął, żeby się otworzyły, wpuszczając go do środka.

Wielki Boże, było tak samo cudownie jak przedtem.

Całe jego ciało drżało z rozkoszy. Dodatkową przyjemnością był zapach jej włosów, które muskały jego policzek jedwabistymi pasmami. Oby tylko nie stracić kontroli. Pocałować ją raz i odsunąć się.

Ale to nie było takie proste. Charlotte Baker była najśłodszą kobietą, którą kiedykolwiek trzymał w ramionach. W końcu wtuliła się w niego tak, jakby ich postaci pasowały do siebie od zawsze.

Pocałunek był rajską rozkoszą... jej usta były tak niesłychanie miękkie. Objął ją mocniej, by nic ich już nie dzieliło. Ona też przywarła do niego jak najbliżej. Był tego pewny, mimo kompletnego oszołomienia.

Wiedział, że jego pożądanie będzie wyraźnie wyczuwalne przez cienką tkaninę spodni, ale nie był w stanie się odsunąć. Pragnął jej, choć nie należała do niego.

Tylko do Spencera.

Ta myśl podziałała na niego jak kubeł lodowatej wody. Ujął jej biodra i stanowczo odsunął jej od siebie. Ale nie otworzyła oczu.

– Panno Baker? – Głos odmawiał mu posłuszeństwa. Uścisnął ją lekko. – Panno Baker?

W końcu rozchyliła powieki. Ale nie sposób było odgadnąć, na czym skupia wzrok. Jeśli w ogóle była w stanie się skupić na czymkolwiek.

Czyżby objął ją za mocno? Pochylił się i uważnie zajrzał jej w twarz. Policzki miała różane, a usta wciąż zaczerwienione od pocałunku.

Zamrugnęła i odsunęła się o krok, zasłaniając usta palcami.

– No cóż... – szepnęła. – Było...

– Jak?

– Zupełnie inaczej. – Popatrzyła na niego uważnie. – Pan mnie trzymał w ramionach, a Hugh...

– Nie obejmował pani?

Pokręciła głową.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko, czy mógłby pan teraz pocałować mnie bez...

Bez obejmowania. Pochylił się i znowu dotknął jej warg. Ręce przy sobie. Świetnie. Proste polecenie.

Jej wargi były ciepłe i uległe. Całował ją najdelikatniej, jak potrafił. Pieścił ją czule językiem. Czuł, jak pulsują mu żyły na szyi. W głowie mu się kręciło od tego pocałunku. Miał wrażenie, że jej ciało to kotwica, która go trzyma przy ziemi.

Kiedy się odsunęła, ogarnęło go rozczarowanie. Jego wargi szukały jej ust. Gdy zrozumiała, że chce jeszcze, i poczekała na niego, przepłynęła przezeń fala triumfalnej radości.

Ze Spencerem nigdy nie poczuje czegoś takiego. Nikt inny nie powinien jej dotykać.

Zapominając o zasadach, objął ją w talii.

To był błąd.

Natychmiast wyrwała się i odwróciła plecami.

Potężny podmuch wiatru niemal przewrócił go na ziemię, jakby sama przyroda chciała go skarcić za uleganie namiętności.

Czekał, ale słyszał tylko huk wiatru.

Uniosła dłoń do twarzy tak szybko, że nie wiedział, czy otarła oczy, czy wargi.

Nie odzywała się ani słowem.

– Ze Spencerem było inaczej? – spytał szorstko.

– Tak.

Powiedziała to tak cicho, że instynktownie podszedł, by ją pocieszyć.

Ale tego nie wolno mu było robić. Takie pocieszanie rodzi nadzieję – u niej, nie u niego. A on jej tego nie może dać.

Z trudem zmusił się do obojętności.

– Na razie całowała się pani z dwoma mężczyznami. Powinna pani pocałować co najmniej ze dwunastu, żeby zrobić z tego porządne badania naukowe.

– Nie. Pan mi wystarcza.

Pusty ton jej głosu przejął go niepokojem.

Do diabła, przecież sama prosiła o ten pocałunek.

– Wróci pani razem ze mną?

Odwróć się, Charlotte. Pozwól mi spojrzeć na siebie.

– Niech pan idzie przodem. Przeszkodziłam panu w spacerze. – Zamilkła. – I... dziękuję panu. Pomógł mi pan zrozumieć samą siebie.

A więc tak. Mimo wszystko pogodzi się z niemrawymi pocałunkami Spencera. Widocznie dobrze wychowane damy nie oczekują w życiu namiętności.

– Do usług. – Przeklął się w duchu za gorycz, z jaką wypowiedział te słowa.

Przecież to nie była jej wina.

Powinien się lepiej pilnować.

– Niech pani wyjdzie za Spencera, panno Baker – powiedział. – Niech go pani nauczy, jak panią zaspokajać, a namiętność przyjdzie z czasem. Przecież zdał większość pani testów. Z czasem może i ten

zaliczy.

Zanim obraz Spencera kochającego się z Charlotte na dobre pojawił się w jego umyśle, odwrócił się i po raz pierwszy od miesiący zmusił swoją okaleczoną nogę do szaleńczego marszobiegu do domu.

Nie wytrzymam tego tygodnia. Nie wytrzymam nawet jednego dnia, ani nawet godziny. Muszę natychmiast przyjąć oświadczyzny Hugh. Chyba tylko wariatka odrzuciłaby wicehrabiego.

Po co ja się całowałam z panem Reptonem? Po co był ten test? Po co otworzyłam przed nim serce i o mało co wszystkiego nie zrujnowałam?

Ledwie pamiętała jazdę spod myśliwskiej wieży do domu, tak jej się śpieszyło do Wally'ego. On będzie wiedział, co robić. Przypomni jej postanowienia i pohamuje głupie, romantyczne rojenia.

Z otwartych drzwi biblioteki dochodził gwar, więc przemknęła obok drzwi, kierując się na schody. Nikt nie może jej zobaczyć w takim dezabilu. Na szczęście Wally'ego nie było słyhać wśród głosów rozbawionego towarzystwa.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła dalej. Błękitny salon. Otworzyła drzwi. Siedział sam, zaczytany w jakiejś książce. Wstał i bez słowa zamknął za nią drzwi. W chwilę potem już ją obejmował.

– Co się dzieje, najdroższa?

Bezpieczna w jego ramionach rozplakała się jak małe dziecko.

– Tak mi przykro. Tak mi strasznie przykro.

– Co się stało?

Pokręciła głową, bo ściśnięte gardło nie pozwalało jej mówić.

– Wszystko w porządku, kochanie. Wszystko w porządku.

– Ja... lord Spencer.

– Och. – Westchnął. – Postanowiłaś go odrzucić.

– Nie! – Odsunęła się od niego. – Ja... niby dlaczego... Ja go przyjmę, jeśli się oświadczy – Załkała urywanie. – Będę dla niego dobrą żoną i...

Uniósł brew i czekał, co będzie dalej.

– ...i oddaną towarzyszką życia i... – Wytarła oczy, ale łzy płynęły z nich dalej.

– Masz chusteczkę?

Podprowadził ją do sofy i usiadł obok niej.

– Charlotte, oddychaj.

Jak w dzieciństwie, objął ją i przytulił jej głowę do swego ramienia.

– Jeśli lord Spencer przyjdzie mnie prosić o twoją rękę, chyba mu odmówię. Nie zgodzę się na małżeństwo, które cię unieszczęśliwi. A to już widać.

– Zgodzisz się, bo kiedy już będę wicehrabiną, arystokracja znowu przyjmie do swego grona ciebie, Lucy i Bena. A dzieci...

– Dzieci same dadzą sobie radę. A nami natychmiast przestań się przejmować. Odpowiada nam towarzystwo, w którym się teraz obracamy.

– Ale...

– Kochasz Spencera?

Chciała coś mu odpowiedzieć, ale nagle przerwała jej czkawka.

Pokręciła tylko głową z nieszczęśliwą miną.

– Więc za niego nie wyjdiesz.

Łzy znowu zaćmiły jej wzrok. Ale za to mogła już oddychać. Taka była zmęczona.

– Wally, czy ty się czasem zastanawiasz...

– Nad czym, kochanie?

– Co by było, gdybyś nie spotkał w życiu hrabiego? Gdybyś go nie pokochał, a on nie dałby nam tego wszystkiego, co mamy? Nasze życie byłoby takie... takie zwyczajne. Może nawet by mi się podobało.

Wally milczał.

– Przepraszam cię. Nie chciałam... Cieszę się, że go pokochałeś – powiedziała.

– Cały czas się nad tym zastanawiam, kochanie. – Uśmiechnął się. – Ale widzę, na jaką kobietę wyrosłaś i ogarnia mnie duma.

– Nie chciałam cię rozczarować.

– Czy to w ogóle byłoby możliwe? – Objął ją ramieniem. – Muszę przyznać, że nie zaskoczyłaś mnie tą wiadomością. Ostatnio zacząłem mieć wątpliwości co do charakteru Spencera.

– Dlaczego?

– Bo choć znamy go dłużej, niczego więcej się o nim nie dowiedzieliśmy. Czy mam mu powiedzieć o twoich uczuciach?

Wally odrzucił już niejednego zalotnika w jej imieniu.

Wielu z nich obrzucało go przy tym obelgami, ale o tym dowiedziała się później. Żaden z nich nie poświęcił jej czasu ani nie zainwestował pieniędzy. Natomiast Hugh...

– Sama mu powiem – stwierdziła. – Tylko że nie mam pojęcia, jak to wyjaśnić po całym tym czasie.

– Powiedz mu po prostu, że to byłoby małżeństwo wbrew twoim uczuciom.

Przymknęła oczy pod pocieszającą pieszczotą jego dłoni, gładzącej ją po głowie.

– On mnie nie kocha. Gdyby kochał, tobym wiedziała. Głębokiego uczucia nie da się ukryć, poczułabym to, kiedy mnie całuje albo obejmuje. Tego się nie da powstrzymać. Poza tym starałby się, żebym była szczęśliwa, nawet jego kosztem.

Spojrzała na Wally'ego.

– Wydaje mi się, że miłość przypomina obłąd. Czy ty też się tak czułeś, kiedy kochałeś hrabiego?

Wally zadumał się, pewnie wspominając tę miłość, która trwała tak krótko. Charlotte była dzieckiem, gdy w ich życiu pojawił się Jacob Adamson, hrabia Lynham. Dopiero w wiele lat później zrozumiała, dlaczego mężczyzna, który ożenił się z jej siostrą i zabrał ich wszystkich, razem z Wallym, z niewielkiego domu na wspaniałe pokoje Windmere, wcale nie był zakochany w Lucy, tylko w jej bracie.

– W pewnym sensie jest to obłąd – odpowiedział. – W przeciwnym razie po co zdobylibyśmy się na to wszystko, żeby tylko być razem?

Znowu oczy zapiekły ją od łez. Po raz pierwszy naprawdę zrozumiała, jaką stratę poniósł jej brat.

– Jak sobie z tym poradziłeś?

– Kochaliśmy się nawzajem i mówiliśmy to sobie każdego dnia. To się czuło w każdym uścisku, w każdym spojrzeniu. W każdym „dzień dobry” i w każdym „dobranoc”. – Jego głos zmiękł, kiedy dodał: – I w jego ostatnich, pożegnalnych słowach też.

Spojrzał jej w oczy.

– Kiedy trafisz na taką miłość, kochanie, wtedy możesz dopiero myśleć o zamążpójściu.

Charlotte objęła go.

– Tak... w każdym „dzień dobry” i w każdym „dobranoc”.

Pocałował ją czule gdy wychodziła do swojego pokoju, by doprowadzić się do porządku. Niezależnie od rozpacz, jaką czuła w sercu, dama musiała wyglądać należycie, aby strojem wyrazić szacunek wobec dżentelmena – a raczej przysłego hrabiego – którego miała właśnie rozczarować.

A jednak... mimo wszystko miała poczucie, że Hugh wcale nie będzie rozczarowany.

Co gorsza, może się wcale nie zniechęcić.

– Świeże powietrze i pełny żołądek. Dziś będzie mi się dobrze spało.

John Repton odchylił się na krześle i przeciągnął, patrząc na resztki kolacji.

Will obojętnie spojrzał na talerz. Dzięki Bogu, większość gości Windmere postanowiła zjeść kolację w wiejskiej gospodzie. Nie miał ochoty na życie towarzyskie. Tym, którzy zostali w posiadłości, podano kolację w pokojach.

– Przeszliśmy dziś chyba z pięć mil – powiedziała matka. – Prawda, John?

– Co najmniej. Jutro wybierzemy się do labiryntu, Lizzie.

Will przez chwilę miał wizję ojca błędzącego między żywopłotami, ale nic nie powiedział. W końcu to były ich wakacje.

Matka spojrzała na niego.

– Źle się czujesz? Nic nie jadłeś.

– Zjadłem coś wcześniej.

Nieszkodliwe kłamstwo. Nie miał apetytu.

– Wspominałem wam już, że hrabia Harlowe zadeklarował trzysta funtów na wyprawę?

– To wspaniale, synu.

W słowach ojca brzmiała satysfakcja i rezerwa zarazem. Zawsze reagowali tym tonem na każdą wzmiankę o powrocie.

Zresztą sam nie był specjalnie szczęśliwy z tej inwestycji. Noga cholernie go bolała po biegu. Jedzenie wcale go nie kusiło.

Co gorsza, przez cały dzień nie udało mu się nic zrobić. I miał poczucie, że ten koszmary nastrój długo go nie opuści.

Pewnie dlatego, że Charlotte nie pokazała się od rana.

– Nie widziałem dziś nikogo z rodziny, a wy? – zapytał.

Rodzice jak zwykle porozumieli się bez słów, zanim jedno z nich się odezwało.

– My też nie – mruknął ojciec.

Matka szeroko otworzyła oczy.

– Myślisz, że Charlotte przyjęła wicehrabiego? I że teraz świętują?

Coś go ścisnęło w dołku. „Niech pani wyjdzie za Spencera, panno Baker...”

Wstał gwałtownie, o mało nie przewracając krzesła.

– Idę spać.

– Dobranoc, synku.

Nogi same poniosły go do pustego holu. Mógł przecież zapytać, gdzie się wszyscy podziali – służba niczego się nie domyśli. Na pewno kilkoro z nich jest w swojej części domu, do której wchodzi się pod schodami. Trzeba tylko znaleźć te schody.

Jakiś służący przeszedł bez słowa w oddali, więc ruszył jego śladem.

W kuchni siedziała niewielka grupka pokojówek i lokajów, pochłoniętych ożywioną rozmową.

– Przepraszam...

Odwrócili się, a na ich twarzach malowało się mniejsze lub większe zaskoczenie. Pierwszy wstał jego lokaj.

– Słucham, panie Repton. Czym mogę służyć?

– Chciałem zapytać o gospodarzy. Trochę się za nimi stęskniliśmy.

Lokaj spojrzał niepewnie na majordoma, który nazywał się Goodley, tak samo jak majordom w londyńskiej rezydencji Bena. Byli braćmi i nawet wyglądali podobnie. Tyle że tutejszy Goodley był wyraźnie zmartwiony.

– Pani Paxton nie czuła się dobrze... No cóż, szczerze mówiąc, spodziewamy się dziś narodzin dziecka. Trochę wcześnie, ale w granicach bezpieczeństwa. Tak mówią, a my mamy nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Pan Paxton jest razem z nią, a pan Baker uparł się, żeby pojechać do miasta po lekarza.

– Rozumiem.

To wyjaśniało nieobecność całej rodziny. Charlotte jest pewnie u siostry.

Goodley spojrzał na niego już nie z troską, ale z niepokojem.

– Może nie powinienem tego mówić, ale wiem, że pan jest bliskim przyjacielem mojego pracodawcy.

Ściszył głos, ale w sumie tylko udawał dyskrecję, bo i tak wszyscy go słyszeli.

– O co chodzi? – Nie mówiliśmy o tym panu Paxtonowi ze względu na stan jego żony. Pan Wallace Baker też nic nie wie. Ale... panny Charlotte nikt nie widział od ładnych paru godzin.

Serce Willa zamarło.

– Dlaczego? Może spaceruje po ogrodach?

– Przeszukaliśmy ogrody, dom i wszystkie budynki. Wszystkie konie i powozy są na miejscu. – Przerwał na moment. – Lorda Spencera też nikt nigdzie nie widział – dodał ostrzejszym tonem.

Strzała, którą czuł w sercu, wbiła się głębiej. Popatrzył po twarzach zgromadzonych wokół stołu.

– Gdzie jest jej przyzwoitka?

– Patty razem z mężem przeszukują posiadłość – odpowiedział Goodley. – Bardzo się zaniepokoiła, ponieważ wiedziała, że tego popołudnia panna Charlotte zamierzała powiedzieć Jego Lordowskiej

Mości, że nie odwzajemnia jego uczucia. Obawiam się, że przeżył rozczarowanie i może to wpłynąć na jego zachowanie, panie Repton. Myślę, że taki człowiek nie lubi, kiedy ktoś krzyżuje mu plany.

Will z trudem się opanował. Teoretycznie Hugh Spencer nie powinien zrobić nic złego, bo straciłby szansę zostania hrabią. Ale Will widział w życiu, jak w jednej chwili życie staje się koszmarem, a ludzie zmieniają się w bestie, nawet bez prowokacji.

– Kiedy widziano ją ostatni raz? – spytał krótko.

– Tuż przed piątą – odpowiedział Goodley.

Właśnie wschodził księżyc. A jej nie ma ani w ogrodach, ani w domu...

Ale jest jeszcze jedno miejsce... być może zapomnieli je przeszukać.

– Przynieście mi latarnię – poprosił lokaja.

10

Repton skradł mi twoje uczucie. – Hugh powiedział to cicho, ale błysk w jego oku ją przeraził.

Czyżby popełniła błąd? Ścieżka przyrodnicza wydawała się najlepszym miejscem, bo podczas spaceru w jedną stronę mogła spokojnie wyjaśnić mu, co czuje, a w drodze powrotnej poprosić, by zostali przyjaciółmi. Tylko że Spencer szedł irytująco powoli i w lesie zaczęło się robić ciemno. Choć próbowała formułować odpowiedzi na różne sposoby, żadna go nie zadowalała.

– Proszę cię, Hugh, chodźmy szybciej. Za chwilę nie będzie widać drogi.

– Zakochałaś się w nim od pierwszego wejrzenia. Byłem tam, pamiętasz? Widziałem, jak się zachowujesz i jak wszyscy inni się zachowywali. Pochlebiałaś mu, przymilałaś się do niego.

Jak go przekonać, żeby uwierzył w jej słowa? Byli daleko od domu. Białe brzozy przypominały widma, a liście szeleściły złowieszczo.

– Hugh. – Ośmieliła się ująć go za przegub chłodnej dłoni. Pięść miał zaciśniętą, jakby nosił kastet. – Naprawdę nic mnie nie łączy z panem Reptonem. Ale nie potrafię być dla ciebie tak oddaną żoną, na jaką zasługujesz.

Ciemność zapadła szybko, jakby niebo nad nim na dobre zasnuła mroczna chmura. Zamrugła i otworzyła oczy szeroko, żeby lepiej widzieć.

– Dość tego. – Zdała sobie sprawę, jak przenikliwie brzmi jej głos. – Na pozostałe pytania odpowiem ci w domu.

Pociągnęła go za przegub. W odpowiedzi szarpnęła ją do tyłu.

– Nie obchodzą mnie twoje kłamstwa. Pomyśl przez moment, jeśli potrafisz utrzymać choć jedną myśl w tej twojej roztrzepanej główce. Nie znajdziesz lepszego męża. Jeśli myślisz, że Repton podniesie twój status, to się mylisz.

– To nie...

– Muszę cię wyprowadzić z błędu. Nasze małżeństwo jest prawie przesądzone. – Przerwał na chwilę, a spojrzenie jego oczu stało się martwe. – Czy to robota mojego ojca?

– Twojego ojca?

– On uważa, że jestem na jego rozkazy. Ale ja już dokonałem wyboru.

Podszedł bliżej. Poczwała na policzku nieświeży oddech przesiąknięty tytoniem.

– Wybrałem ciebie. Wiesz, jaka jest cena? Kolejny hrabia Harlowe powiązany z twoim zaburzonym bratem i fałszywą hrabiną? Dziwką, którą niektórzy nazywają...

– Dość! – krzyknęła z furją. – Zostaw moją rękę!

– Czego chcesz? Klejnotów? Posiadłości, takiej jak twoje ukochane Windmere?

Próbowała się wyrwać.

– Hugh, przestań!

– Namiętności? Może byłem zbyt opanowany? – Jego spojrzenie stwardniało. – Czy kobiety niskiego rodu potrzebują twardego fiuta, żeby dać się przekonać?

Zdumienie odebrało jej mowę.

– Może Repton już cię przekonał?

– Jak śmiesz!

Twarz Hugh wykrzywił grymas. Poczowała pchnięcie i upadła na ziemię. Krzyknęła jak przerażone zwierzę. Drzewa zlały się w jedną zamazaną plamę. Uderzyła głową o leśne poszycie. Drobne gałązki trzeszczały pod ciężarem jej ciała.

Ogarnęła ją panika. Boże, tylko nie to!

Próbowała wstać, ale przygwoździł ją do ziemi.

– Nie!

Kopała nogami, wymachiwała rękami, byle tylko odepchnąć ramiona i kolana przyciskające ją do ziemi.

– Uspokój się!

– Nie! – Szarpała się, coraz bardziej przerażona. Czuła, jak twarde ręce głaszczą jej ciało. Nie zamierzała się z tym pogodzić. Przygniatał ją coraz bardziej, wbijał jej kolana w brzuch. Wyrwała obolałą rękę z jego uścisku, trzasnęła go łokciem w nos. Zaklął i rzucił się do tyłu. Chciała wstać, ale przygniótł ją całym ciężarem ciała.

– Charlotte! Nie zrobię ci krzywdy!

– Nie!

– Do diabła, tylko...

Jego słowa zmieniły się w okrzyk zaskoczenia. Ciężar jego ciała zniknął. Znowu mogła oddychać, była wolna... Poderwała się na nogi i pobiegła.

Kręciło jej się w głowie, ale pędziła na oślep. Gałęzie szarpały ją za spódnicę i włosy. Zaraz ją dopadnie! Jest już blisko!

– Charlotte, zatrzymaj się!

Złapie ją!

– Charlotte!

Will?

Odwróciła się. W bursztynowym świetle latarni zobaczyła Willa stojącego nad ciałem Hugh bezwładnie opartym o pień drzewa, z dziwnie skrzywioną szyją.

Był martwy!

Och, nie... nie... On nie żyje...

Hugh błyskawicznie usiadł. Potknęła się ze strachu.

Szara postać Willa skoczyła ku niemu. Złapał Hugh za włosy i zmusił, by spojrzał mu w twarz.

– Nie śmieję jej dotknąć – warknął. – Nigdy w życiu.

Ciało Hugh wygięło się w łuk. Na twarzy załśniły łzy.

– Dobrze! Nie mogę oddychać, serce mi...

– Cisza!

Hugh szarpał się, walcząc z ręką trzymającą go za włosy, rozciągając wargi z wysiłku.

Zapadła cisza. Charlotte nagle uświadomiła sobie, że ten chrapliwy oddech należy do niej.

– Charlotte – powiedział cicho Will, jakby obudził się ze snu.

Puścił Hugh, jakby dotykanie tego człowieka go parzyło. Wicehrabia upadł na ziemię, jak marionetka, której przecięto sznurki. Will wbił wzrok w Charlotte i ruszył ku niej pod górę ciężkim krokiem. Widać było, że walczy z przemożnym bólem.

Ten widok rozdarł jej serce.

– Nie biegnij! – Chciała zawołać, ale z jej ust wydobył się tylko szept. – Nie musisz biec.

W jednej chwili znalazł się przy niej. Wyciągnął ręce, więc cofnęła się rozpaczliwie. Stopy zaplątały się w gęste poszycie i upadła, trafiając na korzeń. Jej ciało było tak otępiełe, że nawet nie krzyknęła.

Cofnął się.

– Już po wszystkim, Charlotte.

To nie jej ciało się cofnęło, ale skóra, nerwy, krew – doprowadzone do ostateczności, niezdolne wrócić do normalnego stanu. Pomógł jej wstać. Czowała pod stopami ziemię, ale to Will ją trzymał – mocny, stabilny, silniejszy nawet od drzew, które ich otaczały.

– Nie dotknie cię już nigdy – powiedział głosem, w którym brzmiał gniew. Oparta o jego pierś, poczuła te słowa w sobie. Jedna silna dłoń ją obejmowała, druga wędrowała po całym ciele, sprawdzając, czy nic jej się nie stało.

Wstyd jej było, bo czuła, jak bardzo rwie jej się oddech. Im bardziej starała się powstrzymać dygot całego ciała, tym silniejsze targały nią dreszcze.

Dłoń Willa dotknęła tyłu jej głowy.

– Gdzie cię uderzył?

Pokręciła głową. Chyba zrozumiał, że nic jej się nie stało.

– Nie miałam pojęcia... Hugh nigdy... – Przerwała, czując dotyk jego warg na skroniach.

– Już po wszystkim – szepnął. – Już po wszystkim.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na Hugh.

A raczej na miejsce, w którym do niedawna leżał.

– Spencer!

Will krzyknął tak przerażającym głosem, że zachwiała się na nogach. Tym bardziej że ją puścił. Udało jej się nie upaść.

Will popędził przez krzewy do ścieżki. Ale Hugh już nie było. Podobnie jak latarni.

– Spencer!

Nigdzie nie widać było błysku światła. Ledwie mogła dostrzec Willa. Tylko jego biała koszula była widoczna w otulającej ich ciemności.

– Do diabła – zaklął.

– Wracaj.

Ruszyła niezgrabnie w jego stronę. Nie tyle go dostrzegła, ile wyczuła, tym bardziej że pod jego stopami trzaskały gałązki. Panująca w lesie ciemność była kompletnie nieprzenikniona.

– Przykro mi, Charlotte.

Ten głos był jedynym śladem ciepła w chłodnym, wilgotnym powietrzu. Jego ciało też było ciepłe, więc przyciągnęła go do siebie za rękaw.

– Zgubiliśmy ścieżkę. Będziemy tu tkwić do wschodu słońca.

Hugh uwięził ich w tym zakątku, który z nadejściem nocy zmieniał się w zdradliwą pułapkę.

Will objął ją ramieniem – nie wiadomo, czy po to, żeby ją pocieszyć, czy zatrzymać na miejscu.

– Nic nam się nie stanie.

Ale jej skóra aż się marszczyła na samą myśl o kłujących kolcach, gałęziach, krocionogach i owadach przemykających po ziemi. Chociaż przecież to była tylko przyroda. Zupełnie taka sama jak za dnia.

Zupełnie taka sama...

– Pustelnia – szepnęła, przypominając sobie o kaprysie Lucy. Spojrzała w noc z nadzieją, że coś dojrzy, ale bez skutku. – To niedaleko. Już prawie do niej dochodziliśmy.

– Pustelnia?

– Ben odbudował ją dla Lucy. To jej ulubiony zakątek. Może nawet znajdziemy tam latarnię albo świecę.

Ruszyła z miejsca, ale Will trzymał ją mocno.

– Zaufaj mi – powiedziała. – Rozpadlina jest po prawej.

Przesunął dłoń na jej łokieć.

Zaczęła wyszukiwać drogę, dla bezpieczeństwa wyczuwając ją nogą. Will trzymał ją w talii, a drugą rękę wyciągnął do przodu.

Którędy pójść? Zbocze było zbyt strome. Zatrzymała się, by odzyskać orientację, ale nie było to łatwe. Co będzie, jeśli poprowadzi ją w złą stronę? Co będzie, jeśli...

– Spokojnie, Charlotte. Zatrzymajmy się na chwilę.

Pocieszająco ścisnął jej ramię.

– Chodźmy jeszcze kawałek.

W jego głosie nie było ani zniechęcenia, ani pretensji, więc wzięła głęboki oddech.

Nad ich głowami zahukała sowa. Charlotte aż podskoczyła.

– Tak się cieszę, że jesteś tu ze mną.

– Ale wolałabyś, żebym pamiętał o tej latarni, prawda?

Uśmiechnęła się w ciemności i przycisnęła do siebie dłoń, która trzymała ją w talii.

Po dziesięciu, a może dwudziestu minutach i licznych ukłuciach gałęzi zwolnili i zatrzymali się wreszcie. Dobrze, że nie widział nieszczęśliwego wyrazu jej twarzy.

– Przykro mi...

– Popatrz, Charlotte. – W jego głosie brzmiała duma. Rzeczywiście, w ciemności majaczył wiekowy,

biały budynek. – Czy to to?

– Dzięki Bogu – odetchnęła.

Droga była stroma, ale Will miał pewny krok.

Był niezwykle silny i pomimo zauważalnego bólu pomagał jeszcze Charlotte we wspinaczce. Na pewno wyrobił sobie tę odporność na wyprawach.

Przez chwilę majstrował przy zasuwce, ale zaraz drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. Przytrzymał ją, żeby nie weszła pierwsza w ciemność, ale śmiało ruszyła do przodu. Siedemnastowieczna pustelnia była jej równie dobrze znana jak każdy pokój w Windmere. Bezbłędnie podeszła do kominka i zapaliła wojskową zapalkę. Nagły błysk światła wydobył z ciemności zarysy pomieszczenia. Drewno na kominku szybko się zajęło i zabarwiło ściany złocistym blaskiem. Nigdzie nie było świec ani lamp. Mebli również – tylko wąska prycza pod zaokrągloną ścianą i szmaciany chodnik na podłodze.

Will stanął przy drzwiach, wpatrując się w łóżko.

– Obawiam się, że nic lepszego nie znajdziemy – powiedziała.

Drgnął i przeniósł wzrok na sufit i ściany. W kąciку jego ust zaigrał uśmiezek.

– Dobra robota, Charlotte.

Pomimo wszystko jej policzki poróżowiały z zadowolenia. Słowo honoru, ten nieustanny rumieniec był po prostu śmieszny. Odchrząknęła, ale i tak nie potrafiła ukryć dumy.

– No cóż, przynajmniej mamy dach nad głową.

Zamknął drzwi i pokuśtykał na środek pomieszczenia, jakby nie wiedział, co robić dalej.

Objęła się ramionami, choć wolałaby objąć jego. Widziała, jak oszczędza prawą nogę, i serce ścisnęło się jej z żalu.

– Usiądźmy. Na pewno ktoś tu przyjdzie. Hugh szybko odzyska zdrowy rozsądek.

– Pod warunkiem że ten drań ma choć trochę przyzwoitości.

Zgodziła się z tym w milczeniu, nie wypominając mu mocnego słowa.

– Mój brat nas odnajdzie.

– Wallace nie wiedział, że zniknęłaś. Dowiedziałem się o tym od służby.

– Tylko nie to. – Posmutniała. – Wszyscy się bardzo zdenerwują.

– Długo to nie potrwa. Jeśli Spencer wróci do domu, będzie musiał powiedzieć, gdzie jesteśmy.

To brzmiało prawdopodobnie. I najkorzystniej dla jej reputacji, więc postanowiła pozostać przy tej wersji wydarzeń.

Ogień zaczął przygasać.

– Nie umiem rozpalać w kominku – przyznała.

– Zajmę się tym. – Will przyklęknął, wyraźnie zadowolony, że ma co robić.

Sama chętnie by się czymś zajęła.

Usiadła na brzegu pryczy i patrzyła, jak Will rozpala ogień. Drzwi zostały otwarte, więc wstała, by zasunąć skobel. Odwrócił się na ten odgłos, ale potem równie szybko wrócił do swego zajęcia.

Skrzywiła się, uświadamiając sobie, że to było zupełnie niepotrzebne. W okolicy nie było ani bandytów, ani kłusowników. Zamknęła drzwi z przyzwyczajenia – tylko że to tylko zwiększyło

skrępowanie, jakie oboje odczuwali w tej intymnej sytuacji.

Znowu przysiadła na łóżku, starając się nie hałasować.

Will wyprostował się i zdjął kurtkę, rozkładając ją przed ogniem. Widok zaparł jej dech w piersiach. Przez płótno doskonale było widać jego sylwetkę – szerokie, potężne bary zwężające się wyraźnie w talii i muskularnych biodrach. Potężne mięśnie ramion poruszały się, gdy przesuwał kurtkę przed ogniem. Spuściła oczy, ale w sekundę później uświadomiła sobie, że on i tak tego nie zauważy, więc znowu na niego spojrzała. Ojej...

Naprawdę powinna odwrócić wzrok. Ale za chwilę...

Odwrócił się nagle, więc drgnęła zaskoczona.

– Proszę – powiedział, podając jej kurtkę. – Włóż.

– Nie mogę...

Zarzucił jej kurtkę na ramiona.

Od ciepłej wełny zelżało napięcie jej ramion. Rzeczywiście było jej zimno.

– Lepiej? – Błękitne oczy spojrzały na nią z troską, gdy Will pochylił się i otulił ją kurtką. Serce zabiło jej mocniej. Nic się na to nie da poradzić, on jest po prostu niezwykle przystojny. Skinęła głową, wpatrując się w niego jak zahipnotyzowana.

Wyprostował się i pokuśtykał pod ścianę, jak najdalej od niej.

Przesunęła się na brzeg pryczy.

– Usiądź, proszę.

– Usiądę tutaj. W Chinach siadywałem na ziemi częściej niż na krześle.

– To się nie liczy. Przecież jest miejsce na... tutaj.

Nie chciała się narzucać, ale i tak nie sposób było nie zauważyć, że jego twarz znieruchomiła na tę propozycję.

– Proszę, panie Repton...

– Aha, to z powrotem jestem panem Reptonem?

– Dobrze, będę ci mówić po imieniu, jeśli wolisz.

Uśmiechnął się.

– Wolę. Dzięki temu będziemy bardzo bliskimi przyjaciółmi. To dla ciebie niezła zdobycz.

Uśmiechnęła się również, zadowolona, że poweselał, choć wiedziała, że powiedział to z przekąsem.

– Ty jesteś w gorszej sytuacji. Dwa razy przy tobie płakałam, zniosłeś moje pocałunki i uratowałeś mnie przed...

Nie chciała wymawiać tego słowa na głos.

– Okazałeś mi dużo więcej przyjaźni niż ja tobie.

– Nie mam nic przeciwko takim rozliczeniom. Zresztą, szczerze mówiąc, przeciw pocałunkom też nic nie miałem.

Wesołość sprawiła, że jego oczy pojaśniały. Wyglądał oszalamiająco, co zachwiało wszystkimi jej nieugiętymi postanowieniami.

– Czy ja ci podziękowałam, Will? Dziękuję.

Poskrobał podłogę czubkiem buta jak mały chłopiec.

– Nie musisz dziękować.

Zanim zdążyła się sprzeciwić, przecesał włosy palcami, rozchylając kołnierzyk koszuli. Odsłoniło to muskularną pierś i jasnobrązowe włosy. Ten widok natychmiast przegnał wszystkie inne myśli z jej głowy.

– Jeśli nikt tu nie przyjdzie, ruszymy do domu zaraz po wschodzie słońca – powiedział. – Może dzięki temu goście nie dowiedzą się o niczym. Domyślam się, że znasz jakieś sekretne wejście do domu?

– Sugerujesz, że nieraz wykradałam się na dwór i wracałam po kryjomu?

Popatrzył na nią z powagą.

– Owszem, podejrzewam, że tak było. Czy jakiś młody przystojny stajenny wzdychał do twoich pocałunków?

Roześmiała się.

– Doskonale wiesz, że nie mam pojęcia o całowaniu.

Patrzył na nią, aż jej policzki zapłonęły czerwienią. Po raz pierwszy to ona odwróciła oczy.

Odchrząknął.

– Kiedy będziemy blisko domu, rozdzielimy się. Powiesz wszystkim, że wyszłaś na poranny spacer. A mnie wpuścisz tymi swoimi drzwiami.

Niełatwo będzie znaleźć puste ścieżki w Windmere, bo służba wstawiała bardzo wcześnie, ale niech mu będzie. Wyglądał na człowieka, który koniecznie musi mieć wszystko zaplanowane.

– A niech nas zobaczą. Nie zależy mi na tym – powiedziała, unosząc podbródek. – Nie zrobiliśmy nic złego. Uratowałeś mnie przed napaścią Hugh. Jeśli ktoś choć szepnie o nieprzyzwoitym zachowaniu, wygarnę wszystkim prawdę i nigdy w życiu już się do nich nie odezwę. Nigdy. I nie pozwolę nikomu cię oczerniać.

Skinął głową, jakby to było łatwe i oczywiste, a do tego zgodne ze zdrowym rozsądkiem. Ale jej słowa były wielkim popisem odwagi. Gdyby ktoś się o tym wszystkim dowiedział, groziłyby jej skandal i ruina. To nie była łatwa sytuacja. Cieszyła się więc, że pan Repton nie ma pojęcia o zasadach obowiązujących w towarzystwie. Poza tym, co mogli zrobić?

Na razie pan Repton – Will – rozmasowywał sobie udo.

– Twoja noga?

– Nic mi nie jest, ale... – Skrzywił się, rozprostowując ją na próbę. – Może powinienem dać jej odpocząć.

Zaczął się sadowić na ziemi, więc skoczyła na równe nogi. Kurtka zsunęła jej się do kostek.

– Oczywiście.

Pociągnęła go w stronę pryczy.

– Połóż się. I to już.

Próbował się sprzeciwić, ale kiedy spojrzał na jej groźną minę, sam pokuśtykał do łóżka.

– Zazwyczaj już mi tak nie dokucza.

Położył się z westchnieniem ulgi.

– Czy mogę ci jakoś pomóc? Rozmasować ją?

– Tylko nie to! – Zaśmiał się. Nie rozumiała, co w tym takiego zabawnego.

Przesunął się do ściany.

– Możesz... Połóżę się z tej strony.

Ułożył się twarzą do ściany.

Dlaczego nie chce z nią jeszcze chwilę porozmawiać?

Jeszcze nigdy nie leżała z kimś w jednym łóżku. A teraz miała się położyć właśnie obok niego. Usiadła

ostrożnie, a potem uniosła nogi i położyła je na wełnianym kocu przykrywającym siennik.

Ułożyła się twarzą do ognia plecami do Willa, przykryła jego kurtką i umościła wygodnie. Dlaczego nie włożyła cieplejszej sukni? W fałdach jedwabiu kryło się zimno.

A Will oddał jej swoją kurtkę... Uważając, żeby go nie trącić, ułożyła się twarzą w stronę jego pleców, najbliżej jak mogła. Oddychał równo, więc pewnie już spał. Czy było mu zimno? Miał na sobie cienką płócienną koszulę, był bez kamizelki. Przecież mogą się oboje przykryć tą kurtką.

– Nie rozpychaj się, Charlotte. Ta prycza i tak jest wąska. – Głos Willa zabrzmiał donośnie w małym pomieszczeniu.

– Przepraszam – szepnęła. – Nie jest ci zimno?

– Nie.

– Początek czerwca nie powinien być taki chłodny. Zimno ci, prawda?

– Nie.

– Nie mogę ci przecież zabrać kurtki – powiedziała spod wełnianego okrycia.

Odwrócił głowę i z rozbawieniem uniósł brew, widząc, że dosłownie zakopała się pod kurtką.

– Dobrze. Oddawaj.

Sapnęła ze zdziwienia i schowała się głębiej.

– Ja... No... może byśmy okryli się nią razem.

W odpowiedzi znowu się zaśmiał i odwrócił tyłem.

– Nie jest mi zimno.

– Nie żartuj, Will. Na pewno ci jest zimno.

Opuścił ramiona, jakby myślał, że ta oznaka irytacji ją zniechęci.

– Will? Okryjemy się nią razem albo ci ją oddam. Jesteśmy dorośli i prawie się już zaprzyjaźniliśmy.

Will? – odczekała chwilę. – Will?

Westchnął i mruknął coś o upartych kobietach.

– Czy ty... czy ty się zgodziłeś? Bo tak mi się wydaje.

– Dobrze, Charlotte. Okryjmy się razem.

Ale nawet ręką nie ruszył, żeby się przykryć.

Zadowolona, przysunęła się tak blisko, że dotykała nosem jego pleców i przykryła ich oboje. Było jej niewygodnie leżeć na boku, ale przynajmniej byli oboje okryci. Trochę. A raczej częściowo.

– Nie ruszaj się, bo inaczej...

Kurtka zsunęła się z niego.

Mruknął coś i przekręcił się, objął ją mocnym ramieniem i przykrył ich oboje kurtką.

– Tak będzie lepiej, prawda? – powiedział z westchnieniem.

Leżała zupełnie nieruchomo, zastanawiając się, co czuje, kiedy Will ją tak obejmuje. Nie był uwodzicielski. Nie przywierał do niej ramionami ani palcami. Ale jego ciało ogrzało ją w jednej chwili i czuła, że topnieje jak płatki śniegu na kominku. Westchnęła z zadowoleniem i dostrzegła kątem oka, jak na jego policzku zadrgał mięsień.

– Wygodnie ci? – zamruczał.

– Bardzo – odpowiedziała, nie zastanawiając się nad tonem, jakim się odezwał. Otaczał ją mocnym ramieniem i mimo jego niechętnych słów czuła się bezpiecznie w objęciach człowieka, którego kochała.

Przez tę jedną noc będzie udawać, że on ją też kocha.

– A tobie? – szepnęła.

Przesunął lok jej włosów odrobinę na prawo.

– Teraz już tak.

Zaśmiała się cicho z tego żartu. Była kompletnie bezwładna, zanurzona w ciepłe jego ciało, otoczona bezpiecznymi ramionami. Cudowne uczucie szczególnie po brutalnym, zimnym ataku Hugh.

To, że leżeli razem w łóżku, było tak naturalne, jak oddychanie. Co za osiągnięcie... żadnego gorączkowego bicia serca w jego bliskości. Tylko proste przyjęcie do wiadomości faktu, że on musi być jej. Nie bohaterem ani nie zdobywcą. Po prostu mężczyzną. Ważniejszym od reszty, ale po prostu mężczyzną. I pomimo trudnych początków znajomości może nawet zostanie jej przyjacielem.

Może nawet, jeżeli przestanie siłą wdzierać się do jego serca, będzie jego prawdziwą przyjaciółką.

Tej nocy nie zwracała uwagi na jego twarde, muskularne ciało i szukała tylko ciepła i bliskości. Jego ciało tak wspaniale ją ogrzewało.

– Nie marzęś w Chinach?

– Na pewno nie przytulałem się do swoich towarzyszy w jednym posłaniu, jeśli to masz na myśli.

– Nosileś skóry zwierzęce, prawda?

– Owszem, kiedy było naprawdę zimno. – Umilkł na chwilę. – Mój... przyjaciel Cressey miał futro z lisów, które cuchnęło jak wszyscy diabli. Nie było wyboru, musiał je nosić, ale ciągle próbował się z kimś na nie wymienić. – Zaśmiał się. – Nikt go nie chciał, ale ciągle wszystkich na to namawiał. Kazaliśmy mu chodzić na końcu pochodu, kiedy miał na sobie to paskudztwo.

– Biedaczysko.

– Próbował je przegrać w karty. Powiedział, że odda za żonę swoją siostrę temu, kto się z nim wymieni. Jack mu wtedy odpowiedział, że nie wymieniłby się nawet za Helenę Trojańską.

– Kto to taki? Cressey i Jack?

– Cressey to Owen Cressman. Kolekcjoner ze Wschodnich Indii. A Jack... Nie masz pojęcia, w jakie miejsca on nas prowadził.

– Prowadził was?

– Zajmował się paszportami.

Przesunęła dłoń po jego plecach, żeby go pocieszyć.

– Podejrzewam, że nie raz świetnie się bawiliście, nawet jak byliście w opałach.

Odetchnął głęboko.

– Owszem. Nie raz.

Zaczął oddychać płytko i nierówno. Napiął się cały.

– Gdybym się pomylił, Charlotte. Gdybym cię nie znalazł...

– Ale się nie pomyliłeś.

Rozluźnił ramiona. Coś jej podpowiedziało, żeby nie pytać już więcej o jego przyjaciół. Nie teraz.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

– Służba przeszukała już wcześniej dom i zabudowania, a ja miałem wrażenie... Powiedziałaś wtedy, że całowałaś się ze Spencerem na ścieżce przyrodniczej. – Umilkł.

– Odrzuciłaś go. Dlaczego?

Bo kocham ciebie.

– Bo nic nas nie łączy.

– Ani razu ci nie przyniósł peonii.

Ileż czasu zmarnowała przez Hugh... Cała ta fałszywa wesołość, rozmowy i szukanie wytłumaczenia dla jego arogancji.

– Nie. Ani razu.

Will prychnął z urazą.

– A to takie proste.

– Ale nie koniec na tym.

Odchylił głowę. Zarost na jego brodzie podrapał ją w czoło. Czują, o co chce zapytać.

– Pożądanie – wypaliła. – To znaczy jego brak.

Odchrząknął, ale nie odezwał się ani słowem.

– Lucy i Bena łączy namiętność. Powiedziała mi, że od początku ciągnęło ich do siebie.

– To dziwne, bo oboje mają takie nieszczęśliwe miny.

Zaśmiała się, czując, że pierś Willa także dygoce ze śmiechu.

– Moich rodziców też łączy namiętność. – Bolesny uśmiech przemknął po jego twarzy. – Co wieczór i co rano, a raz nawet w ogrodzie zimowym za domem, jak mi się wydaje. Dzięki Bogu, że była zima i szyby zaszkły mrozem. Wystarczy, że muszę tego słuchać.

Pośpiesznie usunęła ten obraz z myśli, ale nie udało jej się powstrzymać śmiechu.

– Myślę, że to cudowne.

Wzruszył ramionami, ale uśmiechnął się, bo jego usta połaskotały ją w brew.

– Nic nie czułaś do Spencera?

– Nigdy. Nie rozumiem tego, bo przecież jest przystojny, zadbany i męski.

– Owszem – odpowiedział, bawiąc się guzikami z tyłu jej sukni. – Zaczynij wszystko od nowa. Zdobądź jednego z tych zakochanych po uszy zalotników. Hatfield wydaje się całkiem przyzwoity i będzie o ciebie dbał. Matteson jest za to bogaty. Ma okropne zęby, ale niekoniecznie przekaże to dzieciom. Może...

– Dziękuję ci bardzo, ale wolałabym, żebyś mi tu nie przeprowadzał przeglądu kawalerów nadających się na męża. Nie mam ochoty o tym myśleć. Nowi zalotnicy... I nowe testy.

Ziewnęła.

– Nie przejmuj się – szepnął, przytulając ją do siebie. – Ten idealny już się przygotowuje do podróży. Po prostu był zajęty. Musiał zarządzać królestwem i liczyć te wszystkie góry pieniędzy. Nie mam pojęcia, jak mu się udało wydostać z zamku przez te wszystkie dziewice mdlejące u jego stóp.

Otoczona zapachem ciepłej męskiej skóry i suszonego na słońcu płótna uśmiechnęła się do tego zabawnego obrazka.

– Nie dojedzie nawet do Londynu. Będzie zbyt zajęty ratowaniem sierot i bezdomnych szczeniactków.

– Skądże znowu. Gdy tylko rzeźbiarze skończą tworzyć jego podobizny w marmurze, zaraz do ciebie przyjdzie.

– Niech się lepiej pośpieszą. – Uśmiechnęła się. – Will...?

– Hm?

– Dzięki, że mnie odnalazłeś.

Oparł podbródek na jej czole.

– Nie ma za co.

Zapadając w sen, zastanawiała się, jak to się stało, że Will Repton nagle został jej najlepszym przyjacielem.

II

Ta cudowna dziewczyna leżała pod nim. Miękkie ciało Charlotte poruszało się w rytmie jego bioder. Rozchyliła nogi, żeby mógł w nią wejść głębiej. Pełne piersi wypełniały jego dłonie. Zatrzymać ją dla siebie...

Ciemne włosy poruszane ciepłymi podmuchami wiatru na myśliwskiej wieży. Pocałunek w ogrodzie o północy. Jaśmin w jej włosach. Jest tak blisko.

– Charlotte... – Usłyszał swój głos, który wypowiadał jej imię. – Moja... taka słodka...

Jej perfumy, jej miękka skóra – to wszystko było takie rzeczywiste.

Westchnęła, a on zadrżał.

Kolejny pocałunek, kolejny ruch... jej piersi, jej ciepły oddech. Włosy jak jedwab, przelewający się przez palce. Taka rzeczywista...

Bardzo rzeczywista. To wcale nie był sen.

To wcale nie był... Boże!

Leżał na niej, jego twardy jak skała penis wciskał się między jej nogi. Wcale nie spała.

Zsunął się z niej niezgrabnie.

– Co się...

Uderzył głową o ścianę. Zabolało. Złapał się za głowę.

– Will, uważaj.

Dlaczego była w jego łóżku? Gdzie...

Charlotte leżała wtulona w niego – udo w udo, brzuch w brzuch. Z tyłu miał ścianę. Otoczyła dłońmi jego głowę, darząc go kojącą pieśczęcią. Odsunął się, żeby zorientować się, gdzie jest, co nabroił, i zobaczyć niechęć w jej oczach.

Teraz pamiętał już wszystko. Pustelnia. W dalszym ciągu ciemno. Mrok rozjaśniał tylko czerwony żar w palenisku.

Charlotte patrzyła na niego oczarowana jak niegdyś, na samym początku, jakby fascynował ją każdy jego ruch, każde słowo. Policzki miała zaróżowione od snu. Włosy wymknęły się spinkom i długie, ciemne loki okrywały jej pierś. Nigdy jeszcze nie wydawała mu się tak młoda i niewinna.

A on napiera na nią porannym wzrodem. I to wkrótce po tym, jak zaatakował ją ten łajdak Spencer.

– Boże – jęknął, łapiąc się za głowę. Nie, Bóg mu nie oszczędzi tego poniżenia. – Przepraszam, to był...

– Sen.

Ujęła go za ręce i opuściła je w dół. W półmroku jej źrenice były ogromne, ledwie widać było odrobinę błękitu wokół nich.

– Twoja biedna głowa. Boli?

Zanim zdążył odpowiedzieć, pocałowała go w czoło, dotykając piersiami jego twarzy i sprawiając mu tym ból zupełnie innego rodzaju.

– Nic mi nie jest – powiedział prosto w ciepłą skórę.

– Co ci się śniło?

– Ja... nie powiem. Nie wiem.

– Wypowiedziałeś moje imię.

Te oczy były nieugięte.

– Pamiętasz? – spytała.

Tak, kochana.

– To był sen.

Czyżby mocniej przytuliła się do niego? Przecież czuła, że serce bije mu, jakby chciało wyrwać się z piersi, i czuła też co innego. Chryste Panie. Opuściła powieki i nie wiedział już, czy patrzy na jego pierś, czy na członek, który wciskał się w jej brzuch.

Próbował się cofnąć, ale nie miał gdzie. Jego ciało nie zamierzało ignorować ani cudownych, wtulonych w niego piersi, ani długich, szczupłych, mocnych nóg.

– Muszę wstać, Charlotte. – Jego głos brzmiał chrapliwie, ale to akurat było najmniejsze zmartwienie.

– Odsuniesz się?

– Jeszcze jest ciemno.

Przełknął ślinę, chcąc ukryć pożądanie, ale w odpowiedzi na to jego ciało drgnęło jeszcze mocniej. Wielki Boże, ona na pewno to poczuła.

– Tylko trochę, żebym mógł...

– Nie chcę, żebyś wstawał.

Palce wciąż miała wplątane w jego włosy, więc tylko lekko pociągnęła, a ich usta nagle znalazły się blisko siebie.

To było szaleństwo. Charlotte wcale go nie pragnęła.

Całowała się w życiu tylko z dwoma mężczyznami, a on po prostu okazał się mniej odpychający. Pochwyił jej dłonie, ale wargi wciąż muskały jego usta. O Boże... a te oczy...

– Zanim się poznaliśmy, ja cię już sobie wyśniłam. Wymarzyłam sobie, jak z tobą tańczę, jak mnie całujesz, jak mnie kochasz. Potem cię poznałam i zaczęłam marzyć o czymś innym.

– Że zepchniesz mnie z urwiska? Albo utopisz w sadzawce?

Nie zwracając uwagi na te kiepskie żarty, mocniej dotknęła go słodkimi wargami.

Sparaliżowany rozkoszą, pozwolił na wszystko. Niech go całuje, niech pieści tym swoim nieśmiałym językiem.

Do diabła, do diabła z tym wszystkim... jest idealna.

Mając zajęte wargi, zajął się jej piersiami. Swoimi ulubionymi piersiami, które kołysały się i

napierały na niego. Nieświadomie zaczął oddychać w tym samym rytmie, co ona. Jakby się kochali.

Przesunęła dłonie w dół jego pleców. Szarpnął się, jak przypalany ogniem. Odchylił głowę do tyłu, gorączkowo chwytając powietrze, pragnąc oprzytomnieć.

– Nie rób tego, Charlotte.

Przerzuciła nogę przez jego biodro i przycisnęła go sobą, mając go obietnicą spełnienia. Zmusił się, by nie wcisnąć się w jej miękkie ciało, ale... do diabła, sama zorientowała się, o co chodzi. Otworzyła szeroko oczy, ocierając się o niego, i cicho jęknęła, co sprawiło, że naprężył się jeszcze bardziej.

Boże, była taka...

Dość tego!

Przetoczył się przez nią, spadł na ziemię i podniósł się niezgrabnie.

– Dosyć tego – powtórzył na głos.

Stanął tyłem, żeby ukryć erekcję.

– Will?

Pokuśtykał pod ścianę i oparł się czołem o chłodny kamień. Cichy szelest sukni powiedział mu, że podeszła do niego. Napiął mięśnie.

– Przepraszam, Charlotte.

Miękkie dłonie dotknęły jego pleców i objęły go, pieszcząc obolałe z napięcia mięśnie. Jędrne piersi przytuliły się do niego, poczuł całe jej ciepłe ciało i jęknął.

Dotknęła miękkimi wargami jego szyi, nie pozostawiając w jego głowie ani jednej myśli.

Coś mówiła. Oczywiście, że coś mówiła. Ale krew tak huczała mu w żyłach, że nic nie słyszał. Czuł tylko jej usta, gorące i wilgotne na skórze. I ten głęboki, wewnętrzny, pierwotny głos, który powtarzał: Zatrzymaj ją dla siebie.

Nie zważając na nic, odwrócił się i zaniósł ją na pryczę, jakby nic nie ważyła. Położył się na niej i mocnym pocałunkiem zagłuszył jej cichy jęk. Całe jego ciało śpiewało z rozkoszy, czując ją pod sobą.

Skubnął ją zębami, a potem ukoił pieszczotą języka. Resztki rozsądku kazały mu sprawdzić, czy ona nie boi się takiej śmiałości, ale błyszczące błękitne oczy pociemniały i skryły się pod ciężkimi powiekami.

Jej język musnął uwodzicielsko jego wargę, aż zaślniła.

– Will.

Ujarzmiony, zahipnotyzowany tym widokiem, nie opierał się, gdy przyciągnęła go do siebie i pocałowała, przepędzając z głowy wszystkie myśli.

Ostrzegano go. Charlotte miała tyle wdzięku, że zawsze dostawała to, co chciała. Nie dała mu żadnych szans na obronę. Wiedział to już w chwili, gdy zobaczył ją pierwszy raz. A teraz ta niebezpieczna kobieta zapragnęła jego samego.

Nie tylko jego pocałunków.

Ta myśl go otrzeźwiła. Trzeba to przerwać.

Niespokojny, bezsilny z pożądania, walczył o odzyskanie panowania nad sobą.

Nie pozwoliła mu na to.

Wsunęła język w jego usta i ssała go, doprowadzając do obłędu.

Zatrzymaj ją... weź ją sobie, jest twoja...

Charlotte... słodka, ciekawska Charlotte... Niech poczuje jego ciężar. Ułożył się na jej ciele, rozkoszując się jej dotykiem, kiedy przyjęła go całego i otuliła sobą. Jęknęła i rozsunęła uda, instynktownie unosząc biodra, by wyjść mu na spotkanie.

– Boże – jęknął.

Naparła mocniej, otaczając nogami jego biodra.

Niewinna... Była niewinna. Ale też i namiętna, jak żadna inna. A mimo to niewinna. I taka powinna pozostać.

– Proszę cię...

Przywarła wargami do jego gardła, ssąc jego ciało.

Wielki Boże, musi zachować tę jej niewinność, przynajmniej częściowo. Odsunął jej nogi i podniósł się, starając się ją uspokoić i przywrócić jej rozsądek.

Dotarła do niego paskudna świadomość, że właśnie uwodzi ją w środku lasu, w schronieniu, gdzie przeczekiwali noc po dramatycznym wydarzeniu. Nie przestał jednak, tylko pieścił ją coraz delikatniej.

Dotykał jej warg swoimi, pragnąc, żeby na zawsze zapamiętała, że to on był tym pierwszym.

Choć nie mógł z nią zostać – i nie mógł jej sobie wziąć, ale będzie pierwszym, który doprowadzi ją na szczyt. I będzie na to patrzył.

Zacisnęła palce na jego włosach tak mocno, że powinno zabołec. Zamiast tego zachwyciła go jej władczość. Patrzyła mu prosto w oczy, bez słów przekazując swoje pragnienie. I coś jeszcze. Coś tak nieskończenie, niesłychanie czułego, że musiał zamknąć oczy przed tym widokiem.

Znieruchomiał i pozwolił, by go całowała tak jak sama chce.

Pokaż mi, czego pragniesz, pomyślał.

W odpowiedzi dotyk jej warg zelżał, a potem się oddalił.

Zaśmiał się niemal bez tchu.

– Wielki Boże, jesteś zagadką. – Ujął jej podbródek, czując zachwycającą miękkość skóry. – Czyżbyś się zawstydzila, słodka Charlotte?

– Przestałeś mnie całować.

– Ale nie chciałem, żebyś ty przestała.

Ośmielony, wsunął dłoń pod jej suknię. Otworzyła oczy.

– Nic się nie dzieje – mruknął.

Pieszcząc szczupłe udo pod miękkimi, bawełnianymi pantalonami, znowu dotknął jej warg swoimi. Przesunął dłoń wyżej, a potem wsunął ją w rozcięcie bielizny. Westchnęła prosto w jego wargi, gdy zaczął głaskać miękkie, wilgotne fałdki.

– Boże, jesteś taka miękka, taka gotowa – szepnął.

Rozchylił jej ciało powoli i delikatnie, bo nigdy przedtem tego nie robił. Westchnęła urywanie. Oczy jej się zaszklily, więc spowolnił pieszczotę.

– Popatrz na mnie.

Sam był zdziwiony tym żądaniem.

Jej spojrzenie mogło go zgubić, ale wiedział, że musi w nie patrzeć, gdy doprowadzi ją do spełnienia.

Skupiła na nim wzrok, a jej piękną twarz rozjaśnił miękki, zadumany uśmiech. Poczuł, jak jego męskość dygoce i wrywa się na wolność, więc zacisnął zęby, by nie ulec pożądaniu. A ona wpatrywała się w niego posłusznie i czule, zaciskając palce na jego koszuli.

Uśmiechnął się.

– Powiedz mi, czy ci się to podoba.

– Podoba mi się.

– Jeszcze nic nie zrobiłem.

– Podobało mi się, jak zaczynałeś. Jak to się...

Wsunął palec w wąską pochwę i...

– Och! O mój... – Jej głowa opadła na materac, wystawiając piękną szyję na jego pocałunki.

Zaczął więc całować to kremowobiałe gardło, odwzajemniając się za tortury, którym ona go wcześniej poddawała, a kciukiem pieścił najwrażliwsze miejsce jej ciała, delikatnie wsuwając i wysuwając palce.

Nigdy przedtem nie dotykał kobiety w ten sposób. Nigdy tak bardzo nie pragnąłby dać komuś rozkosz i by samemu zapamiętać każdy jęk, każde drzenie, każde jedwabiste głośnięcie dłoni.

– Jestem w tobie – powiedział gardłowo. – Czujesz mnie tam?

– O tak... czuję...

Jej objęcia i bliskość napełniły pustkę w jego sercu czułością i wdzięcznością. Żadna kobieta nie obejmowała go w taki sposób, żadna nie pragnęła go tak jak ona. I to po tym wszystkim, co jej zrobił...

– Will... nie przerywaj. Proszę.

Była taka drobna, że gotów był rozplakać się nad kruchością jego ciała.

Zacisnęła się na jego palcu i...

– Ach... Boże! – Całym jego ciałem targnął wstrząs, plecy wygięły się w łuk i splamił sobie spodnie, wydając gardłowy okrzyk.

Chryste Panie. Nigdy w życiu nie doszedł w ten sposób. Bez ruchu. Nigdy nie tracił nad tym panowania. Nawet w dzieciństwie.

Zmęczony, zadyszany, skupił się znowu na niej.

– Dojdź dla mnie – dyszał. – Jesteś ze mną... pozwól sobie na to.

Zacisnęła się wokół jego palca. Wszystko w niej pulsowało, więc pieścił ją mocniej, szybciej i głębiej, aż zapadła się w sobie, a jej gorące wnętrze zaczęło dygotać w cudownych spazmach, które ogarniały najdalsze zakątki ciała. Krzyknęła przenikliwie, targnęła się ku niemu i opadła bezwładnie na łóżko.

Ogarnął go triumf. Zaśmiał się i wtulił się w jej dygocące ciało, dołączając się do ekstazy.

Do diabła, naprawdę był prymitywem. Chciało mu się krzyczeć, tłuc się pięściami w pierś i chwalić się, że dał jej rozkosz.

Chwycił zębami delikatny płatek jej ucha, później przesunął wargi ku jej zdyszany ustom, a potem ogarnął je pocałunkiem.

Powoli, niechętnie, wysunął palec z miękkiego wnętrza.

– Tylko ty... – szepnęła, wtulając się mocno w niego. – Tylko ty.

A potem otworzyła oczy.

Znowu.

Znowu to w nich zobaczył. Tę czułość, to zaufanie. I coś jeszcze. Coś, czego wcześniej tam nie było.

Poczuł wtedy...

Chryste Panie. Poczuł się, jak tego dnia, kiedy przekraczał Przepaść Tygrysa w Yunnanie. Rozkołysany, linowy most. Dwustumetrowa przepaść. Wiatr, który huczał w uszach i pozbawiał równowagi. Zawrót głowy, jakiego nie zaznał nigdy w życiu...

Chwycił się rękami wełnianego koca po obu jej bokach i odwrócił wzrok. Poprawił jej suknię dłonią tak ciężką, jakby wykuta z kamienia.

Boże, co on zrobił? Do czego doszło?

Poniewierał cudowną Charlotte Baker w ubogiej leśnej chacie. Gwiazda londyńskiej socjety zapadła w jego pustkę, w jego mrok. Piękna, niewinna Charlotte.

Boże, dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej?

Przewrócił się na plecy i zapatrzył w sufit, modląc się, by choć raz nie odezwała się ani słowem. Choć na chwilę. Żeby dała mu pozbierać myśli. Choć i tak wiedział, że nie ma na to szans.

Charlotte nigdy nie milkła.

– Nigdy w życiu nie przeżyłam czegoś takiego – szepnęła. – Dlaczego nie wiedziałam, że moje ciało tak potrafi? Byłeś niesamowity.

Przyłożyła jego dłoń do piersi.

– Patrz, jak mi bije serce. Czujesz?

Nie czuł nawet własnej dłoni. Dlaczego nic nie czuł?

– Nigdy w życiu nie byłam taka szalona, taka wolna.

Przesunęła dłońmi po swoim ciele i przekręciła się na bok. Machnęła nogami i zaśmiała się cicho.

– To było... Czy zawsze tak jest? Na pewno nie... Tylko z tobą to czuję. Nikt inny nie potrafi mnie tak dotykać. Nic dziwnego, że ludzie tak szukają miłości, jeśli to jest nagroda. *Quelle joie, quel bonheur!*

– Miłość?? Ja... czy to było po francusku? Ja nie znam...

– Wiem, że ty nie jesteś we mnie zakochany – powiedziała spokojnie. – Ale to była najcudowniejsza rzecz, jaką przeżyłam w życiu. Nie oczekuję od ciebie niczego, daję ci słowo, ale to zmieniło wszystko. Świat kręci się na nowej osi.

Westchnęła, szeroko otwierając oczy.

– To przełomowy dzień w moim życiu. Muszę powiedzieć Lucy... a nie, nie mogę jej nic powiedzieć.

Oparła się na łokciu.

– Naprawdę, Will! Tak jak ci mówiłam, to dla mnie przełom. Obejmij mnie.

Jego ciało posłusznie się rozluźniło.

– Nie mam pojęcia, co zrobić, Charlotte! – Objął ją niezgrabnie, nie tak czule, jak powinien i chciał, ale i tak ufnie się w niego wtuliła. – Czy ty... dobrze się czujesz? Ja... Ja nie spodziewałem się czegoś takiego.

– Wiem – odpowiedziała spokojnie. – Ale pomiędzy twoimi wszystkimi planami zawsze zostaje trochę miejsca na to, co nieoczekiwane. Trzeba sobie zostawić miejsce na życie. To, co najpiękniejsze, zawsze przychodzi niespodziewanie.

Zamilkła.

– Kiedy nie masz już nadziei – dodała.

– Mnie się nie zdarzają takie rzeczy.

Pogładziła go po policzku, a jego serce zabiło mocniej.

– Przykro mi. Ale dla mnie to było cudowne. Więc nawet jeśli tobie się nie podobało, to potraktuj to jako doświadczenie życiowe.

Zapadła cisza. Jego serce zwolniło bieg.

Dobrze chociaż, że Charlotte była szczęśliwa z tego, co się stało.

Do diabła. Zasługiwała na coś więcej. Nie powinienem się z nią kochać w ten sposób. Zasługiwała na prawdziwe połączenie dwóch ciał. Ale do tego nigdy nie będę miał prawa.

Bawiła się kołnierzykiem jego koszuli.

– Wiem, że to nie ma porównania z tym, co przeżyłeś z innymi kobietami...

– Nie...

– Wiem, że z nimi było ci o wiele lepiej, ale nie przejmuj się. Nigdy cię nie poproszę, żebyś...

Uniosła twarz i spojrzała mu w oczy. Z lękiem czekał na jej następne słowa. Bał się, że poprosi go, żeby został, żeby ją kochał. Nie umiałby jej odmówić niczego, kiedy spoglądała na niego w ten sposób.

Umknęła wzrokiem i oparła policzek na jego piersi.

– O nic cię nie poproszę – powiedziała cicho. – Jakie to dziwne. Myślałam, że trzeba popłynąć za ocean, żeby poczuć w sobie tyle życia. Tu jest tyle zasad, ograniczeń... Mimo to, kiedy jestem z tobą, kiedy przeżywam to wszystko, czuję się tak... jakby moje życie nie miało granic.

Pocałowała go tuż nad sercem, które odpowiedziało mocniejszym biciem, niby jej niewolnik. – Rozumiesz to, prawda?

Czy rozumie?

Nie wiedział nawet, jak się nazywa. Gdyby nie to, że leżał, pewnie upadłby na ziemię. Była jak lawina, jak morski sztorm, jak dwustumetrowa przepaść. Z dumą mówił, że jest przygotowany na wszystko, ale jak się przygotować na kogoś takiego jak ona? Zawsze była nieprzewidywalna. Żadna okolica, żadna kraina, którą w życiu przemierzył, nie była tak przerażająca ani emocjonująca jak ta kobieta.

Aimee czekała na niego, a on marnował czas. Jeśli zostanie tu zbyt długo, nigdy już tam nie pojedzie. Zapomni o powrocie, straci szansę, by odnaleźć to dziecko. Nie wolno mu. Nie wolno mu zostać, bo ta mała wciąż czeka.

– Żałuję, że cię poznałem.

Gwałtownie wciągnęła powietrze.

Chryste Panie, co on powiedział?

– Nie... Nie o to chodzi...

Wyrwała się z jego ramion i wstała, ale nie zdążyła ukryć łez, które napłynęły jej do oczu.

Wyciągnął do niej rękę, ale się odsunęła.

Otworzyła drzwi. W bladym świetle poranka ciemny las zaczął błękitnieć.

– Słońce już wstaje.

– Ja nie...

Ale tak naprawdę właśnie to miał na myśli. Żałował, że ją spotkał. Że stało się to teraz. Teraz, gdy wspomnienie o niej będzie ciążyło mu coraz bardziej, z każdą chwilą oddalenia.

– Charlotte?

– Chodźmy już.

– Nie rozumiesz...

Pokręciła głową i ostrzegła go spojrzeniem, by nie mówił nic więcej. To było tak niepodobne do niej, tak wstrząsające, że zachwiał się na nogach. Minęła go i wyszła na zewnątrz.

– Muszę wyjechać. Gdyby nie to, poszedłbym za tobą, kochałbym się z tobą, zrobiłbym wszystko, byle by cię przy sobie zatrzymać. Chociaż na ciebie nie zasługuję.

Ale ona już tego nie słyszała, bo szła ścieżką w stronę domu.

Skraj lasu był nieopodal. Charlotte maszerowała równym krokiem w tamtym kierunku. Will podążał za nią bez słowa. Od domu dzielił ich ogromny trawnik skąpany w zimnym, szarym świetle poranka. Ptaki jeszcze się nie pobudziły, by śpiewem przerwać nocną ciszę. Koronami drzew nie poruszał ani jeden powiew wiatru. Mogłoby się wydawać, że jest sama na świecie.

I wreszcie być spokojna.

Will ujął ją za ramię. Drgnęła, zaskoczona.

– Charlotte?

Tym razem nie umykał spojrzeniem, tylko patrzył na nią błagalnie, z poczuciem winy, która i jej przywróciła przytomność umysłu.

Znowu wszystko było jasne i proste.

Ona pragnęła Willa, a on chciał wyjechać. Żeglować, wędrować, walczyć z ciemnością, która go przepełniała. Jaka kobieta może konkurować z czymś takim? Z ogromnym, nieskończonym, niebezpiecznym światem?

– Poradzisz sobie? – zapytał.

„Żałuję, że cię poznałem...”

– Oczywiście – odparła spokojnie. Przecież była Charlotte Baker. Radosną kobietą, która nigdy się nie obrażała i miała przedziwne pomysły. Uśmiechnęła się sztucznie, ale on nie odwzajemnił się uśmiechem.

– Odczekaj dziesięć minut i wejdź do domu przez bibliotekę. Otworzę ci drzwi na taras. Nikt ze służby nie może nas zobaczyć.

– Charlotte...

Odepchnęła jego rękę i pobiegła. Litościwy chłód poranka kołował jej piekące oczy, a mokra trawa dotykała kostek. Dom wydawał się taki olbrzymi i spokojny. Windmere... Kiedy była mała i jeździła na kucyku ogrodowymi ścieżkami, wyobrażała sobie, że to zamek, a ona jest księżniczką.

Ale to był jej dom, jej rodzina. Tego nigdy nie straci, choćby nie wiem gdzie zabłądziła.

Wy tłumaczy im wszystko. Hugh wyjedzie, nic się nie zmieni.

Nic się nie zmieniło.

Naprawdę.

Przynajmniej z zewnątrz.

Przecież Will nigdy nie planował, by pozostać w Anglii. Fascynował ją. Obudził jej namiętność i powinna mu być za to wdzięczna. Będzie wdzięczna. Na pewno.

Nawet jeżeli w jej życiu nie będzie już więcej miłości.

Drzwi dla dostawców były otwarte, jak się spodziewała. Czekala, nad słuchując czujnie. Kiedy była pewna, że nikogo nie ma w pobliżu, weszła po schodach do holu. W domu panowała cisza. Dzięki Bogu. Wszyscy jeszcze śpią.

Drzwi do biblioteki otworzyły się bezgłośnie. Wsunęła się do środka – i serce w niej zamarło.

Siedzieli tam wszyscy; Hugh, hrabia z hrabiną, Helen i Hester, i lady Wynston. Hugh stał w rogu ogromnej sali z kamienną twarzą. Fala obrzydzenia na jego widok niemal zbiła ją z nóg. Nawet się nie przebrał.

– Jesteś wreszcie, moje dziecko – powiedziała sucho lady Wynston, taksując ostrym spojrzeniem jej rozpuszczone włosy, rozpięte guziki przy szyi, skraj sukni, pociemniały od biegu po mokrej trawie. – Tak wcześnie na spacerze? Podobnie jak lord Spencer, który właśnie wrócił z przejażdżki konno. A ja myślałam, że jedna jedyna wstaje o bladym świcie.

– Ja... Dlaczego wy nie śpicie? – Wszyscy popatrzyli na nią ze zdumieniem.

Na tarasie rozległy się mocne kroki. Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę i ujrzeli znanego podróżnika, Willa Reptona, który wbiegł po tarasowych schodach w rozpiętej kurtce.

Och, nie.

Odwrócili się ku niej, jakby usłyszeli jej bezgłośny jęk. Zapadła cisza. Opuszczone pośpiesznie powieki, wymieniane ukradkiem, zdumione spojrzenia oznaczały, że Charlotte Baker została oceniona, oskarżona i osądzona.

W końcu zaznała w życiu ryzyka i niebezpieczeństwa. I to całkiem sporego.

Za wysoką cenę, za cenę swojego serca.

12

Will wahał się tylko sekundę po drugiej stronie szklanych drzwi. W jednej chwili zdumienie malujące się na jego twarzy zastąpiła kamienna twardość. Spojrzał jej w oczy przeprasząco i z powagą.

Uniósł wysoko nieogolony podbródek i ruszył w stronę biblioteki i kręgu wpatrzonych w niego twarzy.

Kenneth, lokaj, chciał go wypuścić, ale znieruchomiał pod spojrzeniem Willa.

Charlotte niechętnie przeniosła wzrok na Hugh, zadając mu nieme pytanie. Niemal niezauważalnym ruchem głowy przekazał jej, że nikomu nie zdradził, co się stało.

– Charlotte – zaczął powoli, ostrzegawczym tonem – doskonale rozumiesz, że wszyscy przeżywamy narodziny twojego siostrzeńca, który przyszedł na świat wczoraj wieczorem. Większość z nas właśnie dlatego wstała tak wcześnie. Większość służby nie zmrużyła oka przez całą noc.

– Mojego siostrzeńca? – Lucy urodziła! – No tak... oczywiście. Mojego siostrzeńca.

Drzwi na taras się otworzyły i falę radości zastąpiło przerażenie na widok Willa, który podszedł do Hugh z morderczym wyrazem twarzy.

– Och! Pan Repton! – Kilka szybkich kroków i stanęła mu na drodze. Ale nie zatrzymał się, dopóki jego mocne ciało w nią nie uderzyło.

Z tyłu za nią Hugh schował się przed Willem za krzesło... za stół... za następne krzesło...

Co ten Will wyprawiał?

– Mogę coś powiedzieć?

– Mam sprawę do Spencera. – Will przesunął ją na bok.

– Za pozwoleniem... – Uśmiechnęła się anielsko, ale złapała go za ramię stalowymi palcami.

Przeniósł wzrok na nią, jak lew, który zwietrzył lepszą zdobycz.

– To nie zajmie długo.

Spojrzeli na siebie twardo, tocząc milczącą bitwę, ale Will nie miał szans. Pomimo niedawnej bliskości w dalszym ciągu nie potrafił wytrzymać jej wzroku.

– Proszę cię – szepnęła.

Mruknął coś niezrozumiale, ale ruszył za nią.

Zafascynowani widzowie patrzyli w ślad za nimi, dopóki nie zamknęła drzwi. Obróciła się na pięcie i popędziła schodami na górę, po dwa stopnie naraz.

– Dokąd biegiesz! – ryknął Will, wyraźnie zniecierpliwiony. – Powiedziałaś, że chcesz zamienić parę słów ze mną.

Zatrzymała się, pochyliła ku niemu i syknęła.

– Chodź ze mną.

Wszedł na schody, tupiąc donośnie.

Z trudem panowała nad sobą.

– Wcale nie chciałam z tobą rozmawiać. Chciałam cię tylko odciągnąć od Hugh.

– Co ci zależy, co się stanie z...

– Daj spokój! Lucy urodziła dziecko i muszę natychmiast się z nią zobaczyć, ale bałam się, że zrobisz jakąś krzywdę Hugh, więc idź do swojego pokoju.

– Do mojego pokoju?

– Owszem. Co ty sobie wyobrażasz? Że wygarniesz mu wszystko przed całym towarzystwem? Na litość boską, to wicehrabia, a jego ojciec jest hrabią. Idź do siebie albo zjedz śniadanie, albo zajrzyj do rodziców. Pewnie się denerwują, co się z tobą dzieje.

Założył ramiona na piersi, jakby nie wiedział, co ma robić dalej, choć dała mu kilka doskonałych rozwiązań.

– Wszyscy nas widzieli, Charlotte – powiedział ponuro.

To prawda. Widzieli wszystko. Jest zrujnowana. To już koniec.

Dlaczego w takim razie się uśmiecha?

– Nie zależy mi na tym. – Ze zdumieniem pokręciła głową. – Chyba zwariowałam, ale naprawdę mi...

Mam siostrzeńca! To znaczy, jeszcze jednego siostrzeńca!

Will oglądał się na drzwi biblioteki, jakby marzył tylko o tym, by wyrwać je z zawiasów.

– Will, błagam cię. Obiecuj mi, że tam nie wrócisz. Koniecznie chcę zobaczyć Lucy.

Złapał się za głowę.

– Idź do siostry – mruknął.

Uznała, że to brzmi jak obietnica, wydała okrzyk niegodny damy i pognała na górę po schodach.

Drzwi do pokoju Lucy i Bena były zamknięte. Zapukała, co było dowodem niesłychanego panowania nad sobą, bo chciało jej się krzyczeć z radości, śmiać się i płakać. Chłopczyk! Dobrzy Boże, żeby tylko oboje byli zdrowi...

Drzwi otworzyły się i jednym skokiem znalazła się przy łóżku. Uklękła. Lucy wyglądała na zmęczoną, ale była piękna i szczęśliwa. Bill siedział przy niej, ubrany w tę samą koszulę i spodnie co wczoraj. Całodzienny zarost ciemniał na jego przystojnej twarzy. Patrzył z dumą na żonę i dziecko.

Jacob leżał w poprzek w nogach łóżka i cicho pochrapywał. Lucy trzymała dziecko w ramionach.

– Kochana, czy źle się czujesz? – spytała Lucy. – Powiedzieli mi, że nie chcą cię budzić.

Charlotte objęła bratową i jej cenny skarb.

– Och Lucy, tak mi przykro. Nic mi nie jest. Jak się czujesz?

– Wszystko poszło wspaniale. Poznaj Edwarda. Jest cudowny, prawda?

Charlotte odsunęła kocyk i napotkała nieodgadnione spojrzenie niemowlęcia. Westchnęła, dziecko mrugnęło powiekami i napełniło jej serce bezgraniczną miłością.

– W życiu nie widziałam takiego czerwonego niemowlaka. – Zaśmiała się przez łzy.

Kolejne dziecko... dziecko Lucy.

Jeszcze jeden siostrzeniec.

Opadła na kolana przy łóżku, oparła czoło o materac i zaczęła się śmiać. A potem płakać.

– Co się dzieje, najdroższa? – spytała Lucy, głaszcząc ją po głowie.

– Charlotte? – usłyszała zza pleców głos Wally'ego.

Otarła łzy i stanęła na chwiejnych nogach, przygotowana, by przyjąć burę. Zamiast tego, brat wziął ją w ramiona i odciągnął od łóżka, żeby nikt nie słyszał ich rozmowy.

– Tak się o ciebie niepokoiłem, kochana. Nie rób mi tego więcej. Gdzie byłaś? Coś ci się stało?

– Nie, nic. Wszystko ci wyjaśnię.

Wyzwoliła się z jego ramion, by ucałować Lucy w czoło, a potem poszła za nim do jego prywatnego salonu.

Ku jej zdumieniu w środku czekał Will.

– Dobrze się czują? – zapytał.

Skinęła głową.

Ojej. Nie zdążył się przebrać. Brat na pewno to zauważy.

– Dlaczego się nie przebrałeś? – Wally przyjrzał mu się z ponurą miną. Powoli odwrócił się do niej.

– Opowiedz mi, co się stało wczoraj w nocy, Charlotte.

– Nie usiądziesz?

– Słucham. Mówcie.

Policzki jej brata oblały się purpurą. Kiedy tak wyglądał, wolała mu się nie sprzeciwiać. Wzięła głęboki oddech.

– Byliśmy z Hugh na ścieżce przyrodniczej aż do zmroku. Pan Repton przyszedł z latarnią, ale Hugh ją zabrał. Nie mogliśmy znaleźć drogi do domu.

– Powiedz mu wszystko, Charlotte – odezwał się Will.

Spojrzała na niego, milcząco błagając, żeby oszczędził Wally'emu szczegółów.

– Powiedz mu sama albo ja to zrobię.

Jej brat stał wyprostowany jak świeca, jakby czekał na cios.

– Hugh nie przyjął mojej decyzji o zerwaniu zaręczyn. Nie mogłam go też przekonać, żebyśmy wyszli z lasu przed zmrokiem. Złapał mnie i przewrócił na ziemię...

– Odważył się ciebie tknąć?

– Nie, Wally. Will zjawił się na czas. Nic mi nie zrobił.

Wally zajrzał jej w oczy. Potem popatrzył na Willa, który z ponurą miną potwierdził jej słowa skinieniem głowy.

Wally odwrócił się na pięcie, by zadzwonić po lokaja.

Odezwał się głosem szorstkim od tłumionej furii.

– Chcę, żeby ten człowiek natychmiast opuścił mój dom. Jeżeli kiedykolwiek zbliży się do ciebie, zabiję go i nie obronią go ani tytuł, ani pieniądze.

Wally zaczął chodzić po pokoju. Charlotte z ulgą padła na sofę.

Jej brat dopiero po chwili opanował się na tyle, by móc pytać dalej.

– Co stało się w lesie po ucieczce Spencera?

– Udało nam się dotrzeć do pustelni i przespaliśmy tam do rana – odpowiedziała.

– Przespaliście? Oboje macie malinki na szyjach.

Zawstydzona, zasłoniła szyję kołnierzykiem sukni.

– Will mnie uratował.

– Uratował? Charlotte, on cię zrujnował.

Will gwałtownie poderwał głowę.

– Nie zrujnowałem jej, Wallace. Przysięgam.

Skrzyżowali spojrzenia. W końcu Wally przesunął znużoną dłonią po twarzy.

– Chryste Panie. – Westchnął. – Will, ja ci wierzę. Ale pół tuzina arystokratów zebranych w salonie na dole doskonale wie, że byliście ze sobą. Wszyscy są przekonani, że ją uwiodłeś, żeby rzuciła Spencera.

– Więc za niego nie wyjdzie – mruknął. – Moim zdaniem mała strata.

Charlotte zamknęła oczy. Will wyraźnie nic nie zrozumiał. Ale jej brat zamierzał go oświecić.

– Fakt – powiedział Wally. – Nie wyjdzie za Spencera. Ani za żadnego innego Anglika z dobrej rodziny, wykształconego i cieszącego się ogólnym szacunkiem.

– Oczywiście, że wyjdzie. A w ogóle to dlaczego, do jasnej cholery, musiała rozmawiać ze Spencerem osobiście? Dlaczego pozwoliłeś mu się do niej zbliżyć? Powinieneś się nią opiekować. Jestem pewny, że znasz mężczyzn lepiej niż ona.

– Myślisz, że ja...

– Do diabła! Ja lepiej bym o nią zadbał, Wallace! Matteson to porządny człowiek i ma wystarczający majątek. A na przykład...

– Ty byś o nią zadbał? – Twarz Wally'ego była prawie niebieska.

– Wally... proszę cię – powiedziała tylko.

– Ty byś o nią zadbał, Will? W takim razie mam dla ciebie propozycję, która uratuje moją siostrę przed niesławą. Ożeń się z nią.

Patrzyła bez słowa, jak Will zrywa się na równe nogi.

– Nic z tego! Odpływam za trzy miesiące.

Och, nie... nie, nie, nie! Wally, co ty robisz...

Wally wstał i ruszył w jego stronę.

– Jeśli weźmiecie ślub, jej reputacja wprawdzie ucierpi, ale nikt nie uzna jej za dziwkę.

– Za dziwkę? Nawet nie wolno mi używać rózu – powiedziała, zdumiona.

– Znalazłeś ją w miejscu, gdzie nikt inny jej nie szukał. Uratowałeś ją. Wszyscy powiedzą, że już wcześniej byłeś jej kochankiem – stwierdził beznamiętnie Wally.

Will spojrzał na jej bladą twarz, która ewidentnie nie zaznała rózu.

– Nie. Musi być jakiś inny sposób.

– Nie ma innego sposobu! – zdenerwował się Wally.

– Dość tego. – Charlotte wstała i pociągnęła go pod przeciwną ścianę, a potem powiedziała szeptem, żeby Will tego nie słyszał:

– Wystarczy tego. Proszę cię, nie karz go tak.

– Ale gdyby się z tobą ożenił...

– Ja go kocham.

Wally spojrział na nią oczyma okrągłymi ze zdumienia.

– Charlotte... co on ci zrobił?

– Nic. – Poprosiła go wzrokiem, żeby zachował to wyznanie w tajemnicy. – On o tym nie wie.

Pokochałam go od pierwszego wejrzenia, ale nie mogę za niego wyjść za mąż. On wyjeżdża. Złamałby mi serce.

W oczach Wally'ego, tak podobnych do jej oczu, błysnęła desperacja.

– Och, Charlotte...

Chciała się uśmiechnąć, ale uśmiech nie przychodził.

– Widać wszyscy w tej rodzinie mamy tę samą fatalną wadę: idziemy za głosem serca, nie bacząc, dokąd nas prowadzi. Przepraszam, że cię rozczarowałam.

– Skądże, moje serce. To ja cię przepraszam.

Czule pogładził ją po włosach. Westchnął ze znużeniem i zwrócił się do Willa.

– Wybacz mi. Nie byłem w stanie jasno myśleć. Dziękuję Bogu, że odnalazłeś moją siostrę na czas.

Nie wiadomo, co Spencer by zrobił mojej kochanej dziewczynce.

Will był wyraźnie zdziwiony tą nagłą zmianą frontu.

– Ten łajdak zasługuje na...

– Tak. – Wally powstrzymał go ruchem dłoni. – Myślał, że będzie miał moją siostrę, jeśli tylko zechce.

– Opadł na krzesło. – To wszystko moja wina. Pewnie wiesz wszystko o mojej przeszłości?

– O procesie? Owszem.

– I tym, jak było naprawdę.

Chwyciła brata za rękę.

– Nie.

Wally spojrział wprost na Willa.

– Nazywają mnie chorym, szalonym, opętanym człowiekiem, dlatego że pokochałem mężczyznę.

Uważają, że Charlotte i Lucy też noszą w sobie chorobę. Mówią, że zła krew wcześniej czy później da o sobie znać. A kiedy ta wiadomość się rozejdzie, wszyscy plotkarze znowu podniosą głowy.

Wally odwrócił się ku niej i łamiącym się głosem dodał:

– Chciałem, żebyś miała wszystko...

– I mam wszystko.

Odwróciła się do Willa, starając się zignorować go w chwili rodzinnej hańby.

– Mam ciebie, dzieci, Lucy i Bena.

Wally kołysał ją w ramionach.

– Moja kochana... tak mi przykro.

Will milczał za jej plecami. Gdy Wally opuścił ramiona, odwróciła się do niego.

Nie odzywał się, ale w jego oczach błysnęła determinacja. Nie odwracał od niej spojrzenia. Pewnie

był zdecydowany uciec stąd jak najszybciej. Z wielką ulgą opuści Windmere.

– Will, nie będziemy z nikim rozmawiać o minionej nocy, choć być może ich to zdziwi. Hugh zaraz wyjedzie z rodziną i wszyscy będą pytać, co się stało. Pozwól mi samej z nimi porozmawiać. Przepraszam, że postawiłam w trudnej sytuacji ciebie i twoich rodziców.

– To nie wystarczy.

– Musisz mi zaufać.

– Wallace masz rację. Nie możesz tak po prostu odrzucić swojego życia, wykształcenia, przyjaciół.

Twoje miejsce jest pośród tych ludzi.

– Nie.

Odwrócił się do jej brata.

– Czy to coś pomoże? Jeśli za mnie wyjdzie? To nie będzie awans społeczny.

Wally westchnął.

– Zapomnij o tym, Will.

Will spojrział na nią.

Źle zrozumiała jego zdecydowane spojrzenie. Nie chciał uciekać. Chciał ją uratować. Pokręciła głową, ale podszedł do niej, jakby go wezwała tym gestem.

– A jeśli powiemy, że jesteśmy zakochani? A potem, kiedy wyjadę, możesz złożyć petycję o rozwód z powodu porzucenia... albo stwierdzić, że małżeństwo nie zostało skonsumowane, z powodu moich urazów. Zniżył głos do szeptu. – Choć to nieprawda. Jestem jak najbardziej sprawny.

Popatrzyła na niego. Co tu się działo?

– Przecież to śmieszne.

Wally i Will patrzyli na nią bez słowa i wyraźnie się zastanawiali nad tym pomysłem.

– Wally? Powiedz Willowi, że to śmieszne.

– Charlotte, wiem, że tego nie planowałaś – odezwał się Will łagodnym, polubownym tonem, zupełnie innym niż zwykle. To ją jeszcze bardziej zdenerwowało. – Ja tym bardziej. Ale sama powiedziałaś, że trzeba w życiu zostawić miejsce na to, co nieplanowane.

– Powiedziałam, że należy zostawić miejsce na kaprysy i szczęśliwe zbiegi okoliczności, a nie na takie szaleństwo jak to, co przed chwilą zaproponowałaś.

– Czy to uratuje twoją reputację?

– A co będzie z twoją?

Pytanie go wyraźnie rozbawiło. Popatrzyli po sobie z Wallym. Wcale jej się to nie spodobało. Nic a nic.

– Jestem zwykłym botanikiem, Charlotte. Nikt nie będzie mnie obwiniał o to, że zakochałem się w najpiękniejszej kobiecie w Londynie. A o moich urazach wie jedynie lekarz. Wystarczy puścić strategiczną pogłoskę, że nie jestem już mężczyzną – choć to nieprawda – i z czasem będziesz mogła znowu wyjść za mąż.

Milczała z przerażeniem. W końcu Wally przerwał tę ciszę.

– Usiądź, kochana, jesteś strasznie blada. Will, jeśli to zrobimy...

– Jeśli?! – krzyknęła.

– ...to trzeba działać szybko. W ciągu dwóch tygodni, nie dłużej.

– Zgadza się – potwierdził Will.

– I musicie spać osobno – dodał jej brat..

– Oczywiście – zgodził się pośpiesznie Will.

Aż nazbyt pośpiesznie. Dość tego! Podeszła do niego i zniżyła głos do szeptu.

– Przecież tego nie chcesz. Powiedziałaś, że żałujesz, że mnie poznałeś.

– Nie o to mi chodziło.

– O to. – Głos jej się załamał, więc zacisnęła zęby, by nie dać się ponieść emocjom. – Wiem, że o to.

Poza tym – dodała z udawanym chłodem – wcale nie chcę wychodzić za męż. Nie musisz mnie ratować.

To absurd.

Will popatrzył w górę ponad jej głową.

Wyciągnęła się na całą długość.

– Powiedziałaś, że nie potrzebuję ratunku.

– A ja mówię, że tak. I to samo mówi twój brat. Usłuchaj nas dla własnego dobra.

Oniemiała.

– Nic z tego. – Ruszyła ku drzwiom. – Dla własnego dobra! Słowo honoru... Zdaje się wam, że możecie decydować o wszystkim. Mężczyźni! Nie zamierzam być tylko widzem we własnym życiu.

– Na litość boską, posłuchaj mnie wreszcie! – Złapał ją za łokieć i wyprowadził do holu. – Dlaczego nie chcesz za mnie wyjść? Przecież i tak odpływam w sierpniu. Nic ci nie zabiorę. – Zajrzał jej w oczy. W jego spojrzeniu było coś, co zachwiało jej postanowieniem. – Czy tak ci będzie trudno udawać, że mnie kochasz?

Trafił w sedno. Aż zachwiała się na nogach.

– To ty nigdy nie uwierzysz w miłość między nami. Jesteś taki obojętny i niebaczny. Widzisz? Patrzysz na mnie przez sekundę i zaraz odwracasz wzrok. Nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzy, że mnie kochasz... albo chociaż lubisz.

Podszedł bliżej i wbił w nią spokojny, płonący wzrok.

– Mogę ich o tym przekonać. Jeśli nad sobą nie zapanuję, przekonam nawet ciebie. Wiesz przecież, jak cię pożądam.

Pożądanie. Przeniosła wzrok na jego szyję. Czerwone ślady, jakimi poznała jego skórę, wyglądały tak wulgarnie. Ale w nocy chciało jej się płakać ze szczęścia, że poznała jego smak.

Pożądanie. Tylko tyle. Pożądanie to jednak nie miłość.

– To najlepsze rozwiązanie – powiedział.

– Ślub?

– Tak.

– A potem spanie osobno?

– Tak.

– Będziemy chociaż mieszkać pod tym samym dachem?

Spochmurniał.

– Nie musimy. Możesz zostać tutaj. Nikt nie będzie wiedział, że nie jesteśmy razem.

Skrzyżowała ramiona na piersi, choć marzyła o objęciach kogo innego. Oczywiście, że Will ją zostawi. Nic go przy niej nie utrzyma, nawet małżeństwo.

– Charlotte? Proszę cię. Nie mogę być odpowiedzialny za to, co się z tobą stanie.

– Nie jesteś odpowiedzialny.

– Proszę cię. Wyjdź za mnie.

Jego cichy, miękki przekonywający głos ujął ją za serce. Szkoda, że to nie na serio. Zamknęła oczy.

– Na jak długo?

– Na jak... Do lipca? Albo sierpnia? Żebyśmy zdążyli je anulować, zanim odpłynę.

Do sierpnia. Prawie trzy miesiące u boku Willa. Czy trzy miesiące mogą zastąpić całe życie?

– Charlotte? – Poczowała jego dłoń na ramieniu.

Czy to zniesie? Najpierw małżeństwo, a potem rozstanie?

Spojrzała w twarz mężczyzny swoich marzeń i znalazła w niej odpowiedź.

– Tak. – Odpowiedź wyfrunęła z jej ust, zanim zdołała ją zatrzymać.

Jego ręka opadła.

– Ja... Dobrze. – W jego głosie brzmiała ulga, ale zachowywał się podejrzanie.

– Poślubię cię i będę ci za to wdzięczna.

Spojrzał na nią czujnie.

– W porządku.

Będzie miała męża i będzie miała miłość...

– Ale mam pewne wymagania.

Znieruchomiał. Potem szybko skinął głową. Stał mocno na nogach i skrzyżował ramiona.

– Naturalnie. Podaj mi je.

Zostań ze mną.

– Więc, ja...

Czy to się dzieje naprawdę?

– Właściwie to są warunki. Nie jakieś tam wymagania. I nie podlegają negocjacjom. Nie bój się, właściwie jest tylko jeden... nie jeden, tylko trzy. Myślę, że są to nawet żądania. To słowo je najlepiej określa.

– Charlotte. Jakie to warunki?

– Słuchaj. – Splotła palce, żeby uspokoić dłonie. – Po pierwsze, musisz ze mną rozmawiać.

– Rozmawiać?

– To znaczy prowadzić rozmowę. Przez pół godziny każdego dnia, i to nie o pogodzie. Ma to być nieprzerwana rozmowa i od czasu do czasu to ty masz ją zacząć.

– Dlaczego?

Uniosła brwi, przybierając minę pełną irytacji tylko po to, żeby ukryć zdenerwowanie.

– Bo to jest naturalne wymaganie wobec żony. Ta rozmowa stanie się naprawdę nużąca, jeśli zaczniesz

kwestionować każdy z moich warunków.

Wydał wargi i wbił wzrok w jej twarz, jakby szukał tam przyczyn jej zachowania. Bardzo się starała, żeby nic tam nie dostrzegł, więc spochmurniał.

– Dobrze.

– Po drugie...

– Po drugie?

Znowu zabrzmiał jej w uszach głos Wally'ego. Nigdy nie zapomni tego, co powiedział: „Kochaliśmy się nawzajem i mówiliśmy to sobie każdego dnia. To się czuło w każdym uścisku, w każdym spojrzeniu. W każdym »dzień dobry« i w każdym »dobranoc«”.

– Charlotte?

– Żądam, żebyś zawsze mówił mi dzień dobry i dobranoc. Każdego dnia. Z pocałunkiem.

Zamrugął.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Tylko to, co powiedziałam.

Potarł twarz dłonią, dumając nad tym warunkiem tak długo, że poczuła się urażona.

– Na litość boską, przecież cię nie proszę, żebyś włożył różowy fartuszek i biegał po Hyde Parku z sersem w ręku.

Westchnął.

– Dobrze, zgoda. A trzeci?

Zacząła mówić, a potem przerwała i zaczęła od nowa.

– Będziemy spać w tym samym łóżku.

– Nie ma mowy. Bo znowu by się powtórzyło to, co się zdarzyło dziś rano.

– I co z tego? – spytała, do głębi zraniona jego reakcją.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zamknął je bez słowa.

Zbierając resztki dumy, które jej pozostały, wyprostowała się dzielnie.

– Nie zauważyłeś, że mi się to podobało? Wyglądało na to, że tobie też.

Jak to nazwać? Jakiego użyć słowa? Przydałby się słownik, naprawdę. Pewnie do niego zajrzy. Tylko trochę później.

Zamknął oczy i westchnął ciężko.

– Oczywiście, że mi się podobało. Aż za bardzo. Do tego stopnia, że następnym razem mogę się nie powstrzymać i wziąć cię całą.

Przez chwilę nie mogła oddychać. Jakie cudowne słowa!

– To znaczy, że zrobiłbyś to siłą? – spytała bez tchu.

– Nie! Ja... nigdy!

Uśmiechnęła się, widząc, że wraca mu energia. To był ten Will Repton, którego znała i kochała.

– W takim razie nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa. Obiecuję, że nigdy nie pozwolę, żebyś wzięła mnie całą, jak to określiłeś. Po prostu powiem nie. Więc, czy jeśli weźmiemy ślub, to zgodzisz się, żebyśmy dzielili łożę?

– Jeśli weźmiemy ślub? Weźmiemy go na pewno, ale ja się na to nie zgodzę. Nie możemy... Ja jestem

nie do wytrzymania w nocy. Mam złe sny i rzucam się na wszystkie strony.

– Wiem. I całkiem mi się to podobało.

To niesamowite, ale naprawdę się zarumienił.

– To są inne sny. Koszmary, Charlotte. Kiedyś spadłem z łóżka, próbując przed nimi uciec. Mógłbym ci zrobić krzywdę.

– Ty nigdy nie zrobisz mi krzywdy.

Był taki nieszczęśliwy, że o mało co się nie poddała.

– Jak często miewasz te koszmary?

– Prawie każdej nocy.

Ból ścisnął jej serce.

– Z wyjątkiem wczorajszej.

Wytrzymał jej spojrzenie. Na moment połączyło ich wspomnienie porannej namiętności.

– Będę cię z nich budzić – wyprostowała się – jak tylko się zaczną. To lepiej, niż je znosić. Zawsze się budzę, kiedy Jacob i Abby płaczą.

– Charlotte...

– Jeśli mamy wziąć ślub...

– Weźmiemy ślub na pewno.

– ...to chcę doświadczyć życia małżeńskiego. Jeżeli ci tak bardzo na tym zależy – skrzywiła się – to zostanę dziewicą, ale nie interesuje mnie układ, w którym będziemy osobno. Nie wygląda na to, że bym była dla ciebie odpychająca. Może to będzie trochę niewygodne, ale sam powiedziałaś, że chcesz mi pomóc. Ja też chcę ci pomóc.

Zacisnął zęby z upartą miną. Widać było, że go nie przekonała do wspólnego spania.

– Obiecuję, że nie będę ci prawić żadnych romantycznych bzdur ani powtarzać, że cię kocham, jeśli tego się obawiasz.

Spojrzał wprost na nią, a jego wzrok złagodniał z rozbawienia.

– Obiecujesz, tak? Żebym ja ci też coś obiecał?

Uniosła podbródek. Udało jej się nawet uśmiechnąć.

– To bardzo praktyczne rozwiązanie. Postaram się też być nieprzyjemna ze dwa razy dziennie, żebyś nie uległ złudzeniu, że się zakochałeś.

Uśmiechnął się, ale w dalszym ciągu wyczuwała w nim opór. Nieważne. Jej serce już zaczęło śpiewać z radości. Ten cudowny, niepoddający się niczyjej władzy mężczyzna w końcu jej ulegnie. Czekała to. Na całe szczęście, bo nigdy w życiu nie pragnęła niczego więcej niż ślubu z Willem Reptonem.

– W jaki sposób będziesz się starała być nieprzyjemna? – zapytał.

– Nienawidzisz, kiedy cię odrywają od pracy, więc będę ćwiczyć grę na pianinie w najbardziej nieodpowiednich momentach. Nauczę się, co najbardziej lubisz jeść, i nigdy nie będę podawać tych potraw. Twoje fulary będą sztywno wykrochmalone.

– Planujesz więc tortury?

– Owszem, ale łagodne.

Spotkali się wzrokiem na jedną cudowną, pełną ciepła chwilę. Potem przeniósł spojrzenie na Wally'ego. Zatrzymał się w progu, jakby o czymś zapomniał, a potem ujął ją za rękę i zaprowadził z powrotem do salonu.

Westchnęła z zachwytem. Jaki cudowny gest. Nigdy przedtem nie brał jej za rękę.

Och nie. Nie można się przestać kochać w Willu Reptonie.

Brat wstał z krzesła, gdy weszli, i spojrział na nich pełny oczekiwania.

– Wallace, twój prawnik może przygotować kontrakt małżeński – powiedział Will.

– Więc dogadaliście się? – spytał niepewnie Wally.

– Owszem – mruknął Will. – Ale nie uda mi się uzyskać specjalnej licencji. Czy w waszym kościele można dać na zapowiedzi?

Charlotte ogarnęła radość. Zapowiedzi.

Wtrąciła się do ich rozmowy.

– Tak, proszę was... tak bardzo chciałabym usłyszeć zapowiedzi.

Jutro jest niedziela. Jej imię odczytają na głos w Highthorpe, razem z imieniem Williama Reptona. Niemal idealnego mężczyzny, którego sobie wyśniła. Jej męża – na krótki czas, ale zawsze. Żeby życie miało sens, trzeba żyć.

Skinęli głowami, wyraźnie za nic mając romantyczne kaprysy. Z trudem powstrzymała się, by nie skakać z radości do góry.

– Jeszcze jedno, Wallace. – Will przeczesał dłonią potargane włosy. – Nie będziemy spali osobno z Charlotte. Będę przestrzegał zasad tego tymczasowego związku co do joty. Nie skonsumujemy małżeństwa. Ale nie chcemy być osobno.

Musiała zagryźć wargi, by nie krzyknąć z radości. To była jego obietnica, jego słowo. Będzie jej przez całe trzy miesiące.

Wally zmrużył oczy.

– Moim zdaniem to błąd.

– Tak – powiedział ponuro Will.

Nie zamierzała roztrząsać faktu, że właściwie zgodził się z Wallym.

– Jutro muszę pojechać do Londynu... pozałatwiać różne sprawy – dodał.

Jej radość nieco przygasła.

– Już jutro?

Puścił jej rękę.

– Powinienem zawiadomić rodziców.

Ruszył ku drzwiom, ale zatrzymał się na chwilę.

– Mam nadzieję, że mogą zostać i cieszyć się jeszcze przez jakiś czas urokami Windmere?

Charlotte zacisnęła dłonie na podołku.

– Och, tak! A mogą zostać do ślubu? To tylko trzy tygodnie.

– Nie chcesz brać ślubu w Londynie? – spytał Will.

Wstrzymała oddech.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, zawsze marzyłam o ślubie w tutejszej kaplicy.

– Ale nie ze mną. Może chcesz ją zachować dla...

Chyba dostrzegł rozczarowanie na jej twarzy, bo przerwał i spochmurniał. Znowu ujął jej dłoń tym samym uroczym, ściskającym za serce gestem.

– Jak sobie życzysz, Charlotte. Przecież ślub będziemy brać tylko raz w życiu.

13

Plotkarze wyruszyli w drogę. Wkrótce cały London będzie huczał od pogłosek – stwierdził Wally, gdy ostatni powóz wyjechał z podjazdu na drogę.

Charlotte westchnęła z ulgą. Nawet nie czuła, że wstrzymuje oddech. Właśnie odjechał ostatni gość. Wszyscy, z wyjątkiem Johna i Liz, którzy z niejakim rozbawieniem zgodzili się zostać aż do ślubu swego syna.

– Mam nadzieję, że zachowają się miło – powiedziała. – Czemuż by nie? Wyjechali zadowoleni. Będą mieli o czym opowiadać – i wcale nie tylko o mnie. W waszym zachowaniu nie było niczego, co by uchybiało dobremu wychowaniu.

– Rzeczywiście, ich pobyt był udany, ale trudno powiedzieć, czy ich rozmówcy będą równie życzliwie nastawieni.

Nie odpowiedziała.

Po procesie brat bardzo cierpiał z powodu odrzucenia go przez całą śmietankę towarzyską. Podobnie jak Ben i Lucy. Ich gorycz była o wiele głębsza niż jej. Mimo wszystko jednak miała nadzieję, że jej rodzina zostanie w końcu zaakceptowana przez arystokrację.

Długie lata w najlepszych prywatnych szkołach w Londynie, w towarzystwie córek najszlachetniejszych arystokratycznych rodzin, nauczyły ją, jakimi zasadami rządzi się socjeta. Na dobre i na złe.

Wyjdzie za mąż za przystojnego, odważnego Willa Reptona. A on potem wyjedzie.

Doskonale widziała, co zrobią wtedy jej znajomi.

Westchną, okazując współczucie, i zaczną spiskować, by ją jakoś rozbawić, a potem zaczną przysyłać zaproszenia.

Wtedy pani Repton zacznie bywać na wszystkich wieczorach w towarzystwie Lucy, Bena, a nawet Wally'ego, aż wszyscy zaczną tolerować ich towarzystwo. Z czasem może nawet ich polubią.

To była jedyna droga.

Będzie obnosić swoje złamane serce jak koronę.

Wally przysiadł na ciepłej od słońca kamiennej poręczy schodów.

– Zresztą, za tydzień wesele, więc i tak nie będziemy mieli czasu zajmować się gadaniną londyńczyków.

Trudno było zignorować smutek w jego oczach. Ale nie mogła pozwolić, by rodzina się o nią martwiła.

– W najgorszym wypadku powiedzą, że jestem kapryśna. I będą współczuć, bo wiedzą, że serce nie służy.

Uśmiechnęła się.

– Szczególnie ci, którzy widzieli mojego narzeczonego na własne oczy.

Zanim Wally podjął temat, skoczyła na równe nogi.

– Wezwijmy powóz. Chciałabym poszukać nowych rękawiczek do sukni. A potem pomożesz mi wypisać zaproszenia na śniadanie weselne.

Czekało ich jeszcze sporo roboty – trzeba było pisać listy, rozmawiać z proboszczem.

Cieszyła się z tego i nikomu nie mówiła, jak bardzo tęskni za Willem. Każdy dzień bez niego był szary i ciągnął się w nieskończoność. Tęskniła za widokiem jego sylwetki pochylonej nad papierami, przypominała sobie, jak rozcierał skroń, gdy się na czymś skupiał. Albo jak opierał się o ścianę, bo przecież nigdy nie potrafił długo usiedzieć na miejscu. Pocieszała się, że następnego dnia będzie już z powrotem.

Ale dzień minął bez wieści o Willu. A potem następny. W końcu dostała list – krótką, okropną notatkę, w której pisał, że coś go zatrzymuje i dotrze do Windmere dopiero w przeddzień ślubu.

Niewinny kawałek papieru po sekundzie skręcał się już w ogień.

Bez sensu było się przejmować jego kawalerskimi nawykami. Nie był w niej zakochany, nie śpieszyło mu się do ślubu, nie była jego najdroższą narzeczoną.

Ale o ósmej wieczór w przeddzień ślubu jej tolerancja się skończyła. Wciąż nie było śladu Willa.

– Nie powinien tak denerwować matki – mruknęła Liz Repton do męża, gdy siedzieli w salonie po kolacji. – Wesele już za czternaście godzin. To byłoby typowe dla ciebie, John, ale nie dla Willa.

Nikt jej nie zaprzeczył.

– Przepraszam was. – Charlotte wstała i okryła ramiona szalem. – Pójdę się trochę przejść. Will pewnie zaraz nadjedzie.

Jej również nikt nie zaprzeczył.

Zeszła po schodach na trawnik i ruszyła przed siebie, pośród migotania światełek.

Może wysłać konnych na poszukiwanie? Może coś mu się stało? Może jest chory? Albo...

Kątem oka pochwyciła ruch i odwróciła się w tamtą stronę.

Will! Dzięki Bogu.

Wyraźnie utykając, kroczył ku niej przez trawnik. Kurtkę miał pomiętą, fular pognieciony. Zmęczenie na twarzy walczyło o lepsze z blaskiem w oczach, których nawet na chwilę nie spuszczał z jej twarzy.

– Jesteś wreszcie... – Głos jej się załamał.

– Nie mogłem wcześniej. – Nie sposób było odczytać jego spojrzenia w ciemności.

Wpatrywał się w nią i czekał, aż coś powie. Odpowiedziała spojrzeniem. Czowała ulgę i gniew zarazem. „Nie mogłem wcześniej”, też mi coś. To nic nie wyjaśnia. Żadnych przeprosin.

– Nic ci nie jest? – spytała w końcu.

Zamrugnął.

– Nic. A jak ty się czujesz?

– Świetnie. – Próbowwała nie dopuścić do rumieńca, ale bez skutku. Zawróciła więc w stronę domu, żeby tego nie widział.

– Chodźmy do domu. Musisz odpocząć, coś zjeść i się rozgrzać.

Zignorowała jego senny uśmiech i ruszyła przed siebie. Traktował ją po prostu okropnie. Jeden krótki liścik na całe trzy tygodnie, i w dodatku pojawił się dopiero na parę godzin przed weselem.

I pozbawił ją swego towarzystwa na cały ten czas.

– Jest już późno. Gdybym już spała, nawet bym się z tobą nie zobaczyła przed jutrem. – Zdobyła się na beztroski ton.

– Na drogach jest błoto. Podróż się przeciągnęła.

Poczuła, jak łzy dławią ją w gardle. Zbolałe serce dawało o sobie znać.

Szli przez chwilę bez słowa, dopóki nie chwycił ją za przegub dłoni, kładąc palce dokładnie na rozdygotanym pulsie. Co za okropny człowiek.

– Czy możemy chwilę porozmawiać, zanim zapakujesz mnie do łóżka ze szklanką ciepłego mleka?

Zatrzymała się i zabrała rękę, udając, że poprawia spódnice.

– No... ja... Jutro bierzemy ślub.

– Nie zapomniałam – powiedziała kwaśno. – Dużo udało ci się załatwić? Twój współnicy pewnie byli zdziwieni wiadomością o ślubie.

– Tak, ale dobrze wiedzą, że nie powinni pchać nosa w moje sprawy, szczególnie, gdy to nie ma nic wspólnego z wyprawą.

Aż się zatchnęła.

Nic wspólnego... Zmierzyła niewinny żywoplot wściekłym spojrzeniem. Postanowiła się nie odzywać – w końcu to Will chciał porozmawiać, więc niech się teraz postara.

– Myślę, że oboje mieliśmy dużo pracy – zaczął ostrożnie.

W odpowiedzi usłyszał tylko obojętne mruknięcie.

Potarł szczękę.

– Chciałem wrócić dużo wcześniej... ale... – Przerwał, patrząc na jej spuszczone powieki i brak reakcji. Potem odchrząknął. – Czekałem z załatwieniem jednej sprawy na jutro, aż w końcu mi się udało.

– Naprawdę?

Jeszcze słowo i go uderzy. Sama zajmowała się tłumem gości, przerabiała sobie suknie, napisała mnóstwo listów i zaprosiła całą wieś na weselne śniadanie. To wszystko w domu, gdzie bez przerwy popłakiwał noworodek. A jemu udało się załatwić jedną sprawę.

– Pewnie jesteś tak samo zmęczona jak ja, więc nie będę... Ale mam coś dla ciebie. Przyznam, że sam na to nie wpadłem. Ale byłem u mojego dostawcy, jego żona słyszała o ślubie i zaczęliśmy rozmawiać. Okazało się, że przegapiłem jeden szczegół, choć zwykle tego nie robię. Należy ci się to przecież, pomimo że łączy nas trochę inny układ... Może uznasz, że to nie potrzebne...

– Robi się późno.

– Racja.

Will zawahał się, potem zaczął szukać po kieszeniach i w końcu wyciągnął niewielką aksamitną

sakiewkę i wsunął ją w jej dłoń.

– To dla ciebie. – Niepotrzebnie wskazał na sakiewkę i wpatrywał się w nią, byle tylko nie spojrzeć na Charlotte.

Rozluźniła tasiemkę i wyciągnęła pierścionek – perłę bez skazy otoczoną ognistymi diamentami.

Co to... Nagle uświadomiła sobie, co dostała, i głośno westchnęła. Pierścionek zaręczynowy! Od niego!

– Wolałabyś diament na środku? Albo sygnet?

– Nie. – Zacisnęła palce na pierścionku. – Nie, jest niezwykły.

Spojrzał na nią z nadzieją w oczach.

– Podoba ci się?

Zagryzła wargi, żeby nie uśmiechnąć się szeroko, albo nie rozplakać rzęsiście.

– Jest cudowny. Och, Will!

Objęła go i pocałowała kilka razy, celując w usta, ale była tak podniecona, że nie wszystkie pocałunki trafiły.

– Naprawdę jest cudowny. Strasznie mi się podoba.

Nigdy przedtem nie widziała, żeby się rumienił ani tak uroczo uśmiechał kątem ust.

– Ja... no... kupiłem w Szanghaju kilka pereł i ta wydała mi się najpiękniejsza. Jubiler powiedział to samo. – Przerwał. – Chcesz sprawdzić, czy pasuje?

Skinęła głową, zbyt wzruszona, żeby coś powiedzieć.

Wyciągnęła pierścionek, a on niezgrabnie wsunął go jej na palec. Diamenty zalśniły w blasku księżyca. Świetnie pasował. Jakby zrobiony specjalnie dla niej.

Czy rzeczywiście tak było?

Uśmiech zniknął z jej ust.

– Pasuje do ciebie – oznajmił Will.

Serce ścisnęło jej się w piersi.

– Jest cudowny.

Pierścionek stał się nagle rozmazaną plamą, bo do oczu napłynęły jej łzy. Odpędziła je mruganiem.

– Będę o niego dbała, do czasu... – Te słowa nie chciały jej przejść przez gardło.

Will spojrzał na nią.

– Do jakiego czasu?

– Do czasu anulowania małżeństwa. Na pewno będziesz chciał, żebym ci go zwróciła. Dla twojej prawdziwej żony, tej którą poślubisz po mnie. – Posłała mu sztuczny uśmiech. – Nie mogę się do niego zbyt mocno przywiązywać, bo serce mi pęknie przy pożegnaniu – dodała.

Wpatrywał się w nią w milczeniu, ale nie była w stanie spojrzeć mu w oczy.

– On należy do ciebie, Charlotte – powiedział cicho.

– Ale...

– Nigdy nie poproszę cię o zwrot, więc możesz się w nim zakochiwać do woli.

Podszedł bliżej i uniósł jej dłoń, a potem położył ją na swojej twardej piersi.

– Myślałem tylko o tobie, kiedy kazałem go zrobić, razem z obrączką, którą dostaniesz jutro. Nawet nie próbuj mi ich zwracać.

Bez słowa podniosła na niego wzrok. Pod maską zmęczenia i sinych z braku snu powiek kryło się spojrzenie, o którym marzyła. Pełne ciepła, łagodności i bezgranicznego uczucia.

Mężczyzna jej marzeń...

Puścił jej dłoń, skłonił głowę, odwrócił się i odszedł.

14

Will myślał, że kaplica w Windmere to kolejny artystyczny kaprys jej właścicieli, ale się pomylił. Maleńki kościółek znajdował się na końcu długiej, słonecznej, trawiastej ścieżki, otoczony podwójnym rzędem klonów, otulony kwitnącymi fuksjami. Nic dziwnego, że Charlotte chciała tu wziąć ślub. Nawet jego zauroczył romantyzm tego miejsca...

Kiedy dotarł tam wraz z rodzicami, powitał ich rozdygotany pastor o twarzy cherubina i powiedział, że za chwilę dołączy do nich Charlotte z rodziną. Will nie widział się z nią od chwili, gdy dał jej pierścionek.

Uśmiechnął się na to wspomnienie. Pocałowała go, płakała ze szczęścia, piszcząc z radości, gdy dał jej prezent. Prezent, przeznaczony tylko dla niej. A potem powiedziała, że mu go zwróci.

Nie, ta kobieta nigdy nie zachowywała się zgodnie z jego oczekiwaniami. Z początku myślał, że doberman jakiś klejnot do koloru jej oczu, ale nic mu nie pasowało. Szafiry były za ciemne, akwamaryny za jasne, diamenty za zimne. Żaden z kamieni nie dorównywał barwie jej oczu.

Dopiero perła skojarzyła się z barwą jej cery. Pasowała idealnie, a na palcu prezentowała się o wiele piękniej, niż sobie wyobraził.

Dzięki Bogu, że jej się spodobała.

Ależ się zirytowała, że tak późno przyjechał.

No cóż, jakoś przeżyje tych parę dni do jego powrotu do Londynu. Samotnego powrotu. Tak będzie najlepiej.

Przynajmniej nie urazi jej nieopatrzonymi słowami, nie będzie na nią warczał, nie przestraszy ją nocnymi koszmarami.

Ben przecież mu mówił, że do tej pory prowadziła spokojne życie. Najlepiej niech tu zostanie i nigdy nie pozna go naprawdę.

– Zajmij swoje miejsce, synu – powiedział ojciec.

Miejsce? Pastor już czekał przy ołtarzu. Will minął trzy puste rzędy po obu stronach. Matka uśmiechała się promiennie z pierwszego rzędu, więc w odpowiedzi ironicznie uniósł brew.

Za otwartych drzwi napłynęły pełne emocji głosy. Do kaplicy wbiegł Jacob i zajął swoje miejsce. Za nim wszedł Ben, trzymając na rękach Abby, a potem Lucy z maleńkim Edwardem. Patty z mężem usiedli z tyłu.

Oczy zapiekły go i zaszły łzami, gdy z wnętrza chłodnej, ciemnej kaplicy patrzył na barwny świat za drzwiami. Nie będzie się dobrze prezentował nawet na własnym weselu. Koszmar obudził go o drugiej

nad ranem. Resztę nocy przesiedział na fotelu. Nie dawały mu odpocząć nawet przez jedną noc. Tylko wtedy w pustelni razem z Charlotte udało mu się przespać całą noc. Śnił tylko o niej.

– Już tu jest, panie Repton. – Jacob nie nauczył się jeszcze szeptać. Will poderwał głowę na dźwięk jego przenikliwego głosu.

Rzeczywiście już tam była. Charlotte. Stała w obramowaniu drzwi.

Promieniowała jasnością w swej białej sukni.

Podejź bliżej.

Nie widział jej twarzy spod welonu.

Podejź bliżej, Charlotte.

Podeszła. Ujrzał magiczny błękit jej oczu, różowe wargi, lekko zadarty nosek. Szelest sukni i w końcu zapach... jaśminu?

Wallace coś mówił, ale on nic nie słyszał. Ledwie zauważył, że brat stał obok niej.

W chwilę później znalazła się u jego boku. Ktoś ustawił go twarzą do pastora, ale jego głowa sama odwróciła się w stronę panny młodej.

Jakim cudem brał właśnie ślub z Charlotte Baker? Jakim cudem ktoś pozwolił, żeby ta szczęśliwa kobieta dzieliła z nim życie?

Popatrzyła na niego spod welonu. Uśmiechała się z rozmarzeniem. On tak nie potrafił. Nie potrafił też wytrzymać jej wzroku, bo postać oszołomiła go jak zwykle. Zamiast tego spojrzął na suknię. Dobrze ją znał. Jej anielska suknia. Miała ją na sobie, gdy razem tańczyli w ogrodzie.

– Williamie? Czy...

Znowu ktoś go trącił w ramię.

– Tak – wykrztusił.

Dobrze. Pastor uśmiechnął się, więc odpowiedź była właściwa.

Oczy Charlotte lśniły od łez pod welonem.

Nie chciała tego, nie chciała takiego ślubu. Nie z nim. Boże, czy naprawdę jej to zrobiłem? Czy do tego doprowadziłem.

– Tak – odpowiedziała.

– Podajcie sobie obrączki... – mówił pastor.

Charlotte zdjęła rękawiczkę. Na widok pierścionka z perłą Will wyjął z kieszeni prostą obrączkę i wsunął jej na palec. Nie puścił jej ręki. Jedno z nich drżało...

– ...ogłaszam was mężem i żoną – oświadczył rozpromieniony pastor. – Myślę że w ten radosny dzień, mając na świadków jedynie rodzinę i Boga, pan młody może pocałować pannę młodą.

Will spojrział tępo na bezczelnego pastora. Pocałować ją? Na oczach wszystkich?

Ale Charlotte czekała, nieruchoma jak posąg. Spod welonu dobiegł się cichutki dźwięk – nie wiadomo, czy chichot czy westchnienie – i zmobilizował go do działania. Uniósł welon i odsłonił jej twarz. Materiał był tak cienki, jakby miał się rozpuścić między jego palcami.

We włosach miała jaśmin, a oczy jej błyszczały, ale nie od łez. Przynajmniej nie teraz. Odwrócił się od zebranych gości. Ta chwila miała być tylko dla nich. Dotknął dłonią miękkiego policzka i pochylił się,

by dotknąć jej warg swoimi.

Żonaty... miał żonę... ciekawską, rozczulającą żonę, która doprowadzała go do szaleństwa.

Najpiękniejszą żonę na świecie.

Pocałował ją mocniej, i to wcale nie przeprasza jąco.

Przynajmniej nie teraz.

Czas zwolnił bieg. Słyszał tylko szept stykających się ze sobą warg, tylko oddechy w cichym powietrzu, czuł tylko jej ciało w swoich objęciach. Boże, jak cudownie do niego pasowała. Jak go całowała, z całego serca.

Dość... bo się zorientują.

Uniósł głowę, a Charlotte otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego. Ten widok przeszył mu serce jak nożem. Marzyła o ślubie w tej maleńkiej kaplicy, z mężczyzną, który przeszedł wszystkie jej testy.

Zamiast tego dostała tylko jego.

Nieważne, że to tylko formalność.

Objął ją mocno, gniotąc welon.

– Masz jaśmin we włosach – szepnął.

Zacisnęła palce na jego plecach.

– Zauważyłeś.

– Na tobie zauważam wszystko.

Wysunęła się z jego objęć z jednym z tych cudownych uśmiechów z dołeczkami i otarła łzę z policzka.

Ta kobieta jest kompletnie nieprzewidywalna.

– Idziemy świętować nasze małżeństwo? – spytała.

Zdziwiony, popatrzył na krąg otaczających ich, uśmiechniętych twarzy.

– Nie mam nic przeciwko niewielkiej uroczystości, skądże.

W jej oczach błysnęła przekora.

– Czy byłbyś bardzo rozczarowany, gdyby uroczystość okazała się troszeczkę większa, niż myślisz?

Wszyscy mieszkańcy Highthorpe dołożyli starań, by pojawić się na ślubnym śniadaniu państwa Repton i życzyć szczęścia młodej parze.

Ten festiwal dobrej woli i radości przeciągnął się do południa, a potem do kolacji, od czasu do czasu przerywany spontanicznymi tańcami, muzyką i wyścigami wokół fontanny w ogrodzie dla dzieci oraz niektórych mocno zawianych dorosłych.

Charlotte ciągle ktoś obejmował, składając jej życzenia, więc przez większość dnia była z dala od swego męża. A dokładnie przez osiem godzin i czterdzieści trzy minuty, dokładnie według jego zegarka.

– Jak się miewa mój syn, zapomniany przez wszystkich pan młody? – Policzki ojca zarumieniły się od nadmiaru ponczu. Musiało mu być bardzo żal syna, skoro odszedł od swego wesołego towarzystwa.

Will wzruszył ramionami.

– Przecież to przyjęcie miało przekonać wszystkich o mojej gorącej, nieopanowanej miłości, prawda? A oni nie dali mi się do niej zbliżyć nawet na chwilę.

Ojciec uśmiechnął się dumnie do Charlotte, otoczonej wianuszkami gości.

– Wiedziałaś przecież, że jest tu lubiana.

Odpowiedziała uśmiechem. Z trudem musiał się pohamować, żeby nie odpowiedzieć jej tym samym.

Te uśmiechy były jak balsam, który nieco kołł jego rosnącą niechęć do wszystkich mieszkańców Highthorpe. Nieco ułagodzony, spojrzał na ojca.

– Lubiana to mało. Ona jest tu kochana.

Jego zazdrość była po prostu śmieszna. Przecież nie ma do niej żadnych praw. W odróżnieniu od wszystkich uczestników tego zgromadzenia. Była ciekawska, kipiała życiem i promieniowała urodą – wszystko to składało się na jej nieodparty urok.

Znowu się do niego uśmiechnęła.

Nie do końca rozumiał, dlaczego to robiła. Czy obawiała się, że nieświadomie ujawni, że ich małżeństwo to tylko pozory? To prawda, umierał ze zmęczenia, więc wędrował po pokojach jak w transie.

– Nie boi się z nikim rozmawiać, prawda? – powiedział ojciec. – Ludzie też się jej nie boją. To nie byle jaka umiejętność.

– Ze mną dziś prawie nie rozmawiała.

Ojciec zbył milczeniem jego urażony ton.

– Jest przeurocza. Drugiej takiej nie znajdziesz na całym świecie.

Niezbyt subtelny komplement.

– Mimo to, będę musiał pod koniec sierpnia rozwiązać małżeństwo z panną Baker.

– Teraz to jest już pani Repton, synu.

– Ile ty wypiełeś tego ponczu?

– Nie aż tyle, jak myślisz. Nigdy nie potrzebowałeś żadnych moich rad. Zawsze wszystko sam wiedziałeś, zanim zdążyliśmy ci z matką pomóc. Ale pamiętaj, jeśli się z nią rozstaniesz, będziesz tego żałował przez resztę życia.

Przesunął dłonią po twarzy.

– A co mam niby zrobić? Spakować kufer i zabrać ją ze sobą?

– Robiąc te wszystkie plany i kombinacje, nie wziąłeś pod uwagę własnej żony?

– Charlotte, na statku z dwoma tuzinami mężczyzn? Podróż do Afryki jest wystarczająco niebezpieczna, a w Azji nie byłbym w stanie zapewnić jej bezpieczeństwa na żadnym postoju. Nie zostawiłbym jej w żadnym portowym mieście. Wyspa Shamian ani Ningbo nie wchodzi w grę. W Fuzhou miejscowi zaczynają się buntować przeciwko protestantom. W Xiamen co rok wybucha epidemia tyfusu, a żony miejscowych nie wyglądają na szczęśliwe. Nawet gdyby mi się udało znaleźć w Szanghaju służbę, która mówi po angielsku, nie miałbym pieniędzy na jej zatrudnienie.

Nie miał ochoty wyliczać tego wszystkiego. Po raz kolejny.

– To niemożliwe.

Ojciec nagle otrzeźwiał.

– Rozumiem. Przepraszam cię, synku.

Ależ był zmęczony. Przetarł oczy.

– Gdzie jest mama?

Ten sposób zawsze działał. Ojciec źle się czuł na przyjęciach, kiedy znalazł się z dala od żony, która tłumaczyła mu wszystkie towarzyskie niuanse.

– Zdaje mi się, że zajęła się tymi małymi kanapeczkami, które jej tak zasmakowały – powiedział, rozglądając się po załoczonej sali.

– Rzeczywiście, jest przy stole z przekąskami. Pójdziemy do niej?

Jego ojciec już ruszył w tamtą stronę.

Will bez trudu słyszał śmiech Charlotte w całym tym rozgardiaszu. Wciąż była otoczona tłumkiem gości, ale pochwyciła jego wzrok, a jemu serce zabiło jak sztubakowi.

Zostawił rodziców na sofie z talerzykami pełnymi ciasta i kanapek. Odwrócił się i natrafił na irlandzką pokojówkę Charlotte. Patty wpatrywała się w niego zmrużonymi oczami.

– Gratulacje, panie Repton – powiedziała sucho.

Pomimo tego tonu podziękował skinieniem głowy.

– Dobrze się pan bawi?

– W miarę.

– To dobrze.

Chciał skrzyżować ramiona na piersi, ale zamiast tego wsadził ręce do kieszeni.

– Charlotte tak pięknie wygląda. Jej włosy... ale ona zawsze jest piękna.

– Mhm.

Odchrząknął.

– Wygląda na szczęśliwą.

– Rzadko się zdarza, żeby była nieszczęśliwa.

Znieruchomiał, bo ogarnęło go poczucie winy. Postanowił szybko zmienić temat na neutralny.

– Jak długo pracuje pani u tej rodziny?

– Od piętnastu lat.

Patty oparła dłonie na biodrach.

– Charlotte wygląda na szczęśliwą, panie Repton, bo ona zwykle jest szczęśliwa. Ale to nie znaczy, że nie da się jej unieszczęśliwić. Niech się panu nie wydaje, że pan ją poznał. Za nic ma te wszystkie jedwabie i satyny. Dla niej liczy się tylko rodzina. A pan teraz należy do tej rodziny, czy się to panu podoba, czy nie. Dzisiaj jest bardzo podniecona, choć nie do końca tak sobie wyobrażała swoje wymarzone wesele.

– Trudno mi coś powiedzieć na ten temat. Nigdy w życiu nie marzyłem o weselu.

– Okazał pan to bardzo wyraźnie, przyjeżdżając tu wczoraj przed samą północą.

Spuścił wzrok.

– Tak, to prawda.

Ta kobieta troszczyła się o Charlotte. Była lojalna. Nie bała się złać męża swojej pani, jeśli uważała, że to konieczne.

Chyba mimo wszystko ją lubił.

Ich uwagę zwróciła grupka rozchichotanych kobiet, które zaprowadziły Charlotte do kąta i stamtąd rzuciły na niego chytre spojrzenia. Jeden Bóg wie, co do niej mówiły, ale policzki Charlotte stawały się coraz bardziej różowe.

Patty westchnęła i nieco przyjaźniej poklepała go po ramieniu.

– Niech pan ją stamtąd wyciągnie. Zanim zaczną rozbierać pana wzrokiem.

Will ogarnął grupkę kobiet chmurnym spojrzeniem.

Jedna z kobiet powiedziała coś, co sprawiło, że Charlotte o mało nie spadła z krzesła w ataku serdecznego śmiechu.

– Mogłabyś mi pomóc, Patty?

Prychnęła pogardliwie i uśmiechnęła się chytrze.

– Jeżeli chce ją pan wyrwać spod wpływu tych zbereźnic, musi pan sam po nią pójść.

– No tak. Dobrze.

Sprawdził guziki. Chyba wszystko było w porządku. Pośpiesznie przyglądał włosy i ruszył w tamtą stronę.

Charlotte spostrzegła, że się zbliża, i zagryzła wargi, żeby się nie roześmiać. Wszystkie kobiety naraz spojrzały na niego. Zatrzymał się, a potem skierował się w stronę stołów, udając, że idzie po coś do picia. Wtedy Charlotte wstała i z nieopisanym wdziękiem podeszła do niego.

– Daję słowo, że nie śmiałyśmy się z ciebie – powiedziała.

– Właśnie szedłem po wodę.

Zacisnęła usta, żeby stłumić uśmiech, i wzięła go pod rękę.

– Wyglądałeś na zaniepokojonego moją wesołością.

– Przestraszyłem się, że się upiłaś.

– Te panie uważają, że jesteś bardzo przystojny.

– To znaczy, że też są pijane, prawda?

Oczy Charlotte wędrowały po jego twarzy.

– Ty chyba w ogóle nie spałeś w nocy. Miałeś koszmary, czy dręczyła cię myśl, że musisz wziąć ze mną ślub?

Spojrzał spod oka i uniósł jej dłoń, żeby popatrzeć na obrączkę.

– A ty jak się czujesz? Nie jest ci trochę smutno?

– Skądże znowu. – Uśmiechnęła się w odpowiedzi. – Ocaliłeś moją reputację, a Jacob ma nowego wujka.

Spojrzał jej w oczy, żeby sprawdzić, czy to prawda, ale z tymi zaróżowionymi policzkami i błyszczącymi oczami wyglądała jak uosobienie szczęśliwej panny młodej.

Przycisnęła do piersi jego dłoń.

– Dziękuję, że zechciałeś się ze mną ożenić.

Poprawił gałązkę jaśminu w jej włosach, zbyt zmęczony, by zastanawiać się, czemu jest taka radosna.

– Nie ma za co.

Nagle przypomniał sobie.

Wyciągnął z kieszeni skórzane pudełeczko, które nosił przy sobie przez cały dzień. Podał je Charlotte.

Otworzyła szeroko oczy.

– Czy to...

– Twój nefrytowy naszyjnik.

Uśmiechnęła się jeszcze bardziej promiennie, choć myślał, że to niemożliwe. A jej oczy o barwie ostróżek stały się podejrzenie błyszczące.

– Teraz już można, prawda? – mruknął. – I w dodatku masz na sobie tę zieloną suknię.

Skinęła głową i podziękowała pocałunkiem, na który miał od dawna ochotę. Choć właściwie tylko musnęła jego policzek.

Potem spojrzała na niego z troską.

– Chciałbyś się już położyć?

– Nie wyciągnę cię przecież z przyjęcia. – To miało zabrzmieć altruistycznie, ale w duchu miał nadzieję, że zgodzi się na to, by wyszli.

– Wszyscy świetnie się bawią i nawet nie zauważą naszej nieobecności. Poza tym przez cały dzień nie mieliśmy okazji pobyć tylko we dwojkę.

– To prawda – mruknął. U boku Charlotte jego ciało zaczęło się rozluźniać, wyraźnie zadowolone, że połączyła ich nowa więź. W ogóle nie czuł się skrepowany.

Do chwili, kiedy nie odezwała się znowu.

– Chodźmy na górę, Will. Położę cię do łóżka.

Lucy zapewniła ją, że jej Michael doskonale radzi sobie jako osobisty służący, ale Charlotte zapomniała spytać siostrę o inne drobiazgi – choćby o to, czy mężczyźnie wystarczy pół godziny, by przygotować się do snu. Albo czy jego wieczorna toaleta obejmuje też golenie. I czy żona może swobodnie wejść do sypialni męża, kiedy lokaj się nim zajmuje, zamiast marnować czas w swoim pokoju jak ona teraz.

Naprawdę, siostra powinna to wszystko przewidzieć.

Co mąż wkłada do snu? Pewnie koszulę nocną. A szlafmycę? Bo chyba nie te wieczorne stroje, które wyobrażała sobie, marząc o nim wieczorami. Teraz próbowała wyobrazić go sobie w szlafmycy z pomponem albo szydełkowym paskiem, albo z czapeczką związaną pod brodą, w satynowym turbanie albo – na Boga, tylko nie to – w fezie.

Nie, w takim stroju na pewno jej się nie spodoba.

Przycupnięta na skraju łóżka, przesuwała stopami po miękkim dywanie i wygładzała fałdy nocnej koszuli. Jeszcze kilka minut. Nie powinna go przecież popędzać. Jeśli wejdzie tam zbyt wcześnie, oboje poczują się jeszcze bardziej skrepowani tą całą sytuacją.

Z drugiej strony, odrobina nieśmiałości byłaby zupełnie naturalna i oczywista, prawda?

Musi pamiętać, żeby okazać nieśmiałość, a nie nieprzyzwoite podniecenie, które w rzeczywistości czuła.

Błagam, błagam, tylko nie szlafmyca.

Zza drzwi łączących ich sypialnie rozległ się głęboki głos Willa. Pośpiesznie ruszyła ku nim, by usłyszeć, co mówi.

Właśnie dziękował Michaelowi. Potem skrzypnęły otwierane i zamykane drzwi. Czy przyjdzie już zaraz? A może dopiero za chwilę?

Michael wyraźnie skończył swoją pracę. Will pewnie wygląda całkiem nie najgorzej. Jeszcze raz obejrzała nocną koszulę, zadowolona, że jest zarazem ładna i przyzwoita. Otuliła się peniuarem, pochyliła się do dziurki od klucza i zaczęła nadśłuchiwać.

Cisza. Wzięła głęboki oddech – pamiętaj o nieśmiałości, Charlotte – i zastukała do drzwi.

– Tak? – rozległ się głos Willa.

Otworzyła drzwi. Siedział przed kominkiem i poprawiał pasek szlafroka.

Jego przystojnej głowy na szczęście nie okrywała szlafmyca.

Doskonale. Mąż. Jej mąż! Jak to cudownie, że jest z nią tutaj, w takim intymnym, małżeńskim otoczeniu. Zapamięta go takim na zawsze – męskim i nieogolonym. Jak zawiązuje pasek na supeł.

Podniósł głowę, słysząc, jak zamyka drzwi. Popatrzył na nią.

– Jesteś ubrana do snu.

– Owszem. – Nieprzyzwyczajona do takich spojrzeń, spojrzała na swą nocną koszulę.

– Jeszcze jest wcześnie – zamruczał. – Nie zmieniaj dla mnie swoich przyzwyczajień.

– Na wsi wcześnie kładę się spać.

Mruczał coś pod nosem, skupiony na tym suple.

Ależ to było wspaniałe! Takie wspaniałe i cudowne, że serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi.

– Coś nie tak?

– Ten pokojowiec jakoś dziwnie to zawiązał. Nie jestem do tego przyzwyczajony.

– Do służby?

– Do szlafroków. Do służby zresztą też nie.

– Aha.

– Normalnie ich nie noszę, ale zważywszy na nasz układ...

– Rozumiem. Wkładasz tylko nocną koszulę, tak?

Jego palce znieruchomiały.

– Nie całkiem.

Miała wrażenie, że język przykleił się jej do podniebienia.

– Aha.

Skupił się na pasku. Rozplątał supeł i zostawił oba końce luzem. Skrzyżował tylko ramiona, żeby szlafrok się nie rozchyłał. Był trochę za wąski i napinał się na jego szerokich ramionach.

– Michael jest całkiem sympatyczny, ale nie potrzebuję pomocy przy rozbieraniu.

Oderwała wzrok od jego ramion.

– Nikt się nie przejmie, jeśli zrezygnujesz z jego usług. Możesz sobie wybrać własnego służącego.

– Hm.

Ta obojętna odpowiedź była dziwnie ponura. No cóż, biedny Will był wykończony. Nie warto się nad nią zastanawiać.

Podszedł do niej, więc napięła się cała w oczekiwaniu, ale tylko grzecznie skinął głową i wszedł do jej sypialni. Ruszyła za nim, do momentu, gdy się nie zatrzymał i nie spojrzął na łóżko. Przeczesał dłonią włosy, a szlafrok natychmiast się rozchylił, ukazując gładkie, mocne ramię w rozcięciu nocnej koszuli.

– Duże to łóżko – powiedział.

Nie mogę się tak na niego gapić!

– Owszem.

Napiął mięśnie szczęki i wbił wzrok w kołdrę.

– Zastanów się jeszcze, Charlotte. Nad spaniem razem. Nie chciałbym cię przestraszyć. Czasami krzyczę przez sen. Rodzice mówili, że czasami brzmi to przerażająco.

– Nie przestraszysz mnie.

– I rzucam się we śnie. Rano koce są zwykle na ziemi przy łóżku.

– Nic nie szkodzi.

– I pewnie chrapię.

– W to akurat nie wierzę.

– I jestem gorący. Takie mam ciało. To nie może być przyjemne.

Czekała, bawiąc się mankietami nocnej koszuli. Nie miał szans, żeby ją zniechęcić.

W końcu przesunął wzrokiem po jej ciele, od stóp do głów, i jego wargi zadrgały cieniem uśmiechu. Zdaje się, że był nie tyle zachwycony, co rozbawiony. Poczuła, jak palce stóp zwijają jej się do środka.

Nocna koszula była przecież całkiem normalna. Skromna, zapinana pod szyją i długa do kostek. Jak zwykle zaplotła włosy, żeby ich pasma nie łaskotały ją w twarz. Może mu się to nie podobało? Może myślał, że je rozpuści? Czy męzatki nie zaplatają włosów? Na pewno zaplatają. W przeciwnym razie mogliby się oboje udusić.

Podskoczyła, bo Will nagle odchrząknął i podszedł do łóżka.

– W takim razie, dobranoc.

– Aha. Czy... czy masz ochotę na coś przed snem? Może chcesz coś przekąsić albo wypić? Jest woda, ale gdybyś...

– Chcę tylko spać. Która strona łóżka jest twoja?

– Ta od kominka.

Zignorował jej uśmiech i usiadł na materacu, jakby robił to co dzień. Podeszła do niego z wahaniem. Był tak zmęczony, że niczego się nie spodziewała. Miała tylko wielką nadzieję na pocałunek na dobranoc, choćby w policzek. Jeden, jedyny serdeczny gest. Żeby znowu poczuła się jak szczęśliwa panna młoda.

Obiecał jej to. Ale nie chciała być niemą i przypominać mu o umowie przedślubnej, widząc, że powieki same mu opadają.

– Pamiętaj, Charlotte, jeśli zacznę się rzucać, wstań i przenieś się na inne łóżko.

– Dobrze.

Wahał się jeszcze chwilę, a potem zsunął szlafrok. Jego koszula sięgała zaledwie kolan. Kątem oka dostrzegła muskularne łydki, zanim schował je pod kołdrę.

Nie powinna go teraz męczyć. To by było nieludzkie. Po pierwsze, zmuszono go do małżeństwa z kobietą, na której mu nie zależało. Po drugie, był potwornie zmęczony. Ale może... może powinna go poprosić o pocałunek na dobranoc? Jeśli tego nie zrobi dziś, to czy kiedykolwiek się na to zdobędzie?

– Will?

– Dobranoc – mruknął prosto w poduszkę.

– Dobranoc.

Mruknął coś, a może tylko zachrapał. Pogasiła lampy i sypialnię rozjaśniał tylko blask ognia na kominku.

Co teraz? Jeszcze jest wcześnie. Mogłaby poczytać. Albo zrobić notatkę w pamiętniku. W końcu dzisiejszy dzień był przełomem w jej życiu...

Poczuła ból głowy, tuż za oczami. Rozmasowała sobie skroń. Jej oczy były mokre od łez.

Mogłaby zabrać się do robótki. Jeszcze nie skończyła kocyka dla Edwarda.

Mogłaby poczytać. Mogłaby...

Niezdecydowana, wstała i czekała, aż przyjdzie jej do głowy jakiś pomysł. Will oddychał miarowo. To znaczy, że zasnął. Ogarnęła ją czułość, gdy patrzyła, jak rozluźnia się jego napięta twarz. Cienie na policzkach, niebieskie żyłki na powiekach, podsinione ze zmęczenia oczy.

Jej mąż... Jej noc poślubna.

Nawet jej nie pocałował na dobranoc.

Przekręciła pierścionki na palcach, a potem szybko włożyła je do kasetki z biżuterią. Nie będzie o tym teraz myśleć. Może później. W przyszłości będzie miała dużo czasu, żeby to wszystko zrozumieć. Teraz nie warto się smucić.

W końcu sama tego chciała. Pragnęła go mieć za męża. Choćby przez krótki czas.

Podeszła do łóżka i wsunęła się pod kołdrę. Odsunął się na sam skraj materaca. Nie dosięgnęłaby go, nawet gdyby wyciągnęła rękę.

Ogień trzaskał na kominku, z dołu dochodziły odgłosy zabawy, a Charlotte czekała, aż sen pozwoli jej zapomnieć o złudnych nadziejach.

Will obudził się jak zwykły człowiek, bez śladu zmęczenia. Od niepamiętnych czasów nie otwierał oczu z taką łatwością, nie budził się z tak czystym umysłem. Postrzegał wszystko wokół krystalicznie jasno: promień słońca wpadający przez okno, świergot ptaków na dworze i ciepłe ciało Charlotte śpiącej w jego ramionach, z policzkiem na jego piersi.

Do diabła. Charlotte. Jego żona przez następne trzy miesiące, zgodnie z literą prawa. W praktyce, zaledwie przez następne dwadzieścia cztery godziny. Powie jej o swoim wyjeździe przy południowym posiłku, w obecności jej brata i Bena. Coś mu mówiło, że będzie potrzebował ich wsparcia. Na pewno pomogą Charlotte zrozumieć, jak sensowny jest jego wyjazd do Londynu. Pod warunkiem że będzie się zachowywała zgodnie z oczekiwaniami. Ale czy na to można liczyć?

Oddychała równo i spokojnie. Spała. Ostrożnie uniósł dłoń i dotknął jej jedwabistych włosów. Były niewiarygodnie miękkie. Jego ciało zaczęło reagować na jej uroki. W szczególności na okrągłe piersi dotykające jego brzucha. Zawsze je uwielbiał.

Jego żona. Jego cudowna żona o ciele jakby stworzonym dla męskiej rozkoszy, oddzielona odeń tylko cienką tkaniną. A jemu nie wolno było się z nią kochać.

Ten uśmiech na jego twarzy pewnie by ją przestraszył.

Ostrożnie, żeby jej nie obudzić, oparł policzek na jej głowie, zamknął oczy i zachwycił się tym cudownym, kobiecym ciałem i delikatnym zapachem jej włosów.

Nie da się ukryć, że to miłe. Miłsze, niż sobie wyobrażał i przypuszczał.

Szkoda, że ten poranek zapisze się w jego wspomnieniach.

Jego członek drgnął – nie dbając o to, że spała tak niewinnie. Jeszcze chwila, a będzie musiał się od niej odsunąć, bo naprężony mięsień ją w końcu obudzi.

Poruszyła się. Będzie udawał, że śpi – i zobaczy, jaka będzie jej reakcja.

Przeciągnęła się w jego ramionach, ziewnęła, owiewając go ciepłym powietrzem, poruszyła głową, a jego policzek zsunął się na poduszkę.

– Dzień dobry – szepnęła.

I jej usta już były na jego wargach, miękkie i wilgotne. Zaskoczony, uniósł powieki i zajrzał prosto w jej oczy, roześmiane i błękitne jak ostróżki. Cała krew napłynęła do jego członka. I znowu to on pierwszy odwrócił wzrok.

– Jesteś po mojej stronie łóżka. – Zabrzmiałoby to bardziej przekonująco, gdyby jej tak czule nie obejmował.

– To bardzo miłe, prawda? – Przytuliła się mocniej. – Nie przypominam sobie, kiedy ostatni raz tak dobrze mi się spało. A tobie?

Przytrzymała go za ramiona i podciągnęła się wyżej, otwierając szeroko oczy.

– Nie miałeś koszmarów, prawda? Może małżeństwo cię z nich wyleczy. Albo to, że nie dzielisz z kimś łóżka. Czy spałeś z wieloma kobietami od chwili powrotu? I jak ci się wtedy spało?

Obudzili się ledwie dwie minuty temu, a ta kobieta już zdążyła go zawstydzić.

– Nie. Nie miałem koszmarów.

Odsunął się od niej i przewrócił na plecy.

– To cudownie. Dwa razy ze mną spałeś i dwa razy nie miałeś koszmarów. A z innymi?

– Z innymi? – Bardzo starał się nie patrzeć na jej piersi. Ani na twarz. Ani nigdzie indziej.

– Z innymi kobietami.

– Nie sypiałem z innymi kobietami.

– Chyba nie myślisz, że w to uwierzę.

Odważył się na nią spojrzeć i od razu tego pożałował. Zauroczył go rumieniec na policzkach, satynowy połysk warg, pasemka włosów, które wysunęły się z warkocza i błyszczały uroczo w słońcu. Jak kobieta może być zarazem tak śliczna i uwodzicielska?

Pokonany zamknął oczy, udając zmęczenie, ale i tak widział jej twarz pod powiekami.

– Czy ty myślisz, że ja jestem jakimś Casanovą?

Charlotte bezmyślnie skubała kołnierzyk jego nocnej koszuli, a jego za każdym dotknięciem przeszywał dreszcz.

– Potrafisz być uroczy, kiedy chcesz.

– Uważasz, że jestem uroczy?

– Czy próbujesz uniknąć odpowiedzi na moje pytanie?

– Na które konkretnie?

– O kobiety, z którymi spałeś. Musiało być ich wiele, bo tam w pustelni wykazałeś się takimi umiejętnościami...

Jej słowa przerwało potężne westchnienie. Natychmiast otworzył oczy, by na nią spojrzeć. To nie ona wydała ten dźwięk. A szkoda.

Głośniejsze mruknięcie. I jęk. Chyba dochodziły zza ściany.

– Co to takiego?

– Nic. – Charlotte schowała twarz w poduszkę, a jej uszy płonęły szkarłatem. – Nie słuchaj tego.

Kolejne westchnienie. I jęk w odpowiedzi. Słumiony chichot, zmieszany z cichym, błagalnym pomrukiem...

– Czy to Ben? I twoja siostra? Och...

Charlotte położyła się na nim i zasłoniła mu uszy, czerwona jak burak.

– Nie wolno ci tego słuchać.

Była tak speszona, że nie mógł się powstrzymać, by jej podokuczać. Tylko trochę. Kryjąc uśmiech, zdjął jej ręce ze swoich uszu, przesunął na pierś i nastawił ucho w stronę ściany.

– Will! – pisnęła.

– Cicho.

– Wyglądasz jak głupi sztubak.

– Cicho, Charlotte, bo nie...

Rozległ się huk wezgłowia uderzającego w ścianę. Will otworzył szeroko oczy.

– Przecież ona dopiero co urodziła... No cóż... pewnie nie przeszkadza jej to robić mu... różnych rzeczy.

Przechyliła pytająco głowę.

– Nieważne.

– Przecież to moja siostra.

Zza ściany napłynęła seria jęków, a Charlotte wydeła usta.

– Przyzwyczaisz się w końcu.

Ryknął śmiechem.

– Przestań.

– Co? Jestem pod wrażeniem.

– Oni się bardzo kochają.

Słodki Jezu. Zaśmiał się jeszcze głośniejsze.

– Słowo honoru, trudno się dziwić.

Zasłoniła usta dłońmi. Krągłe piersi podskakiwały na jego piersi, a rozbawienie szybko ustępowało miejsca pożądaniu.

Ramiona mu dygotały od hamowanego śmiechu.

– Jak ty dajesz radę wysiedzieć naprzeciwko nich przy śniadaniu?

Zrobiła niepewną minę.

– Śniadanie jedzą u siebie w sypialni.

Will zakrztusił się z radości. Od lat nie śmiał się tak szczerze.

Charlotte zatkała mu usta poduszką.

– Dzieciak z ciebie.

Ściągnął poduszkę akurat na czas, by zobaczyć, jak odchodzi do swojego saloniku. Zdążył też dostrzec uśmiech na jej twarzy.

Po powrocie z ożywczej wspinaczki na myśliwską wieżę okazało się, że Charlotte zadysponowała dla niego gorącą kąpiel i golenie – chociaż od razu odesłał lokaja – oraz talerz z kanapkami, serem i owocami.

Więc na tym polegała ta słynna troska o męża. Zjadł plasterek cheddara. Lepiej się do tego nie przyzwyczajać.

Mimo wszystko... nigdy w życiu nie spało mu się lepiej niż minionej nocy.

Nic z tego. Jeszcze jedna noc i wraca do Londynu. Dwieście mil wystarczy, by utrzymać dystans między nimi. Charlotte będzie mogła wrócić do swojego życia, a on naprawdę nie powinien się teraz

rozpraszać. W dalszym ciągu brakowało mu pięciuset funtów do sfinansowania wyprawy, a w Derbyshire na pewno ich nie znajdzie.

Niepewny, czy może zabrać się do pracy i zejść z oczu członkom rodziny, zabrał swoje rejestry i mapy do saloniku przy kuchni. Tam znalazł go Ben.

– Dzień dobry, Will.

– Dzień dobry.

Will z trudem ukrył uśmiezek, który wychynął mu na wargi na wspomnienie zabawy, jakiej dostarczyły im rano intymne odgłosy wydawane przez jego rozmówcę. O tych dźwiękach też powinien zapomnieć. Najszybciej, jak się da.

Ben przyjrzał mu się podejrzliwie.

– Jak ci się spało?

– Od miesiący nie spałem tak dobrze.

– A Charlotte? Też dobrze spała?

Will pytająco zmrużył oczy.

– Tak mi się zdaje.

– Więc... oboje dobrze spaliście?

Westchnął, ale jakimś cudem udało mu się nie przewrócić oczami.

– Owszem, oboje dobrze spaliśmy. Byłem zbyt zmęczony, by ganiać Charlotte po łóżku, więc nie musiała odpierać moich obleśnych zakusów.

Ben miał na tyle przyzwoitości, że spoważniał.

– Przepraszam cię, Will. Wiem, że nie jest ci łatwo.

– Jutro rano i tak wracam do Londynu. Wyjechałbym dzisiaj, ale konie muszą odpocząć.

– Jutro?

– Mam dużo pracy w City. Harlowe na pewno odmówi mi finansowania, po tym jak wykradłem mu przysłą synową. Nie wiesz przypadkiem, kiedy Buss-Sykes dostarczy ten nowy hydrometr?

– Will... co do tego jutrzejszego wyjazdu... Charlotte to się nie spodoba. Planowała zostać tu co najmniej dwa tygodnie.

Will spojrział w rejestr, by ukryć poczucie winy.

– Tak. Domyślałam się. Ale ona ze mną nie jedzie.

– Chcesz ją tu zostawić?

– Tak będzie lepiej.

Twarz Bena, zwykle taka życzliwa, skamieniała.

– Wszyscy uznają, że ją porzuciłeś.

– To miasto ma dwa miliony mieszkańców. Nikt nie zauważy mojego powrotu.

– Nic nie rozumiesz. W tym towarzystwie nie utrzyma się żaden sekret. Ktoś cię zobaczy i jeszcze przed zmrokiem wszyscy zaczną o was plotkować. Nie możesz wrócić bez niej.

Ma rację, do cholery, odezwał się pierwotny głos w jego głowie.

Zatrzymaj ją sobie.

Zapadł się głębiej w fotelu, próbując nie słuchać tego egoistycznego, kuszącego głosu. Nie wziął pod uwagę, że jako młody małżonek stanie się obiektem powszechnego zainteresowania. No cóż... w końcu ożenił się z najpiękniejszą kobietą w całym Londynie.

Do diabła z tym.

– Schowam się w Richmond – powiedział, głośno myśląc. – Będę prowadzić interesy przez posłańca.

– Wielu znajomych z kręgu Charlotte ma domy w Richmond.

Do diabła. Potarł szczękę i zaczął chodzić po salonie.

Do diabła, do diabła, do diabła.

– Co ja mam z nią zrobić? – mruknął bardziej do siebie niż do Bena.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Przecież nie zamieszka w pokoju w domu moich rodziców. Pewnie powinienem wynająć dom.

Zatrudnić służbę. Mniejszą obsadę niż ta, do której się przyzwyczaiła. Może po prostu pokojówkę i kucharkę.

Ben zbył to machnięciem ręki.

– Wszyscy byli pewni, że zatrzymacie się w naszym domu w Mayfair.

– Och, tu się schowałeś. Szukam cię po całym domu.

Do salonu weszła Charlotte i stanęła u jego boku, jakby całe życie to robiła.

Niech mnie Bóg ma w swojej opiece. Naprawdę będę musiał z nią zamieszkać.

– Dlaczego rozmawialiście o Londynie?

– Niech Will sam ci to wyjaśni. – Ben rzucił mu znaczące, ostrzegawcze spojrzenie i wyszedł.

Usiadła na sofie i spojrzała na niego z ciekawością. W szerokiej, fałdzistej sukni wyglądała jak anioł na chmurze z fioletowego jedwabiu.

Co za podlec ze mnie, pomyślał.

Charlotte zaniepokoiła powaga malująca się na twarzy Willa. Miała nadzieję, że beztroski nastrój poranka przeciągnie się na cały dzień.

Will śmiał się w głos. Nigdy go takim nie widziała. Nigdy w życiu. Naturalnie naśmiewał się z niej, więc znosiła to, żeby mu nie psuć nastroju.

Ale teraz znowu na nią nie patrzył.

– Przeszkodziłam ci w pracy.

– Nie, ja... – Pokręcił głową i zapatrzył się w sufit.

Przez całe rano kręciło jej się w głowie z radości, bo myślała, jak cudownie będzie budzić się co rano i śmiać się razem z nim. Gładzić ten ostry podbródek i szorstkie bokobrody. Dbać o jego wygodę. Poranny pocałunek wciąż jeszcze napełniał ją dreszczem, choć właściwie skradła go bezbronnemu, śpiącemu mężczyźnie. Nie zamierzała się jednak zastanawiać nad niestosownością takiego zachowania.

– Jutro wracam do Londynu – powiedział.

– Jutro?

– Mam tam sprawy do załatwienia, a nie chcę cię odrywać od rodziny, teraz, gdy urodziło się

dziecko...

Te słowa były jak cios pięścią w brzuch.

– Chcesz mnie tu zostawić.

– Myślałem, że...

– A ja myślałam, że już wszystko zaplanowałeś.

– W pewnym sensie tak, ale...

– Wzięliśmy ślub kilka godzin temu i już chcesz mnie porzucić?

– Nie porzucam cię. Przecież to nie był prawdziwy ślub.

Wciągnęła powietrze.

– Nie?

No cóż, z tym nie można było się spierać.

Wstała, żeby wyjść, ale Will stanął jej na drodze. Przyglądał jej się czujnie, jakby była syczącą gęsią, która zaraz przefrunie mu nad głową.

– Dlaczego chcesz wyjechać?

Spuścił wzrok. Nagle okropna myśl przyszła jej do głowy.

– Chcesz pójść do... *fille de joie*? – Te ostatnie, okropne słowa powiedziała szeptem.

– Kogo?

– Słyszałeś przecież. Do kurtyzany. Wiem, że są takie miejsca dla mężczyzn. Zabraniam ci. Nie wolno ci dotykać innej kobiety. To moje czwarte żądanie. Jesteś moim mężem i...

– Charlotte...

– Jesteś moim mężem. – Poczula, jak jej pierś zaciska dziwna panika, więc zaczęła pośpiesznie wyrzucać słowa: – Więc nie pozwolę ci traktować mnie z takim brakiem szacunku. To prawda, że nie rozmawialiśmy o moich prawach. O tym, że twoje męskie narządy należą do mnie.

– Co takiego?

– ...ale to powinno być rozumiane samo przez się. Twoje należą do mnie, tak samo jak moje do ciebie. Jeżeli tego zażadasz... to ja zajmę się twoimi potrzebami.

Gapił się na nią kompletnie skołowany.

– Moje męskie narządy?

Dobrze wiedziała, że płoną jej policzki, ale wytrzymała jego oniemiałe spojrzenie.

– Nie, Charlotte... dlaczego miałbym... Po prostu brakuje mi funduszy na wyjazd do Azji. W mieście będzie mi łatwiej spotykać się z klientami.

Poczula falę ulgi, a potem wstydu.

– Och.

Dlaczego w ogóle wspominała o kurtyzanach.

Ruszyła w stronę drzwi z całą godnością, na jaką ją było stać.

– W takim razie zajmę się kuframi.

Wygładziła suknię w talii, czując, jak jej kruczy w żołądku.

– Czy pojedziemy powozem, czy koleją?

Widząc jego zagubioną minę, pożałowała wszystkiego, co powiedziała, wszystkiego, co zrobiła, żeby zatrzymać go przy sobie. Jakie to było poniżające. Czy do tego doprowadzi ją miłość? Czy zawsze będzie dla niego takim ciężarem?

– Will?

– Tak, słucham. Zamówiłem powóz.

Nie chciał patrzeć jej w oczy. Od początku planował wyjazd. Dlatego rano był taki wesoły. Wiedział, że wkrótce się jej pozbędzie.

Opuściła oczy, by ukryć smutek. To był jej wybór. Nieodwzajemniona miłość. A czego się spodziewała? Że Will odłoży mapy, ołówki i plany, żeby spełniać jej głupie marzenia i bawić się w jej męża?

Jedynego męża, jakiego będzie miała w życiu...

Wzięła głęboki oddech, by się uspokoić.

– Nie powinieneś traktować mnie tak niegrzecznie. Do czasu anulowania małżeństwa jestem twoją żoną i nie powinieneś o tym zapominać.

Nie oglądając się, wyszła z pokoju.

Będzie udawać, że wszystko jest tak, jak powinno być.

I niech on tylko spróbuje ją powstrzymać.

16

Wydawałoby się, że w ciągu dwudniowej podróży do Londynu Will powinien znaleźć dość czasu, by wymyślić plan awaryjny na okoliczność powrotu żony do Londynu. Ale w jego myślach niepodzielnie panowała Charlotte – jej gadanina, perfumy, jej uśmiech. Ona wpatrywała się w krajobraz za oknem, a on w nią.

Brakowało mu czasu.

Wjechali do miasta. W powozie panował półmrok, a on przyglądał się swojej młodej żonie. Spała z głową na jego kolanach. Trzeba przyznać, że potrafiła spać – instynktownie wynajdywała najwygodniejsze miejsca, nawet w niesprzyjających warunkach. Z początku oparła się o poduszki i zamknęła oczy, ale gdy tylko zasnęła, niemal natychmiast zagarnęła jego kolana, traktując je jak swoją osobistą poduszkę.

Zresztą, nie miał nic przeciwko temu. Gdyby kazała mu biec kłusem za powozem, też by posłuchał. Na szczęście chyba mu wybaczyła, że chciał wyjechać bez niej. Myślał, że będzie się boczył albo go ignorować, ale zamiast tego czasem milczała, czasem opowiadała mu coś, czasem wyciągała z niego jakieś opowieści – te, których nie wzdragał się powtórzyć. Zawsze z uśmiechem na ustach i błyskiem w oku, jakby podróż powozem była jakąś wielką przygodą.

Przecież jeździła tą trasą wiele razy. Dlaczego więc ta nudna przejażdżka w jego towarzystwie tak ją cieszyła?

To prawda, było bardzo miło. W zasadzie nawet wesoło.

Odsunął z jej policzka kosmyk włosów. Skóra lśniła, bez skazy jak perła. A on kiedyś myślał, że ona jest jak ożywiona lalka.

Jaka tam lalka. Ciepła, serdeczna, cholernie skomplikowana kobieta.

Do tego jeszcze namiętna.

Jedno było jasne. Nie będzie z nią spał w jednym łóżku. Podejrzywał, że Charlotte – jak zwykle ciekawska – postanowiła się z nim kochać, żeby się dowiedzieć, jak to jest. Męskie narządy. Na litość boską.

Nie było innego wyjścia – musiał rozwiązać ich umowę. Nie powie jej tego od razu. Będzie stosował różne uniki, zacznie chodzić spać o takich godzinach, że nie będzie na niego czekać. A kiedy ona już się położy i zaśnie, będzie mógł się zakraść do pokoju gościnnego. Plan był niedopracowany, ale lepszego nie potrafił wymyślić.

Właściwie wyglądało to na tchórzostwo, ale pewnym pokusom nie oprze się żaden mężczyzna. Tego

ranka w podróży w Davenporty tak się starał pohamować, że o mało nie dostał ataku serca. Obudził się, wtulony w śpiącą smacznie żonę, z kutasem sterczącym na baczność i obolałym z napięcia. O mało nie spadł z łóżka, tak się śpieszył, by uciec od tego wszystkiego.

A ona zaproponowała, że zajmie się jego potrzebami. Zaśmiał się niewesoło i oparł głowę o poduszki, ale tak, by jej nie obudzić.

Sześć lat bez kobiety. Sześć lat, Charlotte!

Poczuł przemożne pragnienie, żeby zepchnąć ją z kolan.

Nie miała pojęcia, jak wielkie są jego potrzeby – kiedy wchodziło w grę jej ciało i dusza. Chciał dać jej rozkosz. Chciał zobaczyć, jak znowu drży z namiętności. Czy to byłoby coś złego? Jeśli zapanuje nad sobą, nie naruszy jej dziewictwa.

Znowu odsunął kosmyk włosów z jej policzka. Była taka delikatna. Nawet tam w środku...

Wspomnienie sprawiło, że jego ciało zacisnęło się spazmatycznie.

Odgłos kół zmienił się w końcu. Kocie łby. Wjechali do lepszej dzielnicy miasta. Charlotte zaraz położy się do łóżka, a on odetchnie po długim dniu.

Powóz zwolnił, więc dotknął jej dłonią, by się obudziła.

– Jesteśmy na miejscu, Charlotte.

– To dobrze... ale się zmęczyłam.

Pomógł jej usiąść, ale oparła się o niego bezwładnie. Zajrzał w jej senną twarz. Niełatwo ją było obudzić.

W ciemności zajaśniała latarnia. Ktoś otworzył drzwiczki.

Do powozu zajrzał Jamie, ciekaw, czemu nikt nie wysiada.

– Panna Baker dopiero co się obudziła – wyjaśnił Will. – Jeszcze chwilę.

– Tak jest, proszę pana.

– Repton – mruknęła Charlotte.

– Co takiego? – Otulił ją płaszczem pod brodą.

– Pani Repton.

– Dzięki, że mnie poprawiłaś. Jamie i tak się zgorszył.

Lokaj wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Pójdę przodem, proszę pana i pozapalam lampy. Nikt się nie spodziewał państwa powrotu. Napalę w kominku w pokojach panie... w państwa pokojach.

– Dziękuję. Tylko w jej pokoju.

– Mam pobudzić resztę służby, żeby państwu pomogli?

Nie pomyślał o tym. Chyba nie warto ich budzić tylko po to, by pomogli się państwu rozebrać. To nieuprzejme.

– Nie trzeba. Sam jej pomogę. Chyba dam radę.

Włożył kurtkę, wsunął rękawiczki do kieszeni... i wtedy okazało się, że Charlotte znowu zasnęła, z twarzą wtuloną w siedzenie. Nie miał serca jej budzić. Była tak lekka, że postanowił ją zanieść na górę.

Miała niesamowicie mocny sen. Nie obudziła się nawet, gdy ją wziął w ramiona. Wysiadając z

powozu i wnosząc ją na schody, czuł igiełki bólu, wędrujące od kolana do biodra. Siedział w powozie tak długo, że kompletnie zeszywniał, więc paskudnie kulał, wchodząc na górę.

W połowie drogi obudziła się i otworzyła oczy.

– Boli cię noga?

– Nic mi nie jest.

– Puść mnie.

– Jesteśmy prawie na miejscu. – Objął ją mocniej. Mógł jej bezkarnie dotykać, tylko kiedy spała.

Lokaj zostawił otwarte drzwi do pokoju. Ogień trzaskał na kominku. Sypialnia była bardzo kobieca, a na dywanie stały ich kufry. To pewnie tutaj.

Położył Charlotte na łóżku. Zamknął drzwi i zaczął się przyglądać jej podróżnemu ubiorowi. Długą pelerynę łatwo było zdjąć, ale pod nią wszędzie było pełno guzików: na rękawiczkach, na rękawach, od szyi do talii, nawet na biodrach.

Na pomoc Charlotte nie było co liczyć. Oddychała głęboko i spokojnie. Potem zwinęła się w kłębek na boku.

Zacznijmy od zewnątrz, a potem idźmy do środka. Zacisnął zęby i zdjął płaszcz, suknię i halkę, a potem zaczął rozsznurowywać gorset. Nie miał pojęcia, dlaczego kobiety wkładały na siebie takie okropieństwo. Na cienkiej koszulce odcisnęły się oczka sznurówek i szwy od fiszbinów. Czy jej skóra też jest poznaczona takimi śladami? W najdelikatniejszych zakątkach ciała?

Pogładził delikatne płótno, rozmasowując głęboki ślad po fiszbinie. Przypomniał sobie, po co to robi i zatrzymał się w połowie gestu.

Koszulka była luźna i wydawała się dość wygodna. Pantalony też nie trzeba było zdejmować. Tylko te pończochy...

Na czym to się trzyma? Dlaczego do tej pory nie miał pojęcia o tych wszystkich rzeczach? Mężczyzna w wieku dwudziestu ośmiu lat powinien mieć już doświadczenie w rozbieraniu kobiet, prawda?

Delikatnie przesunął dłonią po kolanie, aż natrafił na podwiązkę. Zdejmie jeszcze te pończochy i pójdzie sobie.

Uważając, by nie dotykać jej skóry bez potrzeby, rozpiął podwiązkę i zrolował pończochę. Ściągnął ją z jedwabistej skóry ozłoconej blaskiem ognia na kominku, po szczupłej, zachwycającej łydce, gładząc kostkę, potem ze stopy o pięknym podbiciu...

Uff. Zrobione. Właściwie bez problemu. Przecież nie był zwierzęciem, które nie potrafi opanować pożądania. Nie rzucił się na śpiącą kobietę, taką bezbronną, ciepłą, i pachnącą białymi peoniami.

Otarł czoło i zdziwił się, że na dłoni został ślad potu.

Przykrył ją kołdrą. Ukryła się pod nią. Wyszedł, żeby na nią dłużej nie patrzeć.

W gabinecie Bena jest fotel. Prześpi się na nim. Przecież potrafi zasnąć właściwie wszędzie. Kłopot polegał na tym, żeby się za szybko nie obudzić.

Przez trzy noce spędzone u boku Charlotte ani razu nie przyśnił mu się Tybet. Najwyższy czas na powrót koszmaru. Przynajmniej ona nie usłyszy jego krzyku.

Zapalił lampę, oświetlając znajomy gabinet.

Na ciemnym, drewnianym biurku czekał stos listów czekających na otwarcie. Poprosił rodziców, by przesyłali tu jego pocztę. Jak zwykle, ani jednej wiadomości z Azji. Żadnych listów.

Przeglądał je beztrosko do chwili, gdy nie spostrzegł nazwiska na jednej z kopert: Wicehrabia Spencer.

Ten łajdak napisał do Charlotte. Will wziął list do ręki i popatrzył gniewnie na wypisane na nim litery, próbując odgadnąć z ich kształtu treść listu. Dlaczego ten drań do niej pisze? Po tym wszystkim, co jej zrobił?

– Do diabła.

Zrzucił z nóg buty i padł na głęboki fotel Bena. Położył stopy na podnóżku. Teraz już na pewno nie zaśnie. Zacisnął zęby i patrzył z wściekłością na list. Przypomniało mu się, jak Spencer przygwoździł Charlotte do ziemi w lesie. Jak zrobił jej krzywdę.

Co on sobie wyobraża? Dlaczego do niej pisze?

Nie będzie tego przed nią ukrywał. Niech sama przeczyta ten cholerny list. Rzucił go z powrotem na stół, choć najchętniej by go spalił.

Może ich małżeństwo jest na niby, ale przecież jest odpowiedzialny za Charlotte. Nie pozwoli, by ktokolwiek ją skrzywdził – Spencer ani żaden inny mężczyzna.

Tylko kto się nią zaopiekuje po jego wyjeździe?

W małżeństwie zawsze zdarzają się niesnaski i nieporozumienia. Charlotte wiedziała o tym od dam spotykających się w salonie Henrietty Abernathy. Ale przebudzenie bez tymczasowego męża u boku było koszmarem, którego nie życzyła sobie ponownie. Jeżeli Will myślał, że może ją porzucić na wsi, a potem zlekceważyć postanowienia ich umowy i spać osobno, to...

No cóż, nie miała żadnych środków zaradczych, ale znajdzie jakiś sposób, żeby dać mu do zrozumienia, jak bardzo jej się to nie podoba. Bardzo, a bardzo.

Poza tym przy pierwszej okazji wygzekwuje poranne powitanie. I pocałunek. Jeśli okoliczności będą wystarczająco intymne. Przecież nie może się rzucać na męża w obecności służby.

Zeszła ze schodów. Jamie właśnie szedł przez hol z tacą pełną porcelany.

– Dzień dobry, Jamie. Widziałeś już pana Reptona?

– Zjadł śniadanie, panienko, i pracuje w gabinecie. – Jamie skłonił głowę i poszedł dalej.

Drzwi były zamknięte. Może nie powinna tam wchodzić. Lepiej pójść na śniadanie... Może sam przyjdzie z nią porozmawiać?

To było nie do zniesienia. Trudno, będzie musiał znieść krótką przerwę w pracy. Szybko ruszyła ku drzwiom, żeby nie zmienić zdania.

Zza drzwi rozległ się głęboki głos jakiegoś nieznanego.

– Będzie ci potrzebny prawnik. Jeden z tych z Fleet Street. Żeby wpisać twoją rodzinę. To znaczy, beneficjentów.

– To już zostało zrobione – odpowiedział Will. – Choć nie są to zbyt duże aktywa.

Charlotte zwolniła kroku, niepewna, o co chodzi w tej rozmowie.

– Wystarczy dla rodziców? – spytał nieznajomy.

– Tak, dzięki Bogu. Wystarczy im do końca życia. Nawet dla mojej żony, jeśli będzie prowadzić skromne życie. – W głosie Willa zabrzmiała sucha wesołość. – Pewnie na nic jej się nie przyda to, co jej zostawię, ale zrobiłem, co mogłem.

Wstrzymała oddech. Rozmawiali o testamencie. Dlaczego Will chciał jej coś zostawić? Umowa małżeńska nie wymagała od niego żadnego wkładu. Mówiąc szczerze, jej posag był wielokrotnie wyższy od jego majątku. Tak z osiemdziesiąt razy. To było dość krępujące, ale prawdziwe.

Gest Willa był bardzo ujmujący... Och, do diabła, nie będzie tu stać i słuchać, jak on mówi o swojej śmierci z takim spokojem, jakby dyskutował o pogodzie.

Wzięła głęboki oddech, zastukała do drzwi i zajrzała do środka.

Will siedział naprzeciwko potężnie zbudowanego, muskularnego mężczyzny rozciągniętego wygodnie w wysokim fotelu Bena.

– Dzień dobry – powiedziała. – Przepraszam, że przeszkadzam.

Obaj wstali na powitanie.

– Wejdz, Charlotte – zaprosił ją Will. – To jest Seth Mayhew. Właśnie wrócił z wyprawy badawczej po obu Amerykach. Seth, pozwól, że ci przedstawię Charlotte Ba... to znaczy moją żonę.

Pan Mayhew szeroko otworzył oczy i wybuchnął grzmiącym śmiechem.

– Więc teraz jest twoją żoną, co? – Wymierzył Willowi przyjacielskiego kuksańca. – „Owszem, ładna”, powiedziałeś.

Potrząsnął jej dłonią, aż zabrzęczały bransoletki.

– Witam, pani Repton, bardzo mi miło panią poznać.

– Mnie również, panie Mayhew.

Jego dłonie były pokryte odciskami, a skóra smagła od wiatru i słońca. Ameryka musi być naprawdę dzikim krajem.

Zresztą, był bardzo przystojny.

Niesamowite, czyżbym miała upodobanie do odkrywców?

– Nie wiedziałem, że botanicy mogą się żenić z damami takimi jak pani – stwierdził pan Mayhew.

– Jak najbardziej – powiedziała. – Chociaż cholernie trudno było go do tego przekonać.

Znowu ryknął śmiechem i uściśnął jej dłoń. Właśnie ten żelazny uścisk oraz jego spokojny, przenikliwy wzrok przekonały ją, że to wartościowy człowiek. Może dzięki jego radom Will będzie bezpieczniejszy. Przez to jeszcze bardziej go polubiła.

– Ma pan ochotę na herbatę, panie Mayhew? A może woli pan kawę?

Zmarszczki w kącikach jego oczu pogłębiły się, gdy się uśmiechnął.

– Owszem, wolę, pani Repton. Dziękuję.

– Tak myślałam. Will, mogę cię prosić na słówko?

Wątki uśmiech na twarzy jej małżonka zniknęły, gdy wyszedł z nią do holu.

– Charlotte, tej nocy...

– Nie tutaj, proszę.

Poleciała służącej, by przyniosła do gabinetu kawę i kanapki, uznawszy, że ciasteczka nie wystarczą komuś tak solidnie zbudowanemu jak pan Mayhew. Potem zaprowadziła Willa do saloniku i zamknęła za nimi drzwi. Usiadła na sofie i z uśmiechem wskazała miejsce obok siebie.

– Usiądziesz?

Przyglądał się temu miejscu z podejrzliwą miną tak długo, że w końcu sama spojrzała na poduszkę.

– Pewnie chcesz mi natrzeć uszu. – Skrzyżował ramiona na piersi.

– Natrzeć uszu?

– Za wczorajszą noc?

– Natrzeć ci uszu? – powtórzyła zdumiona. Czy naprawdę wyglądała na żonę przekupnia spod Billingsgate?

– Spałaś, więc nie chciałem ci przeszkadzać.

Natrzeć mu uszu. To wręcz obraźliwe.

– W gabinecie było mi całkiem wygodnie.

Przecież tam nawet nie było leżanki.

Aż tak bardzo miał jej dość, że wolał znosić takie niewygody? Otworzyła usta, by udzielić mu reprymendy, ale nie chciała zachowywać się jak sekutnica. Nie zamierzała też przejmować się jego głupim milczeniem. W końcu zawarli umowę. Poza tym to małżeństwo nie było jej pomysłem i od tego należy zacząć. On w ogóle nic nie rozumie, ale może uda się go w końcu wyprowadzić z błędu.

Natrzeć uszu... też mi coś.

Milczała, a Will co chwila spoglądał na drzwi.

– Wiem, że mieliśmy spać w jednym łóżku, jak mąż z żoną, ale po zastanowieniu uznałem, że to niemożliwe. Sama przyznasz, że to niewygodne. To znaczy wygodne, bo dobrze nam się śpi. Ale ja jestem mężczyzną...

Uniosła brew na to śmiałe oświadczenie.

– ...i jako mężczyzna mam pewne potrzeby. Wiesz, że nie możemy sobie pozwolić na żadne cielesne... a ty jesteś naprawdę... No i to jest właśnie powód.

Wpatrywał się w haftowany portret jej ulubionego kucyka. Panie świeć nad jej słodką duszyczką.

– Nie zamierzam z tego zrezygnować.

Will z upartą miną zacisnął zęby i zanim zdążyła odpowiedzieć, zaczął wymieniać całą listę przyczyn, dla których nie mogli dzielić łoża. Bzdury o późnym chodzeniu spać, o jej dziewiczej niewinności i jego męskich popędach. Przestała więc tego słuchać i przyglądała mu się z przyjemnością. Świetnie wyglądał w jasnoszarej kamizelce, która kontrastowała z błękitem jego oczu. Miał ją na sobie w nocy przed ich ślubem. Podobały mu się też jego włosy, choć widać było, że rzadko je czesał. Naturalnie, najlepiej wyglądały rano, rozwichrzone od snu, ale ten widok należał tylko do niej. Może uda się go przekonać, by zaczął używać pomady Wally'ego. Peter mógłby ją kupić po południu, kiedy pójdzie po zakupy. Tylko gdzie to się kupuje? Michael na pewno będzie wiedział. Jeśli w sklepie na Piccadilly, to przy okazji będzie mógł odebrać od Hatcharda książkę, którą niedawno zamówiła.

Westchnęła, wstała i poprawiła fałdy sukni. Natychmiast przestał mówić. Jak zwykle zajrzał jej prosto w oczy, a potem natychmiast odwrócił wzrok, patrząc w przestrzeń ponad jej głową.

– Nie powiedziałaś mi dzień dobry – stwierdziła.

Zacisnął szczękę.

– Dzień dobry.

Podeszła bliżej, aż dotknęła ramion, które skrzyżował na piersi.

– To nie było po męzowsku.

Zamknął oczy i westchnął głęboko. Pochylił głowę i jego wargi znalazły się tuż nad jej ustami. Wiedział, czego oczekiwała, więc uśmiechnęła się i wydeła wargi. Pocałował ją z wahaniem i bardzo lekko.

Zadowolona, rozpromieniła się ze szczęścia, że tak łatwo go przekonała. Tylko że on się wcale nie

odsunął. Twarde ramiona zacisnęły się na jej ciele mocniej niż gorset, przechylając ją do tyłu, by pocałować ją mocniej.

Serce jej zabiło. Wielki Boże, jak on umie całować.

Twarde wargi dotykały jej warg, aż w końcu wyprostował się z pomrukiem frustracji.

– Otwórz usta – polecił głębokim, szorstkim głosem. Gdy to zrobiła, zaczął ją pieścić językiem. Nogi ugięły się pod nią jak galareta, więc chwycił ją za szyję, odchylając głowę jeszcze bardziej.

Och tak, to był mężczyzna, którego naprawdę kochała. Żaden inny go nie zastąpi.

Jeszcze trzynaście tygodni takich pocałunków. Zrobiła naprawdę świetny interes.

Przerwał pocałunek zbyt szybko. Oparł brodę na jej głowie, oddychając pośpiesznie i podniecająco.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry – szepnęła w odpowiedzi.

Opanował oddech, jednocześnie gładząc jej suknię w talii.

– Pognoję ci ją.

– Nie szkodzi.

– Warkocz ci się rozluźnił.

– Zaraz go upnę.

Jego palce się uspokoiły, delikatnie obejmując ją w pasie.

Jaki on jest kochany. Dlaczego nie chce z nią być? Przecież mogliby przeżyć tyle wspaniałych chwil, nie naruszając tego całego dziewictwa, z którym jest tylko kłopot.

Odchrząknął.

– Muszę wracać do gabinetu.

Znowu ten gabinet. I ta praca. I te Chiny.

Zastąpiła pełną urazy minę uśmiechem, ale nie przyszło jej to łatwo.

– Kawa ci pewnie wystygła.

Zacisnął wargi, pewnie po to by ukryć uśmiech. Wyprostował się i odsunął się od niej.

– Skończyłaś już tę reprimendę?

– Tak mi się zdaje. To było bardzo przyjemne „dzień dobry”. Oczekuję również pocałunku na dobranoc.

Zamrugął.

Oczywiście.

Z roztargnieniem przeczesał włosy dłonią i jeszcze bardziej je rozczochrał.

Wygładziła je.

Peter naprawdę będzie musiał pójść po tę pomadę...

Ruszyła ku drzwiom.

– Czy to znaczy, że zgodziliśmy się sypiać osobno?! – zawołał w ślad za nią.

Nawet się nie zatrzymała.

– W żadnym wypadku.

– Ale...

– Pan Mayhew czeka, Willu. – Uśmiechnęła się do niego od drzwi. – Poproszę Michaela, żeby rozpakował twoje rzeczy.

Tej nocy, i przez wiele kolejnych, Will odkrył w sobie siłę woli i opanowanie, o jakie się nigdy nie podejrzewał. Naturalnie były chwile, kiedy pożądanie brało górę nad zdrowym rozsądkiem. Chwile, kiedy pocałunki na dzień dobry i na dobranoc uderzały mu do głowy. Chwile, kiedy jego członek napinał się na widok uwodzicielskiej Charlotte, która poprawiała sobie pończochy albo dociągała gorset. Albo czytała pocztę... mieszała herbatę łyżeczką... nawlekała igłę do haftowania.

Naturalnie nie raz próbował wymigać się od spania z nią, udając, że pracuje do drugiej nad ranem. Ale jego podstęp się wydał... Wtedy na twarzy Charlotte odmalowało się takie cierpienie, że nigdy już więcej go nie powtórzył.

Więc co noc, tak samo jak dziś, wskakiwał pod kołdrę i, najlepiej jak umiał, ukrywał swoją erekcję pod tą śmieszna, fałdzistą koszulą, którą wkładał dla przyzwoitości. A Charlotte co noc z nim rozmawiała.

On naturalnie też się do niej odzywał. Zgodnie z drugim małżeńskim warunkiem.

– Chyba ci dziś smakowała kolacja. Wzięłaś dokładkę – powiedziała, odwracając się do niego.

Odpowiedział uśmiechem i też ułożył się na boku.

– Owszem. – Podciągnął kołdrę pod brodę. Im mniej jego ciała było na widoku, tym lepiej. – Lubię ropuchę w gnieździe.

Zmarszczyła nos i wybuchnęła śmiechem.

– Jaką ropuchę? I dlaczego w gnieździe?

– Zapiekane kielbaski. Z sosem. Mama ciągle mi je robi. Uwielbiam to danie.

– To było *salé à la saucisse de morteau*.

– Czy tak się mówi po francusku na ropuchę w gnieździe?

– Nie, to znaczy „smakowita zapiekanka z kiełbasą”.

– Zgadza się. – Przewrócił się na plecy. – Ropucha w gnieździe. Poproszę mamę, żeby ją kiedyś dla ciebie zrobiła.

Charlotte zagrzebała się pod kołdrę i zachichotała, kiedy na nią spojrział.

– Ropucha w gnieździe?

Pokręcił głową, uśmiechając się coraz szerzej.

– Dobranoc, Charlotte. – Uniósł się na łokciu, by obowiązkowo pocałować ją na dobranoc. To był najbardziej zdradliwy moment w ciągu całego dnia – Charlotte leżąca na plecach, jej usta tak ciepłe i miękkie... w dodatku tak blisko, że czuł zapach jej perfum.

Objęła go dłonią za szyję, przedłużając pocałunek.

Nie sprzeciwił się temu. Nigdy się nie sprzeciwiał.

Zacisnął zęby i uniósł głowę.

– Dobranoc – szepnęła. Jej palce powoli zsunęły się z szyi. Poczł znajome ciepło w dole pleców.

Dobrze chociaż, że jego uczucie nie było tak całkiem nieodwzajemnione. Od czasu do czasu

przyłapywał ją na tym, jak mu się przyglądała. Wbijała wzrok w różne części jego ciała z ciepłym, ciekawskim blaskiem w oku.

I to zawsze ona pierwsza przytulała się do niego w łóżku.

Ale może tylko to sobie wyobrażał. Kochała spać, więc traktowała go jak wielką, wygodną poduchę.

Za dnia było mu łatwiej. Nie musiał dzielić z nią łóżka.

Dziwne, ale żyli ze sobą w zgodzie wyłącznie dzięki wysiłkom Charlotte. Nie miał pojęcia, jak się traktuje takie kobiety jak ona. Patrzył więc, jak wychodzi na miasto i wraca w pięknych sukniach, w kapeluszach z piórami, w towarzystwie panny służącej, i nic z tego nie rozumiał. Ciągłe miała jakieś spotkania towarzyskie, jakąś dobroczynność albo po prostu szła na zakupy. Przez większość czasu była poza domem – i zawsze wychodziła w innej sukni niż ta, w której zasiadała do śniadania. Nauczył się już wprowadzić, że biała bawełna lub muślin oznaczały, że zostaje w domu, płaszcz albo paltot, jak go nazywała, mówiły, że idzie na spacer lub na zakupy, a jedwabną lub satynową suknię bez kapelusza wkładała, gdy mieli przyjść goście.

Wieczorem, kiedy przebrała się do kolacji w jeszcze inną suknię, pisała listy, czytała po kilka stron z licznych książek, które pozaczynała, ale nigdy nie kończyła, albo szkicowała coś na kartkach, które ze śmiechem chowała między kartkami książki, gdy podchodził, żeby je obejrzeć.

Trochę raniło to jego uczucia. Wiedział jednak, że nie ma prawa na nie patrzeć.

Zależało mu tylko na jednym – żeby w dalszym ciągu była tak szczęśliwa jak przedtem, i bardzo się starał, by tak było. Był troskliwym mężem. Zresztą o Charlotte łatwo się było troszczyć. W nocy nie dręczyły go koszmary, przygotowania do podróży szły gładko i w pewnym momencie, sam nie wiedział kiedy, jego nerwy przestały się napinać na każdy dźwięk. Ciało i umysł miał tak wypoczęte, że czasami śmiał się na głos z anegdot, które Charlotte mu opowiadała, a potem sam się temu dziwił.

Była zagadką, a on co dnia próbował znaleźć rozwiązanie, pomimo że starał się zachowywać uprzejmy dystans wobec niej. Nauczył się jej wszystkich subtelných min oraz gestów i wiedział, co oznaczają. Na szczęście, jako botanik, miał dobre oko do szczegółów i świetną pamięć. Uniesienie lewej brwi sygnalizowało zaciekawienie – ta mina często gościła na jej ruchliwej twarzy. Kiedy wargi wydymały się w ciup, podejmowała właśnie jakąś decyzję. Przechylenie głowy w lewo mówiło, że przyjmuje coś do wiadomości; w prawo – że podjęła już decyzję. Te wszystkie miny błyskawicznie się zmieniały. Z czasem przekonał się, że jej umysł jest dużo bardziej aktywny niż jego. Potrafiła przeskakiwać z tematu na temat równie błyskawicznie, jak woda wpadająca do naczynia z podciśnieniem.

Nic dziwnego, że lubił być blisko niej. Jego ciało aż dygotało na jej widok. Najlepszą częścią dnia był wieczór, kiedy mógł wreszcie usiąść razem z nią i posłuchać wszystkich nowin.

On mówił niewiele – bo nowiny, o których mógłby opowiadać zwykle wiązały się z mrocznymi sekretami jego życia. Ale dzisiaj mógł się z nią w końcu podzielić dobrymi wiadomościami. Począł, aż lokaj naleje jej wina, żeby nic nie rozpraszało jej uwagi.

– Dziś udało mi się uzyskać ostatnie dwieście funtów, Charlotte. – Energicznie poklepał się pod stołem w udo. – Ciekaw jestem, czy zgadniesz od kogo?

Nie podnosiła spojrzenia znad obrusa.

– Znam tę osobę?

– Jest członkiem Towarzystwa Geograficznego.

– Czy to pan Helmsley?

Zamrugał zdziwiony. Ta kobieta miała paranormalne zdolności.

– No... tak.

– To była najbardziej prawdopodobna osoba. Był tu tego dnia, gdy się poznaliśmy.

– Pamiętam.

Bawiła się brokułami na talerzu.

– Musisz napisać do Bena z dobrą wiadomością. Lucy pisze, że Jacob zaczął opowiadać niemowlęciu niestworzone historie o twoich wyprawach.

– Czy to znaczy, że walczę z morskimi potworami i grywam w krykieta z Posejdonem?

– Nie masz innego wyjścia, bo w przeciwnym razie twoi siostrzeńcy...

Nagle jej twarz spochmurniała. Gwałtownie wstała od stołu.

– Przepraszam cię.

Zanim zdążył opuścić widelec, wybiegła z jadalni. Do diabła, czy znowu powiedziałem coś głupiego?

Wymienił zdumione spojrzenie z lokajem, wstał i poszedł jej śladem.

W holu pokojówka wskazała bez słowa na salonik, słusznie domyślając się, że wyszedł w poszukiwaniu żony.

Charlotte stała przy oknie, trzymając w dłoni chusteczkę.

– Co się stało? Źle się poczułaś?

– Nie przejmuj się, nic mi nie jest.

Ale w błękitnych oczach błyszczały łzy.

Nie podobało mu się to. Ogarnęła go cholerna, bezsilna panika.

– Co się dzieje?

– Nic takiego. Naprawdę.

Próbowała się uśmiechnąć, ale bez powodzenia. Otarła oczy.

– Jestem po prostu przemęczona.

Takie zachowanie Charlotte wprawiało go w zakłopotanie. Zresztą większość jej zachowań taka była, ale chyba za bardzo polegał na jej radości życia i energii. To był prawdziwy dar losu dla takiego kiepskiego męża jak on.

Wyprostowała się i posłała mu łzawy uśmiech, który tylko pogorszył jego samopoczucie.

– Myślę... że chyba masz już dosyć mojego towarzystwa wieczorami.

Jej oczy zrobiły się wielkie i okrągłe.

– Skądże! Uwielbiam nasze wieczory.

To zaprzeczenie trochę poprawiło mu nastrój, ale nie do końca.

– Widziałem, że dostałaś dziś dużo listów. Czy to zaproszenia na przyjęcia albo jakieś spotkania?

Mrugnęła powiekami i spojrzała na niego pytająco.

– Wszędzie nas zapraszają, ale pomyślałam, że nie chcesz bywać, bo jesteś taki zapracowany.

– Aha. – Nie wiedział że chciała, albo potrzebowała jego towarzystwa na takich spotkaniach. –

Chętnie będę z tobą wychodził, jeśli chcesz. Powiedz mi tylko, kiedy i gdzie.

– Naprawdę?

Skrzyżował ramiona na piersi i pochylił głowę, żeby wytrzymać jej pełne nadziei spojrzenie. Dzięki Bogu, przestała płakać.

– Tak, naprawdę. Nie spodziewałaś się, że się zgodzę? Jakim cudem do tej pory udało ci się unikać mojego towarzystwa publicznie, pani Repton?

Opuściła głowę i uśmiechnęła się do niego spod rzęs, aż się zachwiał. Wobec tej miny był kompletnie bezradny. Podeszła bliżej i wygładziła kłapy jego surduta.

– Zachodzi niebezpieczeństwo, że znuży mnie towarzystwo najbardziej rozchwytywanego mężczyzny w Londynie, bo wszyscy będą interesować się tylko nim, a nie mną.

– Muszę dźwigać ten krzyż.

Rozbawienie w jej oczach przygasło.

– Wydaje mi się, że mimo wszystko nie lubisz tłumów.

Ależ on był koszmarnym mężem. Przecież ona była przyzwyczajona do wieczornych koncertów, tańców i kolacji, a nie do spokojnych wieczorów z mężczyzną, który ciągle coś pisał w dzienniku i gapił się na mapę. Przecież mieli wychodzić wieczorami, żeby wszyscy uwierzyli w ich małżeństwo. A ona w ogóle na to nie narzekała.

– Jakoś je zniosę, jeśli ty będziesz wśród nich.

Klasnęła w dłonie z radości, ale dalej spoglądała z powątpiewaniem.

– Na pewno?

Naprawdę jestem okropny. Wręcz koszmarny.

– Za długo już wykorzystywałem dobre serce lepszych ode mnie.

Uśmiechnęła się w końcu.

– Jeśli naprawdę tak uważasz, to jest taki bal, na który moglibyśmy pójść razem.

18

Letni bal dobroczynny Londyńskiego Towarzystwa Ogrodniczego w niczym nie przypominał wyrafinowanego spotkania towarzyskiego, jakiego Will się spodziewał po Charlotte. Goście pochodzili z solidnej klasy średniej i nie rozpoznaliby francuskiej mody haute couture, nawet gdyby stanęła przed nimi z donośnym *bonjour*. Pomimo to Charlotte włożyła na ten wieczór jedną ze swoich najpiękniejszych sukni: paryskie cudeńko z czarnego tiulu i koronki udrapowane na jedwabnej tafcie i obszyte dżetami i satynową taśmą.

Will już wystarczająco długo mieszkał z tą kobietą, żeby nauczyć się czegoś o modzie. Włosy uczesała w długie, falujące pasma i upięła z tyłu jedwabnymi kwiatami. Wyglądała jak księżniczka.

Zaśmiał się, kiedy zobaczył ją, gdy schodziła ze schodów z imperialnym wdziękiem, a ona uśmiechnęła się jeszcze promienniej.

Teraz, w Somerset House, w olbrzymiej sali pełnej mechaników, miejscowych kupców, ogrodników i całkiem sporej grupy znajomych z ogrodów w Kew, Chiswick i Chelsea, Will mógł tylko podziwiać i puchnąć z dumy, patrząc, jak najpierw oszołomiła ich swoim cudownym wyglądem, a potem jej urok osobisty sprawił, że zaczęli z nią swobodnie, wesoło rozmawiać.

Nie, nigdy w życiu nie spotka kobiety takiej jak ona. A on ją zostawiał, by pożeglować ku krainie swoich koszmarów.

Chcąc przez chwilę być tylko z nią, poprowadził ją w zaciszny kąt.

Nie byli sami, bo wszyscy zebrani na sali wodzili za nimi oczami. Z Charlotte nie dało się zostać na osobności.

– Nie oszukałaś mnie, wiesz? – powiedział.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. – Poprawiła fular na jego szyi.

– Przyjęłaś to zaproszenie tylko ze względu na mnie.

– Skądże znowu. Z zapalem wspieram londyńskie cmentarze...

– Ogrody miejskie – poprawił.

– ...i będziemy się tu świetnie bawić. Wszyscy są tacy beztroscy. Jako weteran setek takich spotkań potrafię to wyczuć od pierwszej chwili.

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

– Poza tym – oczy jej błyszczały, gdy skubała kłapę jego surduta – *il est même possible que nous dansions avant la fin de la nuit...?*

Ten ruch sprawił, że znalazła się bardzo blisko jego piersi. Wprawdzie nie była to jeszcze pora na

pocałunek na dobranoc, ale miał na to ogromną ochotę.

Boże, dlaczego ona zawsze tak pięknie pachniała?

– To było po francusku, prawda?

– Owszem – odpowiedziała z uśmiechem.

– Nie znam francuskiego.

– Naprawdę? Spytaj Jacoba, on ci powie, że wszystkie konie zaprzęgowe go znają.

– Końskiego też nie znam.

– Powiedziałam, że może nawet zatańczymy ze sobą pod koniec wieczoru.

– Ach, tak.

– Ach, tak?

Po raz pierwszy w życiu udał nieśmiałość i przesunął palcem po szwie jej rękawiczki.

– Mówiłem ci już, że ślicznie dziś wyglądasz?

– Czy próbujesz wymigać się od odpowiedzi na moje pytanie?

– Jakie pytanie?

– Will! – Ktoś huknął grzmiąco za jego plecami. Aż zeszywniał z irytacji, że ktoś im przerywa.

Odwrócili się oboje, żeby powitać uśmiechniętego Seta Mayhew.

– Tak myślałem, że to ty – powiedział.

Will potrząsnął jego dłonią.

– Mieliśmy takie same plany na wieczór... to dziwne, że o nich nie wspomnieliśmy dziś rano.

– Mężczyźni rzadko rozmawiają o czymś poza pracą – przerwała im Charlotte. – A wy tkwicie w tym gabinecie od trzech dni.

Seth puścił do niej oko.

– Will przerywa pracę tylko po to, żeby spojrzeć na zegar.

– Na zegar?

– Bo nie może się doczekać, kiedy pani przyniesie nam herbatę.

Will spochmurniał, ale Charlotte tylko się roześmiała.

– To znaczy, że kanapki też masz wpisane w rozkład zajęć?

– Jemu wcale nie chodzi o kanapki, pani Repton.

– Dobrze już, dobrze – mruknął Will. Czy to naprawdę było tak łatwo zauważyć?

Na szczęście kwintet muzykantów właśnie zaczął przygrywać do tańca. Całe towarzystwo skupiło się pod ścianami, co oznaczało początek tańców.

Charlotte przysunęła się bliżej.

– Pierwszy będzie walc.

– Naprawdę? – mruknął, udając, że nie rozumie jej wymownego uśmiechu.

Westchnęła.

– Mam nadzieję, że ktoś poprosi mnie do tańca.

Seth ruszył ku niej, radośnie klaszcząc w ręce i poruszając krzaczastymi brwiami.

– Bez obaw, pani Rep...

Ręka Willa sama wystrzeliła, żeby go powstrzymać. Cholerny flirciarz.

– Chwileczkę, ja... – zaczął i skrzywił się, bo sobie uświadomił, jak zaborczo się zachowuje.

Podszedł bliżej i zniżył głos.

– Charlotte, przecież się umówiliśmy, że to ja z tobą zatańczę.

Szeroko otworzyła oczy, robiąc niewinną minkę.

– Nie przypominam sobie, żeby udało mi się przekonać cię do tego.

– Może dałbym się przekonać do tańca z odpowiednią partnerką.

– A ja bym się nadała?

Udał, że się jej przygląda.

– Myślę, że jesteś wystarczająco ładna, żeby moje nogi zechciały ruszyć do tańca.

– To dla mnie niesłychany komplement. Oboje wiemy, że świetnie tańczysz walca.

– Ja akurat tego nie wiem. Masz fatalną pamięć.

– Wręcz przeciwnie, o wiele lepszą od twojej.

Podał jej ramię.

– Obawiam się, że twoje paluszki wkrótce się o tym boleśnie przekonają.

– Za nic nie pozwolę panu deptać sobie po nogach.

Z pełną wyższości miną spojrzał w końcu na Seta.

– Wybaczysz nam, prawda?

– Jestem następny w kolejce, pani Repton – odparł niezrażony.

– Nic z tego – stwierdził Will z uśmiechem. – Całe twoje szczęście, że jesteś botanikiem odkrywcą i przywykłeś do rozczarowań.

Poprowadził Charlotte na parkiet, zostawiając za nimi rechoczącego głośno przyjaciela.

Muzyka zwolniła, co oznaczało początek walca.

Skłonił się i wyciągnął rękę. Ona dygnęła i wyprostowała się, jakby grawitacja jej nie dotyczyła, a potem zawirowała i wpadła prosto w jego ramiona.

Była urodzoną tancerką. Tańczyła, gdy przechodziła przez pokoje, wchodziła do salonu i zaglądała mu przez ramię kiedy pracował. Zawsze na paluszkach, zawsze umykając, zanim zdążył się obrócić.

I choć sam był takim niezgrabą, też zaczynał tańczyć, kiedy miał ją w ramionach – do utraty tchu, z głową w chmurach i zamętem w myślach.

Muzyka zagrała głośniejsze, więc zagarnął ją i bez słowa zatoczyli koło. Tańczyli, nie odzywając się do siebie, nie patrząc sobie w oczy. Czy też myślała o ich pierwszym tańcu? O tym, jak daleko zaszli od tamtej chwili? Teraz całowali się po mistrzowsku. Spali w swoich ramionach. Jeden jedyny raz obejmował ją jak kochanek. Czy wspomnienie tamtej nocy też ją teraz dręczyło?

Dość tego.

Pokręcił głową, odpędzając od siebie te myśli. Na chwilę splątały mu się nogi. Musi skończyć z tymi pragnieniami. Skończyć z wiarą, że marzenia mogą się spełnić. Z żalem, że musiał oglądać te straszne sceny podczas ucieczki z misji. Że ścigali go ludzie bardziej przypominający zwierzęta niż ludzkie istoty. Tęskniąc za przyjaciółmi, którzy już nigdy nie wrócą. Za zaginioną Aimee.

Marzył o nowym życiu w Anglii. O tym, by tu pozostać.

Razem z Charlotte.

Ale, jak to powiadają Chińczycy, próżno człowiek chce pochwycić odbicie księżyca na wodzie.

Ból w nodze odezwał się znowu, więc kolejny obrót wypadł sztywno i niezgrabnie.

Dłoń Charlotte zacisnęła się na jego ramieniu. Spojrzała przepraszająco.

– Może przerwiemy?

Westchnął.

Niech szlag trafi tę nogę. Skinął krótko głową i poprowadził ją przez zatłoczony parkiet. Przyglądała mu się czujnie szeroko otwartymi oczyma i dalej trzymała go za rękę.

– Jeszcze cię boli?

– Już wszystko w porządku. Przepraszam cię.

Zajrzała mu w twarz, więc zrobił pogodną minę, żeby z jej oczu zniknęła troska. Nie dbając, że są wśród tłumu ludzi, położyła ciepłą dłoń na jego policzku i uśmiechnęła się jak... Boże wielki, dokładnie tak jak jego matka do ojca, jak Lucy do Bena.

Jak żona.

Ścisnął przepraszająco jej dłoń i puścił ją w końcu.

Nie chciał się od niej oddalać, więc lekko objął ją w talii i poprowadził w stronę Setha. Wolał nie zostawać z nią sam na sam w takich chwilach. Za dobrze się znał, by pozwolić na taką intymność.

Muzyka wkrótce ucichła. Podeszła do nich grupka kobiet i zagarnęła Charlotte ze sobą. Organizatorki. Nic dziwnego, że chciały ją sobie zjednać. Może nawet ją przekonają, by do nich dołączyła. Była już w wielu takich grupach. Odchodząc kolorową gromadką, nie zaszczyciły jego i Setha ani jednym spojrzeniem.

– Pani Repton jest gwiazdą tego balu, prawda? – powiedział.

– Zawsze tak jest.

– Nic dziwnego. Prawdziwa dama, bez dwóch zdań. Kiedy wzięliście ślub?

– Trzy tygodnie temu.

Spochnurniał.

– Tak myślałem. Nie będzie ci żal od niej odjeżdżać?

Wzruszył ramionami, nie patrząc mu w oczy.

– Planowałem to jeszcze przed ślubem.

Seth wpatrywał się w niego uważnie.

– Plany mają czasem ten paskudny zwyczaj, że się zmieniają, prawda?

Will skrzyżował ramiona, co oznaczało koniec rozmowy, więc Seth przezornie zmienił temat.

– Tak czy owak, dzięki, że zaprosiłeś mnie na swój wykład w Towarzystwie Geograficznym – powiedział.

– Obawiam się, że jego wartość naukowa będzie raczej ograniczona. Wszyscy chcą tylko słuchać o tej masakrze. Ale to mój obowiązek; takie są warunki finansowe, które mi postawili. Za wiele osób o to prosiło, żeby zarząd mógł zignorować życzenia swoich członków.

Seth pokręcił głową.

– Jest jedna rzecz, której nie potrafię zrozumieć.

– Jaka?

– Przecież ta misja w Tybecie była tam od dłuższego czasu, prawda?

– Od tysiąc osiemset czterdziestego szóstego roku.

– Zaatakowano ją, bo Tybetańczycy chcieli przegnać cudzoziemców, czyli francuskich katolików.

– Zgadza się.

– To dlaczego czekali z tym aż trzy lata?

– Niektórzy mówią, że to z powodu Chin, które zaczęły się wtrącać w ich sprawy, otwierając się na kontakty i zmuszając Tybet do zrobienia tego samego. Inni twierdzą, że to przez moją ekipę; zaczęli się bać silniejszej obecności cudzoziemców, a raczej Brytyjczyków. Nigdy się tego nie dowiem.

– Przepraszam. Nie chciałem...

Will zbył przeprosiny machnięciem ręki.

– Sam bez przerwy zadaję sobie to pytanie.

– Mnie się wydaje, że ludzie nie robią takich rzeczy bez powodu, nawet wobec cudzoziemców. Chyba że chodzi o pieniądze – odparł Seth po chwili milczenia.

Pieniądze?

Żadne pieniądze nie wchodziły w grę. Ostatnią partię sadzonek kilka tygodni przedtem wysłano statkiem i pociągiem do Indii. Will razem z Jackiem i Cresseyem mieli ze sobą tylko nasiona i notatki z herbacianych plantacji, na których prowadzili badania.

– Czy pani Repton tam będzie? – spytał Seth.

– Nic nie wie o tym wykładzie.

– Nie powiedziałaś jej?

– Dama nie powinna słuchać takich rzeczy. Poza tym Towarzystwo nie wpuszcza kobiet na swoje spotkania.

– Jak zamierzasz sprawić, żeby się o tym nie dowiedziała?

– O wykładzie wiedzą tylko członkowie Towarzystwa.

Seth przyjrzał mu się uważnie.

– Ale chyba opowiedziałaś jej o wszystkim, co tam przeżyłeś?

Ogarnęło go coś na kształt poczucia winy.

– Skądże znowu.

– Will...

– Wie prawie wszystko. Z wyjątkiem tego, co zdarzyło się w ostatnim miesiącu wyprawy. Opowiedziałem jej o moich towarzyszach. Wie, że nie żyją. – Te słowa zabrzmiały tak obco. – Nie powiedziałem jej tylko, jak to się stało.

Seth wyraźnie czekał jeszcze na coś, więc Will zmienił temat.

– Parowiec pocztowy przyplynie w tym tygodniu, prawda?

– Tak jest. Jeśli nie przywiezie listu od George, będzie to oznaczało, że przepadła bez wieści osiem

miesiący temu. – Uśmiech Setha był pełen napięcia.

Will pożałował, że o to zapytał.

Nie zmylił go ten uśmiech, pod którym krył się niepokój. Zresztą doskonale znał rozkład rejsów tych parowców.

– Poczta jest przecież taka niepewna. Nie warto się tym przejmować.

– Przejmuję się George od chwili jej narodzin. Taka jest rola starszego brata.

Trudno było znaleźć na to sensowną odpowiedź. Osiem miesięcy bez znaku życia to długi czas. Za długo. Cholera, gorączka krwotoczna, bandyci, podtopienia...

Wszystko to groziło George podczas wyprawy.

Co gorsza, to była jedyna wyprawa, na której pomoc mógł liczyć. W czasie masakry George prowadziła badania w południowo-zachodnich Chinach. Seth wiedział o tym i na pewno domyślał się, jakie nadzieje Will z tym wiązał. Ale nikt nie chciałby angażować swojej rodziny w tak niebezpieczną akcję ratunkową, więc nawet nie rozmawiali na ten temat.

Zresztą to wszystko i tak było mało prawdopodobne. W swoich pierwszych listach Will nie wspominał o nagrodzie, bo lady Wynston dopiero później ofiarowała dwadzieścia tysięcy funtów za uratowanie dziecka. W związku z tym tylko anioł lub kompletny szaleniiec ofiarowałby się wtedy z pomocą.

Na parkiecie skończył się kolejny taniec. W sali panował wesoły gwar przerywany wybuchami śmiechu, wirowały suknie, ludzie spacerowali po sali. Rozejrzał się za Charlotte, ale nie było jej już tam, gdzie stała jeszcze przed chwilą.

Nigdzie jej nie było.

Choć to było kompletnie irracjonalne, jego mięśnie napięły się nagle, a zmysły obudziły się w przeczuciu niebezpieczeństwa. Lodowaty strach spłynął w dół pleców. Dobrze znał te objawy – nie opuszczały go od czasów wydarzeń w Tybecie. Miał nadzieję, że kiedyś o nich zapomni.

Ci ludzie byli przecież nieszkodliwi. Ciężko pracujący mieszczanie, którzy przyszli tu, by spędzić wesoły wieczór na rozmowie i tańcach. Ale gdy rozglądał się bacznie, szukając jej pięknej twarzy, ogarniał go coraz większy niepokój.

Zdał sobie sprawę, że szuka nie tylko Charlotte, ale i wicehrabiego.

– Przepraszam cię, Seth. Muszę rozejrzeć się za żoną.

– Lordzie Spencer, przeczytałam twój list i znane mi są twoje uczucia – powiedziała Charlotte wprost, nie zwalniając kroku w korytarzu, który nagle wydał jej się zbyt odludny.

Wiedziała, że musi zachować spokój, choć na widok Hugh czekającego przed toaletą dla pań o mało nie dostała ataku serca.

Przyszedł tu ze względu na nią, to było oczywiste. Wicehrabia Spencer nie zniżyłby się do towarzystwa urzędników i ogrodników.

Z dala wyglądał całkiem porządnie, ale kiedy podszedł bliżej, spostrzegła, że ma porozpinane guziki od koszuli widoczne spod kiepsko zawiązanego fularu. Ten drobiazg zdenerwował ją ponad wszelkie wyobrażenie.

Will był tuż za drzwiami. Oby tylko udało jej się tam dotrzeć, zanim rozdrażni Hugh.

– I nie raczyłaś nawet odpowiedzieć? – Ruszył ku niej, spychając ją na ścianę.

– Naprawdę nie ma potrzeby, żebyś robił scenę.

Chwycił ją za ramię i zmusił, by się zatrzymała.

– Posłuchaj mnie.

Przestraszona, popatrzyła na dwóch mężczyzn rozmawiających na drugim końcu korytarza. Zawsze może zawołać o pomoc, jeśli...

– Wszyscy wiedzą, że Repton wkrótce odpływa – zasyczał. – Robisz z siebie idiotkę, przychodząc z nim tutaj, tańcząc i uśmiechając się do niego.

– Puść mnie, proszę. – Szarpnęła się, ale chwycił ją jeszcze mocniej. Zadarła śmiało podbródek, ale wszystko się w niej trzęsło.

Uśmiechnął się paskudnie.

– Kiedy tylko odpłynie, złożymy wniosek o anulowanie małżeństwa. Wymyślimy jakiś powód.

Złapał ją za drugie ramię.

– Nikt nie piśnie ani słowem, kiedy do mnie wrócisz.

– Kiedy do ciebie wrócę?

– Przez to małżeństwo wyszedłem na durnia, ale możesz to naprawić. Wy tłumaczysz ojcu, że Repton to podlec. Powiesz mu, że cię oszukał, usidlił...

– Spencer!

Hugh drgnął na ten okrzyk.

Will jednym susem znalazł się przy nich.

– Puść ją natychmiast! – warknął.

Choć przestraszyła się, że Will zaraz wywoła scenę, odetchnęła z ulgą. Wyglądał groźnie, górując nad nimi. Jeszcze nigdy nie widziała go w takim gniewie. Wyrwała się ze słabnącego uścisku Hugh i podeszła do Willa.

– Proszę cię, chodźmy stąd.

Odsunął się od niej.

– Co ty tu robisz, do diabła, Spencer?

Hugh uśmiechnął się ze swą zwykłą arogancją.

– To Charlotte zacznie się teraz obracać w takim towarzystwie? Wśród takiej miernoty? Na nic lepszego cię nie stać?

Spojrzała na niego, mrużąc oczy.

– Na litość boską, Hugh, daj spokój!

Will, blady jak ściana, spoglądał na niego lodowatym wzrokiem.

– Jeżeli ci zależy na reputacji Charlotte, zostaw ją w końcu w spokoju.

– Jak śmiesz mnie pouczać! Wkrótce zostanę szóstym hrabią Harlowe...

– To moja żona.

– To znaczy, że zrezygnowałeś z wyprawy?

– To moja żona!

– Aha, twoja żona – zadrwił Hugh. – Ale czy naprawdę? Porozmawiajmy o tym. Pragnąłeś jej od samego początku. Widziałem, jak na nią patrzysz.

– Zamknij się! – warknął Will.

– Widziałem, jak knułeś, żeby się z nią związać. Poszedłeś za nami do lasu, gnany pożądaniem. I zostaniesz tak długo, aż go nie zaspokoisz.

– Dość tego, Hugh – powiedziała Charlotte.

Ku jej zdumieniu złapał ją w objęcia.

– Nie wolno ci tylko zajść w ciążę, Charlotte. Przed tym można się zabezpieczyć.

Resztę jego słów zagłuszył ryk Willa, który przygniół go do ściany.

Hugh jęknął, ale posłał mu śmiałe spojrzenie.

– To znaczy, że chcesz ją zbeczczyć do reszty? Żaden porządny człowiek jej nie zechce, jeśli będzie nosiła twojego bachora...

Will znowu uderzył nim o ścianę.

– Zostaw ją w spokoju!

– Niedługo zostanie moją żoną. Naprawdę ci się wydaje, że nas rozdzielisz?

– Nigdy do ciebie nie wróci. Trzymaj się od niej z daleka!

Serce Charlotte biło jak młotem. Widziała, jak zbielełe palce Willa zaciskają się na szyi Hugh, który zaczął się dusić i blednąć.

– Will, przestań!

Ale on jej nie słuchał.

– Nie zbliżaj się do niej – warczał głosem z głębi trzewi. – Jeśli dotkniesz jej choć raz, przysięgam... Obedrę cię żywcem ze skóry.

Pochylił się bliżej, żeby nie dotarła do niej reszta jego przerażających słów. Ale i tak je dosłyszała.

– Wiem, jak to się robi, Spencer. Widziałem na własne oczy.

Hugh cofnął się jak uderzony obuchem. Szarpał się, ale Will trzymał go w żelaznym uchwycie.

– Will, proszę cię.

Podeszła bliżej, przerażona, że powieki Hugh opadły, a jego skóra przybrała purpurowy kolor.

Hugh rzucał się bezradnie, ale nie tracił rezonu.

– Chryste Panie, ależ z ciebie dzikus. Po prostu szaleniectwo... – wycharczał. – Zastanów się dobrze... zanim zadrzesz z arystokratą.

– Zastanowiłem się – warknął Will.

Patrzyli na siebie wściekle.

Nie mogła do tego dopuścić. Hugh miał rację. Arystokraci rzeczywiście byli nietykalni.

Złapała Willa za nadgarstek, żeby go odciągnąć, ale równie dobrze mogła próbować przesunąć parowiec.

– Puść go.

Nie słuchał, a gdy Hugh wygiął usta w pełnym wyższości uśmiechu, zrobiło się jeszcze gorzej.

Stanęła więc przed Willem, objęła go za szyję. Zaskoczony, popatrzył na nią w końcu.

– Do diabła, Charlotte!

Ale w końcu odepchnął Hugh, objął ją opiekuńczo i przyciągnął do siebie.

– Co ty wyprawiasz?

– Nie będziecie się tu przecież bić – powiedziała łamiącym się głosem, tuląc się mocno do niego cała rozdygotana.

Oczy mu pociemniały ze zdenerwowania. Spojrzał, jakby chciał zapytać: „A właściwie, czemu nie?”

Szepnęła mu prosto do ucha:

– Bo on jest arystokratą. Każe cię aresztować i wsadzić do więzienia, a ja tego nie przeżyję.

Popatrzył zmrużonymi oczyma najpierw na Hugh a potem na nią. W końcu, zniesmaczony, opuścił wzrok.

– Niech i tak będzie – wycedził przez zęby, złapał ją za rękę i ruszył szybko przez korytarz, ciągnąc ją za sobą.

Choć utykał, musiała prawie biec, żeby dotrzymać mu kroku.

– Czy możesz trochę zwolnić?

Skręcił w pusty korytarz.

– Nie takiej zabawy się dziś spodziewałam.

Skrzywił się na te słowa. Może lepiej było nic nie mówić. Ale naprawdę, to wszystko było takie niesprawiedliwe. Nie tylko on był zdenerwowany. Przecież i ona dygotała jak osika. Hugh mógł mu zrobić krzywdę.

Chociaż, szczerze mówiąc, nie czuła żadnego osłabienia. Wręcz przeciwnie, szybko odzyskiwała energię.

Mimo wszystko powinien w końcu zwrócić na nią uwagę. Ponure milczenie świetnie pasowało do bohaterów powieści, w których się zaczytywała, ale w prawdziwym życiu wcale jej się nie podobało. A Will aż nazbyt często bywał ponury.

– Dzięki Bogu, że przyszedłeś na czas – wysapała bez tchu, poruszając się mało eleganckim kłusem. – Brak mi słów, by określić takie zachowanie Spencera. Jak on śmiał! Miał pretensję, że go wykorzystałam, co jest oczywiście kompletną bzdurą. Mężczyźni kompletnie tracą rozum, gdy ktoś urazi ich dumę.

Nareszcie. W końcu to powiedziała na głos. Niech Will zastanowi się teraz także i nad sobą.

Will zatrzymał się przy drzwiach i chwycił za klamkę. Zamknięte. Spróbował otworzyć kolejne. Również nie ustąpiły, więc ruszył dalej.

– Choć muszę cię pochwalić za to, że powstrzymałeś się od przemocy. Tym bardziej że poradziłyś sobie z nim bez trudu.

Przycisnęła rękę do piersi.

– Wcale by mi się to nie podobało. Tak bardzo się o ciebie bałam. Kto wie, do jakich podstępów mógłby się posunąć ten człowiek...

Will pchnął kolejne drzwi, które okazały się otwarte. Zajrzał do środka. Zadowolony z panującego w

pokoju półmroku puścił jej rękę – co było przykre – i bez słowa przepuścił ją do środka.

Pokój był zastawiony półkami i szafkami. Więcej nie zdążyła zauważyć, bo Will natychmiast zamknął drzwi, odcinając dopływ światła z korytarza. Tylko latarnie na Strandzie rzucały blask przez okna.

Will odwrócił się do niej.

– Nic ci nie zrobił?

W jego głosie brzmiało napięcie. Instynktownie przysunęła się bliżej.

– Nic a nic.

Jej wymarzony małżonek wziąłby ją natychmiast w ramiona, mrużąc do uszu czułe słówka. Pochyliła się ku niemu, uspokoiła i czekała, aż ją obejmie.

Czekała i czekała.

Will obszedł ją wkoło, przyglądając się jej badawczym wzrokiem i sprawdzając, czy powiedziała prawdę.

Wyglądał, jakby się niepokoił, że nie została pobita, podrapana ani zabita. Stał w rozkroku i wycelował w nią palcem.

– Po pierwsze, nigdy nie stawaj między pięścią mężczyzny a jej celem. Po drugie, mam gdzieś, że to wicehrabia. Po trzecie, nigdy więcej nie spotykaj się z nim sam na sam!

Otworzyła szeroko usta.

– To nie było sam na sam. – Zastanowiła się i dodała: – W każdym razie nie miałam takiego zamiaru. Dlaczego na mnie krzyczysz?

– Bo to niebezpieczny człowiek. Wyprowadził cię daleko od osób, które mogłyby ci pomóc.

– Wychodziłam z toalety dla dam. Poza tym... nie boję się go – skłamała, zakładając ramiona na piersi.

Zmrużył oczy, i zanim zdążyła coś dodać, mocne ramiona zamknęły się na jej ciele i obróciły ją jak frygę. Zakręciło jej się w głowie, a kiedy doszła do siebie, stała plecami do drzwi i nie mogła się ruszyć z miejsca. Więziły ją jego ręce, nogi... całe ciało. W tym mocnym kokonie zupełnie straciła rezon. Była taka bezpieczna. I było jej ciepło. A jego wargi były tuż przy niej.

Dlatego tak bardzo rozczarowało ją to, co powiedział.

– Spróbuj mi się wyrwać.

Zamrugnęła.

– Niby dlaczego?

– Żebyś się zaczęła bać.

W ciemności źrenice jego błękitnych oczu były ogromne. Na policzki wystąpił mu rumieniec. A w niej coś zapłonęło żywym ogniem. Potrząsnął nią lekko.

– No, spróbuj, Charlotte.

– Nie. Wcale nie chcę.

Jego głos zmienił się w gardłowe warknięcia.

– Więc mogę z tobą zrobić, co zechcę? Całować cię? Dotykać? Podciągnąć suknię i...

– I co? – Szczerze mówiąc, każda z tym propozycji jej odpowiadała.

Odwrócił głowę, klnąc pod nosem.

Biedaczysko, naprawdę się o nią martwił. Nie powinna się z nim drażnić. Najpierw nie pozwoliła mu się bić z Hugh, a teraz nie chce się z nim kłócić.

– To bez sensu, sam przecież wiesz – odpowiedziała łagodnie. Wyzwoliła jedną rękę, poprawiła kosmyk włosów na jego skroni i uśmiechnęła się, by rozproszyć jego chmurną minę.

– Dlaczego miałabym przed tobą uciekać?

Pochwyił palce bawiące się jego włosami i zamknął oczy. Ogarnęło ją znajome przygnębienie. Nie lubił, gdy się z nim przekomarzała ani zbliżała do niego. Zaraz się odsunie.

Ale dłoń trzymająca ją w talii zacisnęła się mocniej, a druga objęła z tyłu jej głowę. Przycisnął ją do drzwi i zaczął całować. Głęboko, coraz głębiej, jakby chciał coś przypieczętować.

Zamruczał z satysfakcji, a ona za każdym dźwiękiem dygotała z rozkoszy. Pragnęła tej siły, tego nacisku, choć bokobrody drapały ją w kąciki ust.

Błagam. Niech ta chwila trwa.

Jego pocałunki były zawsze zbyt krótkie.

Znajomy, kobiecy ból obudził się u podstawy jej ciała i rozwinął płatki jak egzotyczny kwiat, obejmując ją całą. Dygotała i pragnęła więcej, wciąż więcej. Ale przez bieliznę nic nie czuła. Przytuliła się bliżej.

– Moja suknia...

Zrozumiał jej desperację i ku jej zdziwieniu chwycił jej pośladki, żeby mogła go objąć w biodrach nogami, a potem gorącymi wargami zaczął pieścić jej szyję.

Krew w niej wrzała przy każdym dotyku.

Wszystkiego było jej mało. Zawsze jej było mało.

Teraz, kiedy miała swobodne ramiona, objęła go tak mocno, że ledwie mogła oddychać. Ale wewnątrz cała dygotała jak wulkan.

Proszę... niech to trwa wieki.

Jak on to robił?

Inni byli przystojni, opiekuńczy i silni. Ale ona potrzebowała tylko jego. Tylko jego pragnęła. Każdy jego pocałunek, każdy dotyk i każde spojrzenie budziły w niej pożądanie.

Minęło już kilka tygodni, kiedy razem przesiadywali wieczorami, rozmawiali po przyjacielsku i jedli razem kolacje, a jej namiętność wcale nie przygasła. Nie przypuszczała, że tak będzie.

Gorące usta były wszędzie. Była tak oszołomiona, że nie szukała pocałunków. Czuła jego dłoń pod suknią, pod krynoliną. Gorące palce obejmowały jej pośladki.

Wtulona w niego w ciemnym pokoju mogła tylko słuchać i czuć. Twarde mięśnie pleców poruszające się pod jej palcami. Jęki i wilgotne, płonące usta na skórze.

Buty, skrzypiące przy każdym ruchu na drewnianej posadzce.

W głowie kręciło jej się od tych odgłosów namiętności, aż nagle...

– Na pewno nie ma tu nikogo – rozległ się z korytarza niechętny głos. – Pozamykaliśmy przecież wszystkie drzwi.

Dłoń Willa stłumiła jej zaskoczony okrzyk. Była ciepła, mocna i pokryta odciskami. I podniecająca...

Nawet w najdzikszych fantazjach... Zadygotała z pożądania, a on wzmocnił chwyt.

– Wszystko w porządku – szepnął jej do ucha.

O, tak... wszystko było w jak najlepszym porządku.

Dygotała nieopanowanie. Powieki jej opadły i poddała się tej słodkiej niewoli.

Na korytarzu rozległ się drugi głos:

– Co go obchodzi, jeśli jakaś napalona parka ukryła się tu, żeby się zabawić?

Ktoś szarpnął klamkę drzwi po drugiej stronie. Zagrzechotała, ale się nie obróciła.

– Widzisz? Wszystko pozamykane.

Will błyskawicznie zablokował klamkę. W sam czas, bo ten ktoś szarpnął ją także.

– Chodźmy stąd – zaproponował pierwszy głos. – Powiemy jego wrednej lordowskiej mości, że zaspokoiliśmy swoją ciekawość w kwestii parki kochanków. Cholerni arystokraci. Myślą, że każdy jest na ich usługi.

Głosy ucichły, a Will i Charlotte ciężko oddychali w ciszy pokoju.

Rozluźnił chwyt. Opadła na jego twarde ramię. Owszem, cholerni arystokraci. Hugh wysłał tych ludzi na poszukiwanie... a oni przerwali najbardziej obiecujący pocałunek, jakim Will obdarzył ją od tygodni.

Odsunął się, a jej pantofelki dotknęły ziemi.

Nie... nie... proszę...

Chwyła jego frak, ale odsunął się jeszcze dalej.

– Co ja wyprawiam, do diabła? – mruknął.

Pogarda w jego głosie natychmiast ją otrzeźwiła. Popatrzyła na niego w ciemności. Stał w rozkroku, z rękami na biodrach, oddychając gwałtownie. Spodnie rozpychał mu potężny wzwód. Na ten widok znowu zalała ją fala pożądania.

Cicho przeszedł na drugą stronę pokoju.

– Spencer ich tu przysłał.

Bez wątpienia. Był na tym balu jedynym arystokratą, poza burmistrzem.

Pokręcił głową.

– Wiedziałem, że Spencer będzie zazdrosny, ale to...

Co mogła na to odpowiedzieć... Hugh zachował się fatalnie... ale przecież dawała mu nadzieję od miesiący. Może ona również była w pewnym stopniu odpowiedzialna za jego zachowanie?

– On chce cię odzyskać – stwierdził.

– Podejrzewam, że tak – odparła. Wydało jej się to kompletnym absurdem.

Zatrzymał się jak wryty, wpatrując się w nią oszołomionym wzrokiem.

– Tylko podejrzewasz?

Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

– A co niby mam zrobić?

– Nie pozwalam ci się zbliżyć do tego łajdaka!

– A ja wolałabym, żebyś... – Zamrugła, bo zaczęły do nich napływać gorące łzy. Do diabła z tym wszystkim! Dlaczego zawsze jej się chce płakać przy kłótniach?

– Żebym co?

W gardle ją ścisnęło. Will pewnie jeszcze bardziej się przez to na nią zirytował.

– Chcę już iść do domu. Całkiem popsuję mi wieczór.

– Ja?

– Proszę cię, wezwij powóz. Muszę przeprosić towarzystwo.

Odwrócił się, klnąc cicho.

Nie wiedząc, co robić, czekała w milczeniu. Przecież powinien przeprosić, prawda? Mąż nie powinien napominać żony jak niegrzecznego dziecka. Ani przeklinać w jej obecności. Ben nigdy się tak nie odzywał do Lucy.

Serce ją bolało. W takich chwilach bardzo brakowało jej siostry. Lucy wiedziałyby, co robić.

Will potarł skronie, jak zwykle, kiedy był zmęczony.

– Nie musimy jeszcze wychodzić, Charlotte. Zatańczyłaś tylko jeden taniec.

Nawet w jego głosie brzmiało znużenie. Z jej powodu.

– Nie mam już ochoty tańczyć – odpowiedziała żałośnie.

– Dobrze.

Warknął to takim tonem, że podskoczyła. Rzucił się ku drzwiom, otworzył je na oścież i gestem polecił, by przeszła przodem.

– Jeszcze nie skończyliśmy rozmowy na ten temat.

19

Do diabła! Na pewno nie skończyli z tematem Spencera.

Will przebierał palcami po ścianie powozu, czekając, aż Charlotte ze swoim zwykłym wdziękiem wsunie się do środka, z szelestem sukni. Wsiadła bez pomocy, ignorując wyciągniętą ku niej dłoń.

Przez ten zdradziecki gest o mało nie trzasnęła drzwiami i nie odesłał jej samej do domu. Dorozką mógłby w pół godziny dostać się do domu Spencera...

Charlotte usadowiła się w powozie i zaciągnęła zasłony, celowo unikając jego spojrzenia. Niech diabli wezmą tego człowieka. To wszystko przez niego.

Niewielki tłumek gości wyszedł na podjazd, żeby ich pożegnać i pogapić się jeszcze na jego piękną żonę. Do diabła, powrót osobno nie wchodzi w grę.

Wsiadł do powozu i usadowił się naprzeciw niej. Powóz zakołysał się od jego ciężaru. Zastukał w dach, żeby stangret ruszył i rozpoczął tak zwaną rozmowę. Właściwie trudno to było nazwać rozmową, bo była jednostronna.

Ta kobieta wybrała akurat ten jeden jedyny moment w całej ich znajomości, żeby zachować milczenie.

– Co ja takiego zrobiłem, Charlotte? – Przekreślił głowę, żeby pochwycić jej spojrzenie. – Chcę tylko, żebyś była bezpieczna.

Odwróciła się jeszcze bardziej w stronę okna.

– Nie wolno ci nigdzie wychodzić beze mnie – dodał – dopóki się nie zastanowię, co z tym zrobić.

Wydęła dolną wargę, co natychmiast przyciągnęło jego wzrok.

– Nic mi nie odpowiesz?

– Wiele razy bywałam w Somerset House, głównie na wystawach, ale nigdy nie widziałam tych sal. Były całkiem niezłe przygotowane na dzisiejszy bal. Choć ta suknia lepiej się prezentuje w blasku świec.

Zmełł w ustach przekleństwo.

– Nie o to mi chodziło i dobrze o tym wiesz.

Odsunęła się, by ich nogi nie stykały się ze sobą.

– A ty dobrze wiesz, że nie lubię się kłócić. Jesteś moim mężem, więc nie powinieneś mnie do tego nakłaniać.

– Próbuję z tobą porozmawiać.

– Krzyczałeś na mnie.

– Wcale nie... Do diabła, martwiłem się o ciebie!

– Teraz też krzyczysz.

Złapał się za głowę, a potem opuścił ją tak nisko, że niemal wylądowała na jej kolanach.

Spencer jej pragnął, był pewien, że ona do niego wróci. A on za nic nie zamierzał do tego dopuścić. Ale jak daleko tamten może się posunąć?

Zresztą Charlotte miała rację. Trzeba nauczyć się panować nad swoim gniewem, bo inaczej do niczego nie dojdą.

Do diabła, zresztą nie tylko gniew powinien lepiej kontrolować. Gdyby ci ludzie nie przyszli, uwolniłby swój członek i wsunął go w jej cudowne, pachnące ciało, tam, pod tą ścianą. Coraz trudniej było się jej oprzeć. Fakt, popełnił błąd, podnosząc głos. Już raz to zrobił, a ona się wtedy rozpląkała. A Charlotte Baker nie powinna płakać.

– Przepraszam, że na ciebie krzychałem.

Bał się, że powiedział to zbyt cicho, ale usłyszała i natychmiast się do niego odwróciła.

– A ja przepraszam, że przysporzyłam ci więcej zmartwień.

Zmęczenie brzmiące w jej słowach sprawiło, że podniósł głowę. Dlaczego na nią krzychał? Powinien ją po prostu stamtąd zabrać, jak tylko ją odnalazł.

Wyciągnęła do niego rękę, a on natychmiast się cofnął.

Sam nie wiedział dlaczego.

Poza tym, że w przeciwnym razie posadziłby ją sobie na kolanach i zabrał się do tego, co przerwało im nadejście tamtych ludzi.

I to nie z powodu zwykłego, prostego požądania. Z nią nic nie było proste.

Zrobiła urażoną minę, więc odezwał się, żeby odwrócić jej uwagę.

– Nie zmienia to... faktu, że Spencer będzie ci się narzucał. A to, co powiedział o...

– O dziecku?

Spochmurniał, nie patrząc jej w oczy.

– Te groźby są bez sensu – stwierdziła cicho. – Dziecko nie wchodzi w grę.

– Wiem, ale...

– Jego zachowanie, choć obrzydliwe, jest uzasadnione. Za dwa miesiące rozstaniesz się ze mną. Poza tym... nie wyszłam za ciebie po to, żebyś mnie bronił.

Z każdą chwilą bardziej upadał na duchu. To dlaczego za niego wyszła? Po to, żeby zachować reputację, nie inaczej.

Czy oznaczało to też, że ma z nią chodzić na kolacje i tańce? Dziś po raz pierwszy go o to poprosiła. Ale na tym balu nie było nikogo z jej kręgu znajomych.

Czyżby się go wstydziła? Aż tak bardzo się różnił od wszystkich?

Spojrzał przez okno.

„Dzikus”. Tak go nazwał Spencer.

Był postacią z pierwszych stron gazet, atrakcją karnawałową. Naprawdę był inny.

Kiedy Charlotte się od niego uwolni, znajdzie sobie pewnie kogoś z towarzystwa. Ale chyba nie kogoś takiego jak Spencer? A jeśli ten mężczyzna ją zrani, tak jak ten łajdak? Albo będzie ją do czegoś zmuszał? Albo traktował jak gorszą od siebie?

Była niepokojąco spokojna. Nie miał pojęcia, o co ją pytać. Sam też nie był pewny, czy jest gotów usłyszeć to, co mogłaby wtedy odpowiedzieć. Reszta drogi minęła więc im w milczeniu.

Nie spojrzała na niego nawet, gdy pomagał jej wysiąść z powozu. Ale przynajmniej pozwoliła sobie pomóc.

Minęła go, żeby wydać polecenia Goodleyowi.

– Czy możesz przysłać do mnie Patty?

Lokaj skłonił głowę.

– Tak, panienko.

Weszła na schody. Ruszył za nią ciężkim krokiem.

– Charlotte...

– Zaraz przyjdzie Patty.

– To ją odeślesz. Nie wiesz, do czego są zdolni mężczyźni pokroju Spencera. Widziałem, jak zmieniają się w zwierzęta niemal bez powodu.

– Przestań. – Spojrzała do niego. – Nie rozumiem takich rzeczy. Wcześniej powiedziałaś, że... że można człowieka obedrzeć żywcem ze skóry. I że to widziałeś.

Zajrzała mu w oczy, ale nie pozwolił sobie na okazanie żadnych uczuć, poza pulsem na szyi, który bił jak oszalały.

Podeszła bliżej, a na jej pięknej twarzy odmalowała się troska.

– Czasem mówisz rzeczy, które mnie niepokoją. – Mięła w dłoniach fałdy sukni, wpatrując się w niego błagalnym, uważnym spojrzeniem. – Mam ci wierzyć? Nigdy mi nie powiedziałaś, co zdarzyło się pod koniec waszej wyprawy...

– Charlotte...

– Ani jak odniosłeś te rany.

– Niektórych rzeczy nie mówi się nawet żonie.

– Wiem, ale...

– A ty nie jesteś tak naprawdę moją żoną – dodał, przerywając jej uniesieniem dłoni. Jej twarz zapadła się w sobie, a w nim zapłonął wściekły gniew na siebie samego.

Ktoś cicho zapukał do drzwi. Pokojówka zajrzała przez szparę.

– Może przyjdę za parę minut, Charlotte?

Zamrugła oczyma.

– Tak, Patty, przyjdź później.

Ale on nie mógł już tego dłużej wytrzymać. Odwrócił się na pięcie i uciekł do swojej sypialni, której do tej pory nigdy nie używał.

Charlotte ruszyła za nim, ale ku jej zdumieniu zamknął drzwi między ich pokojami.

Patty uniosła brwi, wyczuwając napięcie panujące w pokoju.

– Czy to oznacza koniec miesiąca miodowego, kochanie?

– Skądże. To nic takiego – odpowiedziała Charlotte.

– W takim razie przekaż to szybko swojemu mężowi. Wyglądał jak Jacob, kiedy musi zjeść zielony

groszek.

Charlotte stanęła niepewnie na środku sypialni. Iść za nim? A może potrzebuje przez chwilę być sam? Z dala od niej?

Ciężko opadła na krzesło, a Patty zaczęła rozpinąć jej suknię.

– O co się właściwie pokłóciliście?

Właśnie, o co? Oparła głowę na dłoni. W sercu uważała Willa za swego męża, ale przecież nie była jego żoną. Raczej zmartwieniem, w najlepszym razie.

– O nic takiego, Patty. On teraz musi sobie wszystko przemyśleć. A ja będę postępować tak jak zwykle. Dam mu czas, żeby sobie uświadomił, że mu tak naprawdę na niczym nie zależy.

– Nie opowiadaj bzdur. – Patty trąciła ją, żeby wstała, a potem zdjęła z niej suknię i rozsznurowała gorset. Nie odzywała się już więcej. Charlotte wyczuła w jej milczeniu dezaprobatę, ale nie sprzeciw. Może niepotrzebnie się przejmowała. Może tamte wydarzenia w Chinach jakoś się same z czasem poukładały. Przecież Willa przestały trapić koszmary. Był całkiem spokojny. A nawet szczęśliwy.

Will otworzył drzwi i chrząknął na znak, że wchodzi do sypialni. Zatrzymał się zakłopotany, wbijając wzrok w dywan. Zawsze tak robił, kiedy przyłapał ją nie w pełni ubraną.

Jakie to słodkie... przecież i tak była w halce i koszuli.

– Może zjedlibyśmy kolację, Charlotte?

Świetnie. Już o wszystkim zapomniał. Ale przecież nie może udawać, że mu tak całkiem wybaczyła. Dama powinna mieć choć trochę dumy.

– Masz ochotę? To zjedz sam. Ja mam ochotę się wykąpać. Chłodno mi się zrobiło po tym wieczorze.

Podeszła do wanny.

Patty wymieniła pełne współczucia spojrzenie z jej małżonkiem, co zdaniem Charlotte było rażącym brakiem lojalności.

W pachnącej różanym olejkiem, gorącej, parującej wodzie wytrzymała nie dłużej niż minutę.

– Do licha z tym wszystkim – mruknęła, wychodząc z wanny. Chciała być z Willem. Chyba bardziej się dla niej liczył niż honor.

Pośpiesznie włożyła szlafrok, ale nie zastała go w pokoju. Pewnie szedł na dół na kolację. Nie zwracając sobie głowy dzwonieniem na Patty, usiadła przy ogniu, rozpuściła włosy i zaczęła pośpiesznie szcztokować długie, skręcone loki. Zmusiła się, by zwolnić.

To żalosne, jak bardzo jej na nim zależało, jak bardzo chciała z nim być przez cały czas.

Zresztą nie tylko ona. Na tym balu wszyscy wyciągali szyje i pchali się ku nim. Will, skromny jak zwykle, w ogóle nie zdawał sobie sprawy, jakie spowodował zamieszanie.

Tak samo nie zwracał uwagi na karty wizytowe od dam, które miały ochotę go poznać. Mężczyźni rzadko składali oficjalne wizyty. Zostawiali to żonom. Nagle Charlotte zaczęła otrzymywać po dwie karty wizytowe – jedną dla siebie, a drugą dla Willa. Gdyby został, na pewno zaczęliby bywać w najlepszym towarzystwie.

Ale jakie to miało znaczenie? Przecież ich małżeństwo nie przetrwa do następnego sezonu towarzyskiego.

Ile zaproszeń odrzuciła, chcąc mieć Willa tylko dla siebie? Żaden wieczór na mieście nie mógł się równać wspólnej kolacji i rozmowom, które prowadzili potem w gabinecie i w łóżku, leżąc tuż obok siebie.

Jedynym wyjątkiem było to dzisiejsze zaproszenie – głównie dlatego, że na balu miało być wielu jego znajomych. Poza tym marzyła, żeby z nim zatańczyć.

Wtedy pojawił się Hugh.

Jak szybko wszystkie jej marzenia obróciły się wniwecz. Myślała, że małżeństwo z bohaterem będzie tak fascynujące, że cały Londyn będzie się ubiegać o ich obecność na każdym wieczorku i balu. Wszyscy zaczną zapraszać Lucy i Bena, którzy z powrotem staną się mile widziani w towarzystwie. Wally zacznie mieć przyjaciół. Dzieci nigdy nie usłyszą złośliwych komentarzy za plecami.

Nawet jej wymarzony mężczyzna...

Nie. Will był kimś więcej niż mężczyzną z marzeń. Był wyzwaniem, był trudny, uparty i męski. Bardziej opiekuńczy, honorowy i inspirujący. O wiele wspanialszy od marzeń. Nawet jej szalona wyobraźnia nie potrafiła wyśnić kogoś takiego.

Nawet teraz mogła sobie wyobrazić, że ich małżeństwo jest pełne miłości. Pewnie by się kłócili i godzili. Uczyliby się siebie nawzajem, zadawali sobie rany i leczyli się z nich. Całowaliby się na dobranoc, kochali się i zasypiali w swoich ramionach. Mieliby dziecko. Byłaby matką.

Miałaby miłość.

Czy to marzenie także się rozwiało?

Szczotka opadła ciężko na kolana.

Nie, ta kłótnia była nieważna. Podobnie jak wszystko, co dotyczyło ich małżeństwa.

Przecież to były tylko marzenia.

– Charlotte?

Will stał oparty o framugę drzwi, wciąż w spodniach i koszuli.

– Och.

Zawstydzona, że przyłapał ją w chwili smutku, wstała i usiadła przy toalecie.

– Nie słyszałam, jak wróciłeś.

– Będziesz się już do mnie odzywać?

Uśmiechnęła się.

– Myślę, że tak.

Przysunął sobie krzesło i usiadł blisko niej.

– Nie jesteś na mnie zła.

To nie było pytanie. Dobrze znał jej nastroje. Ale coś w nim nie pozwalało mu uwierzyć, że ona mu wybacza, że zgadza się na wszystko. Może dlatego nie potrafił jej pokochać.

Odparła więc najradośniej, jak potrafiła.

– Próbowałam się rozzłościć, słowo honoru.

Nie odpowiedział uśmiechem.

– Może mam jakiś defekt. Nie obrażam się tak głęboko jak inni ani tak, jak powinnam. Po prostu nie

umiem się złościć. Tak jakby wewnątrz był balon z powietrzem. Kiedy smutek próbuje mnie wciągnąć głęboko pod wodę, nie tonę, bo coś mnie wynosi na powierzchnię.

Zarumieniła się w ciszy, która zapadła pomiędzy nimi.

– Nie umiem tego inaczej wytłumaczyć.

– Świetnie ci poszło.

Nie odrywał od niej oczu, a na wargach zagrał mu uśmiezek.

– I nie masz żadnego defektu.

W takich chwilach trudno było spojrzeć mu w oczy.

Coś zaiskrzyło w pustce między nimi. Tyle mogłoby się zdarzyć.

Często miała takie wrażenie.

Mogłaby na przykład ulec temu dziwnemu naciskowi w okolicy obojczyka i paść mu w ramiona. Albo roześmiać się, zapleść włosy i cały czas pamiętać, że to tylko krótkotrwały, szczęśliwy sen.

Choć jej ciało instynktownie pragnęło czegoś innego, wybrała tę drugą możliwość.

Napięcie zelzało i Will poprawił się na krześle.

– Rzadko widuję cię z rozpuszczonymi włosami. Wyglądasz zupełnie inaczej. Jak dziewczyna.

– Miałam nadzieję, że to widać na pierwszy rzut oka.

– To znaczy, jak zwykła dziewczyna ze wsi. Nietknięta, niewinna. Nie, jak uznana piękność z balu londyńskich ogrodników.

Ujął w dłoń długie pasmo włosów i przyglądał mu się w świetle.

– Piłeś wino na kolację? – zakpiła, choć wcale nie była w nastroju.

– Czemu?

– Po winie zawsze stajesz się bardziej wymowny.

Odebrała mu ten lok.

– I bardziej czuły.

Usiadł wygodniej.

– Może należy mi się kieliszek. Żona wygoniła mnie z sypialni.

– Ojej. Musi być okropna.

– Rozzłościłem ją. Może zbyt ostro ostrzegałem ją przed pewną osobą.

Błagam... nie wracajmy już do Hugh.

Wymienili długie, spokojne spojrzenie. Will spoglądał ponuro, jakby na coś czekał, ale ona nie chciała się z nim spierać.

– Miło by było się napić herbaty, prawda? Mam ochotę...

Złapał ją za rękę, zanim zdążyła wstać.

– Nie słucha moich rad, choć chodzi mi o jej bezpieczeństwo.

Nie da jej spokoju.

– Może nie chce być traktowana jak dziecko.

– Może nie chce przyjąć do wiadomości, do czego potrafią się posunąć niektórzy mężczyźni.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju.

– Co zrobisz, kiedy odzyskasz wolność, Charlotte? On na serio chce ciebie odzyskać.

Skrzywiła się, słysząc o wolności.

– W tej chwili, owszem.

Zatrzymał się w pół kroku.

– Więc?

– Więc to jest przemijający kaprys. Wydaje mu się, że chce się pogodzić. Ale przyszły hrabia naprawdę nie narzeka na brak kobiecych względów. Poza tym to nie twoja sprawa.

Och.

Och, nie.

Chyba tym razem przesadziła.

Will zbladł, a potem ściągnął brwi.

– Rozumiem – powiedział cicho, co było jeszcze bardziej niepokojące. Utykając, wyszedł do swojej sypialni. Trzasnęła szuflada. Drzwi garderoby zaskrzypiały w proteście. Jakaś tkanina zaczęła pękać w szwach.

Gwałtowne odgłosy nie cichły, więc wstała. Potem usiadła. Potem znowu wstała.

Powinna go przeprosić za te głupie słowa. Will czuł się za nią odpowiedzialny. Nie powinna mu uświadamiać, że jest inaczej.

Wrócił, ciasno zawiązując pasek od szlafroka.

– Świetnie. Ponieważ twoje układy z wicehrabią to nie moja sprawa, idę do łóżka. Pocałuj mnie na dobranoc.

Twarz miał kamienną, mięśnie ramion napięte, a w rozchyłonym szlafroku było widać umięśnioną pierś.

Po raz pierwszy nie miała ochoty na ich wieczorny rytuał.

Will był dziś równie zdolny do czułych objęć, jak głaz z górskiego zbocza.

Wstała powoli.

– Naturalnie, nie miałam na myśli...

Niecierpliwie złapał ją w ramiona.

– Will, uważaj. Przepraszam...

Pocałunek stłumił jej dalsze słowa. Natychmiast go poczuła... przez cienką nocną koszulę. Był zupełnie swobodny, niespętany przez żadne tkaniny. W szczególności pewna jego część. Raczej dość długa.

Jęknęła zaskoczona.

W odpowiedzi przerwał pocałunek i mruknął:

– Co tam?

– Twoja nocna koszula... Gdzie się podziała?

Zamrugał i popatrzył w stronę sypialni, jakby porzucona koszula właśnie zawołała go po imieniu.

Przełknął ślinę.

– Ja... nie mam jej na sobie.

– Zauważyłam.

– Śpieszyłem się – powiedział. – Poza tym nie chcę już nosić tej bzdurnej szmaty. Jak jakaś wstydliva dziewczyna.

Przez chwilę stali bez ruchu. Czekał na odpowiedź, a ona go rozczarowała, bo na chwilę odebrało jej mowę. Zastanawiała się nad tą dziewczyną. Wprawdzie to jej nie dotyczyło. Była dziewczyną, ale na pewno nie wstydliwą.

Dlaczego się nie odsuwał? Normalnie, gdy ta część jego ciała zaczynała drgać w jej objęciach, odsuwał ją i odchodził na drugą stronę pokoju. Czasami nawet do innego pokoju, na inne piętro albo do innej dzielnicy miasta.

Oblizwał wargi. W powietrzu rozszedł się zapach ciemnego, korzennego wina, który przedtem czuła na jego języku. Czy wypił za dużo? Czy dlatego jej nie puścił? Dlaczego nie poprawił tego szlafroka?

Co dziwniejsze, subtelnie, niemal eksperymentalnie poruszył biodrami i – na litość boską – wsunął się między jej uda, dotykając samego rdzenia jej istoty. Drgnęła i otworzyła oczy, gdy przeszył ją dreszcz rozkoszy.

Ojej, był taki wielki... i nawet jeszcze nie był podniecony. Nie rozumiała, dlaczego ją to tak ekscytuje, ale jej pierwotna natura wyraźnie wiedziała, o co chodzi, i bardzo się z tego cieszyła. Kiedy jeszcze raz się poruszył, poddała się.

Z jej warg wymknęło się westchnienie. Głowa opadła jej do tyłu w milczącym geście uległości.

Ciepłe dłonie pieściły jej pośladki, obejmowały ją, wtulały w jego ciało. Skubał zębami jej szyję, płatek ucha, szczękę, wargi. Pewnie zaraz przestanie. Jak zwykle. Ale na razie... był tak niesłychanie czuły...

– Charlotte? – Ugryzł ją lekko w dolną wargę, by oprzytomniała. – Charlotte?

Zmusiła się, by unieść ciężkie powieki. Objął ją za szyję. Na pewno słyszał jej serce, jej duszę. Wreszcie wszystko zrozumiał.

Pochylił się bliżej. Jego wargi znalazły się tuż przy niej.

– Troszczę się o ciebie. Rozumiesz? Nie możesz być z kimś takim jak on.

Dlaczego się w ogóle odzywał? Przyciągnęła jego głowę, by zamknąć mu usta pocałunkiem, ale jak zawsze odsunął się, raniąc jej serce.

– Słyszałaś?

– Tak – szepnęła. – Słyszałam wszystko i nie zapomnę ani słowa.

Chwyciła go za włosy, zapominając o delikatności. Koniecznie chciała, żeby jej uwierzył, żeby to do niego dotarło.

Powoli, głęboko uciskał palcami jej szyję. Jakby nie wiedział, co robi. Powieki miał ciężkie z pożądania i oddychał urywanie. Jego męskość, wtulona w jej ciało, powiększała się i twardniała. Zachwyciło ją, że to z jej powodu. Jego pożądanie należało do niej. Dobre i to, jeżeli nie może jej dać miłości.

Tej nocy... może tej nocy uda się go przekonać...

– Chcę, żebyś mnie dotykał tak jak wtedy w lesie.

Pocałowała go w napięte, nieruchome wargi.

– Chcę poczuć na sobie twoje ciało.

Pocałowała go w podbródek.

– Chcę poczuć twoje spełnienie, kiedy na mnie leżysz, bo wiem, że ty także mnie pragniesz.

Pocałowała go w policzek, w brwi, w skroń... a jego ręce zsunęły się z jej ciała.

– Nie, Will... nie odchodź.

– Boże... Charlotte...

Nie dała się zbyć. Jego ciepły członek leżał na jej udzie i nie wiotczał.

Całowała szczękę i szyję swego męża, potem przesunęła wargi niżej i liznęła podstawę szyi. Chyba mu się spodobało.

Jęknął i poczuła, jak wibruje jego gardło.

Klatka piersiowa była taka twarda... Wsunęła dłonie pod szlafrok, rozchyliła go, by znaleźć się bliżej.

Przytrzymał jej dłonie przy swej talii, tam, gdzie mięśnie pleców rozszerzały się ku górze.

Znieruchomiła i wzięła głęboki oddech.

– Nie odrzucaj mnie... Chcę cię zobaczyć

Pochylił głowę i dotknął wargami jej ramienia. Czują na policzku, jak bije mu serce. Mogłaby tak trwać przez wieczność.

– Ciekawsza Charlotte... widziałaś kiedyś nagiego mężczyznę?

Pokręciła lekko głową, nie chcąc nawet na sekundę odrywać się od jego ciała.

– Oglądałam podręczniki anatomii i marmurowe rzeźby w British Museum, i japońskie drzeworyty, ale one nie do końca oddawały rzeczywistość... a raczej...

– Rozumiem.

Pogłaskał ją po włosach i przytulił się do niej, by ucichła.

– Rozumiem – szepnął.

Nie schodząc z niej, rozwiązał pasek i rozchylił szeroko szlafrok.

Boleśnie świadoma, jaki jest silny i duży i jak ulotna jest ta chwila, wpatrywała się w jego szyję.

Bardzo lubiła ten widok. Chociaż właściwie wszystko w nim jej się podobało...

Zrzucił szlafrok, który zsunął się na podłogę.

Poczuła na uchu jego gorący oddech.

– Popatrz na mnie.

Ciekawe, ile on musiał wypić?

Ten gardłowy głos przyprawił ją o dreszcze od stóp do głów. Oparła się dłońmi o jego potężną pierś i skierowała wzrok w dół. Uśmiechnęła się do szczupłego, muskularnego torsu, do szczupłych, jakby rzeźbionych bioder, potężnych ud i twardego brzucha. I w końcu do jego pokrytej żyłkami męskości wtulonej w jej brzuch i aksamitnego, ciężkiego saka, który wydał jej się miękki i bezbronny.

– Ojej... – szepnęła.

– Czy tego się spodziewałaś?

Przytuliła głowę do jego piersi. Ogarnęła ją fala gorąca. Dotknęła dłońmi twardego jak kamień

brzucha, ale nie odważyła się przesunąć ich niżej.

– Takie i siakie...

Pieszczota jego rąk na chwilę ustała.

– Co to znaczy?

– Kiedyś spytałam Wally'ego, czy wszystkie męskie narządy są takie same, a on odpowiedział, że są takie i siakie. Ale to właściwie żadna odpowiedź.

Znieruchomiał.

– Spytałaś brata o takie rzeczy?

– Byłam ciekawa.

– Oczywiście, jak zwykle – mruknął. – Takie i siakie, mówisz?

Ujął jej dłoń i zacisnął na sobie.

– Ja jestem trochę większy niż przeciętnie.

Jej dotyk odebrał mu dech w piersiach. Bała się poruszyć dłonią, więc tylko go dotykała. Przykrył ją swoją ręką i zaczął nią przesuwać od podstawy aż do czubka. Był tak duży, że ledwie mogła zamknąć na nim palce.

Ten ruch ją zafascynował. Zamknęła oczy, wyobrażając sobie ten pulsujący mięsień w swoim wnętrzu. Ulegając fali pożądania, naparła na niego, czując, jak słabną jej nogi.

Przestraszyła się, że zaraz upadnie. Nie... dosłownie mdlała z rozkoszy, a omdlenia były takie wulgarne...

Will uratował jej godność. – Wziął ją na ręce i położył na łóżku. Jego nagie ciało znalazło się na niej, ale pokój w dalszym ciągu wirował jak szalony.

Will jęknął, uniósł się i przesunął się niżej.

– Nie... Will?

Próbowała chwycić jego ramiona, ale nie zdążyła. Przycisnął ją do materaca, żeby nie usiadła.

– Zrób to tak samo, jak przedtem.

Podciągnął jej peniuar, delikatnie rozsunął nogi i pocałował czule nad kolanem, aż drgnęła i zadygotała.

– Och... podoba mi się to, ale... przedtem... – Z trudem wypowiadała te słowa.

Kolejny miękki, czuły pocałunek.

– Wiem. Obiecuję. Uspokój się, kochanie.

Kochanie. Nigdy jej tak przedtem nie nazywał. Nie używał żadnych czułych słówek. Uśmiechnęła się i zamknęła oczy, próbując się odprężyć.

Była taka cierpliwa – choć to nie leżało w jej charakterze – czekając tyle czasu na pieszczoty podobne do tych, jakimi darzyli się nawzajem w pustelni.

To już za chwilę. Tylko niech nic go teraz nie rozproszy. Gdy tylko przestanie całować jej kolana i uda, i jej... och, pocałował ją tam wyżej. Ależ to łaskotało...

Wsunął głowę pod koszulę. Otworzyła oczy. Przecież on zaraz wszystko zobaczy!

– Will?

Przytrzymał ją ręką na łóżku. Och tak, na pewno ją widział. Całą. Nie wiedziała, co robić z nogami, więc zarzuciła mu je na ramiona. Poczwała, jak rozchyła ją palcami, a potem owiewa to miejsce ciepłym oddechem... a potem całuje, gorąco i intymnie...

Och... to było co najmniej nieprzyzwoite, to było...

– Boże...

Jego szorstki język zaczął poruszać się powoli i celowo. Drażnił ją i darzył rozkoszą, która graniczyła z bólem. Pod koniec musiał siłą przytrzymać dygocące biodra. Ssał i łaskotał, poruszając mocnymi, umięśnionymi pośladkami w erotycznym rytmie.

Jęczała głośno jak ladacznica, ale nie potrafiła się powstrzymać ani odwrócić wzroku od potężnego, mocnego ciała, które dawało jej tyle przyjemności.

Słodki ból narastał bez końca. Obejmowała go ciasno nogami, pragnąc coraz bardziej i bardziej, pragnąc jego ciała w swoim.

– Proszę cię... tak cię proszę...

Ścisnęła dłonią jej pierś. Powinno zaboleć, ale tylko ją uspokoiło.

Był taki silny, obejmował ją tak ciasno, że brakowało jej powietrza. Potem poczuła w sobie jego palec i zadrżała. Wygięła się w łuk, odrzucając głowę na poduszkę. Rzuciła się po materacu, aż jej ciało w końcu opadło bezwładnie, sparaliżowane rozkoszą.

Drżała gorączkowo, aż wreszcie się nad nią zmiłował, ukoił ją pieszczotą języka i delikatnie wysunął z niej palce.

Rozdygotany, uniósł się na łokciach i zaczął ją całować. Pocałunek miał smak jej wnętrza. Chciała go uniknąć, ale nie pozwolił na to. Wsunął palce w jej jedwabiste włosy, przytrzymał u podstawy szyi i pocałował głęboko i długo.

Boże, miał wrażenie, że zaraz eksploduje. Jego członek był twardy jak granit i niemal wrywał się ku miękkiej pochwie, która była tak kusząca i bliska. Ale Will nigdy nie tracił panowania nad sobą.

Ta rozkosz nie była dla niego.

Uśmiechnął się i przerwał pocałunek.

– Podobało ci się? Jeszcze nigdy czegoś takiego nie robiłem.

Z jej gardła dobiegł urywany, niegodny damy odgłos.

Zaśmiał się, a ona zasłoniła sobie usta dłonią i pośpiesznie skinęła głową.

Śmiał się jeszcze, gdy pocałował ją znowu, zupełnie zatracając się w jej erotycznym smaku. Zawsze marzył, żeby dotknąć kobietę ustami w tym miejscu, zanim poznał nazwę tej pieszczoty.

– Cudownie smakujesz – szepnął.

– Chciałabym...

– Czego byś chciała, kochanie?

– Chciałabym coś powiedzieć... to znaczy pomyśleć.

Zaśmiał się znowu.

– Chyba jednak coś powiedzieć, o ile cię znam.

– Jak to się nazywa? To... smakowanie?

Szepnął jej to słowo prosto do ucha. Zadygotała. Lubiła się uczyć nowych słów.

– Will...? – Odgarnęła mu włosy z czoła. W jej oczach błysnęła czujność.

Nigdy nie posunął się z nią tak daleko. Nic dziwnego, że poczuła się niepewnie.

– Ile wypiełeś tego wina? – spytała.

– Pół kieliszka.

– Tylko tyle?

Ułożył członek na wilgotnych fałdach jej ciała, uważając, by nie wejść do środka. Był tak naprężony, że sprawiał mu ból, ale to był ból pełen rozkoszy. Przysunął się do niej biodrami i poruszał nimi powoli i spokojnie.

– Dojdź, Charlotte. Dojdź dla mnie.

Kołysał się coraz szybciej, coraz mocniej... Ruch ich ciał sprawił, że zaćmiło mu się w oczach.

Zadygotała w spazmach rozkoszy, a jego znowu ogarnął triumf, ale nie pozwolił sobie na spełnienie.

Omdlała pod jego ciałem.

Boże, jak bardzo pragnął w nią wejść, wziąć ją sobie na własność. Była taka namiętna, wilgotna i gotowa. Ale nie zapomniał, po co to robi... Nie zapomniał jej słów w pustelni...

„Tylko ty... tylko z tobą to czuję...”

Tylko z nim.

Nie z tym łajdakiem Spencerem. Ani z żadnym innym, podobnym do Spencera.

Jego członek pulsował i drgał, domagając się spełnienia, ale Will zacisnął zęby i chciał zacząć od nowa.

Tylko że palce Charlotte zacisnęły się na nim, zanim cokolwiek zrobił.

– Co mam robić? Chciałabym, żebyś ty też coś poczuł.

Zagryzł warknięcie, które wezbrało mu w gardle. Jej dotyk był tak lekki, tak niewinny – ale nie chciał dojść pierwszy. Chwycił jedną ręką przeguby jej dłoni i przesunął je za jej głowę, żeby mu nie przeszkadzała.

Starając się na nią nie patrzeć, by nie stracić kontroli, ułożył się znowu na niej.

Boże, czuł się jak w raju. Cudownie byłoby w nią wejść.

– Pozwól mi na to. Tak mi z tobą dobrze. Mogę cię jeszcze raz doprowadzić na szczyt.

– Will... poczekaj...

Przesuwał członkiem po jej ciele, coraz szybciej i mocniej. Napięła się cała. Błękitne, zamglone, rozmarzone oczy wpatrywały się w niego, mrugając, aż w końcu przysłoniły je litościwe powieki.

Jego Charlotte. Jego słodka Charlotte. Chryste Panie, prawie już dochodziła.

– On ci nie da spełnienia.

W jednej chwili otworzyła oczy. Zagarnął władczo jej usta, pragnąc je poczuć na swoich, ale odsunęła się od niego i zamiast nich natrafił na policzek.

– Kto, Will?

Rozczarowany, pocałował ją za uchem, potem w szyję, ale bez skutku. Cała zeszywniała pod jego ciałem.

– Will? – Dotknęła jego policzka. – Co ty robisz?

– Doskonale wiesz, co robię. – Objął jej zgrabne biodra i przycisnął ciśniej do siebie.

Zajrzał w oczy, patrząc, jak pulsuje w nich pożądanie. Zwolnił tempo pieszczoty, ale nie przestał.

Jej twarz napięła się i znieruchomiła.

– Przestań.

– Obiecay mi, że znajdziesz sobie dobrego, porządnego mężczyznę.

Szeroko otworzyła oczy.

– Mam ci to obiecać? – Mocno odepchnęła od siebie jego biodra. – Powiedziałam, przestań!

Złapała jego członek i odsunęła gwałtownie od siebie. Ostry ból przeszył mu lędźwie.

– Do diabła!

Chciała zrzucić go z siebie, ale był za ciężki, a ból go dodatkowo sparaliżował.

– Charlotte – jęknął.

– Myślisz, że jestem dzieckiem?

– Nie, ja...

– Zejdź ze mnie.

– Posłuchaj mnie.

– Zejdź natychmiast!

Ujął jej głowę w dłonie.

– Posłuchaj! Nie masz pojęcia o mężczyznach, nie wiesz, jacy potrafią być brutalni.

Wpatrywała się w niego błyszczącymi oczyma.

– Właśnie się tego uczę.

Odsunęła jego dłonie.

– Wynoś się. Nie chcę cię w moim łóżku.

– Owszem, chcesz! Do diabła, posłuchaj mnie wreszcie! – Złapał ją za ramiona i unieruchomił siłą. –

Bardzo chcesz mężczyzny w swoim łóżku, a ja próbuję ci pokazać, że nie każdy się do tego nadaje.

Kazesz mi się całować co rano i spać z tobą co noc. Czujesz pożądanie, ale to za mało.

Łzy wezbrały jej w oczach.

– Myślałam...

– Jest bardzo wielu mężczyzn, którzy czerpią rozkosz z darzenia cię pieszczotami, nie chcą tylko brać.

Obiecay mi, że nigdy nie wyjdiesz za kogoś takiego jak Spencer.

Łzy płynęły strumieniem po jej zaczerwienionych policzkach.

– Chcesz, żebym ci to obiecała? – szepnęła. – Jak śmiesz wspominać o innym mężczyźnie? Ja wyszłam za mąż za ciebie. Zejdź ze mnie.

Zrozpaczony, przytrzymał ją jeszcze mocniej.

– Mnie tu nie będzie. On jest niebezpieczny, nie możesz ufać...

– Przestań!

Piękne, błękitne oczy były pełne łez. Ogarnęła go panika.

Przestań płakać.

– Charlotte, proszę cię, przestań.

– Jak możesz? Jak mogłeś się ze mną kochać tylko po to, żeby mnie zmanipulować? Żeby mnie zniechęcić do Hugh?

Imię tego drania na jej ustach wywołało kolejną falę gniewu.

– Nie kochałem się z tobą! Doprowadzałem cię tylko do orgazmu!

– Zejdź ze mnie. – Chciała go zepchnąć, ale złapał ją za nadgarstki. – Zejdź!

Wzmocnił chwyt, żeby ją uruchomić.

Ale w jej oczach zabłyśły łzy, a podbródek zaczął dygotać.

Syknął jakieś przekleństwo i zsunął się z niej.

– Jak sobie życzysz.

Wstał i podszedł do drzwi swojej sypialni.

– Ja tylko chciałem cię chronić.

Zatrzasnął za sobą drzwi. Do diabła! Odwrócił się i popatrzył na nie znowu. Odgradzały go od jego sypialni, od Charlotte.

Nic nie rozumiała. Nie zamierzał jej przeproszać. W żadnym razie. Przecież znał mężczyzn. A jego tu nie będzie.

Przysiadł na łóżku. Cały się trząsł i był obolały z podniecenia. Do diabła z tym wszystkim. Ukrył głowę w dłoniach.

Była na niego wściekła.

I płakała.

Wstał i podszedł do drzwi. Oparł się czołem o nie.

Powiedz coś, Charlotte.

Cokolwiek.

Ale w sypialni panowała cisza.

Zostaw ją samą. Daj jej się wyspać w spokoju.

W sypialni było ciemno i zimno. Ogień na kominku prawie wygasł. Służba nigdy tu porządnie nie paliła. Po co? Przecież nikt tu nie sypiał.

Z trudem oderwał się od drzwi i popatrzył na wielkie łóżko, nieużywane od pięciu tygodni.

Dobrze, niech w końcu przyjdą koszmary.

Zasłużył sobie na nie.

Coś ją obudziło.

Głos Willa. Stłumiony i podniecony.

– Nie!

Gardłowy krzyk poderwał ją z łóżka. Serce jej biło jak młotem.

Will? Wstała i poszła do niego.

Na szczęście nie zamknął drzwi na klucz.

Na kominku jarzyły się główne, rzucając blask na ściany, po których tańczyły ponure cienie. Will leżał

nagi na kocach, walcząc z niewidocznym dręczycielem.

– Och... Boże... – Załkała. – Will?

Usiadła na materacu i położyła rękę na jego ramieniu.

– Will? Obudź się...

– Nie!

Uderzył ją na odlew w policzek, aż szczęknęła zębami. Ból przeszył jej czaszkę i zrobiło jej się ciemno przed oczami. Łóżko zakołysało się pod nią.

Will ją uderzył.

Przebierał na łóżku nogami, a złana potem twarz wykrzywiała się w straszliwym bólu.

– Nie dotykaj jej!

Wielki Boże, co on tam widział?

– Will, obudź się! To ja. Obudź się!

Jej głos do niego nie docierał. Zacisnął pięści, napiął ramiona z całej siły.

Modląc się w duchu, żeby znowu jej nie uderzył, rzuciła się na jego ciało i przytuliła głowę do jego piersi.

– Nie!

Potężny wstrząs, który nim targnął, zrzucił ją z materaca. O mało nie spadła na podłogę.

Nagle otworzył oczy, szalone i niczego niewidzące.

– Charlotte!

Krzyk zawibrował w jej ciele.

– Jestem tutaj – szepnęła.

Boże, kto mu to zrobił?

Rozdygotane ręce przesuwają się po jej ciele.

– Charlotte?

Jego serce... tak biło, że o mało nie wyskoczyło z piersi.

– Obudź się, Will.

– Charlotte?

– Tak, najdroższy. To był tylko sen. Jesteś bezpieczny.

Dyszcząc, przywarł do niej kurczowo.

Gładziła go po mokrych od potu włosach.

Wielki Boże, jak mu pomóc? Co się z nim działo? Dławiły ją łzy, ale nie pozwoliła sobie na płacz. Ucałowała kącik jego oka, napięty do granic możliwości. Raz, drugi i trzeci, aż napięcie zelzało.

Rozluźnił ramiona, ale kiedy się poruszyła, by zsunąć się z jego ciała, objął ją mocno i wtulił twarz w jej szyję.

– Nie odchodź. Zostań.

A więc to był jego koszmar? Nie rozumiała jego ostrzeżeń. W ogóle nic nie rozumiała.

Sięgnęła po koc, ale nie pozwolił go wziąć. Zdaje się, że wolał ją zamiast kołdry, więc rozluźniła mięśnie, czując, jak nocna koszula przykleja się do jego spoconego ciała.

Dotknęła policzkiem poduszki i zasyczała z bólu. Delikatnie dotknęła szczęki i poczuła przenikliwy ból aż do kości.

Głowa Willa opadła na poduszkę i zasnęła. Ostatnie ślady gniewu i smutku pozostałe po ich wcześniejszej kłótni wyparowały na widok jego twarzy. Przerazenie wyryło na niej głębokie ślady. Włosy miał mokre od potu.

Objęła jego głowę delikatnie, żeby go nie obudzić, i zapatrzyła się w ścianę, przywołując z pamięci początek ich znajomości. Oczy Willa czerwone z braku snu. Głowa, opadająca ze zmęczenia, gdy siedział nad książkami. Utykający krok. Sztywność z powodu urazów.

„Obedrę cię żywcem ze skóry.... Wiem, jak to się robi... Widziałem na własne oczy”.

Objęła go mocno i przez resztę nocy nawet nie zmrużyła oka.

To było nie to łóżko, nie ten pokój. Gdzie podziały się koce? Mruczając niechętnie, przytulił się do Charlotte. Przynajmniej kobieta była właściwa, choć zwykle sypiała w zagłębieniu jego ramienia, nie tyłem do niego. Przytulił się bliżej.

Coś było nie tak.

Otworzył oczy i przekonał się, że zmysły go nie oszukały. Był nagi.

Och... do diabła.

Napłynęły wspomnienia nocy, gorzkie i wstydlive. Wszystko, co powiedział, wszystko, co zrobił. Dlatego nie leżał w ich wspólnym łóżku – przegoniła go stamtąd.

Przykrył biodra prześcieradłem – śmieszny gest w obliczu ich wspólnych intymnych przeżyć. Kiedy to się zaczęło? Wciąż czuł jej smak na języku, ale przecież należała do niego na sto różnych sposobów: dokuczała mu, że wyciąga podwinięte pod spód prześcieradło, zanim położy się spać, ciągle pożyczowała ołówek, który nosił w kieszeni, podawała herbatę, zanim zdążył poprosić.

Przepędził senne myśli. Zastąpiła je zimna rzeczywistość. Charlotte nie należała do niego. Dlaczego, do diabła, ciągle musi to sobie wbijać do głowy?

Przetarł oczy. Dlaczego leżała razem z nim w tym łóżku?

Sięgnął po koc, żeby ją okryć, ale wszystkie leżały na podłodze.

Zupełnie jak wtedy, gdy spał sam. Zupełnie jak wtedy, gdy śnił o Tybecie.

Tej nocy sen powrócił. Gorszy niż przedtem. O wiele gorszy, bo była w nim Charlotte.

Pocałował ją czule w ramię. Czy bardzo krzyczał? Czy ją wystraszył? Słodka Charlotte. Przyszła mu na ratunek, choć tak bardzo się na niego pogniewała.

Wstał i przykrył ją kocem.

Czy mu wybaczy?

Czy zejdzie na śniadanie?

Nie miał pojęcia, co robi.

Ubrał się i zszedł na dół. Zazwyczaj na nią czekał, ale to nie był zwykły poranek.

Poza tym musiał napić się kawy, zanim stawi jej znowu czoło.

Lokaje dziwnie się na niego patrzyli w jadalni, ale przywitał ich jak co dzień.

Zaniepokojony, zajął się jedzeniem.

W zasadzie można powiedzieć, że patrzyli na niego z pożałowaniem.

Kończył śniadanie, gdy na schodach rozległy się kroki Charlotte.

Wstał, by ją powitać i zamarł.

Gładką jak porcelana skórę policzka szpecił czarny siniec. Podeszedł do niej niezgrabnie.

– Boże... Charlotte?

– Wygląda gorzej, niż dolega. Słowo ci daję.

Delikatnie przesunął po tym miejscu palcami.

– Co się stało? Upadłaś?

Lekko przechyliła głowę.

– Nie pamiętasz?

Krew ścięła mu się w żyłach.

– Czego?

– Kiedy próbowałam cię obudzić? Ze snu?

Coś ścisnęło go w dołku. Cofnął się i ręce mu opadły.

Ze snu...

– To ja? – spytał. – Ja cię uderzyłem?

– Nieświadomie.

Przechyliła głowę i spojrzała mu w oczy z uśmiechem.

– To znaczy, taką mam nadzieję. Chociaż po tym, jak się pokłóciliśmy...

– Chryste Panie, Charlotte! Nie śmiej się z tego. Czy posłałaś po lekarza?

– Oczywiście, że nie. Nie potrzebuję lekarza. Kucharka ma odpowiedni balsam.

Wybiegł pędem do hollu.

– Jamie! Peter! Gdzie do cholery... Goodley! Wezwij powóz, potem przyślij lokaja... Jamiego...

przyślij go do gabinetu. Czy w domu jest lód? To przynieś lód i ręcznik.

Goodley popędził do pomieszczeń dla służby. Will skręcił ostro do gabinetu i ból przeszył mu nogę od kolana do biodra. Dobrze mi tak... niech mnie też zaboli, skoro jestem takim draniem. Boże wielki, uderzyłem ją. Jak mogłem...

Charlotte ruszyła za nim.

– Nie rób tyle zamieszania. Lekarz nie jest potrzebny.

Wyjął z biurka papier. Ołówek miał zawsze w kieszeni.

Do diabła. Był taki chłopak podczas tej ekspedycji... uderzył się głową w występ skalny i zaczął mieć jakieś ataki. Inny spadł z wysokości, nadwyrężył kark i miał zawroty głowy przez długie tygodnie.

Pociemniało mu przed oczami. Przesunął rozdygotaną ręką po twarzy i zamrugał, by odzyskać wzrok. Zaczął pisać notatkę, ale pierwsze litery były tak nieczytelne, że musiał rozprostować rękę i zacząć od nowa, chwiejnie i niewyraźnie, choć zazwyczaj miał schludny charakter pisma.

Charlotte westchnęła i przycupnęła na blacie biurka, niedaleko jego łokcia. Jej domowa suknia z białej gazy przysłoniła papier. Odsunął bawełnę, a ona wróciła na miejsce, przeszkadzając w pisaniu. Przytrzymał ją ręką.

– Boże, Charlotte! Gdzie ty się kończysz?

Unieruchomił tkaninę przyciskiem do papieru.

– Już trudno, wzywaj tego lekarza. Będę się czuła bardzo skrępowana, ale jeżeli musisz, to nie ma wyjścia. Jesteś wrażliwy. To właściwie nie najgorsza cecha...

Will zignorował jej słowa. Musiał się skupić. Przeczytał notatkę jeszcze raz, żeby wszystko sprawdzić.

Kiedy w gabinecie pojawili się Goodley i Jamie, złapał lodowy kompres i podał go Charlotte, żeby go sobie przyłożyła do policzka. Chciała zaprotestować, ale rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie, i zamknęła usta, wydymając dolną wargę.

Zakręcił się na pięcie.

– Jamie, weź powóz i zawieź tę kartkę pod adres, który tu zapisałem. Jeśli doktor Fellowes nie będzie mógł przyjechać, zgłoś się od jego partnera, Hensona, który mieszka pod tym samym adresem. Jeżeli żadnego z nich nie będzie, pojedź pod ten drugi adres, do doktora Syndhama. Ruszaj. Nie zwlekaj. I nie wracaj bez lekarza.

Jamie i Goodley skinęli głowami i wyszli.

Coś ścisnęło go w dołku. Stał bez ruchu, czując, że pokój wciąż wiruje. Świat wkrótce się uspokoi. Zawsze tak było.

– Pracują dla mnie o wiele dłużej niż dla ciebie – powiedziała. – A ty nawet nie spytałeś mnie o pozwolenie. Nie wolno okazywać zdenerwowania w obecności służby. Wyjaśniłam Patty, co się stało, a ona przekazała to pozostałym.

Lekko zeskoczyła z biurka.

– Nie ruszaj się! – Serce zabiło mu gwałtownie i skoczył ku niej, żeby ją posadzić na krześle.

– Proszę cię, nie rób tego, Charlotte.

Na szczęście usłuchała i usiadła ze swym zwykłym wdziękiem. To znaczy, że uderzenie nie zakłóciło jej poczucia równowagi.

Wziął do niej ręcznik, złożył go ponownie i sam przytrzymał przy jej policzku. Wbił w niego wzrok. Czy odważy się jeszcze kiedyś na nią spojrzeć?

Wielkie, błękitne oczy wpatrywały się w niego sponad ręcznika.

– Teraz, kiedy już puściłeś w ruch wszystkie twoje cenne plany, zechciałbyś może porozmawiać ze mną o tym, co zdarzyło się zeszłej nocy? Poza tym chciałabym zjeść śniadanie i życzę sobie, żebyś mi towarzyszył.

– Nie mogę.

– Aż tak odrażająco wyglądam?

Znowu ścisnęło go w brzuchu i o mało nie zwymiotował na podłogę.

Chryste Panie...

Zamknął oczy, by opanować mdłości, ale pod powiekami widział tylko fioletowoczarny kwiat, plamiący jej nieskazitelną skórę.

– Boże, Charlotte... tak mi przykro – powiedział przez zaciśnięte gardło.

Wstała i ujęła go za ramię.

– Chodź. Zjedzmy w końcu to śniadanie.

Była głodna. I szła bez większych problemów. Poprowadził ją do jadalni, posadził na krześle i nalał

filizankę herbaty, szcękając nią o spodek.

- Na co masz ochotę?
- Usiądziesz wreszcie?
- Pewnie chcesz jajko, prawda?
- Will, nic mi nie jest.

Nałożył na talerz górę jedzenia. Palce miał tak sztywne, że o mało go nie upuścił na stół. Potem stanął przy drzwiach. Nawet na nią nie spojrział, tylko nadśluchiwał odgłosów z korytarza.

Jeszcze za wcześnie. Trzeba im dać co najmniej kwadrans.

- Nie powiesz mi, co ci się śniło zeszłej nocy?
- Jezu, za nic. Nigdy w życiu. Zacisnął dłoń w pięść.
- Nie mogę.
 - Will?
 - Wróciło po pięciu tygodniach.
 - Co takiego wróciło? – Wstała i podeszła do niego.
 - Siadaj, Charlotte!

Otworzyła usta ze zdziwienia.

- Proszę cię – błagał. – Nie wstawaj dopóki nie przyjdzie lekarz.
- Popatrzyła na niego okrągłymi ze zdziwienia oczami, ale usiadła.
- Niech ci będzie.

Oparł się o framugę drzwi, starając się nie myśleć o tym, że jego małżeństwo właśnie dobiegło końca.

21

Koszmarnie wyglądam, Patty. – Charlotte delikatnie dotknęła policzka, przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze toaletki.

– Będzie gorzej, kochanie. Przez kilka dni twoja skóra będzie miała okropną barwę.

Will nie schodził jej z myśli. Dlaczego jej nie zaufał i nie powiedział prawdy? Może myślał, że jej nie zniesie? A gdyby jej powiedział, jak mogłaby mu pomóc?

W drzwiach stanęła Betsy, nowa pokojówka.

– Ma pani gościa.

– Gościa? – Charlotte wzięła podany jej bilecik. – Wielki Boże, przecież ja nie mogę nikogo przyjąć w takim stanie.

Zdumiona, przez chwilę wpatrywała się w wypisane na nim nazwisko: Hugh Spencer.

– Jak on śmie tu przychodzić?

Patty przeczytała przez ramię swojej pani i jej usta zacisnęły się w cienką kreskę.

– Natychmiast go odeślij. Ten tchórz pewnie czekał, aż twój mąż wyjdzie na miasto.

– Willa nie ma w domu? – spytała Charlotte.

– Wszedł wkrótce po lekarzach.

– Nie wspominał, że gdzieś się wybiera – mruknęła Charlotte z ulgą. Gdyby się dowiedział, że Hugh przyszedł z wizytą...

Wstała i wygładziła suknię, odwlekając podjęcie decyzji. Prawdę mówiąc, bała się Hugh. Kłamała, mówiąc Willowi, że jest inaczej. Ale nie zamierzała żyć w strachu.

– A niech to lichy... Poproś go do salonu na dole, Betsy. Nie podawaj herbaty i nie bierz od niego laski ani kapelusza. Nie zabawi długo. Poproś też Jamiego i Petera, żeby byli w gotowości.

Patty spojrzała na nią z dezaprobatą.

– Muszę położyć kres tym nonsensom, wcześniej czy później. Pójdziemy tam razem.

– Wolałabym, żeby poszedł tam z tobą twój silny, wysoki mąż.

– A ja nie. Chodź. Załatwmy to jak najszybciej.

Widok dwóch silnych lokajów po obu stronach drzwi dodał jej odwagi. Weszła do salonu z najbardziej wyniosłą miną, na jaką ją było stać.

– Dziwi mnie pańskie zachowanie. Proszę sobie nie wyobrażać, że jeszcze kiedyś pana przyjmę.

Hugh wybałuszył oczy na jej widok.

– Na litość boską! Czy to on ci to zrobił?

Ten wybuch ją trochę otrzeźwił. Co gorsza, nie wiedziała co odpowiedzieć.

– Proszę nie opowiadać bzdur.

Udając spokój, którego wcale nie czuła, wskazała na zegarek.

– Nie interesuje mnie, co ma pan mi do powiedzenia. Chcę tylko skorzystać z okazji, by powiedzieć, że nie życzę sobie pana więcej widywać.

Wyciągnął szyję, jakby miał za ciasny krawat.

– Przepraszam, że cię przestraszyłem. – Zmrużył oczy. – Ale złamałaś mi serce, Charlotte. Oszalałem z rozpaczy. Nigdy w życiu bym cię nie zbrukał. Chciałem tylko...

– Przekonać mnie o swoim zapale, o ile sobie przypominam.

– Kocham cię.

Wybuchnęła ironicznym śmiechem.

– Tak twierdzisz. Przedtem wierzyłam też, że zawsze będziesz mnie traktował jak dżentelmen, do momentu, gdy się nie przekonałam, że jest inaczej.

– Gdyby ten człowiek się nie wtrącił...

– Ten człowiek jest moim mężem i wcale się w nic nie wtrącał. Twoje zachowanie nieodwracalnie odmieniło moje uczucia.

– Czy ty nie rozumiesz, co ja ci daję? – mówił niemal łagodnie. – Co ja poświęcam, przychodząc tu do ciebie? Ojciec drwił z mojego wyboru, a teraz wyśmiewa się, że cię straciłem.

Jego oczy nabrały twardego wyrazu.

– Jak ty możesz go pragnąć? Miałaś być moją hrabiną.

Ogarniał ją coraz większy strach. Mogła odpowiedzieć mu tylko w jeden sposób. Uważnie dobrała słowa i odezwała się spokojnie i beznamiętnie, żeby go bardziej nie rozdrażnić.

– Nigdy cię nie kochałam, Hugh.

– Naprawdę? – Jego twarz wykrzywił gorzki uśmiech. – Domyślam się, że Reptona kochasz jak szalona. Pewnie spódnica sama ci leci w górę dla twojego bohaterskiego odkrywcy, który jeden jedyny ocalał z nieudanej wyprawy.

– Co takiego? Co ty chcesz przez to powiedzieć?

– Że dziwkom myli się pożądanie z miłością.

„Jeden jedyny ocalał...”

– Jeśli dziś odejdę z niczym, to nigdy już nie wrócę, Charlotte.

Nogi się pod nią trzęsły, ale spojrzała mu prosto w oczy.

– Wspaniale.

Furia w jego oczach sprawiła, że cofnęła się o krok, ale on tylko odwrócił się gwałtownie ku drzwiom. Postąpiła ku niemu, jakby nie chciała tracić z oczu niebezpiecznego zwierzęcia.

– Jak sobie życzysz. – Wciągnął rękawiczki. – Mam nadzieję, że twój mąż okaże się oddanym kochankiem. Gdy tylko zaliczy kolejny test.

Te słowa ją zmroziły.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Nie? – Spojrzał na nią z wyższością. – Nigdy nie byłaś zbyt inteligentna, prawda?

Wyszedł z salonu. W sekundę później trzasnęły za nim frontowe drzwi.

Stali goście oberży Cierń i Korona w Spitalfields byli pewni siebie i krzywo na niego patrzyli, ale Willa mało to obchodziło. Nie dbał o to, że siedział nos w nos z kieszonkowcami, włóczęgami i włamywaczami z East Endu. Przyszedł tu tylko w jednym celu. Ale lało się sturmieniem i nikogo nie obchodziło, że obok niego siedzi i pije cholerny Will Chińczyk, mąż olśniewającej Charlotte Baker.

Dopił kufel i gestem zażądał następnego. Barman posłał mu uważne spojrzenie, ale Will spojrzał tak wściekle, że tamten pośpiesznie napełnił naczynie.

Ale nie działało. Wciąż widział przed oczami sceny z nocnego koszmaru: Ciało Charlotte na zakurzonej podłodze klasztoru, rozplątane tak samo jak pozostałe zwłoki. Niebieskie oczy, otwarte, niewidzące, zalane czerwoną krwią. Spragniona ziemia.

Pociągnął znowu.

Szczęśliwa Charlotte, która radzi sobie z jego mrocznym sekretem.

A on ją uderzył.

Drżącą ręką podniósł kufel i wychylił go do dna.

Lekarz powiedział, że nic jej nie będzie, że nic się nie stało. Na pewno nic jej nie będzie.

Kiedy tylko on wyjedzie, znowu stanie się niezrównaną Charlotte Baker.

Wystarczyło tylko ułożyć plan rozstania i puścić go w ruch. Jego prawnik przygotowywał właśnie papiery unieważniające małżeństwo, a jutro...

Jutro będą już osobno.

Sala zaczęła wirować. Złapał stół i czekał, aż ściany się uspokoją.

Po czwartym kuflu uznał, że po pierwsze, Spencer nigdy więcej nie zbliży się do Charlotte, a po drugie, on sam zaangażuje się duszą i ciałem w przygotowania do wyprawy. Po trzecie, natychmiast wynajmie mieszkanie, by nie zbliżać się do żony. Po czwarte, nigdy więcej nie będzie spał w jej łóżku, nie będzie z nią rozmawiał przed zaśnięciem, ani się śmiał, ani...

Pociągnął nosem i otarł znużone oczy.

Po piąte, Wallace musi wrócić do Londynu, by czuwać nad siostrą.

Po szóste, sam pójdzie do tego cholernego Spencera – jaki tam z niego arystokrata – rozkwasi temu śmierdzielowi nos i – powinien to wszystko zapisywać – a po szóste... a może po siódme? Do jasnej cholery, Charlotte znowu zabrała mu ołówki!

Wytoczył się z pubu na pustą ulicę i rozejrzał się za powozem, ale przypomniał sobie, że przecież szedł pieszo.

– Niech wszystko jasny szlag! – ryknął prosto w niebo.

O tej porze nie jeździły dorożki.

Zaraz, zaraz. Obiecał sobie, że nie prześpi w domu ani jednej nocy więcej. A może tylko w jej łóżku? Dom był całkiem w porządku.

Ale jutro wróci do Richmond.

Świetnie. Jest plan. Bardzo dobry plan... trzeba to zapisać...

Ulice były puste, a w domu panowała ciemność. Naturalnie. Dobrnął do drzwi i zaczął szukać klucza, robiąc tyle hałasu, że w końcu obudził kogoś ze służby. Drzwi otworzyły się, zanim po raz trzeci sięgnął do zamka.

Do diabła. To nie był służący.

– Gdzie byłeś? – Charlotte stała przy drzwiach w szlafroku, a ulgę na jej pięknej twarzy natychmiast zastąpił gniew. – Masz pojęcie, która jest godzina?

– Cicho, Charlotte. Bo pobudzisz swoich eleganckich sąsiadów.

Skrzywiła się i zasłoniła dłonią nos.

– Wielki Boże! Co ty piłeś?

Starając się zachować resztki utraconej godności, wszedł do domu i ruszył do salonu, gdzie czekał na niego wygodny dywan.

– Czemu jeszcze nie jesteś w łóżku, Charlotte? Powinnaś już spać.

– Jak miałam spać, kiedy cały czas zastanawiałam się, czy nie leżysz gdzieś zakrwawiony w ciemnym zaułku albo nie spływasz Tamizą z głową roztrzaskaną brukowcem...

– Skąd te myśli o przemocy?

– A wcześniej nawet nie powiedziałaś mi, dokąd wychodzisz?

Mimo półmroku panującego w salonie próbował obejrzeć jej policzek.

– Przykładałaś lód?

Odsunęła jego rękę.

– Gdzie byłeś?

– Lekarz ci kazał...

Znowu trzepnęła go w rękę.

– Powiedział, że to tylko siniak. Gdzie byłeś?

Sięgnął do barku po karafkę z whiskey.

– Idź do łóżka, Charlotte.

– Nie idę do żadnego łóżka. Najpierw zrobię ci kanapkę z herbatą. I niech ci do głowy nie przyjdzie pociągnąć choć łyk alkoholu!

Odwrócił się, żeby zaprotestować, ale już jej nie było.

Zawsze się za szybko ruszała.

Z pustymi rękami opadł na fotel przy kominku. Zresztą i tak nie chciało mu się pić. Na oparciu wisiał wełniany koc. Czy siedziała tu cały czas, czekając na jego powrót?

Poczucie winy ścisnęło go w dołku.

Nie chciał, żeby go widziała w takim stanie – otepiałego i bełkocącego. Z Charlotte trzeba zawsze być w pełni sił umysłowych.

Pochylił się i oparł czoło na kolanach. Zrobiło mu się o wiele wygodniej. W popiele leżała biała, przypalona wizytówka. Wyciągnął ją pogrzebaczem, żeby przeczytać nazwisko.

„Spencer”.

Ogarnęła go furia i przerażenie. Z trudem przebijał się przez alkoholowe zamroczenie, walcząc, by wróciła jasność umysłu. Przecież pokojówki co rano wносиły popiół z kominka...

Charlotte wróciła z tacą.

– Spencer był tutaj? – zaskrzeczał. Przymknęła oczy. Milczała i to mu wystarczyło. Zrobiło mu się niedobrze.

– Był tu? – powtórzył.

Odstawiła tacę i usiadła sztywno.

– Chyba nie myślisz, że mogę przyjmować gości, wyglądając tak jak teraz.

Skrzywił się, przypominając sobie, że skrzywdził swoją ukochaną żonę.

– Jedz. – Włożyła mu kanapkę w rękę. – Przynajmniej spróbuj.

Odłożył ją i wstał. Ściany zawirowały.

– Zabroniłem ci przebywać z nim sam na sam.

– Nie byliśmy sam na sam.

Uświadomiła sobie, że właśnie przyznała się do winy, i wydeła wargi, jakby zastawił na nią pułapkę.

– Patty siedziała tu, przy ogniu, a Peter z Jamiem stali przy drzwiach.

Ręce zaczęły mu się trząść.

Po co on tu przyszedł? Chryste, nie był w stanie myśleć. Co za koszmar...

– Zapraszałeś go?

Szeroko otwarte oczy spojrzały na niego z urazą.

Wstał i starannie przykrył herbatę i kanapki serwetką.

– Nie zamierzam z tobą rozmawiać w takim stanie.

– Wybaczyłaś mu?

Wyszła z salonu i z wdziękiem ruszyła po schodach do sypialni. Rzucił się za nią, tupiąc głośno po schodach.

– Odpowiedz mi!

– Po co? Jutro i tak nie będziesz nic pamiętał.

Z całej siły zamknął drzwi do swojej sypialni.

– Nie trzaskaj drzwiami – powiedziała.

Dlaczego ta kobieta nie chce z nim normalnie rozmawiać?

– Wiesz przecież, do czego jest zdolny! A ja przez trzy miesiące żeglugi będę się o ciebie bał...

Wracam tam, gdzie to wszystko się wydarzyło...

– Co się wydarzyło?

– ...a ty, psiakrew, wpuszczasz go do salonu!

– Rozumiem, że mam ci na to wszystko odpowiedzieć. Mimo że to ja zostałam sama w domu. I nie wiem, dlaczego dotarłeś tu pijany w sztok na godzinę przed wschodem słońca. I dlaczego w ogóle się upiłeś.

– Dotknął cię?

Obróciła się jak fryga. Oczy miała mokre od łez.

– Owszem, dotykał mnie. Całował mnie i robi to o wiele lepiej od ciebie. Ogarnęła mnie taka namiętność, że kochaliśmy się tutaj, w naszym łóżku. Wybaczyłam mu wszystkie przewiny. Co za ulga, prawda? Teraz mogę spokojnie się z tobą rozejść. Wyjdę za arystokratę, a ty możesz spokojnie oddać swoją namiętną, pustogłową żonę na utrzymanie innemu mężczyźnie.

– Do diabła, Charlotte! – Odwrócił się, by wyjść, i wpadł na filar łóżka.

O mało co nie upadł, ale jakimś cudem odzyskał równowagę i upadł na materac.

Niech diabli wezmą Spencera.

I mnie do kompletu.

– Och, tylko nie to! – Charlotte natychmiast znalazła się u jego boku.

– Patrz, co narobiłeś! Uderzyłeś się.

Podciągnął kolana i oparł głowę na rękach.

– Will?

Czy mu się coś stało? Nie słyszał jej głosu czy był zbyt pijany, żeby odpowiedzieć? A może popadł w swoje zwykłe milczenie?

Niech go diabli! Bała się go nawet objąć. Dziś nie zniosłaby, gdyby ją od siebie odsunął.

Czekała na niego, zdenerwowana do ostateczności. Bała się, że już nigdy nie wróci. Bała się myśleć o tym, co przeżył i co próbuje zapomnieć. Nawet teraz była cała rozdygotana. Cisza działała jej na nerwy, więc zrobiła to, co zawsze.

Zaczęła mówić.

– Wiem, że wolałbyś załatwić to raz a dobrze, ale ja nie umiem się kłócić. Naprawdę. Nikt z naszej rodziny nie umie. Lucy od razu płacze, Wally robi się cały czerwony, a ja... ja nie wierzę, że ktoś może mnie w ogóle poważnie traktować, więc się nie obrażam. Jestem kompletnie niewrażliwa, nie potrafię zachowywać urazy dłużej niż kwadrans. Próbowałam nie raz i nigdy mi się nie udało. Zależy mi na tobie najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie mimo twoich ponurych nastrojów. Nawet jak cuchniesz tak jak dzisiaj. Więc martwię się, gdzie byłeś tak długo i co cię dręczy. Trochę się już domyślam, ale najlepiej by było, żebyś mi wszystko powiedział. Niekoniecznie dzisiaj, ale wkrótce. Na przykład jutro. O dziesiątej mam przymiarkę sukni, pomyślałam też, żeby pójść po świąteczną papeterię, ale poza tym nie mam nic do roboty.

– Boże, Charlotte – jęknął, przeczesując dłońmi czuprynę. Zacisnął je w pięści. – Głowa mnie przez ciebie rozboleła.

Otworzyła usta, by na to odpowiedzieć, ale się powstrzymała. Nie była ani początkiem, ani przyczyną cierpienia Willa. Nie zamierzała ich jednak pogarszać, przynajmniej nie tej nocy. Poza tym Will zawsze robił tylko jedną rzecz naraz i zdaje się, że tym razem próbował spać na siedząco.

– Daj spokój – powiedziała. – Pomogę ci się rozebrać, żebyś mógł się przespać.

Uklękała i ściągnęła mu buty i pończochy. Stopy miał zimne jak lód, surdut rozpięty, a fular gdzieś przepadł... pewnie z korzyścią dla jakiegoś ulicznego szmaciarza. Złapał ją lekko za przeguby w ten charakterystyczny sposób, w jaki pijacy wyrażają podziękowanie za drobne, życzliwe odruchy.

– Ręce do góry – poleciła.

Popatrzył na nią. Pomyślała, że zaraz znowu coś warknie, ale posłusznie podniósł ręce, żeby mogła ściągnąć mu koszulę przez głowę. Płótno cuchnęło okropnie, więc rzuciła je daleko w kąt.

– Gotowe. Teraz pachniesz o wiele lepiej.

Tak... Wspaniałe barki. I pierś. I brzuch. Był taki umięśniony. Rozmasowała kojącym gestem zimne ramiona. Rzadko trafiała jej się okazja, żeby tak swobodnie dotykać własnego męża.

Will miał rację. Była bezwstydną rozpustnicą, jeśli chodziło o niego.

– Połóż się – poprosiła.

Zamrugał i pochylił się ku niej, jakby próbował skoncentrować się na jej twarzy.

– Zrobił ci coś?

– Nie. Połóż się wreszcie.

Usłuchał bez słowa. Szkoda, że na trzeźwo nie był choć w połowie taki posłuszny.

Rozpięła mu spodnie, ściągnęła je, najszybciej jak mogła, i przykryła go kołdrą.

Choć kusilo ją, żeby na niego popatrzeć, uznała, że to by było nieładnie, biorąc pod uwagę jego stan.

– Teraz będzie ci ciepło i dobrze. Mam z tobą same kłopoty – szepnęła.

– Przykro mi.

– Wiem. Idź spać. Jeśli jutro będziesz grzeczny, to może się z tobą trochę pokłóć. I wtedy powiesz mi wszystko.

Chwycił ją za nadgarstek.

– Jeszcze tylko jedna noc, Charlotte.

Jak to jedna?

Przyciągnął ją do siebie.

– Nie lubię spać.

Serce jej pękało, ale delikatnie pogładziła go po szorstkim policzku, próbując wzbudzić w sobie choć odrobinę gniewu. Nic dziwnego, że kłótnie kompletnie jej nie wychodziły, jeśli nie potrafiła się na niego gniewać, nawet gdy miała powody.

Will puścił jej rękę, ale zaraz chwycił drugą. Powieki mu opadły, ale odchylił kołdrę, niezgrabnie zapraszając ją, by się położyła obok. Przyciągnął ją, aż prawie uległa.

Otoczył ją zapach mężczyzny i whiskey. Przytuliła się do niego. Jak miała zasnąć w tych warunkach? Zmarszczyła nos, czując woń taniego alkoholu. Jutro trzeba będzie zdjąć całą pościel do prania.

– Tylko z tobą kłopoty... – zamruczała prosto w jego pierś.

– Martwię... żonę... – usłyszała sensne słowa i poczuła oddech na włosach. Poddała się silnym ramionom, kiedy przetoczył się na plecy, pociągając ją za sobą, i zachrapał prosto w jej ucho. W najśmielszych snach nie przypuszczała, że w małżeństwie zdarzają się takie rzeczy.

No cóż. Nikt nie jest ideałem. Jak widać, nawet mężczyzna z marzeń.

Uniosła głowę i popatrzyła na niego. Był mniej napięty, ale daleko mu było do prawdziwego spokoju.

O czym tak usilnie próbował zapomnieć?

I jak mu w tym pomóc?

22

Człowiek nie powinien budzić się w takim stanie. To było niezgodne z naturą. Otworzył jedno oko i szybko je zamknął. Za dużo światła.

Boże, dlaczego jest tak jasno.

Po co tyle pił? W głowie mu huczało, a żołądek podchodził do gardła. Do diabła, zasłużył sobie na to. Rozłożył ramiona na chłodnym prześcieradle, zadowolony, że nie ma tam Charlotte.

– Świetnie – wyrzeził.

Nie chciał, żeby ktokolwiek widział go w takim stanie, a już na pewno nie...

– Nie śpisz już – usłyszał z góry głos Charlotte. O wiele zbyt pogodny.

Zdezorientowany kierunkiem, z którego go usłyszał, otworzył jedno oko. Jego głowa wcale nie leżała na poduszce, tylko na jej kolanach. Jej delikatna twarz pochylała się niżej – wargi wyglądały jak smuga różu, oczy jak błękitne kręgi... Zakręciło mu się w głowie.

– Dlaczego tu jesteś? – chciał zapytać, ale udało mu się wycharczeć tylko pierwsze słowo.

Lekko pogłaskała go po głowie.

– Wiedziałaś, że nie zapamiętasz nic z wczorajszego dnia.

Zmrużył oczy, by spojrzeć na jej policzek.

Dziś wyglądał gorzej. Walcząc z mdłościami, usiadł i złapał się za głowę.

Do diabła.

Był nagi. I śmierdział. I jeszcze do końca nie wytrzeźwiał.

Will Repton. Sławny odkrywca, znany botanik, śmierdzący kubeł pomyj i damski bokser.

– Jak się czujesz? – spytała jego anielska żona.

– Jakbym nie żył.

Wstała z łóżka, a jej szlafrok zaszeleścił przeraźliwie głośno.

– Zjedz coś, to zaraz dojdiesz do siebie.

Dlaczego się na niego nie gniewała? Dlaczego go nie znenawidziła? Czy jej zachowanie kiedyś wreszcie da się przewidzieć?

Chryste, to wszystko było bez sensu, kompletnie bez sensu. Nigdy nie tracił panowania nad swoim ciałem. Nigdy nie upijał się do nieprzytomności. Nigdy w życiu nie skrzywdził kobiety.

Przechyliła głowę, przyglądając się jego twarzy, niewątpliwie brudnej i zapuchniętej. Odezwała się, na szczęście bardzo cicho.

– Zawołam Michaela, żeby ci pomógł.

– Nie.

Wydeła wargi, spoglądając to na garderobę, to na brudne cielsko na jej nieskazitelnie czystych prześcieradłach.

– W takim razie ja ci pomogę. W każdym razie przygotuję dla ciebie kąpiel.

Lepiej byłoby, gdyby go znenawidziła. Gdyby z ulgą powitała jego odejście.

– Zostaw mnie samego.

– Jesteś dziś bardzo niemiły, Will, więc pozwól sobie przypomnieć, że to nie twoja żona wlewała w ciebie alkohol do momentu, kiedy przestałeś widzieć na oczy.

– Jaka tam żona... – zamruczał pod nosem.

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu. Może w końcu udało mu się ją rozgniewać?

Spuścił wzrok, wstał i okrył swoją nagość prześcieradłem. Wzrok Charlotte ciążył mu jak obłąniony taran wymierzony w głowę. Zagapił się na jej stopy i podkurczone palce. Nawet one były śliczne. Jego stopy pokrywała siateczka białych blizn. Wspomnienie tego przenikliwego bólu było równie żywe, jak wtedy. Co za perwersyjny wybryk losu połączył ich ze sobą...

– Napijesz się wody?

– Przestań się mną opiekować.

– Powinieneś...

– Idź stąd, Charlotte.

Wybacz mi...

– Nie potrzebuję ciebie.

Nie podniósł głowy, ale szelest sukni i pośpieszne kroki powiedziały mu, że wyszła.

Dobrze, że miał zawroty głowy, wszystko mu dolegało, a skroń przeszywał ból, bo w przeciwnym razie, pewnie by za nią pobiegł.

Albo podniósł znużony wzrok, zobaczył cierpienie na jej ślicznej twarzy i padł jej do stóp z przeprosinami.

A przecież powinna go nienawidzić, bo to ułatwi realizację planu.

Charlotte z powodzeniem unikała swojego męża przez resztę dnia. Kilka razy kusilo ją, żeby go przyprzeć do ściany i zażądać odpowiedzi. Co się wydarzyło w Chinach? Co mu się śniło? Czy Hugh mówił prawdę? Czy naprawdę tylko on ocalał z całej wyprawy? Czy dlatego upił się do nieprzytomności? Żeby zapomnieć?

Tylko że on mógłby jej nic nie odpowiedzieć. W odróżnieniu od większości znanych jej mężczyzn, był odporny na jej zwykłe perswazje. A jej brakowało cierpliwości, żeby czekać na efekty.

Na razie postanowiła wszystko przemyśleć w samotności, więc usadowiła się w swoim salonie. Szczerze mówiąc, potrzebowała też spokoju. Rano był dla niej bardzo nieprzyjemny i wciąż było jej z tego powodu przykro. Szczerze mówiąc, była wściekła. To niesłychane. Obraziła się na niego.

Tak jest. Wreszcie udało mu się ją obrazić.

Na szczęście nie będzie musiała się z nim spotykać, dopóki jej nie przejdzie. Nigdy nie wchodził do

damskiego salonu. Dziwne, bo to był najładniejszy pokój w domu, pełen jej ulubionych rzeczy.

Najładniejszy pokój...

Tu spotkali się po raz pierwszy.

Wstała i zaczęła spacerować po pokoju. Najpierw napisze do Lucy z prośbą o radę. Zapyta ją, czy mężowie często wychodzą z domu, nie mówiąc, dokąd się udają. Will nie powiedział o tym nawet służbie. Przykro jej było z tego powodu, choć pewnie jego pijaństwo powinno ją bardziej zaniepokoić niż brak troski.

Powinna też pamiętać, że mężczyźni zawsze cieszą się większą swobodą niż kobiety. Ona nie mogłaby tak po prostu wyjść z domu, jak on wczoraj.

Tak, napisze do Lucy, ale tak, żeby jej nie zaniepokoić. Bo jeśli Lucy uzna, że to poważna sprawa, powie o wszystkim Benowi, a Ben zawiadomi Wally'ego, który zaraz przyjedzie z Derbyshire, cały czerwony na twarzy, i zrobi Willowi awanturę.

W godzinę później, pochłonięta pisaniem, nie zauważyła nawet nadejścia Willa, dopóki nie odchrząknął. Powoli odłożyła pióro. To nie wróżyło nic dobrego – wszedł z własnej woli do jej salonu.

Twarz miał szarą jak popiół, a włosy tak rozczochrane, jakby nie zawracał sobie głowy ich uczesaniem po kąpieli i pozwolił wiatrowi postawić je na sztorc.

Popatrzył na stosik listów.

– Mogę z tobą porozmawiać?

Nie. Ta odpowiedź błyskawicznie, instynktownie zagościła w jej myślach.

– Miałaś coś do załatwienia na mieście? Ja zostałam w domu, żeby nadgonić korespondencję. Mam okropne zaległości. Jesteś głodny? Mam zadzwonić po coś do jedzenia?

Wszystko to miało opóźnić rozmowę, ale bez powodzenia. Will był nieubłagany.

– Mam już unieważnienie małżeństwa. Nie ma żadnych powodów, żeby ciągnąć dalej ten związek, Charlotte. W trzy tygodnie można się przekonać o niedopasowaniu równie skutecznie, jak w pięć. W zasadzie to staje się oczywiste nawet po tygodniu – tłumaczył pośpiesznie, jakby bał się, jej odpowiedzi. Jakby nie widział, że nie jest w stanie odezwać się ani słowem.

„...nie ma żadnych powodów...”

Zerwała się na równe nogi i skoczyła ku drzwiom.

– Dokąd... Charlotte? Dokąd idziesz?

– Mam coś do załatwienia na górze... Porozmawiamy później, dobrze?

Niemal biegła na górę po schodach, doskonale wiedząc, że ruszył jej śladem.

– Porozmawiajmy już teraz.

Serce się jej ścisnęło z takim bólem, że zabrało jej tchu.

– Tak, masz już gotowe papiery.

– Możemy to zakończyć nawet dziś... poczekaj!

Uciekła do sypialni.

On chciał ją opuścić. Chociaż obiecał... obiecał, że dopiero w sierpniu...

Wszedł za nią.

– Charlotte, posłuchaj mnie, proszę. Przerazona, że zdradzi ją wyraz twarzy, zapatrzyła się w okno.

W kącie ogrodu królowała cieplarnia, gdzie Lucy hodowała storczyki. W szkle odbijał się koralowy blask zachodzącego słońca. Ben zbudował ją dla swej ukochanej jeszcze przed ślubem. To był najpiękniejszy ze wszystkich jego projektów.

Był taki piękny, ponieważ stworzył go, nie mając najmniejszych nadziei na jej miłość. Myślał wtedy, że go odrzuciła. A mimo to zbudował tę cieplarnię, bo chciał zrobić wszystko, żeby była szczęśliwa.

Bo ją kochał.

Ta prosta prawda niemal zbiła ją z nóg. Oparła się o ścianę, by odzyskać równowagę.

Will jej nie kochał.

Wiedziała o tym. Zawsze o tym wiedziała.

Odwróciła się ku niemu. Cofnął się.

– Chryste Panie – wyjąkał, nie patrząc na jej posiniaczoną twarz.

Nie odezwał się ani słowem, nawet na nią nie spojrział.

– Will?

Żadnej reakcji.

Być może odchodzi z zupełnie innego powodu, niż myślała?

– To był przypadek...

– Papiery są na dole.

– To był przypadek!

Ruszył w stronę drzwi.

– Już nigdy więcej cię nie skrzywdzę.

– Krzywdzisz mnie właśnie teraz! – krzyknęła. – Skrzywdzisz mnie o wiele bardziej, jeżeli odejdziesz już teraz, kiedy jeszcze nie musisz. Dlaczego to robisz?

– Bo tak trzeba.

Był w takiej desperacji, że ruszyła ku niemu, ale cofnął się gwałtownie, powstrzymując ją ruchem ręki.

– Nie podchodź.

Na jego nieruchomej twarzy pojawił się uparty grymas.

– Beze mnie będziesz szczęśliwsza.

– To nieprawda! Traktujesz mnie okrutnie, i to z zimną krwią.

– Nie powinnaś być ze mną. Nie jestem taki, jak...

– Wiem, i wolę ciebie. O wiele bardziej.

– Powinnaś być z kimś, kto będzie do ciebie pasował, kto z tobą zostanie, będzie się tobą opiekować, da ci rodzinę, zadba o ciebie. Wyjdź za jednego z...

– Nie! – Nigdy jeszcze nie pozwoliła sobie na tak głośny i gniewny wybuch.

Z tym mogła się nie zgodzić. O to mogła się pokłócić.

Jej wybuch kazał mu zamilknąć. Widziała, że nic nie rozumiał, i chciało jej się płakać. Przecież minęło już tyle czasu... dlaczego jeszcze tego nie odgadł?

– Nie wyjdę za mąż drugi raz, Will. Nigdy.

Ze wszystkich sił chciała, żeby to wreszcie do niego dotarło. Żeby zrozumiał.

Otworzył usta, ale nic nie powiedział.

– Czy mam jakimś cudem wypuścić z ucha pędy z kwiatami? – Uśmiechnęła się smutno. – Odkrywca powinien być spostrzegawczy, Willu Repton. Naprawdę nie zauważyłeś, że cię kocham?

Przyjął te słowa jak strzałę, która wbija się w pierś. Wniknęły w niego, ale przez chwilę był nieświadom ich mocy.

Poczuła falę gorąca na twarzy, ale zmusiła się do jeszcze bardziej promiennego uśmiechu.

– Słowo honoru. Myślałam, że już od dawna zorientowałeś się w moich uczuciach. Właściwie już przy pierwszym spotkaniu. Ale widać mężczyźni są wyjątkowo tępi w tych sprawach.

Był tak oszołomiony, że roześmiała się cicho.

– Nie takiej reakcji spodziewa się kobieta, która wyznaje komuś miłość.

– Nie płacz – wykrztusił.

Zdziwiona, zamrugała oczami. Dopiero wtedy poczuła ciepłe krople na policzkach. Przecież ona nigdy nie płakała. Była zawsze radosna, była...

Will wziął ją w ramiona i głaskał mocno, niemal rozpaczliwie, by się uspokoiła.

– Chryste. Charlotte, nie płacz.

Ręce mu się trzęsły. Jej wrażliwy Will. Pewnie, że muszą się rozejść. Nie wytrzymałby nerwowo mieszkania z nią przez całe życie. Ale skoro jeszcze tu był, przytuliła się do niego. Naprawdę był jakby stworzony do tego, by ją trzymać w objęciach. Dotknęła jego gęstych włosów i odetchnęła korzennym zapachem olejku na szyi, pragnąc, by wspomnienie jego ciała zapisało się w niej głęboko i nigdy się nie zatarało.

– Nie. – Odsunął ją i przesunął ręką po gardle, jakby chciał z niego zetrzeć dotyk jej ust. – Właśnie dlatego to musi się skończyć. I to zaraz.

Gdyby była o kilkadziesiąt centymetrów wyższa, musiałby spojrzeć jej w oczy. Ale jemu wystarczyło uśmieć podbródek, by patrzeć ponad jej głową i często z tego korzystał.

Jakie to wszystko było beznadziejne.

Ile razy prosiła, żeby na nią popatrzył? Żeby z nią porozmawiał? Na wszystkie ponure spojrzenia, upór, milczenie i tajemnice musiała reagować trzepotaniem rzęs, uśmiechami i beztroską, bo wiedziała, dobrze wiedziała, że głupotą było zakochać się w odkrywcy.

Tylko że jej miłość była prawdziwa. Choć okazała się prawdziwym koszmarem.

Uśmiechnęła się, rozmyślając, jakie to absurdalne. Naprawdę, po co te łzy i dramaty? Ta miłość nie była przecież niczym nowym.

Przynajmniej dla niej.

Natomiast Will wyglądał, jakby miał się przewrócić.

– Niczego od ciebie nie oczekuję. Po prostu cię kocham i...

– Nie. – Opuścił wzrok. – Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Jadamy razem kolacje, całujemy się, śpimy razem i – zacisnął oczy – ja dotykam cię, choć nie powinienem tego robić.

– Nie obwiniaj się.

– Znowu to robisz. Puszczasz wodze wyobraźni – odparł szorstko. – Przecież nie możesz kochać się w kimś, kto już na samym początku powiedział ci, że wyjeżdża.

Widać było, że wpadł na nowy pomysł, bo w jego oczach błysnęła ulga.

– Ciebie pociąga właśnie to, że wyjeżdżam.

Z szacunku do niego zastanawiała się nad tą kompletną bzdurą przez całe cztery sekundy.

– Nie.

Oparł się bezwładnie o ścianę, zaciskając dłonie na skroniach.

Biedny Will. Skutecznie odwracała jego uwagę od wszystkich planów, a tego nienawidził nade wszystko.

Tylko że dzisiaj planował unieważnienie jej małżeństwa.

Serce zabiło jej boleśnie. A jeżeli jemu naprawdę na niej zależało? Czy mogła mieć nadzieję? Błagam... chociaż do sierpnia.

Jakby w odpowiedzi na tę modlitwę, kolana się pod nim ugięły i zachwiał się na nogach. Musiał się chwycić ściany, żeby nie upaść.

Podparła go pod ramię i przyjrzała mu się uważnie, żeby ocenić jego stan.

– W dalszym ciągu źle się czujesz. Chcesz może kleik ryżowy? A może trochę bulionu z bażanta?

– Nie chcę. Nic nie chcę.

– To może rosół?

Zaśmiał się dziwnie, bezgłośnie i objął ją mocno.

– Wielki Boże, Charlotte, co ty sobie wymyśliłaś? Przecież nie będziesz na mnie czekać.

Powinna udzielić jakiejś niezobowiązującej odpowiedzi.

Zgodzić się z nim, żeby się uspokoił. Ale ona miała już dość ukrywania swoich prawdziwych uczuć.

Poza tym kłamstwo nic by nie zmieniło. Prawda zresztą też nie.

– Od samego początku wiedziałam, że będę na ciebie czekać – odpowiedziała spokojnie. – Co rano będę czekać, czy w gazetach wydrukują jakiś artykuł o Willu Chińczyku. Potem na sprawozdania w rejestrach Towarzystwa Geograficznego. Na twój triumfalny powrót do Anglii. Potem w niekończącej się kolejce, żeby dostać się na twój wykład w jakiejś obrzydliwej sali Towarzystwa Linneuszowskiego. Potem będę czekać, aż Ben zaprosi cię na kolację, podczas której powitasz mnie uprzejmym skinieniem głowy. – Zamknęła oczy i odparła falę smutku. – A potem na dzień, w którym poślubisz nową żonę.

Kompletnie znieruchomiał. Dobrze, że nie widziała jego oczu. Nie zniosłaby poczucia odpowiedzialności, które się w nich malowało. Ani odrazy.

– Widzisz? – szepnęła. – Od początku wiedziałam, że będę na ciebie czekać, Will. Nie tylko ty umiesz układać plany.

Jego ramiona napięły się mocno. Gdyby nie to, że trzymał ją w objęciach, nie usłyszałyby, co powiedział.

– Opuszczam cię.

Zabrzmiało to jak pytanie.

– Opuszczam cię – powtórzył głośniejszym, straszliwie nieszczęśliwym głosem.

– Wiem – odpowiedziała miękko, pragnąc go pocieszyć. Przytknęła usta do jego ucha, żeby na pewno dobrze zrozumiał jej słowa. – Wiem. Ale ja cię nigdy nie opuszczę.

Coś w nim pękło. Ramiona mu opadły, a głowa dotknęła czołem jej ramienia.

– Charlotte...

W tym szeptcie było tyle żalu... Ogarnęła ją fala ulgi, choć być może powinna poczuć coś innego. Wszystko to na nic się zdało. Ale będzie za nią tęsknił. To już coś. Nie całym sobą, ale chociaż trochę.

Po chwili wyprostował się na całą wysokość, dotykając ustami jej skroni.

– Czy to znaczy, że naprawdę mnie kochasz?

W odpowiedzi objęła go mocniej. Nie chciała nic mówić, żeby go jeszcze bardziej nie przygnębiać, bo wyraźnie zaczął się godzić z faktem, że kobieta, którą poślubił, niestety zakochała się w nim po uszy.

To było samolubne, ale musiała spróbować. Może uda się go przekonać, żeby odłożył unieważnienie małżeństwa na później.

– Proszę cię. Nie dzisiaj.

Powoli wypuścił powietrze.

– Dobrze, Charlotte.

Nadzieja zapała jej dech w piersiach.

– Naprawdę?

Odsunął ją i zdjął surdut.

Podniecona, oszołomiona, podskoczyła do góry. Ale tylko raz. Najwyżej dwa razy. W końcu była damą, a dama powinna ograniczać podskoki do minimum.

– Dziękuję, Will! Przecież nie jesteś tu aż tak nieszczęśliwy, prawda? To tylko kilka tygodni... będzie nam razem miło i...

Przerwała, widząc, że zdjął również kamizelkę. Nie zauważyła, że ją rozpiął.

Spojrzała na drzwi z niechęcią, zaniepokojona, że jakaś pokojówka może zobaczyć, jak Will się rozbiera. Tylko na moment odwróciła oczy, ale natychmiast powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem.

To dziwne. Chociaż jego zmysły były tak dostrojone do jej najdrobniejszych ruchów i dźwięków, które wydawała, kompletnie zaskoczyła go wiadomość, że kobieta, która chodzi za nim jak piesek, jest w nim zakochana.

Zamknął drzwi na klucz. A potem zrobił to samo z drzwiami do swojej sypialni, wyciągając przy tym koszulę ze spodni.

Co on wyprawiał?

– Jest ci za gorąco?

– Nie. – Rozpiął kołnierzyk koszuli.

– Nie? – powtórzyła cicho, ciekawa, co będzie dalej. To dziwne, ale nie potrafiła się tego domyślić. Zwykle odgadywała wszystkie jego myśli. Nieważne. Wszystko, co robił rozebrany, niezmiernie jej się podobało.

Przesunął wzrokiem po jej sylwetce.

– Ona mnie kocha – mruknął pod nosem.

Spochmurniała na te niechętnie słowa. To się naprawdę stawało obraźliwe. Czy jej uczucie naprawdę było dla niego takim obciążeniem?

Will rozbierał się dalej, więc porzuciła dalsze rozważania. Śpieszył się. Aż za bardzo. Po chwili buty, skarpetki, koszula i spodnie leżały na podłodze, a on stał przed nią. Kompletnie nagi.

Patrzyła na niego bez tchu, nie potrafiąc odwrócić spojrzenia. Przedtem udawało się czasem dostrzec jego ciało przez krótką chwilę, ale teraz... stał spokojnie, wyprostowany, z wysoko uniesioną głową. Jakby oddawał się jej na własność.

Ogarnęła ją fala uczucia. Obnażył się, tak jak ona przed chwilą. Nie był jej prawdziwym mężem, ale jakże często dawał jej miłość. Zawsze z powagą, zawsze zdecydowanie. Tak jak teraz.

Światłocienie podkreślały węzły mięśni na piersi, ramionach i udach i twardy brzuch nad jego męskością.

Przesunęła wzrokiem po pokrytej cienkimi włoskami piersi, w dół brzucha i niżej. Poczła zwierzęcą potrzebę, by przesunąć dłonią śladem tego spojrzenia. A potem ustami.

Potężne udo było zupełnie gładkie w jednym miejscu – pewnie włosy wytarły się tu od bandaży. Na łydkach i kostkach miał takie same, cienkie blizny. Wy tłumaczył jej, że to tylko ślady po pijawkach. Tylko ślady... ale musiało ich być mnóstwo. Przyczepiły się do niego w Birmie i wysały tyle krwi, że przez jakiś czas był bardzo osłabiony.

Tak mało mówił jej o swoim życiu. Nie chciał dzielić się bólem. Był taki skryty, udręczony i – o Boże – taki nagi... i zbliżał się coraz bardziej.

Stała nieruchomo, żeby go nie spłoszyć. Patrzył na nią jak zawsze – skupiony i zdecydowany. Cofnęła się o krok, by nie tracić go z oczu, ale jego mocne dłonie przyciągnęły ją bliżej. Przez cienką bawełnę sukni czuła żar jego ciała.

Zawsze był taki rozpalony. Na początku bała się, że to z gorączki, ale teraz już się przyzwyczała. Wszystko było takie znajome i takie ich własne. Żar jego ciała, jego siła, zapach, dotyk rąk, uparty wicherek na szyi, kształt ucha, pocałunki... Głaskał ją lekko po plecach. Wyobraziła sobie, że myśli o tym samym co ona.

Zagryzła wargi, żeby się nie odezwać. Bardzo chciała się dowiedzieć, co dokładnie znaczyły jego słowa, ale bała się, że wszystko popsuje.

Wędrował wzrokiem po jej twarzy, a potem uśmiechnął się, gdy dotarł do warg.

Dotknął jej podbródka.

– Zdaje się, że chcesz coś powiedzieć?

Ani słowa, Charlotte. Nawet nie oddychaj, nic...

– Czy ja także mam zdjąć suknię?

Uśmiech w jego oczach przerodził się w pożar namiętności. Objął jej szyję i pocałował. Gdy zetknęli się wargami, zacisnął mocniej dłoń. Drugą objął jej pośladki i przycisnął do siebie z ogromną siłą. Choć nic nie czuła przez suknię, jej serce radośnie zabiło na myśl o tym, co sugerował.

A raczej o tym, co zamierzał zrobić.

Był taki cudowny! Zaspokoi ją tak jak przedtem. Była tego pewna!

Chciała go pieścić po całym ciele, ale nie mogła się zdecydować, od czego zacząć, więc objęła go w talii i zaczęła pieścić twarde pośladki. Ale ta delikatna pieszczota podziałała na niego jak wstrząs. Zesztywniał i cofnął się, patrząc na nią czujnie i ostro.

Nie... tym razem jego objęcia zupełnie nie były znajome.

Wszystko było inaczej. Wszystko, nawet ogarniająca ich namiętność. Znowu iskrzyły między nimi tęsknota i pożądanie, ale Will panował nad nimi pełen czułości. Jakby przyjął na siebie odpowiedzialność.

Dlatego że wyznała mu miłość.

Oddychając urywanie, dotknął dłonią jej policzka.

– Dobrze – powiedział gardłowo. – Dobrze...

Zajrzał jej głęboko w oczy.

– To co, zdejmujemy suknię?

Zgodziła się bez słowa, z uśmiechem. Nie odsunął się. Wręcz przeciwnie, przysunął się bliżej.

– Zdejmujemy wszystko?

Ale jego oczy zadawały zupełnie inne pytanie.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Skinęła głową, zbyt wstrząśnięta, by odpowiedzieć słowami.

Boże. Naprawdę będą się kochać. Jak prawdziwi kochankowie. Jak prawdziwi małżonkowie.

Sięgnęła do kołnierzyka rozdygotanymi palcami, ale suknia miała zapięcie z tyłu.

– Do diabła! – Zarumieniła się, wstydząc się tej gwałtownej reakcji. Ale Will po prostu stanął za nią.

Lekki dotyk jego palców sprawił, że wstrzymała oddech. Po chwili guziki były rozpięte, a muslinowa tkanina spłynęła z krynoliny. Will przyklęknął, podniósł ją z szacunkiem, jak troskliwa pokojówka. Po chwili zafascynowana obserwowała plecy wspaniale zbudowanego mężczyzny, który niósł jej suknię do garderoby.

Potem stanął na wprost niej i przekrzywiając głowę, chłonał jej widok w bieliźnie. Przypomniła sobie, co powinna zrobić. Zaczęła rozpinać guziki przy talii, aż drucziana klatka opadła z brzękiem na podłogę. Uśmiechnął się na ten dźwięk, a ją zalała fala miłości, tak przenikliwa i beznadziejna, że aż bolesna. Kochała go bezgranicznie. Był jej najbliższym przyjacielem. A teraz zdecydował się oddać jej samego siebie i zostać jej mężem. Prawdziwym mężem.

Jedynym na całe życie.

Sięgnęła do tyłu, by rozwiązać sznurówki gorsetu. Obserwował ją bacznie.

Zadowolona z tej uwagi, ujęła w dłoń piersi i rozpięła haczyk z przodu, uwalniając biust. Podejrzewała, że bardzo go lubił. Podeszedł krok bliżej, przyglądając się z wielkim zainteresowaniem.

Zadowolona, że jej bezwstyd został w ten sposób wynagrodzony, sięgnęła pod koszulkę, by rozluźnić wstążki przytrzymujące majtki. Po chwili opadły na dywan. Will oblizał wargi i opuścił powieki. Wtedy jego sterczący, sztywny członek zrobił coś dziwnego. Sam z siebie zadygotał.

Zafascynowana, zaczęła rozbierać się wolniej. Potężny mięsień kołysał się i poruszał, kiedy zdejmowała pantofle i ściągała pończochy, aż w końcu została w samej koszuli. Ciekawe, co robi, gdy będzie cała naga?

Bez chwili wahania, bez nerwów ani wstydu, ściągnęła koszulę przez głowę, wciąż wpatrując się w jego męskość. W chwilę później przestała go widzieć, bo potężne ciało Willa znalazło się tuż przy niej i porwało ją w objęcia.

– Will! – Jego ręce były szorstkie. Nigdy taki nie był. Ależ ją to podniecało! Była obiektem jego żądzy.

– Miej litość, Charlotte.

Mocne ramiona ścisnęły ją zbyt mocno, a jego oddech owiał jej włosy, jakby chciał ją naznaczyć sobą. To wszystko było takie zwierzęce, pełne podniecenia... i nie mogła nigdzie przed nim uciec.

Zresztą wcale nie miała ochoty próbować.

Pochylił głowę i szepnął:

– Nigdy w życiu nie widziałem nikogo piękniejszego od ciebie.

Zachwyciły ją te cudowne słowa. Pochylił głowę, by ją pocałować, a jego członek zadrgał gwałtownie.

Will skrzywił się, a ona zachichotała, bo znowu mogła się śmiać. Starła się jednak opanować, żeby nie urazić swego wrażliwego małżonka. Schowała twarz na jego piersi i przytuliła się mocno, ale jej ramiona trzęsły się od hamowanego śmiechu.

Westchnął i zaczął poklepywać ją po plecach, aż się uspokoiła i tylko od czasu do czasu parskała wesołością.

– Bardziej nerwowy i mniej doświadczony mężczyzna mógłby się zniechęcić takim wybuchem wesołości, wiesz?

– Ale ty się nie zniechęciłeś.

Popatrzył na nią ciepło.

– Skądże – zamruczał.

Pochylił się, jakby chciał ją pocałować, ale zamiast tego podniósł ją do góry i posadził na łóżku. Usadowiła się wygodnie i czekała, co będzie dalej. Ale cierpliwość nigdy nie należała do jej cnót.

– Co mam robić? Czy...

Usiadł obok niej.

– Chciałabyś się może położyć?

Natychmiast znalazła się na plecach, dopasowując się do niego, a potem pociągnęła go, by znalazł się na niej. Właściwie tylko to zasugerowała, bo przecież nie mogła go tak po prostu wciągnąć na siebie.

– I co teraz?

– No cóż...

Na jego ustach igrał uśmiech. Delikatnie poprawił się, by leżeć z nią oko w oko. Pomyśleć, że jeszcze niedawno unikał jej wzroku.

– Chyba najpierw zaczniemy się całować.

Skinęła głową, nie wiedząc, co odpowiedzieć, a on przyciągnął ją do siebie i zaczął muskać wargami jej gardło. Rozchylone wargi i czubek języka znaczyły jej ciało, a spokojny oddech palił jak ogniem. Mocne ręce uniosły jej biodra. Dotknął lekko jej wrażliwych warg, by rozpalić pożądanie. Poczuła, że wilgotnieje.

Westchnęła z rozkoszy.

Zawsze wiedział, jak ją zadowolić. Rytm jego pieszczot był taki sam jak ostatnio. Woląa jednak nie przypominać sobie tamtej nocy ani tego, jak źle się zakończyła. W tej chwili czuła się kochana i szanowana. Pewnie to było złudzenie, ale mogła przecież udawać, że tak jest. Przez te trzy tygodnie nabrała wprawy.

Objęła go za szyję i smakowała jego ciało. Jego mocne uda znalazły się między jej udami. Umięśnione biodra napierały i odsuwały się, wibrowały i delikatnie wsuwały się głębiej. Zagłębiła palce w jego jedwabiste włosy.

– Taka słodka... Charlotte... – Cichy szept był jak fale bijące o brzeg jej ciała, obmywające ją całą. Nie miała czym oddychać. Potężne ramiona przesłoniły jej cały świat. Słony zapach ich ciał przenikał wszystko. Jego ciężar przygniatał ją do łóżka. Miała wrażenie, że tonie, i pragnęła, by to trwało bez końca.

Mimo tych wszystkich wrażeń i emocji, oślepiającej ekstazy i zachwytu pojawiły się jasne, klarowne myśli. Uwodził ją, pobudzał, przygotowywał jej ciało na spotkanie ze swoim.

Ale to był Will... jej przyjaciel.

To było prawie jak miłość...

Nie chciała o tym myśleć, nie chciała się zastanawiać, ale nie potrafiła przestać. I chyba nie tylko ona.

– Kochasz mnie? – Biodra Willa zaczęły poruszać się wolniej.

– Kocham. Przepraszam... – szepnęła.

Pocałował ją, ale kiedy uniósł głowę, w jego oczach pojawiło się kolejne zmartwienie. W ogóle przestał się ruszać.

– To może cię zboleć. Może ci się nawet coś stać. Nie wiem, na czym to polega. Ja nigdy... to znaczy nigdy nie z... i to było sześć lat temu.

Przyciągnęła jego głowę do siebie i pocałunkami zmusiła do milczenia.

Nie czuł się skrępowany miłością, tylko bał się o jej dziewictwo. Chciało jej się zarazem płakać i śmiać z tej jego przesadnej troskliwości, ale sama też się trochę niepokoiła. Lucy też jej mówiła, że to boli.

A Will był duży.

W każdym razie tak twierdził.

Zachichotała. Uniósł głowę, trochę ze strachem, trochę z nadzieją.

– Jaki męski narząd tak cię znowu rozbawił?

– Ten sam.

– No tak, nic dziwnego – zamruczał.

– Powiedziałaś mi, że jest większy niż przeciętnie, pamiętasz?

Zarumienił się i popatrzył nieśmiało.

– Wiesz, że nie mogę sprawdzić, czy się nie przechwalasz?

Uśmiechnął się, ale w oczach miał powagę.

Pocałowała go w nadziei, że skieruje jego myśli ku miłości, ale jego usta stały się delikatne i czułe, a

ciężar jego ciała zelżał.

Położyła jego dłoń na swoich piersiach, bo podejrzewała, że bardzo mu się podobają. Natychmiast zamknął na nich dłoń, ale wciąż jeszcze się wahał. Chyba nie zamierza przestać...

Wzwiedziony członek kusił ją coraz bardziej, a krew wrzała z namiętności. Niech w końcu coś się zdarzy... Do diabła, przecież to nie może być trudne...

Zapraszająco poruszając biodrami, ujęła jego męskość i skierowała ją ku miejscu, w którym powinna się znaleźć. Potem wsunęła ją tam.

– Uważaj... Charlotte – wyszeptał przez zaciśnięte zęby, ale nie odsunął się, choć zaraz spróbowała znowu.

– Och, nie... – Spojrzała w pełną napięcia twarz. – Will? Jak duży jesteś?

Skrzywił się i mruknął ledwie zrozumiale:

– Ja to zrobię, kochanie.

Poczuła dotyk palców, a potem jego męskość, ale niżej... Zaskoczyło ją to i wcale nie było przyjemne. Był za szeroki...

– Och... To okropne.. dziwne...

Spojrzał jej w oczy.

– Dziwne? Jak to dziwne?

– Tobie się to nie wydaje dziwne?

Pośpiesznie pokręcił głową.

– Nie, kochanie.

Opadł na łokcie. Policzki miał mokre od potu. Czy ta powolna eksploracja była trudna także i dla niego?

Pocałował ją z porażającą siłą, ale szybko się opanował.

– Pozwolisz mi wejść trochę głębiej, kochanie? Sprawdzimy, czy to też będzie takie dziwne?

Czekał, uniesiony nad nią. Cieszyła się, że nie widzi, jak wygląda ich połączenie, bo wyobraźnia i tak podsuwała jej niepokojące obrazy. Wzięła głęboki oddech i skinęła głową.

Uśmiechnął się z napięciem. W oczach miał głód i niepokój. Jęknęła, gdy nacisnął mocniej, więc rozmasował miejsce, gdzie byli połączenie. Ten spokojny, okrężny ruch rozproszył ból, ale mimo jego wysiłków cicho jęknęła.

Znieruchomiał.

– Przepraszam – szepnął żałośnie.

– Nie. Nic się nie dzieje. – Uśmiechnęła się przez zaciśnięte zęby.

– To... ach... zaraz przejdzie... Taka kobieca ceremonia osiągnięcia dojrzałości.

Nie wyglądał na przekonanego.

– Racja, kochanie. – Wtulił się w jej szyję. Zamknęła oczy i przygotowała się na więcej.

– Coś mi to przypomina – powiedział. – Czy ja ci kiedykolwiek pokazywałem moją fajkę z kości jaka?

Uścisk jej ręki zelżał.

– Co takiego?

– Moją chińską fajeczkę do opium? Tę z kości jaka?

– Nie, nigdy.

Podciągnął się wyżej, by na nią spojrzeć. Twardy penis wcisnął się brutalnie w jej ciało.

– Zdawało mi się, że tak.

– Przecież nie palisz.

– Nie, nie palę.

Znowu zaczął masować obolałe miejsce, nie spuszczać z niej wzroku.

– Jesteś pewna? Ma z osiem centymetrów. Jest z kości. Ozdobiona srebrem i turkusami.

– Ja... och to miłe... Jestem pewna, że nie. Dlaczego ci się przypomniała?

– Bo wyrzeźbiono na niej różne sceny. Mężczyzn i kobiety.

Chwycił zębami płatek jej ucha i połaskotał. Jego palce w dalszym ciągu masowały wilgotne miejsce między ich nogami.

– Erotyczne sceny.

– Jak na *scrimshaw*? Tych marynarskich rzeźbach z kości?

– Tak je nazywają?

Przytaknęła, a on opowiadał dalej.

– Jedna z nich przedstawia kobietę z trzema mężczyznami, i ona... jasne, dlatego ci tego nie pokazałem.

– Z trzema?

Ledwo poczuła kolejne pchnięcie.

– Mhm.

– Ale jak...

Szczypiący ból odwrócił jej uwagę. Will westchnął z ulgą i rozluźnił się na niej.

– Już po wszystkim, kochanie – mruknął i pocałował ją w nos. – Masz swoją ceremonię przejścia.

– Ceremonię? – Poruszyła się i poczuła go głęboko w sobie. – Och...

– Przepraszam cię, kochanie. – Mówiąc to, uśmiechnął się, ale w tym uśmiechu było coś wilczego.

Odpowiedziała uśmiechem, zaciskając zęby, bo był rzeczywiście ogromny, ciasno w nią wpasowany i dalej ją bolało. Czy to normalne? Czy będzie bolało bardziej? Co on czuł? Miała mnóstwo pytań...

– Masz jeszcze tę fajkę? – zapytała na początek.

– Hm? – Mruknął cicho i gardłowo, tuż przy jej szyi, którą właśnie pieścił.

Nie ruszał się jednak. Ona też nie. Ale po chwili, jakimś magicznym sposobem, wszystko się zmieniło i poczuła się cudownie. To był jej mąż, połączony z nią w najbardziej intymny sposób na świecie.

Łzy zaćmiły jej wzrok. Objęła go najmocniej, jak potrafiła. Jego mocny brzuch napiął się na jej ciele, serce zabiło mocniej, a ją przeszył dreszcz rozkoszy.

– Kocham cię – szepnęła z poczuciem beznadziei... bo wiedziała, że nic jej na to nie odpowie.

Zamknęła oczy i poczuła na policzku pocałunek. Zamrugnęła, by przegnać łzy, i uśmiechnęła się znowu.

– I co teraz?

W jego oczach również jaśniał uśmiech.

– Poczekaj chwilę. Coś chyba wymyślimy.

Uniósł się wyżej, choć jego ciało przywarło do niej mocno. Cofnął się nieco. Tym razem, choć byli ze sobą ściśle złączeni, ból był mniejszy... aż w końcu zniknął.

– Och, to miłe – westchnęła.

Mruknął zgodnie i zrobił to jeszcze raz. I jeszcze.

– W porządku? – szepnął gardłowo.

– Och, tak... – Z każdym jego ruchem to cudowne napięcie u podstawy pleców przybierało na sile, skręcając się jak sprężyna. Ogarniało ją całą i wiedziała, że on też to czuł.

– Och, tak...

– Dzięki Bogu – jęknął.

Poruszał się w niej rytmicznie i szybko, podtrzymując się na rękach. Ale ona chciała mieć go mocniej, głębiej i szybciej. Uniosła ku niemu biodra.

– Proszę... szybciej... mocniej...

Zacisnął szczęki. Kosmyki włosów opadły mu na twarz. Potężne ramiona objęły ją mocno. Wbił w nią wzrok.

– Ja... Charlotte, ja...

Ale nie zdążył już nic powiedzieć. Wszedł głębiej, ale panował nad sobą. Silne pięści gniotły poduszkę po obu stronach jej głowy. Dyszał ciężko, jęczał niby w bólu... cały pokój rozbrzmiewał erotycznymi dźwiękami. Pochylił się nad nią i ręką drżącą z hamowanego pożądania dotknął jej piersi, a potem zaczął ją ugniatać. Zaskoczona niespodziewaną pieśzczotą, wydała rozkoszny okrzyk. Wtedy chwycił w zęby drugi sutek i zaczął go ssać, skubać i lizać, chciwie i władczo... by wywołać kolejny jęk.

Jej wymarzony mężczyzna stał się jej kochankiem. Nic dziwnego, że sobie tego nie wyobrażała, bo to było niewyobrażalne.

Powtarzał jej imię gardłowo, niemal na zwierzęcy sposób, tak odmienny od jego normalnego, uważnego, opanowanego tonu.

– Chcę... Charlotte... nie mogę wolniej...

Podciągnął się na rękach. Nie miała czym oddychać. Dygotała w rytmie nieubłaganych ruchów jego bioder. Ten rytm, te długie głębokie, przemożne pchnięcia sprawiały, że ogarniała ją coraz większa rozkosz, niosąc ją wyżej i wyżej, na niewyobrażalną, cudowną wysokość, z której można było uciec, tylko skacząc w dół.

Krzyknął gardłowo, wygiął się w łuk i wszedł jeszcze głębiej.

Ten ruch wstrząsnął nią, wzniosł ją do lotu... szybowała, lekka jak piórko. A potem zaczęła opadać w dół. W jednej chwili powróciła świadomość. Will przygniatał ją całym ciężarem. Unieruchomił jej biodra i wbijał się w nie raz za razem. Jego mięśnie gwałtownie dygotały. Panował nad sobą nawet w tej chwili. Jęknął i szepnął jej prosto w ucho.

– Boże... Charlotte... Jak dobrze...

Zrozumiała. Wielki Boże, zrozumiała go! Objęła go mocno, zbyt oszołomiona, by zrobić cokolwiek innego, i trzymała go tak, aż wygiął się w łuk, zadygotał, znieruchomiał i opadł na jej ciało.

Zdumiewające... To było naprawdę zdumiewające. Właśnie przeżyła przygodę. Jej podróżnik zaprowadził ją na koniec świata i podarował jej nowy.

Plecy miał śliskie od potu. Nigdy nie był taki ciężki i bezwładny, nawet we śnie. Serca im biły, jakby właśnie wspięli się na wysoki szczyt i wreszcie mogli razem odpocząć.

Ciągle był w niej, ciepły i pulsujący. Jego ciało było ciężkie i senne. Pozwoliła więc, by ta cudowna chwila trwała.

Ale nie wytrzymała długo.

– Will? – Nie widziała go w ciemności, więc tylko dotknęła jego ramienia. – To było niesamowite.

Will słyszysz mnie?

Poruszył się, ale zanim na nią spojrział, musiał otrzeć oczy. Znowu był dziwnie zakłopotany.

– Ja... – Ścisnęło ją w gardle i poczuła... poczuła...

Później. Później zastanowi się nad swoimi uczuciami.

– Dziękuję – szepnęła. – Nie zapomnę ani jednej chwili, ani jednej sekundy, ani...

Uniósł się i przerwał jej przemowę soczystym pocałunkiem, który uciszył ją skuteczniej niż cokolwiek innego. Kiedy po dłuższej chwili uniósł głowę, przeszył ją tak intensywnym spojrzeniem, że nie odezwała się ani słowem.

– Nie obiecuję, że wrócę, ale będę się starał. Każdego dnia.

Od tych słów pociemniało w pokoju. Jej serce i tak już było pełne emocji. Dlaczego musiał o tym wspominać? Przecież coś mogło mu się stać na morzu. Albo później, na lądzie. Mógł spaść w przepaść. Albo dostać gorączki. Choć był dla niej tak cenny.

– Oczywiście, że wrócisz – potwierdziła pośpiesznie. – Jesteś silny i zdrowy. Wrócisz jako bohater. A potem będziesz żył długo i szczęśliwie, zakochasz się, ożenisz i będziesz miał rodzinę. W ogóle nie myśl o takich rzeczach. Naprawdę. Nawet nie wspominaj o śmierci. Tak rzadko się odzywasz, panie Repton, że jeśli już coś mówisz, to mów mądrze.

Zajrzał jej w oczy ze swoją zwykłą miną: jakby nic nie rozumiał. A raczej z miną, którą zwykle miewał w jej obecności.

Ujął jej policzek, a na jego wargach pojawił się lekki uśmiech.

– Boże... jak mi się nie chce od ciebie odjeżdżać.

Wzruszyło ją zdumienie malujące się na jego twarzy, ale musiała się uśmiechnąć.

– Och. To najmiłsza rzecz, jaką mi do tej pory powiedziałaś.

Zamrugał.

– To nieprawda.

– Właśnie, że tak.

– Oczywiście, że nie. Przecież właśnie cię poprosiłem, żebyś została moją żoną.

Uśmiech zniknął z jej twarzy i przez kilka sekund nie mogła pozbierać myśli.

– Naprawdę? Kiedy?

– A nie zrobiłem tego? – Znowu zrobił przestraszoną minę. – Myślałem, że to oczywiste. Przecież się kochaliśmy, Charlotte. Na litość boską, ciągle jestem w tobie.

– Will? – Poczekała, aż na nią spojrzy.

– Tylko mów rozsądnie, dobrze? Ja nic nie rozumiem. Naprawdę? Naprawdę chciałeś mnie poprosić? Oblizał usta, a potem je rozchylił. Ale nie odezwał się ani słowem.

Jego spojrzenie powędrowało ku sińcowi na jej policzku i zatrzymało się na nim.

Przechyliła głowę, tak, by patrzył jej w oczy.

– Chciałeś?

Pochylił głowę żeby ją pocałować. Ledwie musnął jej wargi, ale jego dotyk był ciepły, kojący i znajomy. Poczowała przypływ odwagi. Oczywiście, że znajomy. Był jej mężem. Zawsze nim był. Rozpoznała go od pierwszej chwili.

Uniósł głowę i popatrzył na nią jasnym, spokojnym wzrokiem.

– Wyjdź za mnie. Zostań moją żoną.

Dotknął czołem jej czoła.

– I... czekaj na mnie.

Ogarnęła ją dzika, bezgraniczna radość. Objęła ramionami jego mocną szyję i zacisnęła je mocno. Może to nie było dla niego przyjemne, ale musiała.

– Tak! Och, tak... Wyjdę.

Odsunęła go trochę, żeby zajrzeć mu w twarz.

– To była najmiłsza rzecz, jaką mi do tej pory powiedziałeś.

Pokręcił głową.

– Teraz jesteś znowu szczęśliwa, prawda?

Łzy popłynęły jej po policzkach. Śmiała się i płakała.

– Tak.

– Dzięki Bogu. – Całował jej policzki, oczy, roześmiane usta. A co najcudowniejsze, w końcu ucałował jej serce i położył czoło na jej piersiach.

Leżał nieruchomo, jakby się modlił.

– Moja żona – szepnął niemal niedosłyszalnie. – Niech mi Bóg wybaczy.

Deszcz zabębnił mocniej o szyby. Nocna burza. Po szkle spływały krople wody i pośpiesznie spadały na parapet, jakby się ścigały. Wewnątrz lustro odbijało żar na kominku i postacie Willa i Charlotte śpiących obok siebie w łóżku.

Ile to czasu upłynęło, od kiedy zostali mężem i żoną? Sześć? Czy siedem?

Siedem godzin od chwili, gdy się dowiedział, że Charlotte go kocha.

Okrył ją kołdrą i poczuł aromat peonii pomieszany z zapachem jej skóry, potu i miłości. Objął ją w talii, uważając by jej nie obudzić po męczącej nocy.

Raz powinien im wystarczyć. Ale kochali się jeszcze dwukrotnie, za każdym razem mocniej i dłużej. Do diabła, znowu był twardy.

Wystarczy. Przetoczył się na plecy, czując, że coś go niepokoi.

Myślał, że wiedział, jakie rozkosze może dać mężczyźnie ciało kobiety. Myślał, że to, co przeżywał do

tej pory to było spełnienie. Ale to, co czuł razem z nią, to, co w nim budziła, głębia, jaką odkrył...

Nic do tej pory nie rozumiał.

Przeciągnął się, czując ból rzadko używanych mięśni, które napinał, by kochać ją najdelikatniej, jak potrafił. Nigdy w życiu nie był tak świadomy własnego wzrostu i ciężaru, który ją przygniatał. Była tak delikatna. Przypominał mu to każdy dotyk jej dłoni i szczupłych nóg, które go obejmowały i prowadziły.

Ale Charlotte, jak to Charlotte – otworzyła się przed nim cała, z tym bezgranicznym zaufaniem, jakim go zawsze darzyła. Za każdym razem dawała z siebie wszystko, by kochał ją coraz mocniej. Ale jej ciało było takie cenne... uwielbiał je i znał. Miłość powinna być czuła – spojrzenia, dotyk ust, szeptane słowa.

Przysunęła się do niego i przytuliła mocno, jak zwykle.

Przycisnął ją do siebie, próbując zignorować przyjemność, jaką sprawił mu jej znajomy ciężar.

Nie. Nie skrzywdzi jej już więcej. Nigdy. Ta szczęśliwa, niewinna kobieta nie powinna się o niego jeszcze bardziej martwić. Nie musi mówić jej o masakrze, o powrocie do Tybetu...

A gdyby oddał te pieniądze? Gdyby pojechał tylko po dziecko? Wtedy mógłby wrócić już po roku.

Wrócić do Charlotte.

Mógłby się zaciągnąć na herbaciany kliper. Rejs był ciężki, koje takie krótkie, że musiałby się składać jak scyzoryk, a fale walące w kadłub nie dawały spać. Szczególnie jeśli kogoś dręczyły koszmary. Ale czy to ważne, jeżeli i tak nie mógłby spać u jej boku?

Mógłby popłynąć przez Australię. Te statki zawsze woziły ludzi, którzy chcieli ukradkiem wyemigrować. Utykał, ale był silny, a oni zawsze potem dobierali kogoś do załogi na ostatni etap podróży do Indii. A w porcie wy dostałby się na ląd.

Ale jeżeli odda pieniądze, czy starczy mu funduszy na poszukiwanie Aimee?

Wyczerpany, zamknął oczy. Nie zaśnie już.

Nie tej nocy.

Poprawił się na poduszce, zdziwiony, że wciąż jeszcze się uśmiecha.

Do diabła, ona mnie kocha. Powiedziała, że poczeka, i powiedziała, że mnie kocha. Do diabła. Naprawdę to zrobiła. Tak jakby on miał serce zdolne do kochania. A jeżeli zostawi ją w ciąży...

Miał wrażenie, że łóżko zakołysało się, a serce wpadło mu do brzucha – jakby wisiał na krawędzi przepaści.

Dziecko. Jak ktoś taki jak on może być ojcem i mężem? Właśnie wybiera się w podróż do wrogiego kraju. Nie wie, czy wróci.

Co ja zrobiłem?

A co gorsza, co ja zrobiłem Charlotte? Dlaczego postanowiła zostać moją żoną?

– Te zioła są bardzo silne, milordzie. Proszę bardzo uważać na dawkowanie.

Hugh Swift, wicehrabia Spencer, przyszły hrabia Harlowe, spojrział na aptekarza z niechęcią. Ostrzeżenia starucha zaczynały go drażnić. Potrzebował tylko tego szklanego flakonu, który stał na ladzie między nimi.

– Szczerze mówiąc, odradzałbym samodzielnie podawanie tej tynktury, milordzie – dodał starszy pan.

– Czy nie mógłbym sam...

– To niemożliwe, proszę pana.

Ręka aptekarza zbliżyła się do flakonu.

– Za pozwoleniem, czy nie mógłby pan porozmawiać z tą damą? Krwawienie na pewno ją zaniepokoi, a ból...

– Obawiam się, że moja kochanka ma trudny charakter.

Zacisnął wargi, bo na nowo ogarnął go gniew na Charlotte i Reptona. Nigdy w życiu nie przypuszczał, że będzie zamieszany w tak nieelegancką sprawę.

Złapał flakon i wsunął do kieszeni kamizelki.

– Powiedziałem im, że nie życzę sobie dziecka, a ja zawsze dotrzymuję słowa.

– O to mi właśnie chodzi. Na pewno zrozumie, że taki dżentelmen w takiej sytuacji nie życzy sobie bastarda.

– Dziękuję za troskę.

Siwowłosy mężczyzna odwrócił wzrok.

Niech i tak będzie. Nie potrzebuję jego akceptacji, tym bardziej że mój ojciec drwi ze mnie do woli. Wyzywa mnie od rogaczy. Jak długo jeszcze Repton będzie szargał moje dobre imię? Ukradł mi żonę, więc niech jego nasienie zgnije w jej brzuchu.

– W takim razie proszę wziąć przynajmniej to. – Aptekarz podał mu maleńką łyżeczkę.

– Wygląda jak dla lalki.

– Zapewniam pana, że to nie zabawka, milordzie. Wystarczy ta łyżeczka, by wywołać poronienie. Przedawkowanie sprawi, że jej mięśnie rozluźnią się do ostatnich granic, a serce...

– Doskonale.

Hugh wsadził łyżeczkę do kieszeni z flakonem. Przekaze te instrukcje dziewczynie, którą ulokował wśród służby w domu Charlotte. Chociaż trudno powiedzieć, czy ta mała dziwka zrozumie, co to znaczy mała dawka. Może i tak, bo trochę pracowała w kuchni. Pewnie umie dawkować przyprawy.

– Jestem panu zobowiązany za wybawienie mnie z tych kłopotów.

Aptekarz nie odezwał się ani słowem, gdy Hugh kładł na blacie monety. Za takie usługi nie płacono się przez bank. Mimo wszystko stary wciąż wyglądał na zaniepokojonego.

– A w ogóle co to za zioła?

– Bylica, dawno stosowana w takich przypadkach. A to drugie, to drobna roślina. O fioletowych kwiatach.

– Naprawdę?

– Jej znaczenie w języku kwiatów jest niezwykle trafne... – dodał aptekarz.

Wicehrabia zatrzymał się przy drzwiach, by włożyć rękawiczki.

– A co to za znaczenie?

– Wrogość i zła wola, milordzie. Lobelia oznacza wrogość.

23

Ale jak zamierzasz dotrzeć do Guangi z Hongkongu? – Charlotte wpatrywała się w mapę rozłożoną na stole w gabinecie Bena.

Will stał za nią, opierając podbródek na jej ramieniu.

Wskazał obszar oznaczony kilkoma trójkątami i falistymi liniami.

– Wozami zaprzężonymi w muły dotrzemy do Huangpu. Tam rozbijemy obóz.

Charlotte oparła się o jego mocne ciało. Miesiąc, który przeżyli ze sobą jak prawdziwe małżeństwo, był najszcześniejszym okresem jej życia, ale stale towarzyszył jej niepokój. Teraz, gdy przekonała go, by opowiedział jej o planach podróży, ciągle wyobrażała sobie zdradliwe górskie ścieżki, ulewne deszcze, zimne wiatry i błotnistą ziemię, na której nie da się nawet wygodnie odpocząć.

– To wygląda na łatwy odcinek podróży – powiedziała lekko. Nie oszukał jej. Doskonale rozumiała, jak koszmarnie trudna jest ta trasa.

Powinno jej być lżej z tą wiedzą. Przynajmniej będzie mniej więcej wiedziała, gdzie on jest. Przez te wszystkie tygodnie. Przez te wszystkie lata.

A jeżeli do tego jest w ciąży, tak jak mu się wydawało...

– Zastanawiam się nad pewną rzeczą – zaczęła powoli. – Jeżeli na poczcie w Hongkongu moje listy będą przechowywać tylko przez dwa miesiące, to powinnam pisać do ciebie co miesiąc, prawda? Słyszałam też pogłoski, że wkrótce parowce pocztowe będą tam kursować dwa razy w miesiącu, a może nawet powstanie trasa lądowa, dzięki czemu listy będą dochodzić szybciej.

Nie odezwał się ani słowem.

– To dobra wiadomość, nie sądzisz? – spytała.

– Będę pisał, kiedy tylko się da.

– Co dwa tygodnie.

– Dobrze, co dwa tygodnie – obiecał z uśmiechem w głosie. – Nawet jeśli na poczcie zwiążą je wszystkie razem w paczkę i poślą tym samym transportem.

Wielka mapa zasłaniała cały stół.

Staranne pismo Willa widniało przy krętych rzekach, wioskach, górskich szczytach. Tylko że wijące się kreski, nie grubsze od włosa, były potężnymi rzekami, a zielone „V” oznaczały nieprzebyte dżungle.

– Charlotte... rozumiesz, że nie wszystkie twoje listy będą do mnie docierać?

– Tak.

– A wszystkie listy, które ja będę do ciebie pisał...

– Tak – wybuchnęła, zanim gardło zacisnęło jej się z żalu. Serce bolało ją rozdzierająco, bo doskonale wiedziała, co on ma na myśli.

Że może zachorować albo zginąć na morzu, albo zabłądzić. Albo umrzeć gdzieś w tej głuszy, a ona nigdy nie dowie się, jak zginął.

Wiedziała to wszystko. Aż za dobrze.

Połaskotał wrażliwe miejsce za uchem.

– Odwróć się i pocałuj mnie, kochanie.

Odwróciła się i uśmiechnęła do niego, ale on widział tylko jej usta. Od dwóch dni prawie wcale na nią nie patrzył, ale za to prawie nie dał jej spać, bo ciągle chciał się z nią kochać. Teraz też jego ręce stawały się coraz bardziej zaborcze.

Pochylił się ku jej wargom, ale odsunęła się i ujęła jego palce, splatając je ze swoimi.

– Po wyprawie do Zhaoqing będziesz musiał wrócić, żeby dostarczyć rośliny do portu w... Zhenhai?

– Hm?

– Will.. jest dopiero druga.

– Naprawdę? – mruknął. – Nie dam sobie narzucić godzinowych ograniczeń. To samo dotyczy pokojów, pozycji, orgazmów. Właściwie i tak się już przyzwyczaiłaś do kilku za każdym razem...

– Nie żartuj sobie ze mnie.

Uśmiechnął się szerzej, z ustami tuż przy jej policzku.

– Ja wcale nie żartuję, kochanie.

Przedtem to on oskarżał ją o rozwiążłość. I rzeczywiście, zazwyczaj pierwsza pragnęła głębszych pocałunków i ciągnęła go do łóżka. Ale wtedy to ona była bardziej zakochana.

Zsunął ręce niżej.

– Próbujesz unikać mojego pytania?

Westchnął i znowu oparł policzek na jej ramieniu.

– Port w Zhenhai. Ile czasu tam będziesz? Wystarczająco dużo, żebyś odzyskał siły?

Zakreślił palcem kółeczko pod jej piersią.

– Masz na myśli ten port nad zatoką Chenwan?

Jego pieśczość obudziła falę ciepła u podstawy pleców, a potem niżej. Nie sposób było tego zignorować.

– Tak jest.

– Będziemy potrzebowali tygodnia na uzupełnienie zapasów i wysłanie skrzyń do Anglii.

Przeniósł palec niżej, na jej brzuch.

– A potem rozbijemy obóz w Xinxing. – Palec przeniósł się na biodro. – Potem w Yunfu. – Palec powędrował między jej piersi. – I na południe do Luoding.

– Twój palec poszedł na północ.

– Owszem. Ze względu na fantastyczną rzeźbę terenu.

Chciała oderwać ręce obejmujące jej piersi, ale zaczął je delikatnie ugniatać. Poczwała przez suknię jego erekcję.

– Choć na górę, kochanie – zamruczał. – Jesteś mi potrzebna.

Wysunęła się z jego gorących objęć. Zawsze był taki pewny jej zgody... Ruszył za nią, rozluźniając krawat. Potem zamknął drzwi na klucz.

– Ja naprawdę chcę to wiedzieć – powiedziała z odcieniem irytacji w głosie.

– Wiem, kochanie.

– To czemu zamykasz drzwi?

– Żeby nikt nam nie przeszkadzał.

Podszedł do ciężkich, jedwabnych zasłon i rozwiązał przytrzymujące je przewiązki, zasłaniając widok na ulicę.

– Na czym to my skończyliśmy? – zamruczał, wbijając w nią wzrok.

Jej zdradzieckie ciało napięło się w oczekiwaniu. Ale gdy zbliżył się, ogarniając ją wzrokiem, serce jej zabiło jak ściganej ofierze. Błyskawicznie chwycił ją za przegub i znalazł się za nią, ustawiając ją twarzą do stołu. Złapał blat po obu jej stronach i przycisnął ją do mebla.

Pragnęła tego całą sobą. Kochała go i czuła się kochana.

Choć nigdy jeszcze nie powiedział jej tego słowami.

Odwróciła się i objęła go za szyję, by ją pocałował. Spełnił jej życzenie, ale tylko przez krótką chwilę.

Ku jej zdumieniu znowu ją obrócił i ułożył na stole. Gorący oddech parzył ją w szyję, gdy wpasowywał się w nią biodrami, przyciskając ją swoim ciężarem do blatu.

Ciepłe ręce uniosły jej suknię, palce znalazły szparę w majtkach i rozsunęły tkaninę na boki.

– Will? Co ty wyprawiasz?

Jego czubek zaczął ją pieścić, rozdzielać pragnące go ciało, pobudzać wydzielanie wilgoci, aż oparła się na łokciach, omdlewając z pożądania.

– Will? – szepnęła. – Ja...

– Powiedz, że mnie pragniesz – mruknął jej prosto w ucho.

Jęknęła cicho, spełniając polecenie. Nie była w stanie nic mówić. Nie wtedy, gdy drażnił ją płytkimi ruchami, dokuczał i pieścił, aż wygięła się w łuk, ciasno przylegając do jego ciała, rozpaczliwie pragnąc spełnienia.

– Nic z tego, dopóki nie powiesz, że mnie pragniesz – odezwał się śpiewnie. Poczwała między nogami długie palce, masujące kolistym ruchem wrażliwy pąk.

Wyciągnęła ku niemu dłonie, ale pochwycił je i założył jej na szyję. Oszołomiona, czuła łaskotanie włosów na jego mocnych przedramionach.

Zacisnęła się na nim instynktownie i jęknęła. Przygniótł ją agresywnie, władczo, żeby nie mogła się ruszać.

– Will... proszę...

Przytrzymał jej nadgarstki jedną ręką, a drugą odsunął jej włosy, a potem otarł się policzkiem o jej policzek i zaczął go skubać zębami.

– Lubię, kiedy do mnie mówisz. – Jego ciało zadrżało. – Och, na litość boską, powiedz mi, czego

chcesz.

Chciała... chciała tylko...

– Powiedz mi, jak ci ze mną dobrze... Powiedz mi...

– Kocham cię.

Ręka gładząca jej włosy zacisnęła się tak mocno, że krzyknęła. Od razu rozluźnił chwyt, ale w gardle wezbrał mu basowy dźwięk. Pchnął ją mocno.

Dopiero gdy znalazł się głęboko, podsunął ręce pod jej ciało, żeby nie odgniotło się od blatu.

Była oszołomiona, obezwładniona tym obcesowym najazdem. Nigdy jeszcze tak się nie kochali. Poruszał się w niej coraz szybciej, aż ich ciała oblał żar i rozkosz odebrała jej rozum. Jęczała przy każdym jego ruchu. Jego pomruki wibrowały w jej ciele. Zmusiła się, by nie zamykać oczu... i zachować świadomość, że to jej mąż kocha się z nią jak zwierzę. Widziała kątem oka jego gęste, złociste bokobrody, które poruszały się gwałtownie, gdy na nią napierał.

Potężne ręce pochwyciły jej biodra i uniosły je wyżej. Wbił się w nią jeszcze mocniej, aż krzyknęła i całe jej ciało zadygotało z ekstazy. Ale nie przestał, przyciskał ją coraz mocniej, parł coraz głębiej, aż w końcu upadł na nią, zanurzony głęboko, a jego członek drgał i tryskał nasieniem.

– Och Boże... Boże.

Opuścił ją na stół i opadł na jej ciało, żeby odpocząć i dojść do siebie. Charlotte, oszołomiona tą miłosną napaścią, leżała nieruchomo.

Ciężko dysząc, podniósł się z niej i pomógł jej stanąć na niepewnych nogach. Twarz miał zaczerwienioną, oczy szeroko otwarte... ale nie zdążyła mu się przyjrzeć, bo natychmiast pochwycił ją w objęcia.

Czuła na policzku, jak mocno bije mu serce.

Puścił ją w końcu, żeby włożyć spodnie, i przez chwilę majstrował przy guzikach.

Z wahaniem objęła go za szyję, ale umknął przed nią wzrokiem.

Pocałował ją lekko i odsunął się nieco.

Stała samotnie tam, gdzie ją zostawił.

Co się dziś działo? Znali swe ciała w najdrobniejszych szczegółach, a mimo to nagle stał się taki odległy. Czy tak zawsze jest w małżeństwie? Bliskość ciał zastępuje bliskość myśli.

Nie chciała, żeby tak było.

Ta myśl otrzeźwiła ją jak trzaśnięcie drzwiami.

Nie chciała tego. Nie chciała małżeństwa bez miłości.

Nie chciała męża, który potrafi zostawić rodzinę na cały tydzień, a co dopiero na długie lata naukowej wyprawy. To było za mało. Zawsze tak będzie. Jak ona mogła sobie kiedykolwiek wyobrazić coś takiego?

A jednak sobie wyobrażała, i to niedawno.

Ogarnął ją lodowaty strach. Zostało im tak niewiele czasu. Lipiec już się kończył. Nagle stała się więźniem kalendarza. Miesiączka opóźniała się już o dwanaście dni. Jeszcze siedemnaście dni i znowu się opóźni... A za dwanaście dni... Will odpłynie.

Co ona narobiła?

Straszne było to milczenie. Will przeczesał włosy palcami, ale ona nawet nie próbowała doprowadzać się do porządku.

Pełen napięcia, przetarł blat stołu dłonią, ale zaraz podszedł i objął ją w tali. Widać było, że bardzo potrzebuje jej bliskości.

– Przejdiesz się ze mną?

Zamrugła, zdziwiona nieoczekiwanym pytaniem.

– Na spacer? Zaraz będzie padało.

Posłał niechętnie spojrzenie w stronę okna.

– To może chcesz wyjść na miasto? Chciałaś kupić kapelusz do tej żółtej sukni.

Uśmiechnęła się, by ukryć zaniepokojenie tą nietypową propozycją.

– Nie będzie ci się podobało. Nikt nie lubi chodzić ze mną na zakupy.

Przesunął wzrokiem po mapach. Przysięgłaby, że w jego oczach błysnął gniew. Ale zniknął, gdy znowu się do niej odwrócił. W końcu, w końcu zajrzał jej w oczy. Z głęboką prośbą.

– Nie mam dziś ochoty pracować.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, ale jego spojrzenie błagało, by się odezwała.

Właśnie teraz powinna go poprosić, by został, by jej nigdy nie opuszczał.

Bała się jednak, że tego jednego jedyne sprawdzianu pewnie by nie zdał.

Ujął jej rękę i pocałował wewnątrz dłoni. Nie puścił jej potem.

– Jesteś taki... rozkojarzony. Czy dzieje się coś złego?

Zamilkł na moment, a potem pokręcił głową.

– Nie, kochanie. Nie przejmuj się.

Poczuła przygnębienie, bo znowu zaczął budować mur między nimi.

– Czy chciałbyś, żebyśmy zrobili coś innego?

Wzruszył ramionami i owinał pasmo jej włosów wokół palców.

– Nie wiem. Z tobą jest mi wszędzie dobrze.

Ogarnęła ją fala czułości. Och, nie. W Willu Reptonie nie można się było odkochać.

– Dziś po południu muszę tylko zająć się orchideami w cieplarni Lucy.

– Na pewno ci się tam przydam. – Przyciągnął ją do siebie i wtulił twarz w jej ramię.

– Przepraszam – szepnął. – Byłem taki obcesowy.

Otworzyła usta, żeby zaprzeczyć, ale ją uprzedził.

– Nie będę z tobą mógł dziś zjeść kolacji. Umówiłem się.

– Z panem Mayhew?

– Słucham? No, właśnie. Racja.

Nie do końca mu uwierzyła. Czy naprawdę wybierał się do Mayhew? A jeśli nie, to dokąd?

24

Sala wykładowa w Instytucie Królewskim była wypełniona do ostatnich miejsc. Wszystkie siedzenia w półokrągłej auli były zajęte – od pierwszego rzędu aż po tylną ścianę, pod którą stały co najmniej trzy rzędy widzów.

Will czekał, aż go przedstawią, trzymając w dłoni zwój dokumentów. Na widowni było zbyt wiele kobiet.

Wykład przeniesiono ze skromnego biura Towarzystwa Geograficznego przy Waterloo Place do większej sali Instytutu Królewskiego przy Albermarle, żeby poradzić sobie z natłokiem gości. A że Instytut nie stawiał żadnych ograniczeń kobietom, Charlotte mogła się o wszystkim dowiedzieć... Ale raczej wiadomość nie zdążyłaby do niej dotrzeć. Mimo wszystko cały czas miał poczucie, że ona jest gdzieś blisko.

Przebiegł wzrokiem tłum, ale podnieceni widzowie stali między rzędami, zasłaniając widok.

Nie, Charlotte siedziała bezpiecznie w domu, przekonana, że poszedł na spotkanie z Sethem.

Ależ z niego był koszmarny mąż. W ich związku było tak mało zaufania, a on nawet teraz coś przed nią ukrywał.

Za to Charlotte nie ukrywała niczego. Nawet dziś po południu, kiedy wziął ją tak obcesowo.

Ogarnięty wstydem, złapał się z głowę. Przecież mógł zrobić jej krzywdę. A może zrobił? Nigdy przedtem nie był tak brutalny. Widocznie przygotowania do tego wykładu tak na niego wpłynęły, bo powróciły doń wszystkie mroczne wspomnienia.

A jego słodka Charlotte natychmiast wyczuła zmianę. Chodziła cichym krokiem, łagodnie dotykała jego ramienia. A kiedy się kochali, Chryste Panie, kiedy się kochali, brał ją tak desperacko, bo pragnął jej światła, ciepła i radości. A przede wszystkim miłości.

Jednak tego popołudnia posunął się za daleko.

Do diabła, miejmy to wreszcie z głowy. Podszedł do mównicy i machnięciem ręki zbył przedstawiciela Instytutu, który miał go przedstawić. Tłum ucichł, a on przesunął po twarzach ludzi niewidzącym wzrokiem. Nie interesowały ich zbiory i praca naukowa. Pragnęli krwi i sensacji.

– Dobry wieczór. Nazywam się William Repton.

Wziął głęboki oddech, nie podnosząc wzroku.

– Zimą tysiąc osiemset czterdziestego trzeciego roku razem z czterema innymi osobami otrzymałem zlecenie od Kompanii Wschodnioindyjskiej, by dostarczyć krzewy herbaciane do hodowli w naszych indyjskich plantacjach...

Przez następne pół godziny mówił o zbieraniu okazów, o podróżach po przygranicznych prowincjach zachodnich Chin, o kłopotach z biurokracją. W końcu nadszedł czas, by poruszyć temat, dla którego tu się zjawili.

– Na koniec tego spotkania... – powiedział i od razu coś ścisnęło go w gardle – ...chciałbym opowiedzieć państwu o ataku bandy tybetańskich maruderów, którzy w ten sposób sprzeciwili się obecności cudzoziemców w ich kraju – to znaczy mojej ekspedycji oraz francuskiej misji ojca Marcela Bourianne’a. Było to dwudziestego czwartego grudnia tysiąc osiemset czterdziestego dziewiątego roku. Zdawaliśmy sobie sprawę z nastrojów przeciwko cudzoziemcom. Katolicka misja od dawna porzuciła próby nawracania miejscowych. Zamiast tego skupili się na wymianie informacji kulturowych i krzewieniem dobrej woli między Francuzami a Tybetańczykami. Chcieliśmy dostać się do Bhutanu przez przełęcz Qamdo, ale zatrzymały nas lokalne władze, nie uznając naszych paszportów. Zażądano, żebyśmy zatrzymali się w misji do czasu podjęcia decyzji o przepuszczeniu nas przez granicę. Spędziliśmy u misjonarzy osiem dni. Dziewiątego poszedłem samotnie w góry, żeby zrobić pomiary geograficzne. W końcu zrobiło się ciemno, więc wróciłem do misji.

Susza... a potem krew...

Znowu zobaczył to wszystko przed oczami. Ciało leżące w pyłe, nasączające krwią spragnioną ziemię. To był Owen Cressman z Nottingham. Cressey. Jego najlepszy przyjaciel.

Czyjeś ramię wyciągało się zza drzwi. Nieruchome. Jack.

A wewnątrz budynku...

Martwi. Wszyscy martwi.

– Zostałem tam... – Jatki. Odchrząknął z trudem. – Zostałem...

Publiczność niecierpliwie czekała na jego słowa.

Zamknął oczy. I zrozumiał, że nie jest w stanie tego zrobić.

Nie może im opowiedzieć o tym, że bandyci zeszli z gór i pozabijali jego przyjaciół. Wszystkich, co do jednego. Nie opowie o tym, że ojciec Bourianne został przygwożdżony dzidą do ziemi i wypatroszony. O tym, że jeszcze żył. Nie opowie o suszy i o tej spieczonej, spragnionej ziemi. I o tym, że nic nie tłumilo odgłosu jego kroków, więc go usłyszeli i zaczęli gonić. O tym, że w krzakach natrafił na zwłoki. Emile. I że pędził przed siebie, potem potknął się, upadł i złamał nogę. Że ten upadek uratował mu życie, bo stoczył się bardzo daleko. O tym, jak krwawił i jak dręczyło go pragnienie... Chryste... i o tym, jak wreszcie znalazł go jakiś pasterz.

Jak go wieźli do Xiaduxiang, umierającego z gorączki i zakażenia. Jak nikt się nim nie zajął, ale w końcu zanieśli go na holenderski statek dostawczy, który pozęgłował w dół Jangcy... Jak przetransportowano go potem na angielski bryg.

HMS „Jupiter”. I jak wrócił do domu.

Nie. Nie będzie o tym mówił.

Złożył papiery.

– Myślę, że każda ludzka istota wcześniej czy później doświadcza bólu i jest świadkiem okrucieństw. Każdy z nas bez końca zadaje sobie potem pytanie, dlaczego tak się dzieje. I żałuje tego.

Uniósł głowę.

– Moja żona kiedyś powiedziała, że ludzie widzą we mnie coś w rodzaju posłańca.

Wziął głęboki oddech i niemal się uśmiechnął.

– Uwielbiała czytać o moich podróżach i o dobrych ludziach, których spotykałem po drodze. Więc dziś nie będę państwu opowiadał o tej masakrze. Nie chcę wam przynosić takiego przesłania.

Nikt nie bił brawa, nikt nie zadawał pytań.

Publiczność była jak otumaniona. Nikt nie patrzył mu w oczy. Nikt nie wymieniał spojrzeń z sąsiadami.

Powoli, w milczeniu, zaczęli wstawać i kierować się ku drzwiom.

Tylko jedna blada, owalna twarz nie odwróciła się od niego. O mało co nie upadł na kolana.

Charlotte.

Odsunął się od mównicy. Nie widział nic poza tą bezkrwistą twarzą. Pośpieszył ku niej, porwał ją z siedzenia i niemal wyniósł do holu.

– Charlotte? Kochanie? Chryste Panie, dlaczego ty tu przyszłaś?

Zamrugła i jej twarz zapadła się w sobie.

Przywarła do niego i oddychała urywanie, gorączkowo, prosto w jego szyję.

– Charlotte? – Próbował zajrzeć jej w oczy, ale ukryła przed nim twarz.

Nie dbając o gapiów, próbował zasłonić ją przed ich wzrokiem.

Do diabła... wszystko poszło nie tak.

– Już dobrze. Tak mi przykro. Powinienem ci wszystko powiedzieć. Powinnaś wiedzieć o wszystkim.

Drżała, ale mocno stała na nogach. Oddała mu uścisk.

– Kocham cię.

Do diabła, dlaczego musiała powiedzieć to właśnie teraz?

I dlaczego właśnie te słowa były mu tak bardzo potrzebne?

Ucisk na jego piersi zelżał. Dzięki Bogu za tę kobietę. Oczywiście, że wiedziała, co zrobić. Potrafiła czytać mu w myślach i robiła z nim, co jej się żywnie podobała.

– Nie chciałem, żebyś dowiedziała się o ich śmierci – odezwał się niechętnie.

Mała piąstka uderzyła go w plecy.

– Jasne, nie chciałeś.

Głos jej się łamał, ale uniosła podbródek. Po pięknej twarzy płynęły łzy.

– Od tej pory nie wolno ci ukrywać prawdy. Nie teraz, kiedy wiem wszystko.

Po jej twarzy przemknęła błyskawica emocji, ale opanowała się błyskawicznie.

– Będiesz się ze mną dzielił każdym głupim, nieważnym drobiazgiem, nawet tym, że nie lubisz grzanek z anchois, że moja szpilka do kapelusza jest ohydna albo że się czujesz jak kłoc drewna. Dlatego że kiedy siedzisz taki posepny i nie odzywasz się ani słowem, będę sobie wyobrażał, że cierpisz niewysłowione tortury, a tego nie zniosę.

Posłusznie skinął głową. Nawet zrozumiał większość z tego, co mówiła.

– Obiecuję ci to.

– Dobrze. – Pociągnęła nosem. – To moje siódme żądanie.

Tego straszego dnia, w tej okropnej godzinie, tylko Charlotte potrafiła go rozbawić.

– Siódme dawno już za nami, kochanie.

Wzruszyła ramionami i wytarła nos.

– No i co z tego. Straciłam rachubę.

Na jej twarzy malowała się troska i miłość, ale kiedy podniosła na niego wzrok, poczuł się, jakby miał kamień w żołądku.

Nie poprosi chyba... Boże, niech mnie o to nie poprosi...

Pokręcił głową, zanim się odezwała.

– Proszę cię, nie rozumiesz jednej rzeczy... chodzi o...

Umilkł, kiedy dotknęła dłonią swojego ciepłego brzucha.

– Pani Repton? – Głośny męski głos przerwał zakłęcie, trzymające ich w intymnym kręgu. Seth pośpiesznie kroczył ku nim z sali wykładowej. – Dobrze się pani czuje?

Charlotte wyciągnęła doń ramiona.

– Tak, panie Mayhew. Dzięki za troskę.

Twarz Setha była kamienną maską wyrażającą kamienny gniew i niepokój zarazem.

– Przepraszam, że przeszkadzam.

W jego głosie brzmiała dziwna nuta. Jakby się bał.

Wyciągnął z kieszeni poźółkłą kartkę.

– Dostałem list od George. Była w nim kartka do ciebie, Will. George domyślała się, że mam z tobą kontakt.

Serce Willa skoczyło do gardła.

Spojrzał na kartkę w dłoni Setha. Atrament rozmazał się, czyniąc pismo niemal nieczytelnym.

– George dostała się do Tybetu – relacjonował Seth pośpiesznie, chropawym i gorzkim głosem.

Wyciągnął rękę, jakby chciał kogoś udusić.

Will oderwał wzrok od listu i natrafił na wściekłe spojrzenie Setha.

– Przepraszam. Nie przypuszczałem, że porwie się na coś takiego.

– Potem ruszyli do Bombaju. Tak napisała.

W twarzy Setha zadrgał mięsień.

– Słyszałeś płacz tego dziecka. Tak napisałeś w sprawozdaniu. Żyła, kiedy uciekłeś.

Jego serce tłukło się jak oszalałe, ale spokojnie odparł stalowe spojrzenie Setha.

– Mogłeś ją uratować. Ale uciekłeś.

Seth wcisnął mu list do ręki.

– Przeczytaj to sam.

Odwrócił się gwałtownie i odszedł bez słowa.

Szanowny panie Repton!

Co do pańskiego pytania... Brytyjska ekspedycja prowadzona przez R. Milforda, której towarzyszę jako ilustratorka... poinformowano nas... możliwe, że niemowlę przeżyło... Rodzina Bourianne z misji Estrangeres, którą poznał pan przed tymi wydarzeniami...

...kolega wrócił niedawno z wioski Langxiang... pogłoski o cudzoziemskiej (białej) sierocie... podobny wiek... tej samej płci... Spróbuję przejść przez granicę do Tybetu i sprawdzić, czy informacja jest prawdziwa. Jeśli szczęśliwie okaże się, że tak, to zrobię wszystko, by odzyskać dziecko.

Jeżeli się uda, poproszę, by... żyjących krewnych... zorganizował wszystko na przyjęcie dziecka... powrocie do Anglii. Odezwę się przy najbliższej okazji.

Z poważaniem, G. Mayhew

11 maja 1980 roku

Trzęsącą się ręką podciągnęła żaluzje w oknie powozu, żeby w środku zrobiło się jaśniej od ulicznych lamp, i jeszcze raz przeczytała pomięty list, składając jego sens z urywkowych fraz, odszyfrowując rozmazane litery. Will siedział naprzeciwko, blady jak trup. Wzrok miał tak pusty, że przypominał figurę z wosku. Powóz tkwił w korku pod Instytutem, ale on chyba tego nawet nie zauważył. Od chwili gdy przeczytali ten list, nie odezwali się do siebie ani jednym słowem.

W końcu Charlotte położyła kartkę na kolanach.

– Nic nie rozumiem. Jakie niemowlę?

Dygotała coraz mocniej. Najpierw wstrząsnęły nią przeżycia Willa a potem straszne, niepojęte słowa Mayhew. Teraz prawda odsłoniła się przed nią w całej okazałości.

Koszmar Willa bynajmniej się nie skończył.

Przynajmniej to było jasne.

O wiele bardziej, niż po wykładzie. Teraz rozumiała, dlaczego ma koszmary, dlaczego jest taki wycofany. Naprawdę musiał tam wrócić.

Za to jej marzenia rozwiały się w jednej chwili. Nie zostanie z nią, nie zaczną wszystkiego na nowo. W końcu z trudem spytała:

– Tam były dzieci?

Przesiadł się obok niej, wziął ją za rękę i splótł ich palce razem.

– Dwójka.

Ścisnęła go kurczowo.

– Opowiedz mi wszystko.

Zrobił to po raz pierwszy w życiu.

Opowiedział jej wszystko, co pominął na wykładzie, jakby wspomnienia smagały go batem. Wszystko. Ze szczegółami. Aż w końcu pochylił się, wtulił twarz w jej brzuch i zacisnął pięści tak mocno, że o mało nie rozdarł jej sukni.

– Widziałem wszystkich... z wyjątkiem tej małej. Pobiegłem do jej kołyski, ale była pusta... Wtedy usłyszałem, jak nadchodzą. Wołałem ją, wołałem wszystkich, ale przecież byli martwi... W końcu – niech mnie piekło pochłonie – uciekłem.

Uciekł...

Wielki Boże...

– Charlotte, nigdzie jej nie było... Więc uciekłem sam.

– Bardzo się z tego cieszę – powiedziała głośno i dobitnie. Pochyliła się nad nim i przytuliła go z całej siły. Nienawidziła tych ludzi za to, jak go skrzywdzili, za ten strach, który przez nich przeżył, za cierpienia, które w dalszym ciągu były jego udziałem.

Czekała, gładząc jego złociste włosy. Nie chciała pytać, ale wiedziała, że musi.

– Jak miała na imię ta mała?

– Aimee. Ja... słyszałem jej płacz. Spadłem z urwiska i złamałem nogę. Słyszałem, jak płacze, ale nie mogłem się do niej dostać. Była żywa... gdzieś blisko. Kiedy uciekałem, jeszcze żyła.

Ból rozdarł jej serce. Pochyliła się nad nim jeszcze bardziej i zasłoniła sobie dłonią usta, żeby nie zapłakać.

Żyła.

To z powodu Aimee Will nie mógł zostać w kraju. A ona musiała pozwolić mu na te poszukiwania, wiedząc, jak bardzo są niebezpieczne.

Mimo wszystko znowu obudził się w niej cień nadziei, że Will zostanie.

Boże... Boże... znowu puściła wodze wyobraźni.

Wzięła głęboki oddech.

– Chcesz ją odnaleźć.

To nie było pytanie.

Podniósł się z jej kolan i otarł twarz.

Odchrząknął i patrzył wprost przed siebie. W twarzy zadrgał mu mięsień.

– Tak mi żal, że wtedy jej nie uratowałem... powinienem to zrobić, jakimś cudem. Powinienem zrobić coś więcej. – Pochylił głowę. – Może jeszcze żyje.

Serce się jej ścisnęło, ale nie wiedzieć czemu, nie miała żadnych wątpliwości.

– Oczywiście, że żyje.

Wydał pełen ulgi okrzyk, ujął jej twarz w dłonie i ucałował ją, długo i mocno, jakby dziękował. Potem wsunął palce w jej włosy i pieścił szyć... wyrażając swoją miłość i oddanie.

Pocałunki, coraz czulsze i delikatniejsze, muskały jej policzek i ucho, aż w końcu oparł czoło na jej

czole i już tylko ją obejmował.

Poczuła taką ulgę, że wróciły jej wszystkie siły.

Jej Will właśnie powrócił z odległych krain, w których przebywał przez kilka ostatnich dni.

Uściskał ją czule i wypuścił z objęć. Sięgnął po leżący na siedzeniu list i włożył go do kieszeni.

– Wioska Langxiang jest oddalona od misji prawie o dwieście mil.

Kiwnęła głową, wciąż oszołomiona.

– To niezbyt daleko, prawda?

Uniósł ich splecione ręce i ucałował jej dłoń.

– Wędrówka po tym kraju wymaga siły, czasem przemocy, a już na pewno pieniędzy. Trzeba zapłacić za przekroczenie granicy i za informacje.

Pokręcił głową ze znużeniem.

– George brakuje tego wszystkiego.

Ogarnął ją jeszcze większy lęk, ale nie odezwała się ani słowem. Musiał tam wrócić. Po Aimee.

I dla Aimee...

Spojrzała na niego.

– Will? Jeśli zrezygnujesz ze wsparcia prywatnych inwestorów, nie będziesz musiał kolekcjonować roślin.

– Nie, ale...

– Jak szybko mógłbyś wtedy powrócić? Gdybyś pojechał tylko na poszukiwania tej malej?

Powóz zwalniał. Dojeżdżali już do domu, ale chciała usłyszeć jego odpowiedź, zanim wysiądą.

– Nie wiem... Nigdy o tym nie myślałam.

– Oczywiście, że wiesz. Wiem, że wiesz. Ile czasu byś na to potrzebował?

– Rok. Może nawet krócej.

Rok. Była prawie chora... Nie. Była dosłownie chora ze strachu. Albo z podniecenia. Mdłości, które towarzyszyły jej coraz częściej, znowu podeszły do gardła. Zacisnęła dłoń na aksamitnym siedzeniu.

Drzwi powozu się otworzyły.

– Chwileczkę – rzuciła pośpiesznie i zamknęła je znowu ku zdumieniu stangreta.

Chwyciła go za klapy surduta. Chciała, żeby zrozumieli się z całą jasnością.

– Rok?

– Nie wezmę twoich pieniędzy.

– Naszych pieniędzy.

Spojrzała mu w oczy i powiedziała z całą powagą, na jaką pozwalał jej zbuntowany żołądek.

– Masz wszystko, czego ci potrzeba. Potrzebujesz dwa tysiące. Mamy dziesięć razy tyle. Szczerze mówiąc, mamy dużo więcej. Nie wliczając nawet rocznego dochodu z naszego trustu.

– Charlotte...

– Słowo honoru... ty i twoje tajemnice. Wystarczy tego na wszystkie łapówki i na całą armię do ochrony twojej osoby. Jedź ją odnaleźć, Will. I wróć do mnie najszybciej, jak będziesz mógł.

– Charlotte...

– Nie mamy czasu na uleganie twojej perwersyjnej potrzebie kłócenia się o wszystko.

Posłała uśmiech swojemu mężowi. Który wciąż pozostał jej bohaterem...

– Po prostu trzeba ułożyć nowy plan.

26

Małżeństwo? – Ben stanął nad nią i Willem. Siedzieli obok siebie na sofie. Miała wrażenie, że przestronny salon gościnny kurczy się od gniewu jej szwagra. Był potężnie zbudowany i nigdy nie pozbył się mięśni, jakich przysporzyła mu praca na roli w młodości. Jego wygląd mógł przstraszyć niejednego.

Ale nie ją. Wiedziała, że jest najłagodniejszym z ludzi i że jego niewczesna furia wkrótce ucichnie. Przecież Paxtonowie zjechali całą rodziną do Londynu na tydzień przed wyjazdem Willa tylko dlatego, że go tak bardzo kochali. Kiedy Ben w pełni zrozumie sytuację, wszyscy będą szczęśliwi z rozwoju wypadków.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zawarczał Ben.

To znaczy, najprawdopodobniej będą szczęśliwi. Za jakiś czas.

– To, co usłyszeliście. – Charlotte uśmiechnęła się do swojej ukochanej rodziny, na której twarzach malowało się zdumienie, przestrasz i wstrząs.

– Ponieważ nasze małżeństwo jest prawdziwe, nie złożyliśmy wniosku o unieważnienie. Nie zawiadomiliśmy was o tym od razu, bo chcieliśmy powiedzieć wam to osobiście.

Zdaje się, że ta wiadomość odebrała wszystkim mowę.

Przynajmniej John i Liz Repton, którzy jak zwykle przyszli na niedzielny obiad, wyglądali na zadowolonych.

Ben przeszył Willa wściekłym spojrzeniem.

– Jak to się stało, Repton? Uzgodniliśmy, że zostanie unieważnione.

Will uściśnął jej dłoń.

– Pamiętam.

– Dałeś nam słowo, Will!

– Nie powinienem im pozwolić na spanie w tym samym łóżku – mruknął Wally i zaczął spacerować po pokoju.

Liz Repton z wahaniem uniosła dłoń.

– Mam świetny pomysł. Charlotte mogłaby zamieszkać z nami w Richmond.

– Och! – westchnęła Charlotte ze łzami w oczach. – Jak prawdziwa córka! – Uśmiechnęła się promiennie do teściów. Odpowiedzieli uśmiechem pełnym ciepła.

Wally i Ben z urazą pogodzili się z tą rodzinną serdecznością. Przez sekundę.

Ben znowu zaatakował Willa.

– Więc odwołałeś wyprawę?

– Czyj to był pomysł? – spytał Wally w tym samym momencie.

– Bez przesady... – zaprotestowała pod nosem.

– Kiedy to się stało? – dołożył swoje Ben.

Śledztwo trwało dalej. Żaden z nich nie dał im nawet odetchnąć. Czy zapewniłeś jej przyszłość? Czy się zabezpieczacie? Co zrobicie, jeśli zajdzie w ciążę? Co się z nią stanie, jeśli zginiesz? Czy wy w ogóle do siebie pasujecie? Dlaczego od razu nie powiedzieliście nam, że jest taka możliwość?

– Czy to znaczy, że się kochacie?

Po słowach Lucy w pokoju zapadła cisza.

Serce Charlotte znieruchomiało.

Will nigdy jej tego nie powiedział.

Ale była go pewna. Pewna jego uczucia.

Nie potrafiła wyjaśnić, czemu cała dygocze, czekając na jego odpowiedź.

– Do licha... – rzuciła w końcu z drewnianym uśmiechem. – Nie takiej reakcji się spodziewałam.

Cała rodzina naraz straciła rezon, a Lucy pośpiesznie przysiadła się do niej.

– Kochanie, wiesz przecież, że chcemy twojego szczęścia. Ale przecież nie zobaczysz Willa przez długie lata.

– Nie przez długie lata. Tylko przez rok.

Wysunęła dłoń z uścisku Willa, jakby chciała ochronić małą istotę wewnątrz. Teraz już z całą pewnością wiedziała, że będą mieli dziecko. Szkoda, że nie może im o tym powiedzieć. Nie przed wyjazdem Willa.

Betsy, nowa służąca, weszła z tacą i podawała herbatę, w dziwny sposób stawiając filiżanki przed każdą z osób. Czyżby nie miała pojęcia, jak to się robi?

– Dziękuję, Betsy – mruknęła Lucy.

Dziewczyna dygnęła niezgrabnie i niemal uciekła z pokoju.

Po jej odejściu nadal panowała cisza, więc Charlotte naląła sobie filiżankę.

– To nie jest zwykła mieszanka pani Allen.

Napar był gorzki i niesmaczny, ale przynajmniej miała co zrobić z rękami.

Will uspokajająco ścisnął jej ramię i zwrócił się do całej rodziny.

– Wiem, że nie zasługuję na waszą siostrę, ale bardzo mi na niej zależy.

– Podobnie jak nam wszystkim, Will – uciął Wally. – Nie o to nam chodzi.

– Więc o co?

– Gdybyś ją naprawdę kochał, nigdy byś nie wyjechał.

– Dość tego!

Szczęknięta odstawiana filiżanka i Charlotte wybiegła z pokoju.

Naprawdę miała dość. Jak długo można żyć z nieodwzajemnioną miłością? Kiedy dowiedzą się o dziecku, nikt nie będzie się cieszył, że rośnie w niej nowe życie. W końcu ktoś powiedział to na głos. Gdyby ją kochał, nigdy by jej nie zostawił.

Za to ona kochała jego. Nigdy nie każe mu wybierać między dzieckiem, które tam pozostawił, a tym,

które zobaczy po powrocie.

– Boisz się, że się połamie?

Will skrzywił się do ojca, który wyciągał do niego dziecko Bena i Lucy.

– Nie wezmę go. Nigdy w życiu nie miałem dziecka na rękach.

Obaj Reptonowie uciekli do dzieciennego pokoju po ogłoszeniu nowiny o małżeństwie, pozostawiając rodzinę Charlotte w spokoju, żeby mogła do woli przeklinać Willa. Powinien zaprosić jeszcze Seta, który winił go za to, że naraził George na niebezpieczeństwo. Ale na razie nie odpowiadał na prośby o spotkanie.

Z kolei Charlotte uciekła do swojego saloniku.

Długo mu nie wybaczy, że nie zdobył się na powiedzenie trzech prostych słów – „Bo ją kocham” – przed całą jej rodziną, która tak bardzo chciała je usłyszeć.

Niestety ojciec właśnie pakował go w kolejną niewygodną sytuację.

– Spróbuj, synu. To naprawdę łatwe.

– A jeśli go upuszczę? – Will przekręcił głowę i przyglądał się rączkom, nóżkom, szyi i dziwnie dużej głowie Edwarda Paxtona, wyrwanego ze spokojnego snu.

– Czy on nie powinien być trochę solidniej zbudowany?

– Co takiego?

Ojciec obrócił dziecko, żeby obejrzeć jego zaspaną buzię, a potem je podrzucił i zagruchał do niego gardłowo.

– Przecież to jeszcze maleństwo. Całkiem krzepkie, jak na trzymiesięczne niemowlę. Nie marudź.

Podał mu dziecko tak stanowczym gestem, że Will nie miał wyboru i musiał je wziąć na ręce. Edward natychmiast zaczął się kręcić i narzekać.

– Widzisz? Wcale nie chce ze mną być.

– Bo go trzymasz z daleka od siebie jak worek z nawozem.

Ojciec przysunął dziecko do jego piersi, żeby mogło oprzeć główkę na ramieniu.

– Tak się to robi... dokładnie.

Niemowlę uspokoiło się natychmiast. Było ciepłe, miękkie i pachniało słodkim mlekiem. Will bał się odetchnąć, a co dopiero poruszyć. Ciągle patrzył na ojca, żeby się upewnić, czy dobrze robi.

– W ten sposób? Teraz dobrze?

– Idealnie, synku. Zobacz, jaki jest teraz zadowolony.

Rzeczywiście tak było. Will uśmiechnął się, zadowolony z tego osiągnięcia.

– Ciężki jest, prawda? Sporo waży.

Zakołysał go powoli, na potwierdzenie.

– Nie spodziewałem się tego.

– Pamiętam, jak sam się bałem, kiedy miałem pierwszy raz wziąć cię na ręce.

– Ile czasu potrzebowałeś, żeby sobie ze mną swobodnie radzić?

– Naprawdę uważasz, że sobie z tobą radzę?

W oczach ojca błyszczała wesołość. Z odrobiną smutku.

Will odpowiedział uśmiechem. Ale zaraz napłynęło wspomnienie żony misjonarza. Nigdy nie widział madame Bourianne bez Aimee w ramionach. Ten widok za każdym razem wzruszał go do głębi. Nigdy nie widział tak maleńkiego dziecka. Plecki miała okrągłe jak pęd paproci, oczy zwykle zamknięte, bo spała.

– Na razie jednak nie musisz się tym przejmować. Prawda?

Pytanie wyrwało go z zadumy.

– Czym?

– Dzieckiem.

– Dzieckiem? Nie... Skądże.

Charlotte nie przybrała na wadze. Była tak samo szczupła, jak przedtem.

Ojciec spochmurniał, jakby był czymś rozczarowany, ale Will nie zamierzał się nad tym zastanawiać.

– Ale czy kobieta... no wiesz, Charlotte, ani razu mi nie odmówiła. Myślałem, że w takich sytuacjach to... staje się kłopotliwe. Ale chyba się na tym nie rozumiem za dobrze. – Uważnie przyglądał się ojcu. – Albo wcale się nie rozumiem.

– Chodzi ci o miesiączki? – spytał ojciec o wiele za głośno. – Twoja matka...

– Boże, proszę cię, nie wspominaj o mamie...

– ...nie pozwala mi się zbliżyć do siebie w tych trudnych okresach. – Ojciec przechylił głowę i bacznie mu się przyglądał.

– Wiesz, że problem znika, kiedy kobieta jest w ciąży, prawda?

Automatycznie pokiwał głową.

– Wtedy... po prostu zanikają, prawda?

Ojciec opuścił brwi z rzadkim u siebie wyrazem dezaprobaty.

– Najlepiej sam porozmawiaj z Charlotte, żeby się upewnić, synu. Musisz wiedzieć, czy jest w ciąży. –

Uśmiechnął się. – A jeśli tak jest, koniecznie powiedz o tym matce, żeby mogła umrzeć szczęśliwa.

– Powiem. – Głos mu się zaczął łamać, więc odchrząknął.

– Jasne. Może po prostu nie zauważyłem jej okresów.

– To tak nie działa, synku.

Spojrzał ojcu w oczy. Serce zabiło mu z przerażenia. Może rzeczywiście był inny powód? Teraz dopiero okazało się, jak niewiele wiedział w tych sprawach. Wziął głęboki, rozdygotany oddech.

– Nie planowałem tego. Nie wiem, czemu straciłem nad wszystkim panowanie.

Ojciec wziął od niego dziecko.

– Ty zawsze nad wszystkim panujesz. Po prostu nie podoba ci się to, co się stało.

– A co się stało?

– Zakochałeś się.

Czy ojciec naprawdę odważył się wypowiedzieć te słowa?

– A jeżeli nie?

Starszy pan rzucił dziecku smętne spojrzenie i odłożył je do łóżeczka.

– Czego ty chcesz, Willu? Nie przywrócisz życia umarłym, nie ukarzesz ich morderców. A tamto

małość... Nie wierzysz chyba, że przeżyło.

Will zacisnął szczękę.

– Jest taka szansa.

– Wszystkie te wydarzenia były poza twoją kontrolą. Nikt nie zdoła panować nad ludzkimi sercami. Jeśli ludzkie serce czegoś nienawidzi, to nienawidzi. A jeśli kocha, to kocha. Myślisz, że jeśli znowu przewędrujesz ten niezbadany kraj, to koszmary rozpadną się w proch pod obcasami twoich butów i będziesz mógł zacząć nowe życie, ale tak się nie stanie. One należą do przeszłości. Marzysz o kolejnej przygodzie. Ale nie ma lepszej przygody, niż bezgranicznie kogoś pokochać, tak jak ja twoją matkę albo ciebie.

Will gwałtownie kręcił głową, aż wreszcie udało mu się odzyskać głos.

– Ja jej nie kocham.

– Odwagi, synu.

– Nie kocham jej.

– Trzeba odwagi, by pokochać ludzi, których los może nam odebrać wbrew naszej woli.

– Nie mogę jej kochać! Przecież odpływam za osiem dni! – Spochmurniał, uświadamiając sobie, jak głupio to zabrzmiało. – Po prostu nie chcę się o nią martwić.

– Oczywiście, że nie. Domyślam się tego. Ale teraz jest już za późno, prawda?

Ojciec uśmiechnął się smutno.

– Twoje narodziny były najpiękniejszym i najstraszniejszym dniem w moim życiu. Jak będę cię chronić, kiedy nauczysz się chodzić? Gdy pójdziesz do szkoły? Gdy pożegłujesz za ocean? Dwa razy dotarły do nas wieści, że zabiła cię gorączka. Całymi miesiącami nie mieliśmy od ciebie wiadomości, aż w końcu pewnego dnia otrzymaliśmy telegram, że mamy się udać na Nabrzeże Wschodnioindyjskie, by odebrać twoje zwłoki. Twoje zwłoki, Will. Kiedy nieśli cię po trapie, wyglądałeś jak żywy trup, ale jeszcze oddychałeś.

Przerwał. Oczy mu się zaszklily z emocji.

– To jest strach. Boimy się z matką o ciebie każdego dnia, ale nie przestajemy cię kochać. Nie uciekniesz od tego. Nawet jeśli pożegłujesz za ocean, więc równie dobrze możesz zostać tutaj.

Jego wzrok pobiegł za okno. Charlotte właśnie przechodziła przez trawnik.

– Ona jest twoją przygodą, synku.

Ojciec nic nie rozumiał. Nie mógł pokochać Charlotte, bo...

Bo gdyby jej coś się stało, załamałby się do reszty.

Jej postać rzucała długi cień w zachodzącym słońcu. Szła powoli, krętą trasą. Wbił wzrok w dłonie, ułożone na płaskim brzuchu. Dopiero ostatnio nabrała tego nawyku...

Czy to możliwe?

„Najlepiej sam porozmawiaj z Charlotte, żeby się upewnić, synu”.

Czy to możliwe?

Nagle znieruchomiała, jakby usłyszała z oddali jakiś dźwięk.

Potem upadła na ziemię.

Will, puść ją.

Ktoś do niego mówił, czyjeś drobne ręce szarpały go za ramię. Charlotte leżała nieprzytomna. Była taka blada... leżała nieprzytomna.

– Co się z nią dzieje! – krzyknął.

– Will?

Jego wzrok natrafił na twarz Lucy. Zmusił się, żeby jej wysłuchać.

– Will? Musimy rozluźnić jej suknię. Puść ją. Potrzebuje powietrza.

Powietrza... ona potrzebuje powietrza.

Puścił ją w końcu, ale ani na chwilę nie odsunął się od łóżka.

Były tu Lucy i Patty. A także Ben i Wallace. I jego rodzice. Wszyscy. W ich sypialni. Kobiety błyskawicznie rozpięły suknię, rozwiązywały sznurówki.

Chryste Panie, ależ była blada. Odwrócił się, szukając wzrokiem ojca.

– Gdzie jest lekarz? Dlaczego jeszcze go tu nie ma?

– Jest w drodze, synu. Jedzie najszybciej, jak się tylko da.

Kobiety rozpięły jej bluzkę, gorset, a kiedy zsunęły suknię z krynoliny... Wszystkie oczy skierowały się ku jej nogom. I ku plamie krwi.

Nagle całe powietrze uleciało z jego płuc.

Nie. Błagam cię, Boże.

– Will?

Odwrócił się, ale było za późno. Zobaczyła, co się stało.

Jej krzyk rozdarł mu serce.

– Nie, nie! Charlotte!

Chwycił ją w objęcia, żeby to przerwać, żeby zapomniała o tym, co widziała.

– Czy nic mu nie jest? – Wbiła w niego wzrok. – Czy dziecku nic nie jest?

Dziecku...

Wszystkie uczucia odpłynęły z jego ciała. Ręce oparte na materacu ledwie były w stanie udźwignąć jego ciało.

Odwróciła się od niego i chwyciła za rękę swoją siostrę.

– Lucy? – Głos jej się załamał. – Powiedz mi.

– Nie... proszę cię... – chciał powiedzieć, ale nie był w stanie wydać głosu.

Lucy usiadła na łóżku.

– Jesteś w ciąży?

– Ja... tak...

– Dobrze, najdroższa. Nic się nie dzieje – uspokajała Lucy. – Lekarz już jest w drodze. Krwawienie czasem się zdarza, szczególnie na początku. A krwi nie jest aż tak dużo.

Charlotte spijała słowa z jej ust, jakby jej życie od tego zależało.

Ale Will nie mógł już tego dłużej wytrzymać. Wspomnienia huczały mu w głowie... ziemia wilgotna od krwi, trupy, ciała pomazane... pomazane krwią. Chryste Panie, ten zapach, znowu czuł ten zapach...

Nie! Wciągnął powietrze. Przecież Charlotte żyła. Była blada i zapłakana, ale żyła. Potrzebowała go przy sobie.

Więc będzie przy niej.

Boże... Będzie przy niej. Na zawsze.

Nie opuści jej.

– Boli cię coś? – spytała Lucy.

Charlotte pokręciła głową.

– To dobrze – odpowiedziała jej siostra. – To bardzo dobrze. Postaraj się teraz odprężyć. Zrób to dla dziecka.

Charlotte zacisnęła powieki. Wyciągnął do niej rękę, ale się odsunęła. Dotknął jej ramienia, dłoni, splótł z nią razem palce, ale nawet na niego nie spojrzała.

– Charlotte? Jestem tutaj.

Wyrwała rękę.

Co się działo? Co takiego zrobił?

– Kochanie?

Skrzywiła się.

– Odejdź ode mnie.

– Charlotte?

Zasłoniła oczy i krzyknęła przenikliwie:

– Odejdź!

Patrzył na nią, niezdolny ruszyć się z miejsca. Cała dygotała, zwijając się obronnym ruchem w kłębek.

Nie. Nic z tego. Nie odejdzie od Charlotte już nigdy. Położył się obok i objął ją ramieniem.

– Nie rób tego, kochanie, proszę cię.

Ale ona tylko zawyła głośnie.

Czyjeś ręce pochwyciły go z siłą, której z trudem mógł się oprzeć. Ręce Bena.

– Will, odsuń się od niej.

– Zostawcie nas samych! – warknął.

Ręce zacisnęły się i podniosły go z łóżka. Nogi opadły w dół, na podłogę. Ben potrząsnął nim. Will z gardłowym warknięciem stawiał czoło człowiekowi, który śmiał oderwać go od żony.

– Will, z nią się coś dzieje. Posłuchaj tylko. – Zmartwiony Ben patrzył na niego szeroko otwartymi

oczyma.

Charlotte łkała, dygocąc na całym ciele, i kryła twarz na kolanach siostry.

Przeszył go taki ból, że zgiął się w pół. Odsunął się od Willa i z trudem pokuśtykał na korytarz.

Ojciec wyszedł za nim i stanął obok.

– Odwagi, synu.

Will oparł się o ścianę i zasłonił usta dłonią. Gdyby nie ręka ojca na ramieniu, pewnie zaczęłby krzyczeć.

Nie wiedział, ile czasu upłynęło od chwili, gdy do sypialni wszedł doktor Simmons, ale miał wrażenie, że pojawił się z powrotem w holu po wielu godzinach.

– Co jej się stało? – zaatakował go natychmiast. – Czy to coś poważnego? Co się dzieje?

Lekarz poprowadził go w głąb korytarza. Pewnie nie chciał, by Charlotte słyszała ich rozmowę. Willa ogarnął jeszcze większy strach.

– To było coś w rodzaju spontanicznego skurczu.

Zatoczył się na ścianę.

– Czy dziecko...

– Jest jeszcze za wcześnie, by usłyszeć bicie serca...

– Czy pan nie może...

– Jest młoda i zdrowa. Nieraz obserwowałam krwawienie u kobiet, które potem wydały na świat idealnie zdrowe dzieci. Za tydzień będę mógł powiedzieć coś więcej. Jeśli znowu zaczną krwawić, będziemy mieli powód do zmartwienia, ale powiedziała mi, że nie boli jej dół brzucha, a to dobry znak. I szczerze mówiąc, nieco zastanawiający.

Will zmusił się do skupienia na tym, co mówił lekarz, choć nie było to łatwe.

– Dlaczego?

– Proszę mi wybaczyć... takie reakcje młodych kobiet widuję zwykle jedynie w slamsach.

– To znaczy jakie?

– Nagły brak wrażliwości, przestymulowanie nerwowe... Nie chcę sugerować, że to dotyczy pana żony, ale zdarza się tak zwykle, gdy dziewczęta chcą przywrócić miesiączkę. Używają wtedy papki z pietruszki, roszonej i mięty polej. Czy pani Repton... mogła stosować te zioła?

– Nie mam pojęcia. Ale nie sądzę.

– Są też inne, ale bardzo niebezpieczne. Robi się z nich tynkturę albo parzy herbatę.

– Ciągłe pije herbatę, ale...

„To nie jest zwykła mieszanka pani Allen”.

„To nie jest zwykła mieszanka...”

Zbiegł po schodach do kuchni, wołając od progu:

– Poproście tu panią Allen. I to już!

Lekarz ruszył za nim. Bez słowa obserwował, jak Will spaceruje pod drzwiami kuchni.

Po chwili przyszała pani Allen, zatroskana i zaniepokojona.

– Czy pani Repton czuje się już lepiej?

– Jaką herbatę podała nam pani dziś rano?

Otworzyła szeroko oczy.

– Herbatę? Boże, czy to ja zrobiłam coś złego naszej kochanej panience? To była zwykła herbata, nic specjalnego.

– Co jest w tej mieszance?

– To, co zwykle. Wszyscy ją pijemy.

Mięła dłońmi spódnicę.

– Zaraz Betsy ją panu przyniesie. Jamie, gdzie jest Betsy?

Lokaj odpowiedział pustym spojrzeniem.

– Przecież odeszła, pani Allen.

– Jak to „odeszła”?

– Przecież sama pani ją odesłała, prawda? Powiedziała, że wraca do starej pracy, że tam jest lepiej niż tutaj.

– A dokąd odeszła? – przerwał mu Will.

Szczera twarz Jamiego zmarszczyła się ze skupienia. Złapał się za włosy, jakby chciał wyciągnąć nazwisko z pamięci.

– Do jakiegoś tam lorda... Harlanda, albo jakoś tak.

Strach ściął mu krew w żyłach.

– Harlowe?

„Nie wolno ci tylko zajść w ciążę...”

„Żaden porządny człowiek jej nie zechce, jeśli będzie nosiła twojego bachora...”

– Do hrabiego Harlowe? – spytał ponownie.

Jamie spojrzał mu w oczy.

– Dokładnie. Pracuje u przyszłego hrabiego Harlowe. Tak powiedziała.

– To znaczy u wicehrabiego? – powiedziała pani Allen. – Betsy odeszła do...

Ale umilkła w połowie, bo Will był już za drzwiami.

– Do diabła, kto tak hałasuje? – Wicehrabia Spencer odsunął surdut, który podawał mu pokojowiec.

Ktoś dobijał się do frontowych drzwi jego domu.

Zapinając kamizelkę, ruszył w dół po schodach.

Barrows właśnie otworzył frontowe drzwi.

W cieniu portyku stał Repton, w rozpiętej kurtce i zaciskał dłonie w pięści.

Wypatrzył go za plecami majordoma i odepchnął sługę na bok.

– Spencer!

Repton z rykiem furii rzucił się ku schodom, wymachując muskularnymi dłońmi. Sadził potężnymi susami, pomagał sobie, podciągając się na poręczy. Dopiero w połowie odległości do Hugh dopadło go dwóch lokajów i obaliło na kolana.

Hugh z bijącym sercem trzymał się poręczy, wpatrując się w Reptona, który wciąż walczył.

– Co tu robisz? Jak śmiesz...

– Wiem, co dodałeś jej do herbaty! – ryknął tamten.

– Ja... Precz z nim! To wariat.

– To twoja sprawka! Jeżeli straci dziecko, to cię zabiję.

– Barrows! Nie życzę sobie obecności tego człowieka w moim domu.

Trzeci sługa skoczył na Reptona, spowalniając jego wspinaczkę – ale i on nie zdołał go zatrzymać.

Repton wyrwał się im wszystkim i ruszył ku Spencerowi.

– Zabiję cię!

– Brać go!

Dwaj lokaje rzucili się na niego do tyłu i przydusili do schodów, ale wciąż się wyrwał.

– Pożałujesz tego! – charczał, przygnieciony ciężarem trzech mężczyzn.

Kiedy do walki dołączył czwarty, Hugh wyprostował się na całą wysokość.

– Wynoś się albo zdechniesz na ulicy.

Repton walczył z obezwładniającymi go ramionami, ale nie miał szans. W końcu ściągnęli go ze schodów i wypchnęli na zewnątrz.

Barrows zamknął drzwi, zostawiając lokajów na chodniku, razem z napastnikiem.

Ogarnęły go mdłości. Kolana się pod nim ugięły. Serce waliło jak młotem. Prędko się nie uspokoi.

Przychodziło mu to dużo trudniej niż innym...

„Jeżeli straci dziecko...”

Jeżeli.

Znów rozległ się łomot do drzwi. Reptonowi udało się wyrwać.

Popatrzył na masywne drzwi z orzechowego drewna, które teraz chwiały się w zawiasach.

– Nie wpuszczaj go.

Zresztą Barrows wcale nie zdradzał na to ochoty.

Powoli, starając się nie forsować, Hugh poszedł na górę i zamknął drzwi na klucz.

Więc Betsy miała rację. Charlotte rzeczywiście była w ciąży.

Musi się pozbyć tej durnej sługi. Nie tylko straciła zimną krew i wróciła biegiem do niego, ale przyniosła z sobą tę truciznę. Musiał schować w swojej garderobie flakon z resztkami proszku.

Nic dziwnego, że Repton się wszystkiego domyślił.

Czy Charlotte wyczuła, że herbata ma inny smak? Jeśli ten lek da się rozpoznać...

Wyciągnął z komody flakon, wygarnął palcem proszek i podniósł go do ust. Zawahał się w połowie gestu. Przecież to tylko odrobina, a on był mężczyzną. Dwa razy większym od niej.

Posmakował proszku wargami. Gorzki. I jakby drewniany. Ale ona wypiła go w herbacie, a nie tak jak on.

– Przeklęty ignorant.

Podszedł do kominka i wrzucił flakon do ognia. Co za idiotka. Przeniesie ją do posiadłości w Walii, byle dalej stąd.

Niech ich wszyscy diabli wezmą. Chryste, co go opętało, że posunął się tak daleko? Co będzie, jeśli Repton powie wszystko ojcu? Hrabia mu uwierzy. Prędzej niż własnemu synowi.

Dziwne migotanie w piersiach sprawiło, że zwolnił kroku. Skórę miał... lodowato zimną. Jakby...

– Jenson? – Lokaj nigdy nie odchodził daleko.

Podszedł do dzwonka i pociągnął mocno za taśmę. Ten niewielki wysiłek przyprawił go o zadyszkę. Działo się coś złego.

– Jenson!

Co powiedział ten aptekarz? Coś o rozkurczu mięśni... Coś o sercu? Mówił, że...

Ból przeszył mu pierś jak błyskawica. Opadł na kolana na gęsty dywan.

Trafne znaczenie... zła wola...

– Jenson!

Chryste, jego serce... chyba zaraz pęknie...

Słyszał jeszcze łomotanie do drzwi, słyszał ten donośny głos.

A potem już nic nie słyszał.

Will pędził po schodach do sypialni Charlotte. Jego mięśnie wciąż dygotały pragnieniem zemsty. Spencer zapłacił za wszystko.

I to wkrótce.

Ale teraz potrzebowała go Charlotte.

Wallace i Jacob czekali w holu. Wallace zauważył go, wyprostował się i zastawił sobą drzwi do sypialni.

– Gdzie byłeś, wujku Willu? – spytał Jacob z oskarżającą miną.

Nie mógł pozwolić, by Jacob też się na niego pogniewał. Nie teraz. Chłopczyk patrzył na niego sztywno, z urazą, ale Will i tak go przytulił.

– Przepraszam, Jacob. Musiałem zobaczyć się z kimś w sprawie twojej cioci. Ale wróciłem najszybciej, jak mogłem.

Drobne rączki objęły go za szyję. Zalała go fala takiej miłości do tego dzieciaka, że mało się nie przewrócił. Jacob szybko wybaczał, podobnie jak Charlotte.

– Choruje, więc jestem cicho.

– Dobry z ciebie chłopiec.

Wyprostował się i spojrzał na Wallace'a, który trzymał klamkę tak mocno, że palce mu pobieleły i szeroko rozstawił nogi.

– Jeszcze nie jest gotowa się z tobą zobaczyć, Willu.

– Przepuść mnie.

Wally przełknął ślinę i przez jego surową twarz przemknął wyraz powątpiewania. Obaj wiedzieli, że nie da rady go powstrzymać.

– Daj jej jeszcze trochę czasu...

– To moja żona.

Drzwi otworzyły się same.

Z pokoju wyszła Lucy. Na jej twarzy malowało się napięcie.

– Wszystko w porządku. Willu, możesz już wejść.

Nie zwracając uwagi na jej pełną współczucia minę, minął ją i zamknął za sobą drzwi.

Charlotte siedziała na łóżku. Miała rozpuszczone włosy, i blask jej ciemnych loków odwracał uwagę od jej bladej twarzy i nieobecnego spojrzenia.

Od razu spostrzegł, że wysoko unosi brodę, skubie palcami kołdrę, którą otulono ją w pasie, na

policzkach ślady nieobeschłych łez i że przebrano ją w czystą koszulę nocną.

Na jej palcach nie było ani pierścionka, ani obrączki.

Chryste Panie.

Zacisnął dłonie w pięść, aż paznokcie wbiły się w ciało.

Przecież nie kataloguje jakiejś odmiany rośliny... przecież to jest Charlotte. Jej włosy łaskotały go w nos, kiedy spali ze sobą, zawsze wykradała mu ołówki, pachniała jak peonie w słońcu, spała jak kłoda, nie miała żadnych zdolności artystycznych i nie potrafiła wytrzymać pięciu minut, żeby się do niego nie uśmiechnąć.

Jego Charlotte. A on nie zdołał jej obronić.

– Usiądziesz? – spytała spokojnie.

Rzucił się ku niej. Nogi miał jak z ołowiu. Na drodze stanął mu fotel, więc odsunął go i chciał usadowić się na łóżku, ale gwałtownie poderwała kołdrę.

– Czy mógłbyś... może nie tutaj?

Jego ręka sama zacisnęła się na oparciu fotela i gdyby nie to, w ogóle nie zrozumiałby, o co jej chodzi. Nie chciała go w swoim łóżku.

Przyciągnął bliżej fotel i usiadł.

– Jak się czujesz?

– Nic mnie nie boli.

Zajrzał jej w oczy.

– Nic mi nie powiedziałaś.

Zacisnęła palce na kołdrze.

– Nie chciałam ci przysparzać zmartwień...

– Zmartwień? – Chwycił jej rękę. Była zimna i bezwładna. Wstrząsnęło nim, gdy wysliznęła mu się z palców.

– Lepiej byłoby, gdybyś nie wiedział. Jesteś bardzo wrażliwy, Willu, choć za nic nie chcesz się do tego przyznawać. Ucieszyłbyś się z wiadomości o kolejnym dziecku?

– Nie wiem.

Żałował, że tak jest naprawdę, ale nie chciał jej kłamać.

– Nie byłem na to przygotowany.

– W dniu, w którym się poznaliśmy, powiedziałeś mi, że widzę tylko to, co chcę widzieć. Pamiętasz?

Coraz większy strach ścisnął go w dołku. Och, do diabła, przecież ciągle się czegoś bał. To się zaczęło w Tybecie i rozwinęło w Anglii. Potem okazało się, że troska o kobietę wiąże się z jeszcze większym strachem. Dobrze wiedział, jaki to ciężar.

I nie zamierzał się go pozbywać.

– Pamiętam – przyznał cicho. – Myliłem się.

– Wcale się nie myliłeś. Szkoda, że wtedy nie rozumiałam jak bardzo miałeś rację. Nie byłoby tego wszystkiego.

– Charlotte...

– Odrzucałeś mnie, a ja szukałam twojej przyjaźni. Warczałeś na mnie, a ja cię całowałam. Ostrzegałeś, żebym cię nie dotykała, a ja byłam zachwycona naszym wzajemnym pożądaniem. – Przerwała na chwilę. – A potem wyszłam za ciebie za mąż bez potrzeby.

– To nie jest...

– Ty mnie naprawdę nie kochasz, Willu – oznajmiła powoli i wyraźnie. – A ja mimo tego odważyłam się począć dziecko.

Strach, który do tej pory tylko go przyginał, teraz rzucił go na kolana.

– To nie jest... nie, posłuchaj mnie...

– Myślałam, że moja miłość nikogo nie krzywdzi, ale zobacz, co się stało. Bóg karze mnie za samolubstwo. Ale daje mi też możliwość odkupienia. – Odwróciła od niego wzrok. – Nie możemy już być małżeństwem – szepnęła, jakby te słowa ją także bolały.

– Co ty wyprawiasz? – Chciał, żeby to zabrzmiało jak napomnienie, ale jego głos był pełen rozpaczony i strachu.

– Jeśli mam zostać matką, moje dziecko nie może żyć w świecie, który dla niego wyśniłam. Tak jak wyśniłam nasze małżeństwo.

Złapał ją za ramiona, ale patrzyła przez niego na wskroś.

– Posłuchaj mnie. To dziecko jest moje. Ty jesteś moja. Jesteśmy małżeństwem, bo miałaś rację. Dostrzegłaś prawdę, całą prawdę, widziałaś ją przez wszystkie pozory, przejrzałaś na wylot wszystkie moje głupie słowa i zachowania. Widziałaś, co jest między nami.

– Nie, Will. Widziałam więcej, niż było w rzeczywistości.

Zacisnął dłonie, chcąc, by przestała mówić, przestała wygłaszać tę pożegnalną mowę. Ziemia osunęła mu się spod nóg, pokój wirował... nie wiedział, gdzie wyląduje.

– Charlotte...

– Jeśli dziecko przeżyje...

...jego los był w rękach kobiety, która nigdy nie robiła tego, czego się po niej spodziewano...

– ...będę ci co dzień za nie dziękować.

– Ja cię kocham.

Wyrzucił z siebie te słowa, jak koło ratunkowe.

Charlotte. Miłość jego życia. Największa przygoda jego życia.

W jej oczach błysnęło straszne, pełne współczucia spojrzenie.

Nie uwierzyła mu.

Nie zatrzyma jego upadku.

– To druga najmilsza rzecz, jaką mi w życiu powiedziałaś. – Uśmiechnęła się smutno.

– Charlotte...

– Dziękuję ci za te dni, kiedy byliśmy małżeństwem. Za każdy z osobna. Trzeba było to skończyć tak, jak planowaliśmy. Tak jak planowałeś odnaleźć to, co straciłeś w Tybecie, a ja planowałam życie bez ciebie.

Pokręcił głową i opuścił bezwładnie rękę.

– Przecież ty mnie kochasz.

– Być może.

Jej oczy zasnuła mgła, a piękna twarz stała się odległą, jak buzia porcelanowej lalki.

– A być może byłeś tylko moim wyśnionym mężczyzną.

29

Chryste Panie, co ty zrobiłeś swojej żonie? – rzucił mu Seth Mayhew jako powitanie, stojąc na progu drzwi domu jego rodziców w Richmond.

Will zamarł z ręką na klamce.

– Widziałeś ją?

– Właśnie od nich wracam. Chciałem się z tobą zobaczyć. Nigdy w życiu nie była tak załamana. – Seth spojrzał ponad jego głową do wnętrza kuchni, na stół zasypany listami, mapami i papierami. Minął go i usiadł.

Will wszedł za nim, zapominając o zamknięciu drzwi.

Wiadomość o Charlotte natychmiast przyćmiła zdziwienie nieoczekiwaną wizytą Seta.

– Jak ona się czuje?

Seth pchnął w jego stronę puste krzesło, żeby też usiadł.

– Właśnie ci powiedziałem, że jest cała zapłakana.

Skrzyżował ramiona na piersi i przyjrzał mu się dokładniej.

– Ty zresztą też się mażesz. Już przedtem żal było na to patrzeć, a teraz jest jeszcze gorzej, więc przestań w końcu.

Serce mu pękało, a słowa Seta wcale nie poprawiły sytuacji. Mimo to usiadł.

– Miałem nadzieję, że się zobaczymy, zanim odpłynę w poniedziałek.

Spojrzał mu prosto w oczy.

– Wcale nie chciałem, żeby George wyruszyła na poszukiwania.

– Wiem. – Seth westchnął. – Nie powinienem wtedy mówić tego, co ci powiedziałem. Wiem, że nie byłeś w stanie odnaleźć tego dzieciaka.

Serce Willa rozdarło się jeszcze boleśniej.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby oboje wrócili bezpiecznie do domu. Zacznę poszukiwania w Bombaju. Znam tam jednego człowieka. Potem ruszę na wschód...

– Will, mam dla ciebie propozycję. – Seth odwrócił leżącą na stole mapę w jego stronę. – Ty mi dasz pieniądze... a ja odnajdę George i Aimee.

– Seth...

– Brakuje mi kasy, żeby pojechać tam na własną rękę. Ale nie mogę tu tkwić, nie wiedząc, co się z nią dzieje.

Smutek pociągnął Willa w dół jak kotwica. Doskonale znał to uczucie. Wiedział, że gdy tylko opuści

Anglię, będzie czuł jego ciężar podwójnie, z powodu Charlotte. Ale ona go nie potrzebowała.

Nie chciała, żeby został.

Odsunął krzesło i wstał, nie mogąc wytrzymać na siedząco.

– Przecież nie znasz tamtejszych języków. Ani kultury...

Seth wzruszył ramionami, zapatrzony w mapę.

– W Indiach jest dużo Anglików. A ja się łatwo przystosowuję.

Will potarł twarz dłonią.

– Przygotowuję się do tego od miesiący. Nie masz pojęcia...

– Kiedy lądowałem na Recife, nie mówiłem ani słowa po portugalsku. – Seth rzucił mapę na stół. –

Jesteśmy przecież odkrywcami, Willu. Żadne przygotowania, żadne zabezpieczenia nie zdadzą się na nic.

Do diabła... Sam wiesz o tym lepiej od innych. A ja mam tylko George na świecie.

Will wpatrywał się w niego jak urzeczony. Chryste, gdyby Seth tam popłynął... Nie.

Pokręcił głową.

– Nie możesz przecież...

– Ty jej nie znajdziesz – odpowiedział tamten po prostu. – Jestem tego pewny. Nie przeżyjesz pierwszego tygodnia poza Bombajem.

Will znieruchomiał z gniewu. Potem ogarnęło go zwątpienie.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Bo to już nie jest twoja przygoda. – Seth pochylił się i przeszył go zielonym jak morska woda spojrzeniem.

– Wyruszam po moją rodzinę, Will. A ty zajmij się swoją – dodał z szerokim uśmiechem.

Zegar wybił jedenastą, a Charlotte wbiła wzrok w szkicownik. Nie postawiła na papierze ani jednej kreski, choć kurczowo ścisnęła w dłoni ołówek. Zamiast tego jej wyobraźnia odmalowała po raz kolejny ten sam obraz: fregata „Blackwall” przy Nabrzeżu Wschodniondyjskim. Trzy maszty wznoszące się w niebo, żagle trzepocące na wietrze. Will, w ubraniu ciężkim od zaszytych w nie sztabek srebra i monet, żegna się z zapłakanymi rodzicami i wchodzi po stromym trapie na pokład.

Próbowała zetrzeć tę scenę. Nie chciała sobie wyobrażać Willa takim, jaki pewnie był właśnie teraz: z włosami rozwianymi przez oceaniczną bryzę, z oczyma zmrużonymi od słońca, zapatrzonymi w wody Kanału, przygotowanego na kolejnych sto dni na morzu.

Nie chciała go sobie wyobrażać. Ale widziała go, gdy tylko zamknęła oczy.

Ostatni dźwięk kuranta wibrował jej w uszach długo i żałośnie. Jedenasta. Statek właśnie odbił od brzegu.

Rozwarła palce. Ołówek, który do tej pory w nich zaciskała upadł na papier. Zasłoniła twarz dłońmi.

Błagam, niech Will będzie bezpieczny. Modliła się o to codziennie. Niech odnajdzie dziecko Bourianne’ów. Niech ono też będzie bezpieczne. I niech nasze dziecko będzie bezpieczne.

Boże drogi... jak ona to wytrzyma? Rok nieświadomości, czy on żyje?

Otarła oczy i usiadła.

Jeszcze tydzień. Krwawienie się nie powtórzyło. W dzień pogrzebu Hugh, poczuła się lepiej, opuściła ją bladość, a ból zniknął do reszty, co było bardzo znaczące. Doktor Simmons powiedział, że ma spore szanse, jeśli postara się dużo odpoczywać i będzie spokojna.

Zatem będzie spokojna.

Zrobi wszystko, co doktor jej każe.

Nagle zadźwięczał dzwonek do drzwi. Podskoczyła, ale zaraz sobie przypomniała, że to nie może być on. Nie dzisiaj.

Przez ostatnich sześć dni przychodził codziennie. Nie chciała się z nim widzieć, więc tylko zostawiała dla niej bukiet białych kwiatów. Nie mogła się z nim spotykać. Już to pierwsze rozstanie było dla niej nie do zniesienia.

W holu rozległy się kroki Goodleya. Otworzył frontowe drzwi.

I wtedy...

– Przyjmie mnie dzisiaj, panie Goodley?

Will?

Dźwięk jego głosu tak nią wstrząsnął, że wstała i zachwiała się na nogach.

A może sobie to tylko wyobraziła?

Ale Goodley mu odpowiedział. A potem otworzyły się drzwi, więc ze strachem popatrzyła na lokaja.

– Nie – powiedziała, uprzedzając jego słowa. – On nie może...

Ale Will już stał w drzwiach salonu z bukietem białych peonii w dłoni. Był jej tak drogi, że o mało co się nie rozpląkała. Zresztą pewnie kiedyś to zrobi, ale nie od razu.

– To naprawdę ty?

Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Wziął głęboki oddech i przesunął spojrzeniem po jej postaci.

– Stęskniłem się za tobą.

Popatrzyła najpierw na niego, potem na lokaja.

Chyba jej się to śniło. To tylko sen, więc trzeba zachować spokój.

– Którego dziś mamy, panie Goodley?

Uśmiechnął się, wypinając pierś.

– Dziś jest na sto procent poniedziałek, dwudziesty szósty sierpnia, panno Charlotte.

Skinął głową i zamknął drzwi, zostawiając ich samych.

Will popatrzył na jej dłonie, skrzyżowane na brzuchu i uśmiechnął się szerzej.

Potem podniósł na nią wzrok.

– Jak się masz, Charlotte?

Założyła ręce na piersi. Wiedziała, że nie o to pyta, ale nawyki wyrobione na lekcjach dobrych manier wzięły górę.

– Bardzo dobrze, dziękuję – odpowiedziała automatycznie.

Opuściła ręce.

– Naprawdę dobrze – powiedziała spokojniej. – Ben przesyła ci wiadomości, prawda?

– Dwa razy dziennie. Rozumiem, że doktor Simmons jest bardzo dobrej myśli.

– Po co przyszedłeś? Źle się czujesz? A może coś jest nie tak z Liz albo Johnem? Czy musiałeś opóźnić podróż? Czy statek nie wypłynął z portu? Czy popłyniesz jakimś innym? Czy dowiedziałeś się czegoś o Aimee?

Spojrzał na bukiet, a potem go jej podał.

– To dla ciebie.

Zamrugnęła.

– Co się z tobą dzieje?

Umilkł na chwilę, jakby się zastanawiał.

– Szczerze mówiąc, jest o wiele lepiej.

– Czy próbujesz wymigać się od odpowiedzi na moje pytanie?

– Które, kochanie?

– Wszystko jedno.

Podszedł o krok bliżej.

– Chciałbym usiąść.

– Usiąść? Dobrze, ale ja nie o to pytałam.

Nogi się pod nią trzęsły, ale usiadła na krześle. Choć obok było kilka innych, o wiele większych, Will usiadł obok niej. Tak samo jak wtedy, gdy się poznali. Przycupnęła na samym końcu, ale przesunął się za nią i położył muskularną rękę na oparciu, by być bliżej niej. Czy chciał ją pocałować?

Powinna go przywołać do porządku, jeżeli się na to zdobędzie. Tylko że wtedy oparł głowę na dłoni. Tak, jak zawsze, gdy był zmęczony.

Serce ścisnęło jej się z troski o niego.

– Możesz spać?

– Nie aż tak dobrze jak wtedy, gdy sypiałaś na mnie. – Uśmiechnął się. – Ale koszmary odeszły, Charlotte. Przez cały tydzień byłem sam, bez ciebie, a mimo to nie wróciły.

Był jak odmieniony. Zniknęła rezerwa, z jaką zawsze spoglądał. Zniknęło napięcie z twarzy. Wyglądał... jak spokojny człowiek.

Łzy napłynęły jej do oczu.

– Cieszę się.

– Ale sny mnie nie opuszczają. Ciągłe śnię o nas. Raz przyśniło mi się nawet nasze dziecko. Był podobny do mnie. – Podniósł osłabłą dłoń. – I miał na sobie marynarskie ubranko.

Przetarł twarz ręką. Kiedy znowu na nią spojrział, miał wilgotne oczy.

– Myślę, że mała Aimee żyje. – Przełknął ślinę i łza spłynęła mu po policzku. – Muszę w to wierzyć. Muszę wierzyć, że troszczy się o nią ktoś dobry i miły i że wybaczy mi, że wtedy nie zdażyłem jej odnaleźć. Muszę wierzyć, że oni wszyscy mi wybaczą. Myślę, że tak będzie, bo... bo oni też mi się przyśnili. Moi przyjaciele. W tym śnie wszyscy żyli i byli szczęśliwi. Nie chcieli, żebym wsiadał na statek. Nie chcieli, żebym ruszał im na ratunek – szepnął. – Myślę, że chcą, żebym ratował sam siebie.

Skinęła głową, biorąc oddech, o którym zapomniała. Ogarnęła ją taka ulga i wzruszenie, że nie mogła odezwać się ani słowem.

– W dalszym ciągu nie wiem, dlaczego ja ocalałem, a oni zginęli. Pewnie nigdy się tego nie dowiem. Ale dziękuję Bogu za życie. – Spojrział jej w oczy, nie wstydząc się łez. – Dziękuję Bogu, że ty w nim zagościłaś. Kocham cię. Wiesz o tym. Proszę cię, uwierz w to.

I nagle uwierzyła. Powiedziało jej to jego spokojne spojrzenie, ciepło dłoni, a nade wszystko świadomość – choć była to straszna świadomość – że stoczył walkę, by dotrzeć do niej z miejsca bardziej odległego niż koniec świata, głębokiego jak najczarniejsze piekło jego umysłu.

Łzy popłynęły jej z oczu i z ulgą zarzuciła mu ramiona na szyję. Śmiała się i płakała na przemian.

Obejmowali się długo, aż łzy wyschły na ich policzkach. Wreszcie Will odsunął zbłąkane pasmo włosów z jej twarzy.

– Zastawiałem się, szczerze mówiąc, przez cały tydzień, czy też mogłabyś mnie naprawdę pokochać? Czy może w dalszym ciągu mylisz mnie z twoim wyśnionym mężczyzną?

Serce ścisnęło się jej w piersi. Dlaczego wtedy to powiedziała?

– Will, ja nie...

Przytknął palec do jej ust.

– Ciekaw jestem, czy ten twój wyśniony mężczyzna codziennie wyklóca się ze swoim lokajem, bo woli sam się golić?

Zawahała się, niepewna, do czego zmierza.

– Nie powinien być nadmiernie kłótlivy, o nie.

– Czy zamyka się w gabinecie i codziennie przez pół godziny podnosi *Atlas flory brytyjskiej* nad głowę, ponieważ wie, że żonie podobają się jego bicepsy?

Pokręciła głową, uśmiechając się coraz szerzej.

– Nie, raczej nie uprawia takiej gimnastyki.

– A czy do jego ulubionych potraw należy ropucha w gnieździe?

– Teraz to już przesadziłeś.

Pochylił się ku niej, wbijając spojrzenie w jej oczy, oddalony od niej wargami zaledwie o westchnienie.

– W takim razie nie mogę być mężczyzną twoich marzeń, kochanie. Czy w związku z tym jest szansa, żebyś mnie naprawdę pokochała?

Serce tłukło się w niej jak oszalałe. Ogarnęła ją fala takiej miłości, że nie była w stanie wydobyć z siebie ani jednego słowa, co zdarzało jej się niezwykle rzadko. Nie usłyszał więc jak bardzo, jak szalenie go kocha.

Musiała go więc pocałować i okazać mu tę miłość. Obiecała sobie jednak, że na pewno kiedyś zasypie go tysiącem miłosnych słów.

Na pewno.

Ale nie od razu.

Epilog

Kwiecień 1851

Jest całkiem niezły, kochanie. – Will mówił to serio. Charlotte coraz lepiej rysowała, dzięki nowemu nauczycielowi. Mógł nawet odróżnić ludzką sylwetkę, zbyt małą jak na dorosłego. Zatem musiał to być John, ich synek.

Bardzo prawdopodobna wersja. Był ulubionym tematem jej prac.

Zazwyczaj tak spędzali wolny czas w swoim nowym domu w Richmond. Choć przez ostatni miesiąc miał niewiele wolnych chwil. Wydano zbiór jego reportaży z podróży, które mimo braku krwawych opowiadań o Tybecie sprzedawały się tak dobrze, że właśnie pojawił się czwarty dodruk i zaczęto je tłumaczyć, by opublikować je na kontynencie.

Popularność książki sprawiła, że zaczęto go zapraszać na liczne spotkania towarzyskie. Chętnie na nie chodził ze swą piękną żoną, która dawno już doszła do siebie po porodzie.

Na szczęście na te same spotkania często zapraszano Lucy, Bena i Wallace'a, więc miał później z kim porozmawiać. A Charlotte była nad wyraz szczęśliwa, że jej rodzina zaczęła bywać w towarzystwie.

On zaś był najszczęśliwszy, gdy mógł spędzić spokojny wieczór w domu, planując kolejną wyprawę. Tym razem do Kumbrii na północy. Z rodziną.

– Mówisz, że jest niezły? – Podniosła rysunek do góry. – W takim razie powiedz mi, co na nim jest.

– Nie co, tylko kto. Nasz synek śpiący w taczce.

Jej uśmiech zamarł. Popatrzyła ze zdziwieniem na swoją pracę.

– To znaczy... w saniach?

Spojrzała na niego, jakby coś z nim było kompletnie nie tak.

– To jest łódeczko.

– Oczywiście, łódeczko – przytaknął z uśmiechem.

– Skąd ci przyszła do głowy taczka?

Spojrzał spod oka na rysunek, ale natychmiast zabrała mu go sprzed nosa.

– Nie do wiary. Twój syn leży w łódeczku dwa metry od nas, a ty...

Uciszył ją pocałunkiem, starając się nie wybuchnąć śmiechem.

– Panie Repton? – odezwał się lokaj spod drzwi.

Uniósł głowę, tłumiąc westchnienie.

– Tak, panie Simms?

– Macie państwo gościa. Pannę Georgianę Mayhew.

Natychmiast spoważniał i zapatrzył się w dal, jakby nie dotarły do niego słowa, które przed chwilą usłyszał.

– Przecież George nie żyje.

Błękitne jak ostróżki oczy Charlotte spojrzały na niego ze zdziwieniem.

Nie miał pojęcia, dlaczego to powiedział... Przez długie miesiące, przez te wszystkie miesiące, nie dostali żadnych wiadomości od George. Seth nie tracił nadziei, że odnajdzie Aimee, ale napisał...

Był przekonany, że jego siostra umarła.

Lokaj przechylił głowę i powoli powiedział: – Ta młoda dama nazywa się Georgiana Mayhew.

– Tak – odparł ledwie dosłyszalnie i opadł na fotel tuż obok Charlotte, ledwie czując, że objęła go ramieniem.

– Proszę ją zaprowadzić do salonu – powiedziała, a lokaj skinął głową i wyszedł.

– Will? – Charlotte ścisnęła go za rękę. – George żyje. Wróciła.

– Żyje... jakim cudem...

Charlotte objęła go mocniej.

– Pójdziemy do niej oboje?

Przetarł twarz drżącą ręką. John spał w łóżeczku. Miał takie miękkie, złote włosy...

Jego malutki chłopczyk. Ten widok kazał mu wstać.

– Zawołam nianię, niech z nim posiedzi.

Skinął głową. Nigdy nie zostawiał syna samego, w dzień ani w nocy.

Charlotte doskonale to rozumiała i nigdy nie wyśmiewała się z tej słabości. Nie sprzeciwiła się, gdy uparł się, by jego łóżeczko stało w ich sypialni. Był taki kruchy, taki mały... jak niegdyś Aimee.

Charlotte puściła jego rękę, żeby zadzwonić.

Zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

– Po co tu przyszła?

– Żeby ci opowiedzieć, czego dowiedziała się w Tybecie.

– Jasne, racja.

Wyciągnął rękę do Charlotte. Ujęła ją i stanęła obok.

Zawsze była u jego boku.

Był od niej tak bardzo zależny.

Jednak okazał się nieodrodnym synem swojego ojca.

W końcu przyszła niania i nie dało się dłużej odwlekać spotkania.

Drzwi do salonu stały otworem. Zawahał się, zanim wszedł. Charlotte splótła ich palce razem. Wiedziony impulsem, uniósł jej rękę i ucałował wewnątrz dłoni.

Wytrzyma. Wytrzyma wszystko.

Razem weszli do pokoju.

Nigdy przedtem nie widział nieulekłej, niezwyklej Georgiany Mayhew, ale mimo to patrzył tylko na dziecko w jej ramionach.

– Boże... – szepnął i postąpił niezgrabnie krok w ich stronę. – Błagam cię... błagam...

Georgiana odwróciła dziecko ku niemu. Kiedy ogromne niebieskie oczy odnalazły jego twarz, dziewczynka podniosła rączki i wydała radosny okrzyk.

Zupełnie, jakby go sobie przypominała.